

BARBARA DELINSKY

DLA MOICH CÓREK

Wstęp

Wiedziałam, że widzę go o s t a t n i raz w życiu.

Był wczesny poranek. Wstawał nowy dzień. Ocean jaśniał, w blasku wschodzącego słońca.

Kończyło się już lato, nadciągał wrzesień. Panował chłód. Powietrze pachniało solą i kwiatami. Czułam wilgoć na skórze i na włosach.

On stał w drzwiach. To była mała chatka ogrodnika. Nieduży, drewniany domek. Zupełnie inny niż wielka, wytworna rezydencja, w której mieszkałam.

On był ogrodnikiem. Wspaniały mężczyzna, mocnej budowy ciała, choć zarazem szczupły.

Oboje byliśmy zgodni co do tego, że musimy się rozstać. Jednak po ostatniej nocy okazało się to dla nas szczególnie trudne.

W dużym domu wszystkie moje rzeczy były już spakowane. Zamówiona taksówka.

Dominik St. Clair już na mnie czekał. Mój mąż, któremu cztery lata temu ślubowałam miłość, wierność i posłuszeństwo.

Tego lata wiele rozmyślałam o słowach tej przysięgi. Miałam silnie rozwinięte poczucie odpowiedzialności.

Nie wzięłam stąd żadnej pamiątki. Nawet tych przepięknych, cudownych skalnych róż. Zostały w domku Willa, zasuszone, pomiędzy kartkami woskowanego papieru. Żadnych fotografii, które mogłyby mi przypominać Willa. Zostawiłam też skórzaną obrączkę, którą podarował mi Will: Dziś miałam na palcu kosztowną złotą obrączkę wysadzaną szmaragdami, która symbolizowała moją przynależność do innego świata.

Miałam wtedy dwadzieścia siedem lat. Byłam dość mądra, by dobre warunki materialne cenić wyżej niż romantyczną miłość. Przynajmniej uważałam się wtedy za bardzo mądrą.

Jakże się myliłam. Moje serce na zawsze pozostało przy Willu Crayu, na urwistym wybrzeżu oceanu. Nigdy nie zapomniałam zapachu powietrza nasyconego solą, skalnych róż, ogrodu i lasu.

Ostatni raz przywarłam gorączkowo do jego piersi.

Walczyłam ze łzami. I mój płacz skamieniał we mnie.

Wydałam na siebie wyrok. Już nigdy nie potrafiłam nikogo pokochać. Nawet gorzej. Utraciłam zdolność odczuwania emocji.

Pozostało mi tylko poczucie obowiązku. Tak, należałam do elity i w każdej sytuacji potrafiłam zachować się odpowiednio.

Ale teraz... Will już od kilku lat nie żyje. Podobnie jak Dominik. Teraz... muszę to jakoś naprawić.

Rozdział 1

Wieści nie były dobre. Karolina St. Clair mogła odczytać werdykt na twarzy przysięgłych, zanim jeszcze podeszli do sędziego. Żaden z dwunastu ławników nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Jej klient został uznany winnym.

W gruncie rzeczy wiedziała, że przysięgłym chodziło o dobro oskarżonego. Mężczyzna ten porwał swoją byłą żonę. Przetrzył ją siłą przez trzy dni i w tym czasie wielokrotnie zgwałcił. Nie notowany dotąd w rejestrach policji, z przeszłością bez skazy, mógł liczyć na względnie łagodne więzienie. Powinien otrzymać pomoc psychiatryczną, której niewątpliwie potrzebował. Był dość młody, by rozpocząć życie od nowa.

Pod pewnymi względami musiała przyznać rację przysięgłym. Uniewinnienie naraziłoby mężczyznę na ataki prasy i telewizji. Mogłyby mu zepsuć opinię i zniweczyć szansę na resocjalizację.

Jednak dla Karoliny ważne było każde zwycięstwo. Potrzebowała sukcesów zawodowych. Protekcyjne traktowanie przez kolegów z zespołu coraz bardziej zaczynało jej doskwierać. Była jedyną kobietą w kancelarii adwokackiej. W miarę upływu czasu walka z dominacją mężczyzn stała się jej obsesją.

Karolinę nadal, od kilku lat, zaliczano do nowych pracowników. Mimo że ukończyła niedawno czterdziestkę, protekcyjnie poklepywano ją po ramieniu. Starsi współpracownicy niechętnie dopuszczali ją do prowadzenia ciekawszych spraw. Co gorsza, w ogóle niechętnie patrzyli na kobiety. Karolina musiała pracować dwa razy ciężiej i być dwa razy lepsza niż oni. Za te same pieniądze musiała być bardziej błyskotliwa w manipulowaniu prawem. Agresywniej negocjować z oskarżycielami i robić większe wrażenie na sędziach.

Była zdeterminowana zetrzeć wreszcie grubą krechę, jaka dzieliła ją od starszych kolegów - Holtena, Willsa, Dulutha i innych. Współpraca z dużą firmą gwarantowała jednak dobre zarobki. To się liczyło na rynku pracy i nie zamierzała z tego rezygnować. Małe firmy powstawały i padały. Holten, Wills i Duluth coraz bardziej umacniali swoją pozycję. Jakże rozpaczliwie potrzebowała teraz tego zwycięstwa.

- Ale cię wrobili! - zawołał do niej jeden z kolegów, kiedy wróciła już do biura. - Gdyby sąd nie wziął go w swoje łapy, i tak

załatwiłaby go prasa. Ze swoimi koneksjami politycznymi nie miał żadnych szans.

Karolina rzuciła mu surowe spojrzenie. Ale lubiła Douga, chyba jego jedyne w całej firmie. Oboje zostali przyjęci do pracy mniej więcej w tym samym czasie i chociaż Doug o dwa lata wcześniej awansował na samodzielne stanowisko, nie miała mu tego za złe. To był jej najsilniejszy sprzymierzeniec w firmie.

- Dziękuję - mruknęła - Potrzebowałam tego.

- Przykro mi, ale to prawda.

- Wiem. Przez pół nocy zastanawiałam się, co zrobić z tym fantem. - Nerwowo stuknęła palcem w blat stołu. - Wydawało mi się jednak, że mam jakieś możliwości. Chciałam coś zrobić dla tego człowieka.

- Nie tak łatwo dowieść niewinności.

- Tak, ale zobacz, oprócz tego jednego wykroczenia John Baretta mógł stanowić przykład praworządnego obywatela. Nie karany. Doskonała opinia. Myślałam, że to dla sądu będzie miało jakieś znaczenie.

- Naprawdę wierzyłaś, że działał w afekcie? Karolina musiała w to wierzyć. To był jedyny sposób, który dawał szansę na skuteczną obronę. - Ten mężczyzna miał bzika na punkcie swojej żony. Nie potrafił pogodzić się z tym, że go porzuciła. Ale nigdy przedtem nie rozszedł się z prawem. Wstydział się i przeproszał. Nie jest niebezpieczny dla społeczeństwa. Potrzebuje terapii. To wszystko - mówiła, nadal stukając palcami po stole.

- A ty potrzebujesz papierosa. Skinęła głową. - Zgadłeś. Ale nie mam ani jednego. Nie mogę się uzależniać. Strach pomyśleć, jak oni mnie tu traktują. - Westchnęła. - Przyjaciele myślą, że praca w zespole coś mi daje. Niby że mogę sobie pozwolić na coś takiego jak choroba, a nawet ciąża. Wydaje im się, że gdyby mi się coś takiego przytrafiło, koledzy zajęliby się moją klientelą, a potem jeszcze przyszliby do mnie z kwiatkiem. Akurat! Wyobrażasz sobie, co by wtedy było! Wyrzuciliby mnie na bruk jak psa. Na pewno z łatwością znaleźliby sposób, by ominąć przepis o dyskryminacji i pozbyć się mnie. Koleżeństwo! - prychnęła z ironią. - Czy taka kariera w ogóle jest coś warta?

- Masz rację, do licha. Ale co można na to poradzić?

- Nie wiem. Coś jest w tym złego, Doug. I to ma niedobry wpływ na mój system wartości. Dużo mniej przeszkadza mi fakt, że nie mogłam pomóc mojemu klientowi, niż to, że nasi starsi koledzy będą mi robić wymówki. Ambicja zawodowa staje się dla mnie ważniejsza niż dobro człowieka.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy następny kolega pojawił się w drzwiach. Adwokat, znacznie starszy od Karoliny.

- Dopuszczałaś do tego, żeby w ławie przysięgłych znalazło się zbyt dużo kobiet - mruknął z dezaprobatą. - Baby zawsze utożsamiają się z poszkodowaną.

Doug wyszedł z biura. Nie chciał dać się wciągnąć w tę dyskusję. A może gdzieś się śpieszył.

- Nie mogłam wykluczyć kogoś tylko z powodu płci - odpowiedziała Karolina.

- Powinnaś znaleźć sposób, żeby pozbyć się bab - stwierdził autorytatywnie, po czym wyszedł na korytarz.

Zastanawiała się nad tymi słowami, kiedy pojawił się jeszcze jeden kolega.

- Niepotrzebnie pozwoliłaś mu mówić. To wyszło żałośnie. Zbyt żałośnie. Trudno, żeby ktokolwiek dał się na to nabrać.

- Myślałam, że był przekonujący.

- Sędzia myślał inaczej - padła szydercza odpowiedź.

- Mądry człowiek po szkodzie - zauważyła Karolina.

- I tak nie wiadomo naprawdę, dlaczego sąd podjął taką decyzję.

Pozostała pogrążona w myślach, gdy kolejny prawnik zatrzymał się w drzwiach jej pokoju, tym razem ze słowami otuchy.

- Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca, Karolino. Potrzebujesz zwycięstwa. Nie przejmuj już się tą sprawą, zajmij się następną.

Karolina spojrzała na rozłożone na biurku teczki z dokumentami. Do każdej przypięte były notki z informacjami. Podczas gdy ona zajmowała się obroną Baretty, sekretarka pieczołowicie gromadziła najnowsze wiadomości i przyjmowała telefoniczne zlecenia od klientów. Karolina pomyślała, że teraz powinna to wszystko uporządkować, włożyć do teczek i zrobić stosowne notatki. I pierwszy raz od wielu lat poczuła, że nie ma nastroju do pracy. Miała dość tej firmy i wszystkiego, co się z nią wiązało.

Następny kolega wsadził głowę w drzwi. - Postaraj się nie wymienić nazwy firmy, kiedy będziesz rozmawiała z prasą. Dobrze?

Odszedł szybko, nie czekając na odpowiedź. Spojrzała z rozpaczą w stronę korytarza. Pomyślała z obrzydzeniem o firmie. Znikąd współczucia, znikąd życzliwej porady. Oni mogą tylko dobić. Żadne ludzkie wartości nie mają tu racji bytu. Panuje stronnictwo, zachłanność, nie mówiąc już o pompatyczności, pysze i protekcyjności. Ohydne. Przez chwilę nie była w stanie zrozumieć, dlaczego związała się z tymi ludźmi. Miała ich już powyżej uszu.

I pierwszy raz w życiu, nie troszcząc się o to, że narazi się na gniew któregoś z nich, po prostu wyszła wcześniej z pracy. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ale tym razem nie miało to znaczenia.

Wrzuciła dokumenty do skórzanej aktówki. Mogła je przeczytać w czasie bezsennej nocy. A teraz powiedziała tylko parę słów do sekretarki, poprosiła o umówienie jutrzejszych spotkań, po czym wyszła na ulicę.

Było chłodne, kwietniowe popołudnie. Wiatr, wiejący prosto w twarz, przyniósł jej ulgę. Po wielu nerwowych godzinach w sali sądowej i pracowitych późnych wieczorach w biurze potrzebowała świeżego powietrza. Skierowała się w stronę domu. Zapięła płaszcz pod szyję. Szła pieszo. Woląла raczej to, niż brać taksówkę, do czego już przywykła w pośpiechu minionych tygodni.

Po piętnastominutowym spacerze potrafiła nawet uśmiechnąć się do portiera, który pozdrowił ją po imieniu, przytrzymał drzwi, a potem ściągnął windę i poczekał, aż Karolina wyjmie korespondencję ze skrzynki pocztowej.

Mieszkanie Karoliny znajdowało się na osiemnastym piętrze ekskluzywnego wieżowca. Okna wychodziły na jezioro. Gdy usiadła wygodnie na sofie, mogła patrzeć na żaglówki. W pogodne dni marzyła o łódkach i o wodzie.

Ten dzień był pochmurny, szary. Położyła swoje rzeczy na krześle przy drzwiach. Przejrzała korespondencję. Nie znalazła nic wartego uwagi oprócz koperty ze stemplem pocztowym Filadelfii. Od razu poznała staranny charakter pisma.

Pomyślała od razu, że nie ma co się dziwić. Wiadomość od matki, jakakolwiek ona była, pasowała do tego nieprzyjemnego dnia. Virginia St. Clair nie życzyła sobie, żeby jej córka została prawnikiem. Uważała to za fatalny zawód dla kobiety. Przegranie procesu mogło oznaczać, że matka miała rację. Nie powinna była się

za to brać. Kobieta musi wyjść za mąż i mieć dzieci. Praca zawodowa kojarzyła się Ginny wyłącznie ze staropanieństwem i ubóstwem.

Karolina i Ginny nigdy nie mogły się zgodzić w żadnym szczególe co do roli i obowiązków kobiety. Ginny nie lubiła bardzo krótko obciętych włosów Karoliny ani nonsensownego fasonu jej ubrań. Nie podobało jej się, że Karolina nie maluje paznokci ani nie używa perfum. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Karolina nie ma instynktu macierzyńskiego. Zawsze stawiała jej za wzór siostrę, Anetę, która urodziła aż pięcioro dzieci. Jediną rzeczą, co do której mogły się zgodzić, było to, że w niczym się nie zgadzają.

Ograniczyły wzajemne stosunki do przyjętych w towarzystwie form grzecznościowych. Rozmawiały wyłącznie o nieistotnych sprawach. I to rzadko. Widywały się niemal wyłącznie na rodzinnych uroczystościach.

Karolinie najzupełniej to wystarczało. Było jej z tym wygodnie. Już od dawna przestała marzyć, że Ginny okaże jej ciepło albo zrozumienie.

Z westchnieniem odłożyła ciężką kopertę. To musi poczekać.

Poszła do sypialni i zdjęła śliwkową garsonkę, która, niestety, nie wywarła na sędzie większego wrażenia. Włożyła dzinsy i starą flanelową koszulę. Podwinęła rękawy do łokci, poprawiła kołnierzyk. Wróciła do salonu i opadła bez sił na sofę.

Świat za oknem działał na nią przygnębiająco. Nawet meble na wysoki połysk, szkło i chrom nie potrafiły rozjaśnić szarości.

Czuła się przemarznięta, przegrana. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że przywiązuje zbyt dużą wagę do tego niepowodzenia. To była tylko jedna porażka na tle wielu znaczących sukcesów. Pracowała w dobrym zespole, w prestiżowej firmie. Wygrała w ostatnich latach dostatecznie dużo spraw, by móc sobie pozwolić na dzisiejszą przegraną. Nie było powodu, żeby popadać w rozpacz. Najmniejszego powodu. Po prostu tak się czuła.

Zadzwonił telefon. Liczyła dzwonki, aż odezwał się jej własny głos z automatycznej sekretarki. Następnie usłyszała: - Tutaj Mark Spencer z „Sun Times”. Chciałbym panią prosić o wypowiedź do porannego wydania. Proszę zadzwonić pod numer...

Pozwoliła, by na taśmie nagrał się jego numer, choć wiedziała, że nie będzie jej potrzebny. Informację dla prasy przekazała zaraz po wyjściu z sądu. Powiedziała o przebiegu procesu i podkreśliła, iż

wierzy w niewinność swojego klienta. Nic więcej nie miała do dodania.

Telefon wyłączył się. Teraz rozległ się brzęczyk domofonu. Zamknęła oczy i nie ruszała się z miejsca. Ten ktoś, kto był na dole, powinien już sobie pójść. Ale domofon dzwonił nadal. Mruczając coś o prywatności i o bezczelności prasy, podniosła słuchawkę. - Kto tam?

- Hej, witaj piękna dziewczyno! I nagle uśmiech pojawił się na jej twarzy. Oparła głowę o ścianę. Już było dobrze. To Ben.

Jej Ben. Kochany. Zawsze wiedział, kiedy jest jej potrzebny. Kiedy miała kłopoty, kiedy ogarniał ją zły nastrój, Ben zjawiał się jak na zamówienie. Wręcz przeciwnie niż jej rodzona matka, której nigdy szczególnie nie obchodziła.

- Hej, Ben, co słyhać?

- Otwórz mi. Nacisnęła przycisk. Oparła się o drzwi. Ben Hammer ze spokojnym, ciepłym uśmiechem i nieskomplikowanym sposobem bycia był absolutnym przeciwieństwem Karoliny. I działał na nią w trudnych chwilach jak dobre, słodkie wino.

Stała w otwartych drzwiach, czekając na niego. Wreszcie wynurzył się z windy. Zawsze podziwiała jego swobodne, miękkie ruchy. Teraz też patrzyła z zachwytem, jak idzie w jej stronę, wyprostowany, w skórzanej kurtce. W rękę trzymał kask motocyklowy, a włosy koloru piasku na plaży miał potargane i wilgotne od potu.

- To lekkomyślność - zażartował, zbliżywszy się do niej. - Nie należy otwierać drzwi, zanim nie sprawdzi się przez wizjer, kto idzie.

- Nikt nie potrafiłby podrobić twojego głosu - powiedziała - Jest jedyny w swoim rodzaju - O tym wiedziała od dawna. - Co słyhać, Ben? Jak się miewasz?

Niespodziewanie wyciągnął schowany przedtem za plecami bukietik stokrotek - Lepiej niż ty, mogę się założyć. Słuchałem wiadomości. To była ciężka sprawa.

Wzięła od niego stokrotki. Uroczyście wprowadziła Bena do mieszkania. Zamknęła drzwi. - Dziękuję. Urocza nagroda pocieszenia.

- Nie, to z gratulacjami.

- Ale przecież przegrałam.

- To nie ma znaczenia. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

- Wygląda na to, że nie dość dobrej - mruknęła, idąc do kuchni. Nalała wody do kwadratowego wazonu. Włożyła stokrotki i postawiła

na szklanej płytce w salonie. Pasowałoby tu z pewnością coś bardziej szokownego niż stokrotki, ale ten bukiet był wyjątkowo miły.

Ben wszedł za nią do salonu. Rozpiął kurtkę. Patrzył na Karolinę z taką tkliwością, że znowu poczuła wzruszenie. - Powinnam była wiedzieć, że przyjdiesz. Zawsze zjawiasz się, gdy cię potrzebuję. - Sięgnęła po kask.

- Wydaje mi się, że twoi szacowni współpracownicy nie byli zachwyceni.

- To delikatnie powiedziane. - Położyła hełm na swojej aktówce.
- Współczucie wyszło z mody. W tej firmie uważa się je za oznakę słabości.

- Chyba tak nie myślisz?

- Nie. Ale moi koledzy z zespołu adwokackiego są tego zdania. Dla nich liczy się tylko siła,

- Nie musisz z nimi pracować.

- Ciężko musiałam harować, żeby być z nimi w zespole jako pełnoprawny partner. Kariera zawodowa jest dla mnie ważna.

- Oczywiście, mogę to zrozumieć. Tylko że ty masz serce. I dobrze by było, gdyby twoi partnerzy nie traktowali serca jak śmieć. Czy oni cię nie męczą?

- Na pewno tak. Poza tym, kiedy prowadzę jakąś sprawę, przynależność do firmy wcale mi nie pomaga. A to, co firma daje mi w zamian, to najmniej ciekawe sprawy, trudne i niewdzięczne. Doszłam do tego wniosku, kiedy wracałam pieszo z pracy do domu. Nie pomagamy sobie, firma i ja. Wręcz przeciwnie.

- Uzależniłaś się od nich.

- Tak - zgodziła się. Uśmiechnęła się do niego i poczuła, że ogarnia ją omdlewająca rozkosz. Zarzuciła mu rękę na szyję.

Była z Benem tak blisko jak z nikim innym. Mężczyźni obawiali się jej. Budziła lęk swoją niespożytą energią i ambicjami zawodowymi. Poza tym nie bardzo miała czas na takie rzeczy jak romanse. Na studiach wykazywała niezwykły zapał do nauki, później niemal bez reszty poświęciła się pracy.

Mężczyźni interesowali się nią, a potem odsuwali się, zrażeni jej chłodem, jej niechęcią do małżeństwa.

Ben w gruncie rzeczy w ogóle nie powinien jej lubić. Była asystentką prokuratora okręgowego, który posłał jego młodszego brata do więzienia za oszustwo komputerowe. Ale działała w imię

sprawiedliwości i Ben potrafił to docenić. I zaraz potem ze zniewalającym uśmiechem zaprosił ją na obiad. Poszła z nim i skończyli w łóżku. Wydało im się to najbardziej naturalną rzeczą w świecie.

Prowadził zupełnie inny tryb życia niż Karolina. Był artystą, spędzał wiele tygodni podróżując po świecie z aparatem fotograficznym. Potem miesiącami wywoływał zdjęcia, malował obrazy i robił całe serie odbitek.

Jego dzieła zapierały Karolinie dech w piersiach. Wartość artystyczna zdjęć i obrazów była niewątpliwa. Reprodukacja jego fotografii, powiększona, zdobiła ścianę jednego z ważniejszych budynków w miasteczku, a lokalne galerie z łatwością sprzedawały jego obrazy.

Kiedy jednak Karolina sugerowała, że powinien organizować wystawy w wielkich miastach, jak San Francisco, Boston czy Nowy Jork, Ben wzruszał ramionami i nie podejmował tematu. Ona pragnęła kariery, on wydawał się zupełnie bez ambicji. Za każdym razem, kiedy skończył pracę nad serią odbitek, spędzał długi czas w absolutnej bezczynności.

Karolina nie potrafiłaby tak w ogóle nic nie robić.

Obawiała się małżeństwa. Ben proponował jej to już kilkadziesiąt razy. Za każdym razem odmawiała, a jednak on nie odchodził. Nie obrażał się, nie cierpiał z powodu urażonej ambicji. Kochała go. Do niczego jej nie przymuszał. Dawał radość, poczucie bezpieczeństwa.

Teraz śmiała się, potrząsając głową. Nie protestowała, cieszyła się tym nieuchronnym, nieuniknionym, co miało zaraz nastąpić. Pocałował ją w policzek. To było krótkie uszczypnięcie ustami. Objął rękoma jej biodra i całował ją, dopóki reszta napięcia, która pozostała w jej ciele, nie ulotniła się bez śladu.

Jak miał w zwyczaju, najpierw sam się rozebrał. Karolina zawsze uważała, że Ben znacznie lepiej czuje się bez ubrania. I trochę uważała to za egoizm, jakby najpierw myślał o sobie. Nie skarżyła się, lubiła patrzeć na jego nagość. Podszedł do niej. Powoli zdejmował z niej koszulę. Pragnęła go. Samo patrzeć nie mogło jej wystarczyć.

Ben nie był powściągliwy w zaspokajaniu jej pragnień. Pieścił każdy kawałeczek jej ciała, aż zupełnie straciła poczucie rzeczywistości.

Mimo tak odmiennych charakterów pasowali do siebie.

I kiedy już było po wszystkim, kiedy uspokoił się oddech, a ciała zaczęły odczuwać chłód, leżeli obok siebie, przytuleni, szczęśliwi.

- Przyszędłbyś dziś do mnie, gdybym wygrała? - zapytała szeptem, wtulona w jego owłosiony tors.

- Zgadnij. Tak albo nie. Byłem jak przyklejony do radia, czekając na werdykt. Wszedłem natychmiast po ogłoszeniu wyroku. - Spojrzał na nią pytająco. - Przyjedziesz do mnie na weekend?

Potrząsnęła głową. - Mam dużo pracy.

- Weź robotę ze sobą.

Ben mieszkał godzinę drogi od miasta, w małym domku w lesie. Tak, lubiła do niego jeździć. Kochała zapach jodeł, świergot ptaków, szklany dach, przez który przenikały do wnętrza promienie słońca. Ben urządził w domku pracownię. Malował.

- U ciebie nie mogę skoncentrować się na pracy.

- Bo też kochasz to miejsce, przyznaj.

- Kocham to miejsce.

- To dlaczego nie przeprowadzisz się do mnie? Sprzedaj swoje mieszkanie. Powiedz swoim kolegom o zimnych sercach, żeby odpieprzyli się od ciebie. Nie musisz pracować. Potrafię zarobić na nas dwoje.

Zaśmiała się. Z nich dwojga to właśnie ona była znacznie bogatsza. Choć oczywiście i Benowi nie powodziło się źle. I potrafili dać jej wszystko, co miał.

- Przywykłam do życia w mieście - mruknęła.

- Jesteś masochistką.

- Wiem. I jeszcze pracoholiczką.

- Jak będziesz ze mną, szybko się z tego wyleczysz.

- Wiem. Masz na mnie zły wpływ.

- Ha! Myśl sobie w ten sposób, a zobaczysz, do czego to prowadzi.

Wiedziała, że w jego słowach kryje się sporo prawdy. Ben westchnął, - I nadal nie chcesz wyjść za mnie?

- Nie w tym tygodniu. Mam zbyt dużo roboty. Nadal omdlewała ze szczęścia w jego ramionach. Jeszcze nie była gotowa na jego odejście.

Zbyt szybko, jak na jej gust, Ben dał jej pożegnalnego całusa i wyslizgnął się z łóżka. Patrzyła na niego, jak się ubiera. Narzuciła na

siebie koszulę. Odprowadziła go do drzwi, gdzie dostała jeszcze jednego całusa.

Potem, kiedy po jego obecności pozostał jej już tylko męski zapach na skórze, zaparzyła herbatę. Wypiła dwie szklanki. I wreszcie czuła się już wystarczająco silna, by otworzyć grubą kopertę z listem od matki.

Droga Karolino - pisała Virginia.

Dawno nie miałam wiadomości o Tobie - ani od Ciebie, ani od Twoich sióstr. Zakładam, że list ten zastanie Cię w dobrym zdrowiu.

Karolina skrzywiła się. Siostry nie miałyby pojęcia, gdyby zachorowała, czy też miała jakieś inne problemy. Nie rozmawiała z nimi od wielu tygodni.

...wróciłam z Palm Springs w zeszły wtorek. Pogoda dopisała. Towarzystwo jak zawsze mile, ale potem z przyjemnością znowu znalazłam się w domu. Ostatnio potrzebuję coraz więcej spokoju. Częściej myślę o odpoczynku. Wiek robi swoje. Nie mam już tyle siły co dawniej, by biegać z jednego przyjęcia na drugie. Lilian mówi, że robi się ze mnie pustelnica. Możliwe, że ma rację.

Karolina żywiła co do tego poważne wątpliwości. Matka zawsze prowadziła ożywione życie towarzyskie. Poranki spędzała w klubie, spotykając się ze znajomymi kobietami, popołudnia na grze w golfa, wieczory na brydżu. Śmierć Dominika, jej męża i ojca trzech córek, niewiele zmieniła jej życie.

Och, na pewno jej go brakowało. Byli małżeństwem od czterdziestu czterech lat i straciła w nim dobrego przyjaciela. Czy za nim płakała? Niezupełnie. Nie miała zwyczaju okazywać emocji.

Dominik też nie miał skłonności do gwałtownego wyrażania uczuć. Był bogaty, spokojny, a nawet leniwy. Życie cały czas układało się po jego myśli, nie miał powodu do narzekań, do nikogo nie czuł żalu. Patrzył na świat pobłażliwie i nie wymagał od ludzi więcej niż mogli mu dać.

Karolina miała o to do niego pretensję. Podobnie jak czuła żal do Ginny, że nie okazywała jej więcej uczucia.

Właściwie trudno było winić Dominika. Ojciec w pewien sposób przypominał mrukliwego, zaspanego misia i to miało swój urok. Natomiast dla Ginny całym światem były imprezy towarzyskie. Myśl, że bale i prozzone obiady mogą matkę męczyć, wydawała się zupełnie

absurdalna. To stanowiło integralną część osobowości Virginii i wiek nie miał tu istotnego znaczenia.

Czytała dalej ze zdziwieniem:

Sprzedalam mój dom w Filadelfii i już w czerwcu będę się przeprowadzać. Mój nowy dom jest na północy. W małym miasteczku, zwanym Downlee, leżącym na wybrzeżu Maine.

Karolina pomyślała, że naprawdę nic z tego nie rozumie. Matka nigdy nie jeździła do Maine. Nikogo tam nie знаła.

Nazwałam ten dom prezentem dla siebie na urodziny. To będzie na stare lata moja cicha przystań. Czy zdajesz sobie sprawę, że w czerwcu skończę siedemdziesiąt lat?

Tak, Karolina pamiętała o tym. Ją i matkę dzieliło dokładnie trzydzieści lat. Ale nie urządały wspólnych hucznych przyjęć. W tej rodzinie nie było silnych więzi uczuciowych.

Dom jest stary, zaniedbany i na pewno potrzebuje remontu. Będzie tu dużo pracy. Lecz jestem pewna, że warto zainwestować. Z okien roztacza się piękny widok na ocean. Weranda łączy się z tarasem, przy którym znajduje się pełnowymiarowy basen ze słoną wodą. Ogród pełen przepięknych kwiatów - róże, prymulki, peonie i irysy... No, tak, ale Ty nie bardzo interesujesz się kwiatami... Tak, wiem, wiem, jak bardzo jesteś zajęta. Dlatego wreszcie przystępuję do sedna sprawy.

Chciałabym Cię, Karolino, poprosić o przysługę. Zdaję sobie sprawę, że mogę spotkać się z odmową. Wiem, co czujesz. Przez te wszystkie lata nie potrafiłam okazywać Ci miłości. Mogłam okazywać Ci więcej uczucia. I właśnie z tego powodu starałam się przedtem nie męczyć Cię żadnymi prośbami. Teraz sprawy mają się inaczej. Bardzo troszczę się o ten nowy dom i dlatego piszę do Ciebie. Zależy mi na tym... Myślę, że nadeszła pora, żeby nadrobić ten brak wzajemnych kontaktów. Chciałabym teraz odwdzińczyć się za to niewielkie uczucie, jakim mnie zawsze darzyłaś... Karolina była zdumiona domyślnością Ginny. Odezwało się w niej nawet coś w rodzaju poczucia winy.

Chciałabym Cię prosić o pomoc w tej przeprowadzce... Co takiego?

Ty masz prawdziwy talent do projektowania wnętrz, Karolino. Obawiam się, że mój gust jest już troszeczkę staroświecki. Ty o wiele

lepiej orientujesz się we współczesnej modzie. Zawsze podziwiałam to, jak wspaniale urządziłaś swoje mieszkanie...

Pochlebstwami niczego nie wskórasz, pani matko. Nie uda ci się ta sztuczka. Karolina czytała dalej:

Mam na myśli Twoją znajomość sztuki. Obrazy, które widziałam u Ciebie w salonie, są w dobrym guście, a przy tym nadają domowi ciepło. Szczególnie utkwiło mi w pamięci jedno płótno olejne, które wisi u Ciebie. Malował je, jak mi się wydaje, Twój przyjaciel... Karolina zrobiła wielkie oczy. Owszem, wiedziała, o jakim obrazie pisze matka. To było coś, co Ben namalował w jej obecności. Wielkie ramy z plamami zieleni, niebieskiego i złota, sugerujące łąkę, która istniała naprawdę. Chodzili tam czasami na spacer. Karolina zawsze myślała, że obraz jest wręcz symbolem geniuszu Bena. Zachwycała się prostotą tego płócna, kolorystyką i... tak, właśnie - ciepłem. Ale przecież to abstrakcyjne malowidło zupełnie nie pasowało do gustu Ginny.

Obrazy, które wybrałabyś do Gwiazdnego Zakątka, nadadzą ciepła temu miejscu, uczynią je podobnym do krajobrazu. Wybrzeże Maine to wyjątkowo piękna okolica. Myślę, że mogłabyś w Gwiazdnym Zakątku dokonać cudów.

Karolina, ogarnięta nagłym podejrzeniem, spojrzała raz jeszcze na kopertę, z której wyjęła list.

Dołączam do listu bilety. Odlot z lotniska O'Hare piętnastego czerwca, a powrót pod koniec miesiąca. Na chwilę przymknęła oczy.

Tak, wiem, dwa tygodnie to długo, a Ty masz swoją pracę. Dlatego właśnie piszę już teraz. W ciągu dwóch miesięcy zdążysz ułożyć sobie wszystkie swoje sprawy.

W razie czego możesz podać jako powód chorobę w rodzinie. W pewnym sensie nie będzie to kłamstwem. Nie jestem już młoda. Bóg jeden wie, ile dni życia jeszcze przede mną.

Och, proszę! - jęknęła Karolina.

Dwutygodniowa przerwa mogła narobić straszego zamieszania w jej pracy. Nie, nie miała możliwości, by spełnić tę prośbę. Nawet to, że Ginny zaczęła teraz uderzać w rzewny ton, też nie mogło jej pomóc.

Tani sentymentalizm, pomyślała ze złością.

Ta kobieta ma tupet, Karolina musiała to przyznać. Nigdy, w dzieciństwie i później, nie mogła liczyć na to, że Ginny choć trochę

przejmie się jej sprawami. Ani wtedy, gdy na uczelni wyeliminowano ją z czołówki, ani gdy przeżywała pierwszą nieszczęśliwą miłość. Nawet w dniu ukończenia szkoły. Ginny jak raz miała grypę i nie mogła przyjść na uroczystość.

Karolina nic nie była winna swojej matce.

Ale siedemdziesiąt lat to sporo.

I Ginny jest jej matką.

Ojciec nie żył już od trzech lat. Karolina pomyślała z ciężkim westchnieniem, że została jej już tylko matka.

Czuła się strasznie, choć w zupełnie inny sposób niż na początku dnia.

Z dalszej części listu wynikało, że meble i wszystkie inne rzeczy miały przybyć zaledwie kilka dni wcześniej. Gospodyni miała już tam być. Jednakże dla Karoliny oznaczało to, że będzie musiała pomóc w rozpakowywaniu, doradzić, gdzie co powinno leżeć.

Może koledzy kupią ten pomysł z chorobą matki, pomyślała.

Przez cały czas, odkąd przyjęto ją do firmy, nie wzięła więcej niż trzy dni wolnego, a i tak w żaden sposób nigdy nie potrafiła w pełni zadowolić starszych kolegów. Zresztą oni sami też wyjeżdżają w czerwcu lub w lipcu do swoich wielkich domów nad jeziorami. Jeżeli oni mogą mieć wakacje, to i jej należy się jakiś urlop.

Czuła się dotknięta do żywego, że matka śmiała poprosić aż o dwa tygodnie. A zarazem była dumna, że doceniła jej dobry gust. Nie poprosiła o pomoc Lei ani Anety, tylko właśnie ją.

I potem były te ostatnie linijki listu:

Nigdy nie byliśmy blisko, Ty i ja. Chciałabym to naprawić, wynagrodzić minione lata, jeśli to możliwe.

To byłby dobry czas dla nas, żeby wreszcie porozmawiać. Co o tym myślisz?

Karolina myślała, że Ginny to wyjątkowo sprytna sztuka. Wiedziała, jak ją podejść. Karolina nie mogła odmówić.

To nie fair. Ginny zasłużyła na odpawę. Należało jej się. I teraz była dobra ku temu okazja, by sprawiedliwości stało się zadość.

Karolina doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby ich role się odwróciły, i gdyby to ona poczuła, że jej życie dobiega końca, Ginny znalazłaby jakieś usprawiedliwienie, by grzecznie odmówić. Ale ona to nie matka. Nie potrafiła być twarda. Jak tylko sięgała pamięcią, marzyła, by Ginny darzyła ją miłością, by chciała z nią porozmawiać,

by interesowała się jej sprawami. Przez całe życie starała się nade wszystko być inna niż kobieta, która nie potrafiła dać jej miłości.

Rozdział 2

Nikt nie mógłby zarzucić Anecie St. Clair, że jest podobna do swojej matki. Virginia była drobną blondynką, Aneta wysoką szatynką. Córka pełna ciepłych uczuć i serdeczności dla całego świata, matka - zimna i dostojna.

Fizycznie Aneta najbardziej przypominała swoją starszą siostrę, Karolinę, choć tak bardzo różniły się od siebie charakterem. Karolina zawsze była najlepszą uczennicą. Wzorowa, perfekcyjna we wszystkim, za co tylko się wzięła. Konieczność dorównania Karolinie w nauce stała się dla Anety obsesją, koszmarem nie do pokonania. Nie miała zdolności i już. Czym innym zdobyła sobie dobrą sławę.

Wszyscy w klasie uwielbiali ją i szanowali niemal jak kochaną matkę. Miała wielu przyjaciół. Potrafiła dać im komfort psychiczny, poczucie bezpieczeństwa. Każdego potrafiła wysłuchać, każdemu umiała coś doradzić.

Niestety nagradzano w szkole nie tych, którzy byli najbardziej lubiani, lecz tych, którzy dostawali najwięcej punktów za testy. Aneta na szczęście nie potrzebowała dzisiaj niczyjej rekomendacji. Miała najlepszy w świecie zawód. Zaszczytne stanowisko żony wspaniałego człowieka i matki jego pięciorga dzieci. Była dumna z siebie i dobrze spełniała swoje obowiązki, choć zabierało jej to szesnaście godzin na dobę, jeśli nie więcej.

Karolina nie miała dzieci. Przez większą część dzieciństwa Aneta zazdrościła jej niemal wszystkiego. Obecnie nie zamieniłaby się z nią za nic w świecie.

Ani tym bardziej nie zamieniłaby się z Leą. Biedną, nieszczęśliwą Leą, która, podobnie jak Ginny, prowadziła bogate życie towarzyskie. Najmłodsza siostra Anety nie miała żadnych ambicji zawodowych, a i nie poszczęściło jej się w sprawach osobistych. Lea zawsze marzyła o miłości. I tak, szukając swojego szczęścia, wyszła za mąż w wieku dziesiętnastu lat. Po niespełna roku skończyło się to rozwodem. Dwa lata później ponownie stanęła na ślubnym kobiercu i po trzech latach znowu się rozwiodła. Niedawno skończyła trzydzieści cztery lata. Nie miała męża ani nikogo bliskiego.

Aneta jak zwykle była bardzo przejęta swoimi domowymi sprawami. I przez to zupełnie nie zainteresowała się grubą kopertą, którą tego dnia wyjęła ze skrzynki. Odłożyła ją na stół kuchenny wraz z resztą korespondencji. Nie miała najmniejszych wątpliwości, od

kogo jest ta przesyłka. Zauważyła stempel Filadelfii na znaczku pocztowym. Poznała od razu staranny, ozdobny charakter pisma.

Nie otworzyła tej koperty. To na pewno mogło poczekać. Mogło poczekać tak długo, jak długo Aneta czekała na jakiegokolwiek ciepłe słowo od matki, na pieszczotę.

Ginny nie zasłużyła sobie na to, by poświęcać jej choćby malutką chwilkę. Poza tym Aneta nie miała teraz czasu na czytanie listu. Zostało jeszcze tak dużo do zrobienia. Rozpoczęła poranne obowiązki od odwiezienia dwunastoletniego Toma do szkoły. Potem zatrzymała się u Neimana Marcusa, żeby kupić sukienki na szkolną imprezę dla szesnastoletnich bliźniaczek. Wybrała do tego eleganckie pantofle i odpowiednią bieliznę. Przed pierwszą była już z powrotem w domu. Postawiła paczki na dole, przy kręconych schodach prowadzących na piętro.

- Pomóż mi! - zawołała do swojej pomocy domowej.

- Już idę, proszę pani - szybko odpowiedziała Charlena. Wniosły razem paczki na górę, do pokoju dziewcząt.

Starannie ułożyła sukienki na łóżkach.

Charlena przyglądała się z zachwytem. - Piękne suknie, proszę pani.

Aneta zgodziła się z tą opinią.

- Myślę, że będą w sam raz. Żółta dla Nicole, turkusowa dla Devon. Dziewczęta prawdopodobnie chciały czarne. Jestem pewna, że będą marudzić. Na szczęście nie mają czasu, żeby same sobie zdążyły coś wybrać. Gdyby jednak te sukienki absolutnie im się nie podobały, mogą je zwrócić i wybrać coś innego. Ale zawsze coś mamy na początek... - Spojrzała na zegarek. - Przygotuj mi teraz lunch, bo potem jestem umówiona z nauczycielką Nata, a o trzeciej Robbie zaczyna mecz.

Nat był najmłodszy.

Aneta schodziła już po schodach, kiedy zadzwonił telefon. Szybko pobiegła do kuchni.

- Dzień dobry, mamó, to ja. - Robbie, właśnie myślałam o twoim meczu.

- Właśnie dlatego dzwonię. Nie przychodź, mamó.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie będę grał.

- Jak to?

- Trener tak mi powiedział.
- Dlaczego? Przecież w tym sezonie byłeś naprawdę doskonały.
- To uniwerek, a ja dopiero jestem juniorem.
- Ale jesteś wspaniałym zawodnikiem.
- Hans Dwyer jest lepszy ode mnie, a poza tym jest seniorem.

Aneta poczuła, że w trudnych chwilach koniecznie powinna być razem z synem.

- Wcale nie będziesz grał?
- Może pod koniec. Jak już będzie wiadomy wynik. To znaczy: jeżeli oni będą prowadzić albo nie będą mieli już szansy.
- To niesprawiedliwe - oburzyła się.
- Cały czas tak tu jest.
- W takim razie przyjdę zobaczyć, jak będzie tym razem.
- Nie, bardzo proszę, nie przychodź, mamo.
- Ale, naprawdę, syneczku, nie sprawi mi to żadnego kłopotu.
- Ale mnie to sprawi kłopot. Ja nie chcę. Jestem już teraz wystarczająco wściekły, a jak ty przyjdiesz, będę się denerwował dziesięć razy bardziej.

- Będę kibicować całej drużynie - zapewniła go.
- Nie, mamo. Proszę, nie przechodź.
- Pomyśl... - zaczęła bezradnie. Szukała odpowiednich słów, by dodać mu otuchy. - Nie kłóćmy się. Pójdiesz na mecz i zrobisz, co będziesz mógł. A jeśli tylko zechcesz, będę tam razem z tobą.

Wiedziała jednak, że i tak pojedzie obejrzeć ten mecz niezależnie od tego, czy Robbie ma na to ochotę, czy nie. Już taki miała charakter. Musiała uczestniczyć w każdej imprezie, w której brały udział jej dzieci.

Aneta zawsze mówiła, że żyje przede wszystkim dla swoich dzieci. Wszystkie inne sprawy spychała na dalszy plan. I teraz, w przypadku Robbiego, nie mogła dopuścić do tego, żeby rodzice innych dzieci siedzieli na widowni, a jej syn pozostał samotny ze swoimi problemami.

Jean - Paul chodził na szkolne mecze, koncerty i recitale tylko wtedy, kiedy pozwalały mu na to obowiązki zawodowe. Był neurochirurgiem. Pracował od siódmej rano do siódmej wieczorem. A potem musiał jeszcze czytać w domu fachową literaturę.

Dla Anety uczestniczenie w takich wydarzeniach, jak mecz baseballowy, było sprawą pierwszej wagi. W gruncie rzeczy nie bardzo

przejęła się protestami Robbiego. Potraktowała to jako śmieszny bunt siedemnastolatka, coś, co każdemu może się zdarzyć w okresie dojrzewania. Uważała, że Robbie w głębi duszy chce jednak, żeby przyszyła na ten mecz.

Zignorował jej obecność na widowni, a po skończonym meczu ledwie skinął dłonią. Jednak nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Robbie i tak sam wracał do domu. Aneta musiała teraz przywieźć Toma z lekcji gry na trąbce i zawieźć na matematykę, a potem przywieźć Nata od kolegi do domu na obiad.

Ledwie skończyła przygotowywać obiad, kiedy wróciły dziewczęta, roześmiane, plotkujące o szkole. Tak jak Aneta podejrzewała, sukienki nie wywołały ich zachwytu. I wcale nie z powodu koloru.

- Planowałyśmy iść na zakupy jutro po szkole. Razem z Susie i Beth - powiedziała Nicole.

Aneta nie mogła tego zrozumieć. - Przecież nie starczy wam na to czasu. Następnego dnia macie w szkole testy z dwóch przedmiotów.

- My to już umiemy - zapewniła ją Devon.

- Na pewno?

- No dobrze, może jeszcze nie wszystko umiemy, ale możemy powtórzyć materiał po powrocie ze sklepu. Na pewno zdążymy.

- Mamusiu - nalegała Nicole. - Zaplanowałyśmy to już tak dawno.

- Ale co zrobimy z tymi sukienkami? - zapytała Aneta, wskazując w stronę łóżek. - Są wspaniałe.

- Bardzo... ale są w twoim guście, nie w naszym.

- Są eleganckie i gustowne. Tak samo dla mnie, jak i dla was - upierała się Aneta.

- Ale my chciałyśmy same sobie wybrać. Dajesz nam za mało samodzielności.

- Tak lubię dla was kupować - westchnęła.

- Wiemy, bo babcia nigdy nie kupowała dla ciebie - wyrecytowały jak wyuczoną lekcję. I powtórzyły: - Ale my chciałyśmy same sobie wybrać.

- A jeśli mówimy o babci... - przerwała Devon - Zdaje się, że był od niej jakiś list? Co pisała?

Trwało dobrych kilka chwil, zanim Aneta przypomniała sobie o grubej kopercie, która nadal leżała na kuchennym stole. - Nie wiem - mruknęła niepewnie.

- Jeszcze nie otworzyłaś?

- Jeszcze nie.

- Nie jesteś ciekawa, co jest w środku?

- Nie aż tak bardzo - odparła Aneta z uśmiechem. Uściskała serdecznie obie dziewczynki. - Moje córki interesują mnie dużo bardziej. Chcecie zjeść już teraz czy później?

Nie były głodne. Dopiero za dwie godziny usiadły do stołu. Aneta dotrzymała im towarzystwa. Tak samo siedziała przy Robbiem, kiedy wrócił. Sama zjadła dopiero wieczorem, razem z Jean - Paułem. I kiedy już wyjmowała ze zmywarki ostatni talerz, przypomniała sobie o liście z Filadelfii.

- Czy specjalnie go zignorowałaś? - zapytał Jean - Paul swoim cichym, zmysłowym głosem. Ten głos dawał pacjentom poczucie bezpieczeństwa. Aneta także znajdowała w tym komfort psychiczny.

- Możliwe.

- Odplacasz pięknym za nadobne? Oko za oko, ząb za ząb?

Roześmiała się.

Podał jej list. Ujęła kopertę wilgotną dłonią, po czym znowu odłożyła na stół.

- Później, jak już wszystko będzie zrobione - zaprotestowała.

Najważniejsze były dla niej dzieci. Poza tym świat mógłby nie istnieć.

Nie utrzymywała z matką ożywionych kontaktów. Nie zaprzętała sobie głowy ani Ginny, ani też siostrami. Być może starała się unikać ich towarzystwa właśnie z tego powodu, że ciągle jeszcze za dużo tkwiło w niej żalu do matki o brak ciepła, miłości. Możliwe, że myślenie o tym byłoby dla niej zbyt bolesne i dlatego starała się zajmować czym innym.

W każdym razie zamierzała poświęcić ten wieczór własnym dzieciom, przynajmniej dopóki nie zasną. I byłaby wściekła na matkę, gdyby zamiast tego musiała tracić czas na czytanie listu.

Wreszcie Tom i Nat byli w łóżkach. Gotowa była nawet pozwolić im później się położyć, tak bardzo chciała odwlec moment otworzenia koperty.

Starsze dzieci kończyły już odrabianie lekcji. Potem Robbie chciał jeszcze gdzieś zatelefonować.

Pocałowała dzieci na dobranoc, poprawiła pościel.

Potem sama przebrała się w nocną koszulę i wślizgnęła do łóżka. Jean - Paul już leżał. Czytał coś w łóżku, oparty o poduszki. Okulary zsunęły mu się aż na czubek jego galijskiego nosa. Obie bliźniaczki odziedziczyły po nim arystokratyczne rysy twarzy, co napawało ją zrozumiałą dumą.

Potem z niechęcią zmusiła się do otwarcia koperty.

I prawie natychmiast, gdy tylko zajrzała do listu, skrzywiła się z niesmakiem.

- Tak? - zapytał Jean - Paul.

- Zaczyna od tego, że od dawna nie miała od nas żadnych wieści. I ona się dziwi - Aneta parsknęła śmiechem. - Biedna kobieta, ciągle zdaje się wierzyć, że tworzymy wielką szczęśliwą rodzinę... Ale ani Karoliny, ani Lei nigdy nie obchodziło, gdy któreś z nas było chore, albo mieliśmy jakieś problemy. Nie rozmawiałam z nimi od wielu tygodni i, przyznam, wcale nie tęsknię za ich towarzystwem.

- To smutne - mruknął. Nie krytykował jej, raczej naprawdę zmartwił się jej słowami. - Pomyśl, jak ty byś się czuła, gdyby twoje dzieci dorosły i okazało się, że każde poszło własną drogą i zupełnie nie myśli o pozostałych.

- Okropnie - wzdrygnęła się. - Właśnie dlatego uczę je, żeby były dla siebie przyjaciółmi. A wobec matki nie mam żadnych zobowiązań. I nie muszę się nią przejmować. Ani siostrami. Mam tutaj tak dużo roboty, że mi to zupełnie wystarcza.

Znowu skupiła wzrok na liście. I parę minut później rzekła ze zdziwieniem: - Ginny pisze, że... właśnie wróciła z Palm Springs... o mój Boże! Sprzedała nasz dom. Ten, w którym spędziłam... całe dzieciństwo... i kupiła drugi w... w Maine? - Zaskoczona spojrzała na męża. - To wydaje się bezsensowne.

- Dlaczego?

- Dla matki najważniejsze jest życie towarzyskie. To cały jej świat. Gra pierwsze skrzypce w śmietance towarzyskiej Filadelfii - przypomniała mu, nie mogąc pohamować niechęci.

- Przecież ona nie zna nikogo w Maine - mruzczała pod nosem, czytając dalej. - I to nawet nie jest Portland, tylko malutkie

miasteczko. Miasto artystów? Przynajmniej tak to nazwała... Pisze, że niedługo skończy siedemdziesiąt lat...

Tu Aneta podniosła wzrok na męża. Mimo niechęci do matki nie mogła zupełnie zignorować faktu, że w tym wieku różnie bywa ze zdrowiem.

- Twój ojciec był starszy, kiedy umarł.

- Tak, a poza tym matka dobrze się trzyma. Wygląda najwyżej na sześćdziesiąt.

- Czasami myślisz o niej trochę jak o sobie - zauważył.

- Nie, to nieprawda, ani trochę - zaprzeczyła gwałtownie. Czytała dalej.

- Posiadłość nazywa się Gwiazdny Zakątek - mruknęła. - To ma być prezent urodzinowy dla niej samej. Pisze, że tam jest piękny ogród... Mnie to nie obchodzi. Lea byłaby zachwycona. Uwielbia ogrody. Oczywiście tam, w Maine, nie będzie nikogo, kto mógłby podziwiać jej geniusz. Udekoruje dom, zrobi cacko z tego ogrodu i nikt jej za to nie pogłaszcze po główce...

- Aneto! - skarcił ją delikatnie. Puściła to mimo uszu.

- Oczywiście, matka będzie jej mówić komplementy. Lea zawsze była jej ulubioną córeczką.

- Hm...

- To prawda. Poza tym z nas trzech tylko Lea lubi wieś i... o Boże... Matka pisze, że chciałyby poprosić mnie o przysługę i liczy się z tym, że mogę odmówić. Co za przenikliwa intuicja!

- Aneto! - oburzył się Jean - Paul.

W końcu obudził w niej jakieś poczucie winy. - Przepraszam - szepnęła. - Mam problem z okazywaniem życzliwości, kiedy chodzi o moją matkę.

Czytała dalej w milczeniu. Cisza przedłużała się. Przerwał ją dopiero Jean - Paul. Z szelestem odłożył swoje papiery.

- I co? - zapytał.

- Ta kobieta zdumiewa mnie coraz bardziej. - Aneta sięgnęła do koperty, którą przedtem odłożyła na łóżko.

- To bilet na samolot. Chce, żebym spędziła ostatnie dwa tygodnie czerwca, pomagając jej osiedlić się w nowym miejscu. Pisze, że zawsze kochała ciepło naszego domu... Wyraźnie myli pojęcia. Jakby ciepło rodzinne zależało przede wszystkim od wystroju

wnętrza. Zupełnie nie jest w stanie zrozumieć, że to pochodzi od ludzi.

- Czy twoja mama chce, żebyś urządziła jej nowy dom? Zaprojektowała wystrój wnętrza?

- Nie. Niezupełnie. Chodzi o to... coś jak chrzest nowego miejsca.

- To brzmi miło, musisz przyznać. - Jean - Paul powiedział to tak poważnie, że Aneta spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ja nie pojedę.

- Dlaczego nie?

- A moje obowiązki tutaj? Znaczą dla mnie o wiele więcej niż zrobienie przyjemności mojej matce. Nie mogę zostawić wszystkiego na całe dwa tygodnie. Nic nie jestem jej winna. Co innego, gdyby przysłała bilety nie tylko dla mnie, ale także dla ciebie i dla dzieci. Ale to nie przyszło jej do głowy. Nie ma pojęcia, co znaczy dla mnie rodzina.

- Prawdopodobnie uważa, że dzieci będą w szkole.

- To, że tak bardzo się myli, też świadczy o tym, jak dalece odsunęła się od nas. Nie ma pojęcia, co się u nas dzieje. Tom i Nat będą w domu. Na kolonie jadą dopiero w lipcu. Te dwa tygodnie będą dla mnie najgorsze. Nie dam rady wyrwać się akurat w tym czasie. Nawet gdybym chciała.

- Mama podziwia twój dobry smak.

- Hm.

- Nie zwróciła się z tym ani do Karoliny, ani do Lei, tylko do ciebie.

Aneta musiała przyznać, że znajdowała w tym pewną satysfakcję.

Jean - Paul milczał, ale już nie czytał. Lekko trąciła go łokciem. Odłożył okulary. - Myślę, że powinnaś rozważyć tę propozycję - rzekł z namysłem.

- Nie da rady.

- Tak być nie powinno. Matka prosi cię o przysługę. Tak, wiem, nie jesteś nic jej winna, nie masz wobec niej żadnych zobowiązań. Ale to ona dała ci życie. Gdyby nie to, nie byłoby ani ciebie, ani naszych dzieci. Jest twoją matką, Aneto.

- Tak, ale nie mogę z tego powodu porzucić moich dzieci na całe dwa tygodnie.

- Dobrze... Mam wrażenie, że to wygląda trochę inaczej. - Westchnął. - Wydaje ci się, że nie poradziłibyśmy sobie bez ciebie. Chciałabyś być tak bardzo niezastąpiona, żeby świat nie mógł bez ciebie istnieć. Gdyby okazało się inaczej, zburzyłyby to twoje poczucie bezpieczeństwa.

- Wiem, dacie sobie radę - rzekła niepewnie.

- Ale my nie wiemy. Musisz nam pozwolić spróbować.

- Nie wybrała dobrego terminu.

- Termin nie jest najgorszy - rzekł powoli. - Rob i dziewczęta będą prawie cały czas w domu, więc będzie miał kto dopilnować Nata i Toma.

Aneta uniosła się na łokciu i badawczo przyglądała się jego twarzy. - Czy mówisz to poważnie?

- Tak.

- Ale to jest moja matka, Jean - Paul. Wiesz, co do niej czuję.

- Tak, wiem. I nigdy całkowicie nie mogłem zrozumieć dlaczego. Co ona ci zrobiła?

Aneta podsunęła poduszkę pod głowę. - Raczej chodzi o to, czego nie zrobiła. Była zawsze jak automat, jak robot, nie jak żywy człowiek. Zaprogramowana perfekcyjnie, muszę przyznać. Właściwe gesty i odpowiednie maniere. Robiła wszystko, czego od niej oczekiwano. Tylko że nigdy specjalnie się w to nie angażowała. Nie okazywała emocji. Mówiłam ci już o incydencie z sypialnią... Najlepszy przykład.

- Nigdy nie widziałem nic złego w tym, co zrobiła.

- Jean - Paul - jęknęła Aneta. - Traktujesz mnie, jakbym była dla ciebie niczym.

- Co w tym złego, że urządziła według własnego gustu twój pokój, kiedy byłaś na kolonii?

- Nie zapytała mnie o zdanie - skarżyła się Aneta. - Nie wiedziała, czego chcę, na czym mi zależy. Nie pytała, czy pragnę zmiany. Sama zdecydowała o wszystkim. Podobnie postąpiła z Karoliną i Leą. Bez zastanowienia wyrzuciła wszystkie nasze meble, obrazki, pamiątki. Przygotowała dla nas trzy identyczne pokoiki. Ładne, ale zimne.

- Chciała, żebyście miały piękne rzeczy.

- Ale zupełnie nie brała pod uwagę naszego zdania - powtórzyła Aneta. - Nie pofatygowała się, żeby nas zapytać. Nigdy tak naprawdę

nie interesowała się naszym życiem. Zawsze trzymała nas na dystans. Czuliśmy, że nigdy nie potrafimy jej zadowolić, że ona nas nie aprobuje. Tak, jakbyśmy zrobiły coś złego i przez to nie zasługiwały na jej zainteresowanie.

- Weź pod uwagę, że wiele osób nie potrafi okazywać swoich emocji. To zdarza się dość często. Nie każdy ma w sobie tyle ciepła i serca dla ludzi co ty. Nie każdy umie aż tyle emocji angażować w sprawy rodziny.

- Może masz rację, ale wszystkie trzy drogo zapłaciłyśmy za to, że nigdy nie mogłyśmy jej zadowolić. Karolina wpadła w manię robienia kariery zawodowej. I możliwe, że zostanie najlepszym w świecie prawnikiem. Nawet gdyby miała osobowość zimnej ryby. Lea obsesyjnie szuka miłości...

- A ty obsesyjnie starasz się zostać najlepszą matką na świecie.

- Nie... Obsesja to zbyt drastyczne określenie.

- Tutaj jednak pasuje.

- Może i tak. Ale co w tym złego?

- Nic. Tylko, że boisz, się zostawić nas samych. Nawet na dwa tygodnie.

- Nie boję się.

- Myślę, że się boisz.

Aneta mogłaby się poczuć urażona. Ale te słowa wypowiedział przecież Jean - Paul, który tak bardzo ją kochał. Zawsze byli najlepszymi przyjaciółmi.

- Dlaczego sądzisz, że się boję? - zapytała cicho. Jean - Paul zastanowił się przez chwilę. Potem usłyszała

jego łagodny, opiekuńczy głos. - My wszyscy, i ja, i dzieci, mamy swoje życie, swoje zainteresowania. Ty jedna nie masz nic własnego. Całkowicie poświęcasz się dla nas. Miłość do rodziny rekompensuje ci wszystko, co straciłaś w dzieciństwie... Potrząsnęła głową, ale Jean - Paul mówił dalej.

- Boisz się, że jeśli nie będziesz każdego z nas trzymać kurczowo w uścisku, cały twój świat legnie w gruzach. Przewrócisz się jak inwalida, któremu zabrano protezę. Uzależniłaś się od nas tak bardzo, że nawet przez chwilę nie potrafisz istnieć samodzielnie.

Żachnęła się. - Nie jestem aż taka zła.

- Boisz się, że jeżeli nie będziesz osobiście zaangażowana w życie swoich dzieci, odrzucą cię kiedyś tak, jak ty odrzuciłaś swoją matkę.

- Każda kobieta obawia się dnia, kiedy dzieci opuszczą gniazdo rodzinne.

- Ale ty nie masz powodu do obaw - rzekł z naciskiem. - Dzieci kochają cię i wiedzą, jak bardzo ty je kochasz. Rozumieją, jak dużo z siebie im dajesz. Doświadczają od ciebie czegoś krańcowo różnego niż to, czego ty doświadczyłaś od Ginny. Musisz odnaleźć siebie, żeby nadmierne przywiązanie nie przyniosło im szkody. Kiedyś trudno im będzie odejść na swoje.

- Nie muszę wypełniać poleceń mojej matki. Nic nie jestem jej winna - powtórzyła.

Zniżył głos. - Dzieci muszą się nauczyć, że nie zawsze jesteś z nimi. Dowiedzieć się, że można tęsknić za kimś i jakoś to przetrwać. To trzeba poznać w wieku dorastania. Tę smutną część doświadczenia i tę wielką radość, jaką odczują z twojego powrotu.

- Dlaczego mam tam jechać? - upierała się, jakby nie rozumiejąc jego słów. - Wcale nie muszę.

- Musisz. Czasami zanadto się angażujesz. Dzieciom dobrze zrobi, jak trochę od ciebie odpoczną.

- A ty? - zapytała z niepokojem. - Czy też musisz ode mnie odpocząć?

Uśmiechnął się. - Z tobą każda chwila jest wspaniała, ale... - Spowaźniał. - Ty sama potrzebujesz odpoczynku.

- Najlepiej się czuję, kiedy jestem razem z rodziną.

- Musisz spojrzeć na siebie jako na odrębnego człowieka. Ja mogę mieć to w pracy. Dla ciebie dom jest pracą i praca domem. Nie ma żadnej granicy i nie możesz spojrzeć na siebie z dystansu. A poza tym chodzi o twoją matkę. Ginny skończy niedługo siedemdziesiąt lat. Nie wiesz, jak dużo czasu jej jeszcze zostało.

- Właśnie coś takiego napisała - mruknęła Aneta. - Próbuje wziąć mnie na litość.

- Powinnaś się z nią pogodzić.

- Jesteśmy w zgodzie. Popatrzył na nią ze smutkiem.

- No, dobrze. To nie jest najlepszy rodzaj zgody - przyznała Aneta. - Nigdy nie byliśmy z Ginny blisko.

- Możesz to naprawić.

- Nie chcę jechać - powtórzyła z uporem. Westchnął. - Wiem, kochanie. - Przyciągnął ją ku sobie.

Nie oponowała. - Nie musisz już dzisiaj podejmować decyzji, ale zastanów się nad tym. Pewnego dnia tobie może się zdarzyć podobna sytuacja. Będziesz miała siedemdziesiąt lat, mnie już nie będzie na świecie i poprosisz o coś takiego jedno z twoich dzieci... Jak byś się czuła, gdyby odmówiło?

Zakryła mu ręką usta. - Nawet nie myśl o czymś takim.

Odsunął jej dłoń. - To jednak może się zdarzyć. Jak byś się czuła, gdybyś znalazła się w takiej sytuacji?

- Byłabym zdruzgotana. Niestety, moja matka nie jest taka jak ja. Ma zupełnie inną osobowość. Wątpię, czy ją choć trochę obchodzi, czy skorzystam z tego zaproszenia.

- Bardzo jej na tym zależy. Posunęła się aż do tego, by przysłać ci bilety.

Aneta od początku czuła w głębi duszy, że Jean - Paul może mieć rację. Już kilka razy zdarzyło się, że różnili się w ocenie i w każdej z tych sytuacji to ona się myliła. Na szczęście zawsze potrafił przekonać ją w tak miły sposób, że kochała go jeszcze bardziej.

Oczywiście, dzieci mogą przetrwać bez niej dwa tygodnie. Na pewno nic im się nie stanie. I nie będą jej nienawidzić za to, że spędzi czternaście dni ze swoją starą matką. Zupełnie wyjątkowo, tylko raz. I nie planowano w tym czasie żadnych imprez w szkole ani meczy... Oczywiście miłość dzieci do matki jest uczuciem trwałym. A dwa tygodnie to tak krótko... Czas szybko leci...

Tak, mogła to wszystko sobie wytłumaczyć. Jej umysł zgadzał się ze wszystkim. Umysł tak, ale na pewno nie serce.

I było coś jeszcze. Jean - Paul miał rację. Bała się.

Rozdział 3

Lea St. Clair mieszkała w bogatej dzielnicy Woodley Park. Kochała Waszyngton - Biały Dom, gmach Kongresu, ambasady... Spotykała się z ludźmi, którzy na wiele sposobów związani byli z tymi miejscami. To było właśnie jej środowisko. Może nie była to dokładnie ścisła elita Waszyngtonu, ale i tak grupa niesłychanie ekskluzywna i snobistyczna. Faktem jest, że ani prezydent, ani jego żona, nie przyjaźnili się z Leą, która nigdy jeszcze nie została zaproszona do Białego Domu. Tak więc jej nazwisko nie znajdowało się na liście A najbardziej znaczących osób, mieszkających w Waszyngtonie.

Niech sobie będzie A z minusem, albo nawet B z plusem. Ale to i tak wyznaczało wiele rzeczy - partie polityczną i organizacje charytatywne, do których powinno się należeć. To determinowało dobór przyjaciół. Z góry określało, co wypada powiedzieć w towarzystwie, jakie należy prezentować poglądy. Lea dobrze wiedziała, kiedy kogo spotka, co komu powie. Typowe intrygi, powierzchowne uprzejmości. Nawet wyrwana ze snu w środku nocy mogłaby odtworzyć z pamięci te konwersacje. A jednak lubiła imprezy towarzyskie, uwielbiała organizowanie przyjęć.

Tego wieczoru gościła u siebie dwadzieścia cztery osoby. Wyszli już ostatni goście. W kuchni kręciła się jeszcze obsługa z restauracji. Pakowali swoje rzeczy, sprząтали resztki. Lea wzięła się za robienie porządku w salonie. Zmiotła okruchy, odkurzyła dywan. Wyrzuciła ogarki ze świecznika, palcami wyskubała skapały wosk. Przetarła do połysku meble i szkło.

Goście wychodzili zadowoleni. Podobało im się.

- Wspaniała impreza, Leo - mówili. - Wykwintna kuchnia... przepiękne kwiaty...

Teraz Lea zatrzymała się na chwilę przy wysokich szkarłatno - białych liliach, które sterczały z kryształowych wazonów, ułożone trójkami. Przysunęła nos do kwiatów i z przyjemnością wciągnęła do płuc ich zapach. To nie był jeszcze ten jej ulubiony, wolałaby może kapryfolium. Ale lilie wspaniale neutralizowały zapach papierosów. Przed chwilą oczyściła popielniczki.

Nie chciała otwierać okna. To i tak nic by nie dało. Noc w Waszyngtonie, nawet w kwietniu, była duszna i wilgotna. Zatęchłe

powietrze nie miało wiele wspólnego z prawdziwą, bujną przyrodą, z ogrodami pełnymi kwiatów.

Przypominała sobie słowa gości: - Niezwykle wytworne przyjęcie, Leo. Prosto a zarazem elegancko. W najlepszym guście, zapewniam cię, to robi wrażenie...

Jedzenie było wyśmienite, sama musiała to przyznać.

W przedpokoju na szykownym perskim dywanie, spostrzegła czerwoną plamę. To po winie, pomyślała, bordeaux, niełatwo się spierze. Skrzywiła się, zła, że dopuściła do czegoś takiego.

Przyniosła z łazienki płyn do czyszczenia i rolkę jednorazowych ręczników. Spryskała plamę płynem, przyłożyła ręcznik. Spryskała jeszcze raz...

Po kilkakrotnym powtórzeniu tych czynności plama zaczęła znikać. W końcu pozostał z niej jedynie ciemny ślad, który nie tak bardzo rzucał się w oczy.

- Już skończyliśmy, pani St. Clair! - zawołał człowiek z restauracji. - Będziemy wychodzić.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i skinęła dłonią na pożegnanie. Nie podeszła jednak. Parę godzin przedtem wręczyła mu suty napiwek i podziękowała. To powinno wystarczyć. Wiedziała doskonale, że następnego dnia rano znajdzie w skrzynce na listy rachunek i że nie będzie on mały.

Wyszli, zatraskując za sobą drzwi. W nagłej ciszy, która teraz nastąpiła, zadowolenie Lei niespodziewanie przemieniło się w gorycz. Poczuli się opuszczona i samotna.

Podeszła znowu do plamy na dywanie. Sprzątaczką, która przyjdzie jutro rano, z pewnością upora się z tym bez problemu. Lea pomyślała jednak, że lepiej byłoby, gdyby sama potrafiła wywabić tę plamę. Zawsze to jakiś powód do zadowolenia. Lekarstwo na zły nastrój. Coś konkretnego, na czym można by się oprzeć.

To było wspaniałe przyjęcie, pomyślała. Dom jeszcze tętnił rozmową, żartami, komplementami, jeszcze ciche dźwięki muzyki wirowały w powietrzu. Nawet ci najbardziej drętwi dobrze się u niej bawili, nawet najwięksi nudziarze.

Nagła cisza wydała jej się teraz przytłaczająca i straszna. Lea pogasiła światła w kuchni i w salonie i weszła po schodach do sypialni. Przebrała się. Zarzuciła na jedwabną bieliznę długą, białą

nocną koszulę, potrzebną tylko po to, by podejść do okna. Lubiła widok, jaki roztaczał się z okna sypialni.

Podwórze. Ogród. Alejki jak w parku. Poprzez splątane gałęzie drzew sączyła się bursztynowa poświata. Na ścieżki i na trawnik padały monstrualne cienie konarów i metalowych ornamentów zdobiących ławki.

Myśl o tym, że rano będzie mogła wyjść do ogrodu, przyniosła jej pewien spokój.

Lea usiadła przy oknie, tyłem do ściany oklejonej zieloną tapetą imitującą las. Kochała ten pokój, jasne wiklinowe meble, miękkie, wygodny tapczan. I ten wspaniały widok z okna. Jej sąsiedzi narzekali nieraz, że trzeci pokój w tych mieszkaniach jest zbyt mały. Nigdy nie przyłączała się do tych skarg. W tym niewielkim pokoiku zawsze czuła się spokojnie i bezpiecznie. Sypialnia była przytulna. I Lea już do niej przywykła. Nie lubiła zmieniać miejsca. Rzeczy obce i nowe napawały ją lękiem.

Oparła głowę o ścianę. Potem pochyliła się i wyjęła spinki z ciasnego wężła włosów. Gęste, jasne loki ciężko opadły na ramiona, po czym skręciły się jeszcze bardziej. Jak sprężynki po rozciągnięciu, powróciły do swoich poprzednich kształtów. Lea rozmyślała o przyjęciu. Wyglądała przez okno, wsłuchana w ciszę.

Westchnęła, a kiedy poczuła, że kontury drzew przed jej oczami zaczynają się rozmywać, przymknęła oczy. Była zmęczona, a poza tym zbliżająca się miesiączka rozkleiła ją do reszty. I teraz, po przyjęciu, gdy już puściły nerwy, gdy już nie musiała się przejmować, czy wszystko się uda, teraz zawładnął nią smutek.

Zastanowiła się nad przyszłością. Może warto pomyśleć o następnym przyjęciu?

Otworzyła oczy. Przyszedł jej do głowy miły pomysł, by zmienić wystrój wnętrza. Na przykład dać inną tapetę w salonie... Nie, to już lepiej coś zrobić z kuchnią. Nowa kuchenka, tym razem znacznie większa... profesjonalna. Lea uwielbiała gotować.

Pomyślała, że byłoby znacznie ciekawiej, gdyby zamiast przyjęć na dwadzieścia cztery osoby, organizowała po trzy obiady na osiem osób.

Nie miała złudzeń, że przyjaciele potrafiliby docenić coś takiego. Mogło to wywołać złośliwe komentarze. Lea nie potrzebowała tego. I

tak całe życie rozpaczliwie cierpiała na brak poczucia bezpieczeństwa. Jej przyjaciółki nie lubiły gotować.

Chociaż pomysł, by kupić profesjonalną kuchnię, sam w sobie nie był zły. Mogłaby gotować dla siebie. To już i tak dużo.

Odsunęła krzesło od okna. Podeszła do stojącego w rogu fotela, usiadła, a raczej zapadła się w jego miękkie poduszki. Naciągnęła koc po czubek głowy.

Może kuchenka...

Nie... Kuchenka mogła poczekać. Zbliżały się wakacje i trzeba było zaplanować jakiś wyjazd. Jeszcze raz zastanowiła się nad sugestiami biura podróży, z którego usług zazwyczaj korzystała. Ale w Hongkongu panował zbyt duży tłok. W Kostaryce zbyt gorąco, w Paryżu za dużo zakochanych... Może Alaska. Podróż statkiem, jedna z ofert biura podróży. Mały statek, wycieczka zaledwie na kilkanaście osób. To mogło nie być takie straszne.

Jeżeli naprawdę na coś miała ochotę, to może na naukę jazdy konnej. Romanse z Dzikiego Zachodu mocno tkwiły jej w pamięci. Ale, prawdę powiedziawszy, nigdy w życiu nie jechała konno i miała poważne wątpliwości, czy potrafiłaby się utrzymać w siodle. Prawdopodobnie również nie miałby jej kto towarzyszyć. Nikt z jej przyjaciół nie uprawiał jeździectwa. Poza tym miała wrażenie, że takie rzeczy jak jazda konna, nawet w luksusowych warunkach, są lepsze w marzeniach niż w rzeczywistości.

Napisała do biura z prośbą o informacje; ciekawa była, kiedy nadejdą.

Pomyślała nagle, że może już przysłali te foldery. Przypomniało jej się, że nie przeglądała jeszcze tego dnia korespondencji. Poczta przyszła późno po południu, kiedy Lea śpieszyła się z ostatnimi przygotowaniem.

Szczelnie owinięta kocem, zeszła schodami do kuchni, gdzie w eleganckim pojemniczku z poręczami leżała korespondencja.

Podniecenie wyгнаło z niej smutek. Uwielbiała dostawać listy. Zawsze była nadzieja na coś miłego. Mógł się odezwać ktoś zapomniany. Może jakieś ciekawe zaproszenie albo interesujące oferty jakiegoś domu mody.

Przeglądała listy. Foldery o jeździe konnej nie nadeszły, ani też żaden list od tajemniczego wielbiciela, który właśnie teraz zdecydował się wyznać swoje uczucie. Tylko gruba koperta od matki.

Lea wiedziała z doświadczenia, że nie może się spodziewać niczego miłego. Matka przez tyle lat przejawiała całkowitą obojętność na wszystkie jej sprawy. Jednak niełatwo stłamsić nadzieję. I teraz Lea, nienaturalnie podekscytowana, wbrew doświadczeniu i zdrowej logice, otworzyła grubą kopertę i przeczytała list. Zatrzymała się w połowie, by sprawdzić, czy są w kopercie bilety. Skończywszy czytać, włożyła list z powrotem do koperty i zabrała go ze sobą na górę, do sypialni. Włączyła lampkę nocną, okryła się kołdrą. Znowu wyjęła list z koperty i przeczytała jeszcze raz.

Mało tam było słodkich słówek, ale na pewno sprawił jej przyjemność. Virginia nigdy nie szafowała komplementami, chociaż zawsze umiała zachować się właściwie. Nie była arogancka ani dumna, ani też nie zadzierała nosa. Chociaż - to dopiero niedawno przyszło Lei do głowy - matka wypowiadała pochwały w odpowiednim momencie i w odpowiedni sposób. Problem polegał na tym, że była zbyt powściągliwa w okazywaniu uczuć. Jakby myślami błędziła gdzie indziej.

Lea nie chciała teraz myśleć o tym, że mogłaby nie pojechać do Maine. Zasnęła, śniąc o dziwnej prośbie Virginii, ukołysana przez nadzieje i marzenia.

Ekscytacja obudziła ją następnego dnia już o ósmej rano. Zaśmiała się na widok zdumionej sprzątaczkii, która zawsze otwierała sobie własnym kluczem i nie przywykła do tego, by widzieć Leę tak wcześnie.

Lea związała włosy i włożyła jedwabną garsonkę. Z rozjaśnionymi oczyma zeszła do ogrodu. I tam usiadła przy stoliku. Zamówiła truskawki ze śmietaną oraz kawę i czytała gazetę, powstrzymując niecierpliwość aż do dziesiątej. Dopiero o tej porze miała odwagę zadzwonić do matki.

Virginii już nie było.

- Wyszła tak wcześnie? - zapytała zdumiona Lea.

- Poszła do fryzjera - odpowiedziała Gwen, która była w Filadelfii więcej niż gospodynią, była prawą ręką matki. - Myślę, że zajmie jej to czas aż do południa.

- W takim razie postaram się zadzwonić o dwunastej piętnaście - Lea nie dała się zbyć.

- Później od razu idzie do klubu na lunch.

- Lunch nie będzie trwał bardzo długo - zastanawiała się Lea. - Spróbuję koło drugiej.

- Potem idzie na brydża.

- A co potem? - zapytała Lea, teraz już czujna. Wspomnienia przeszłości znowu odezwały się bólem.

- Wydaje mi się - rzekła Gwen ze współczuciem - że potem pójdzie do krawcowej. Robinsonowie wydają dziś wieczorem proszoną kolację, a nowa sukienka, którą zamówiła Ginny, jeszcze nie nadeszła.

- Ach - westchnęła Lea z rozczarowaniem. Nowa sukienka na przyjęcie to wymówka dla córek. Znała już te numery.

Pomyślała, że złapie Ginny w domu w czasie, kiedy ta będzie przygotowywać się na przyjęcie do Robinsonów. Ale nagle wydało jej się to niewarte wysiłku. Po przekazaniu Gwen, że nie zostawia żadnej wiadomości, rozłączyła się i wykręciła inny numer. Dość dawno już tam nie dzwoniła.

Kilka godzin później, usadowiwszy się w gabinecie Ellen McKenny na skórzanym fotelu, porządkowała swoje myśli i otwierała serce. - Przez całą noc byłam podekscytowana, myśląc, że może mama naprawdę chce mnie zobaczyć. Miałam nadzieję, że chce być ze mną, że jestem jej potrzebna. Próbowałam do niej dzisiaj zadzwonić i okazało się, że cały dzień jej nie będzie. Jak zwykle robi różne rzeczy, które są dla niej ważniejsze niż ja. Dobrze, mogę zrozumieć, że nic się nie zmieniło. Ale to wszystko nie ma wtedy żadnego sensu.

- Co wszystko?

- Ten jej list. Fakt, że sprzedała dom. To niewiarygodne. Matka jest istotą towarzyską i nie mogę uwierzyć, że chce uciec od cywilizacji.

- A może nie chodzi o ucieczkę? - delikatnie zapytała Ellen, niczego nie przesądzając. Była prawie tak drobna jak Lea, chociaż dwadzieścia lat starsza i siwowłosa. To, że przypominała Lei Virginie, zostało już omówione dużo wcześniej. - Co wiesz o Downlee?

- Tylko to, co napisała w liście. Małe miasteczko... Matka nie jest typem osoby małomiasteczkowej. Zawsze żyła w wielkim mieście.

- Może przez cały czas marzyła, żeby mieszkać gdzie indziej.

Lea zastanowiła się nad tym. Nie była w stanie odpowiedzieć. Świat marzeń Virginii, jeśli w ogóle istniał, był dla Lei sekretem.

- To mogło tkwić gdzieś w głębi jej umysłu - zastanawiała się głośno. - Chyba jednak nigdy nie mówiła nic, co mogłoby nasunąć takie przypuszczenie. Nigdy nie słyszałam od niej nic podobnego w dzieciństwie, ani nawet ostatnio. W końcu spędziłyśmy razem wiele godzin, siedząc w poczekalni u lekarzy. I jeśli właśnie to nie był najlepszy czas na zastanowienie się nad sensem życia, nad marzeniami, to ja już nie wiem kiedy.

Ellen nie odpowiedziała.

- Wiem, Ginny nie potrafiła dzielić się swoimi uczuciami i myślami. Nie zwierzała się nam nigdy w życiu. I trudno przypuszczać, żeby właśnie teraz potrafiła się zdobyć na coś takiego. To nie powinno mnie dziwić. Tak właśnie myślałam... myślałam... - Lea próbowała spojrzeć na to wszystko z właściwym dystansem. Tak, jak Ellen uczyła ją wcześniej, przez cztery lata terapii. Na swoje oczekiwania i emocje mogła wtedy popatrzeć z większym obiektywizmem. - Miałam nadzieję, że ostatni rok mógł coś zmienić. W końcu wyraziła mi wdzięczność. Ale kiedy najgorsze minęło, znów poszła swoją drogą.

- A co by cię zadowalało? - cicho zapytała Ellen.

- Bukiet kwiatów, telefon teraz i potem, zaproszenie do Palm Springs. Do licha... - Lea machnęła ręką. - Nie wiem. Chciałabym pójść z nią na lunch i porozmawiać. - Skrzywiła się. List leżał rozłożony na jej kolanach. - Mama w końcu coś tam pisze, twierdzi, że żałuje, że nigdy tego nic robiłyśmy. Nigdy w życiu nie potrafiła normalnie ze mną porozmawiać. I teraz ma nadzieję, że w Maine to będzie możliwe. Pisze, że spodziewa się spędzić ten czas ze mną. - Lea trąciła list z rozpaczą. - Czy stare drzewo można wyrwać z korzeniami i przesadzić w inne miejsce?

- To może być opóźniona reakcja po tym, co spotkało ją w zeszłym roku. Wdzięczność, że byłaś wtedy przy niej - podsunęła Ellen.

- Uwierzyłabym w to, gdyby była w domu i czekała na mój telefon. Albo gdyby kazała Gwen przekazać mi jakąś wiadomość, zapytać mnie, czy skorzystam z tego zaproszenia... Gwen robi wszystko dokładnie według wskazówek matki. Ale Ginny nie było w domu, jakby to naprawdę nie miało dla niej znaczenia, czy skorzystam z jej zaproszenia, czy nie - westchnęła. - Dobrze, mama chce ze mną rozmawiać. Ale te jej rozmowy są zawsze takie płyciutkie. Unika zwierzeń, wszystkiego, co sięga trochę głębiej. To nie wyjaśnia słów,

które napisała. Możliwe, że naprawdę chce rozmawiać. Może właśnie teraz chce spróbować. Chociaż znowu - dodała bardziej realistycznie - może te bilety są po prostu jakąś formą podziękowania z jej strony za zeszły rok. Chodzi mi o to, że zaprosiła do Maine właśnie mnie, nie zaś Karolinę czy Anetę.

- Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałaś?

- Dawno... Na pewno nie po tym, jak dostałam ten list.

- Nie o to pytam - Ellen zmarszczyła brwi. Lea westchnęła. - To było dość dawno.

- Czyli nadal nie przychodzi ci to łatwo?

Potrząsnęła głową. - Kiedy pomyślę, że mogłabym zadzwonić do Karoliny, od razu wyobrażam ją sobie zimną jak lód, krytyczną, wiecznie zajęta swoją pracą. Patrzy na mnie jak na nieudacznika. Będzie niezadowolona, że jej przeszkadzam. A kiedy myślę, żeby zadzwonić do Anety, wiem, że byłoby to nie w porę, że jest właśnie zajęta swoimi dziećmi i nie ma dla mnie czasu.

- Co wcale nie oznacza, że nie chce, żebyś do niej dzwoniła.

- Gdyby chciała, zadzwoniłaby do mnie pierwsza.

- Może obawia się, że to ty nie miałabyś na to ochoty.

- To żadne usprawiedliwienie. Aneta jest starsza ode mnie. To ona powinna wykazać inicjatywę. Poza tym jest zorientowana na rodzinę. Gdyby uważała, że ja też należę do jej rodziny, zadzwoniłaby.

- Być może ona myśli coś podobnego o tobie. Na przykład, że ty masz więcej czasu i to ty powinnaś zadzwonić.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Aneta myśli, że moje życie jest nic niewarte.

- Czy kiedyś mówiła coś podobnego?

- Nie wyraziła tego słowami, ale wiem, co myśli.

- Skąd wiesz? Wyraz twarzy, ton, komentarze na temat roli kobiety, różnych typów kobiet. No cóż, Lea musiała pokonać w tym względzie własną nadwrażliwość. Ellen pomogła jej to dostrzec, ale ostateczna walka z tą słabością należała do niej samej.

- Wydaje mi się - powiedziała Lea z nieśmiałym uśmiechem - że już omówiliśmy tę sprawę.

- Tak, ale było to dawno. Od tamtej chwili upłynęło kilka miesięcy. Mam wrażenie, że przez ten czas nie zdarzyło się w twoim życiu nic strasznego.

- Nie, nic złego się nie działo. - W przeciwnym razie już znacznie wcześniej zadzwoniłaby do Ellen. Psychoterapeutka wiedziała o niej więcej niż ktokolwiek na świecie. Nawet jeśli czuła jakiś żal, że musi płacić za to, że ktoś raczył wysłuchać jej zwierzeń, Lea nie przejmowała się tym aż tak bardzo. Ellen była uosobieniem uprzejmości i zrozumienia. Była warta znacznie więcej niż Lea jej płaciła.

- Wszystko jest w porządku?

- W porządku? Można i tak to nazwać.

- Określ to innym słowem.

- Nic się nie dzieje.

- I jeszcze innym.

- Nuda. - To słowo wisiało w powietrzu.

- Czy nuda to coś złego? - zapytała Ellen.

Lea zastanawiała się nad tym. - Nie wiem. Nuda nie jest groźna, no, dobrze, może jest zła...

- W jaki sposób? Próbowała określić to dokładniej. - Strach pomyśleć, że

życie w ten sam sposób będzie trwało już do końca.

- Nie chcesz tego?

- Trochę tak. Na następny rok zostałam wybrana do zarządu Towarzystwa Walki z Rakiem. To zaszczytne stanowisko. Staralam się o to przez długi czas.

- Co w takim razie cię przeraża?

- Wszystko poza tym. Wiem, wiem, że jeśli nie lubię swojego życia, to zawsze mogę je zmienić. - Dyskutowały o tym z Ellen dość długo na kilku poprzednich spotkaniach. Nic się nie zmieniło. Lea obawiała się sama pokierować swoim życiem, a Ellen nie mogła zrobić tego za nią.

- Patrzę - powiedziała Lea. - Czekam na właściwy moment. Jak zobaczę przed sobą możliwość zmiany na lepsze, skorzystam z tego. - Skrzywiła się. - O ile zauważę, że ta zmiana jest akurat na lepsze. Moje zdolności oceny nie są perfekcyjne. Najpierw Ron, potem Charlie. Błędy, fatalne pomyłki...

- To było dawno. Od tamtej pory upłynęło już sporo czasu. Nie możesz winić siebie za rzeczy, które zdarzyły się wiele lat temu. Byłaś wtedy dużo młodsza, bardziej naiwna. Ośmielę się zauważyć, że

gdybyś teraz spotkała któregoś z nich, nawet byś na niego nie spojrziała.

- O rety, mam nadzieję, że nie. Ale czasami, jak jestem w złym humorze, myślę, że byłoby lepiej, gdyby ktokolwiek był przy mnie. Ktoś, z kim mogłabym dzielić troski, problemy... Może jestem za bardzo ostrożna? Sparaliżowana ostrożnością?

Po chwili Ellen zapytała: - Czy tak właśnie się teraz czujesz? Sparaliżowana?

- W pewien sposób tak. Potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, kto zna mnie dobrze...

- Przecież masz wielu przyjaciół. Lea przyglądała się swoim dłoniom. - To nic len rodzaj ludzi. Z nimi trudno szczerze porozmawiać... Plotki... Co wieczór widzę te same twarze. I cały czas muszę uważać, co mówię. Jak tylko wymkną mi się jakieś słowa... za jakiś czas słyszę je powtórzone przez kogoś. Niby te same słowa, a tak poprzekręcane, że aż mi głupio. - Lea podniosła wzrok na psychoterapeutkę. - Nienawidzę tego. Choć, z drugiej strony, do nikogo nie mogę mieć o to pretensji. Nie mogę powiedzieć, że moi przyjaciele są złymi ludźmi, tylko dlatego, że mają wyobraźnię inną niż moja i jakoś tam po swojemu próbują interpretować moje słowa. - Wiedziała, że to zabrzmiało żałośnie. - Lubię moich przyjaciół

- dodała. - Po prostu muszę przy nich uważać, co mówię.

- Uśmiechnęła się. - Dobrze, że przynajmniej tobie mogę powiedzieć wszystko, co chcę.

Ellen odpowiedziała uśmiechem. Pojaśniała na twarzy. To ona mogła być matką, jakiej Lea najbardziej pragnęła. Virginia nigdy, za pamięci Lei, nie wyglądała tak łagodnie i promiennie. Nigdy w życiu nie chciała słuchać zwierzeń najmłodszej córki.

- Nie wiem, co robić, Ellen. Jeżeli pojedę do Maine, to będzie dla mnie koszmar. Nerwowe wyczekiwanie aprobaty. A jeśli nie, ryzykuję, że zostanę odrzucona na całą resztę życia.

Ellen skinęła głową. Potrafiła okazać Lei swoją aprobatę. I choćby tylko po to warto było do niej przyjść.

- I chyba najbardziej mi o to właśnie chodzi - mówiła Lea. - Zależy mi na tym, żeby matka zdołała mnie wreszcie zaakceptować. To moja obsesja. Zdaję sobie z tego sprawę, ale nic nie mogę na to poradzić. Wiem, że zaproszenie do Maine nie oznacza, że Ginny będzie dla mnie miła. Napisała, że zależy jej na moim towarzystwie.

Ale ona jest sprytna. Wie, jak mnie wziąć pod włos, żebym nie odmówiła.

- Może tylko ty jedna wiesz o jej problemach ze zdrowiem. Może będzie się czuła pewniej, jeśli będziesz w pobliżu.

- Może. Ale najgorsze minęło. Lekarze twierdzą, że już wszystko w porządku. I w ogóle to był tylko fałszywy alarm i więcej strachu niż to warte. Poza tym będzie z nią jej gospodyni. Gwen potrafi zająć się tym wszystkim. Nie wspominając już o tym, że jest w stanie zatrudnić dobrą firmę organizującą przeprowadzki. Stać ją na to bez wątpienia. Tak więc to zaproszenie na pewno mi schlebia, a zarazem podchodzę do niego sceptycznie.

Ellen zamyśliła się. - Jak myślisz, dlaczego Ginny raczej wolała napisać, zamiast po prostu zadzwonić?

- Zwykle tchórzostwo. Bała się, że mogłabym odmówić, więc napisała i przysłała bilety. To daje mi czas na przemyślenie sprawy, a jej poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Poza tym... - dodała Lea - albo chce się przede mną popisać nowym domem, albo robi przedstawienie dla swoich przyjaciół. Gra rolę kochającej matki, czy coś w tym rodzaju.

- Która wersja sprawiłaby ci większą przyjemność?

- Żadna mi nie odpowiada. Nie chcę nigdzie jechać. Lubię być tutaj. Przywykłam do tego miejsca. Znam tu ludzi i oni też mnie znają.

Ellen usłyszała również to, czego Lea w tej chwili nie wyraziła słowami.

- W Maine poznasz nowych ludzi.

- Nie radzę sobie najlepiej z nawiązywaniem nowych znajomości.

- Ale nudzisz się tutaj.

- Nudzę się, ale mam komfort psychiczny. Poza tym widok mamy wprawia mnie w złość. Zawsze była tak perfekcyjnie opanowana i zorganizowana. Nawet przy tych wszystkich kłopotach z sercem. Spokojnie poddawała się przeznaczeniu. Bała się, owszem. Mogę jednak przysiąc, że z nas dwóch ja denerwowałam się znacznie bardziej. Podejrzewam, że może dlatego chciała, żebym jej towarzyszyła. Żeby przy tych wszystkich doktorach i pielęgniarkach mogła sprawiać wrażenie, że dlatego jest taka spokojna, bo nie chce mnie denerwować. Żeby nie zauważyli, że jest psychopatką, niezdolną do jakichkolwiek uczuć. - Te słowa wymknęły się Lei niechcący. -

No, dobrze, jeśli Ginny chce się przeprowadzić na stare lata, wolno jej. Jest pełnoletnia i nikt nie może jej zabronić. Tylko to, że ma czelność żądać ode mnie, żebym poświęciła jej całe dwa tygodnie mojego życia... Ginny nigdy dla mnie nie poświęciła dwóch tygodni. Nawet tego lata, kiedy chorowałam.

Lea w wieku piętnastu lat chorowała na bulimię. Wtedy to było modne. Zemdlała któregoś dnia i zabrano ją do szpitala aż na miesiąc. Ginny ani nie czuła się winna z tego powodu, ani też, kiedy Lea wróciła już do domu, nie przywiązywała do tej sprawy większej wagi. Owszem, przychodziła do szpitala, rozmawiała z lekarzami. Nie przejęła się tym wszystkim aż tak bardzo, żeby zmienić swój rozkład zajęć. Przez cały ten miesiąc nie opuściła ani jednych zawodów golfa.

- Czy wspominałaś jej o tym, gdy poszłaś z nią do doktora? - zapytała Ellen.

- Nie wypadało. Nie mogłam. Ginny była chora, a ja chciałam być dla niej oparciem i pomocą.

- Tym wszystkim, czym nigdy nie była dla ciebie. Wybrałaś taką formę rewanzu.

Lea skrzywiła się. - Coś w tym rodzaju. Choć nie sądzę, żeby matka przyjęła to w ten sposób. Nie jest obdarzona szczególną intuicją... Potraktowała moją pomoc zupełnie naturalnie. Jak coś, co jej się należało. Nie... Nie powinnam tam jechać. Najlepiej by było, gdybym odesłała te bilety pocztą. Z chłodnym podziękowaniem i wyjaśnieniem, że nie mogę poświęcić jej tego czasu.

Żałowała, że nie potrafi tak postąpić. Miała czas i chciała jechać do Maine. Chociaż może, gdyby zdecydowała się na przemeblowanie kuchni... albo gdzieś wyjechała...

- Powinnam zwrócić jej te bilety - powtórzyła. Spojrzała z rozpaczą na Ellen. - Ale nie zrobię tego, czyż nie? Pojadę na te dwa tygodnie. Chociaż nie znam tam nikogo. I będę grać rolę grzecznej córeczki. Chociaż ona tego zupełnie nie doceni.

- Ginny może to docenić, Leo. Siedemdziesiąte urodziny czasami skłaniają ludzi do wielu przemyśleń. W zeszłym roku spojrzała śmierci w oczy. To może mieć jakieś znaczenie. Może być zupełnie inaczej niż myślisz.

- To byłoby mile. Wydaje mi się, że to wystarczający powód, żeby pojechać.

- Podaj mi jeszcze jakiś powód.

- Ginny jest moją matką.
- I jeszcze jeden.
- Zaprosiła mnie, a nie moje siostry.
- I następny.

- Ginny ma prawie siedemdziesiąt lat i może umrzeć, pozostawiając mnie z poczuciem winy na całą resztę życia. I jak już mówimy sobie wszystko, to muszę przyznać, że zależy mi na jej akceptacji. To może być moja ostatnia szansa. Trudno mi o tym w ten sposób myśleć - westchnęła. - Ginny pisze, że chce spędzić ze mną trochę czasu, porozmawiać... To właśnie to, czego zawsze pragnęłam. Nie wolno mi odmówić. Nawet gdybym nie wiem jak bardzo się przed tym broniła.

Ellen odprowadziła ją do drzwi. - To może oznaczać jeszcze więcej, Leo. Pomyśl o kontakcie z nowymi ludźmi. Potrafisz temu sprostać. Przekonasz się o tym. I jeszcze druga sprawa. Pojedziesz do Maine, ponieważ jesteś dobrym człowiekiem. Naprawdę jesteś taka. Ani troszeczkę nie przypominasz swojej matki. Troszczysz się o innych. To dobrze.

- Tak... A co potem? A kiedy po upływie tych dwóch tygodni uśmiechnie się do mnie, pogłaszczę mnie po główce i odeśle do domu? Zawsze tak mnie traktowała. Co mi potem zostanie?

- Poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Przekonanie, że zrobiłaś to najlepiej jak tylko było można. Będziesz miała dwa tygodnie wakacji, nowe środowisko. Wrócisz tutaj nic nie straciwszy. Masz oczy otwarte, Leo. Wiesz, czego oczekiwać, na co możesz liczyć. Poradzisz sobie.

Lea i tak próbowała znaleźć jakiś pretekst, który pozwoliłby jej odesłać bilety.

Zadzwoiła do Susie MacMillan. Jej trzeci mąż jako dawny ambasador miał wiele znajomości w świecie dyplomacji. Oboje byli stałymi gośćmi na organizowanych przez Leę przyjęciach.

- Cześć, Susie. Co słychać?

- Właśnie wychodzę - powiedziała Susie. - Idziemy z Mackiem na obiad do ambasady, a potem wyjeżdżamy do Newport.

- Myślałam o zorganizowaniu czegoś wspaniałego pod koniec miesiąca - próbowała Lea. - Czy będziesz już z powrotem?

- Możliwe, ale lepiej na nas nie licz, Leo. Wymyśl inny termin.

Potem Lea zadzwoniła do Jill Prince. Obie pełniły funkcje w Towarzystwie Walki z Rakiem.

- Cześć, Jill, tu Lea. Co słychać?

- Koniec roku szkolnego to dla mnie straszny okres, moja droga. Recitale, bale, akademie... I zaraz potem zawozimy dzieci na kolonię. Strasznie dużo roboty, moja droga. A co tam słychać u ciebie?

- Nic szczególnego. Myślałam, że może pójdziemy gdzieś na lunch w przyszłym tygodniu.

Jill westchnęła. - Nie mogę, Leo. Niczego nie mogę zaplanować, dopóki dzieci nie wyjadą. I kiedy zawieziemy je już na obóz, jedziemy do Quebec. Obawiam się, moja droga, że dopiero po powrocie będziemy mogły się spotkać.

Potem Lea zadzwoniła jeszcze do Moniki Savins. Monika nie miała męża ani dzieci. Miała za to licznych narzeczonych.

- Z przyjemnością pojechałabym z tobą do kurortu, Leo, ale... - zawiesiła głos. - Widziałam się z Phillipem Dorianem. - Westchnęła z rezygnacją, widząc, że Lea nie przejęła się tym zwierzeniem. - On jest z Orkiestry Narodowej

- wyjaśniła. - Gra na skrzypcach. W życiu nie widziałam u mężczyzny tak interesujących rąk. Jak mnie dotyka... Wiesz, Leo, naprawdę innym razem. - Znowu westchnęła.

- Howard nic nie wie o Dorianie. Nawet się nie domyśla. Tak będzie najlepiej. Nie piśnij nikomu ani słówka, dobrze?

Lea obiecała, że nikomu nic o tym nie powie. To przyszło jej dość łatwo, ponieważ prywatne życie Moniki nie fascynowało jej ani trochę.

Wreszcie Lea doszła do wniosku, że nie zostaje jej nic innego, jak jechać do Maine.

Jak najszybciej chciała wyjechać z Waszyngtonu. Miała już tego miasta powyżej uszu. Miała wszystkiego dosyć.

Rozdział 4

Karolina do ostatniej chwili miała nadzieję, że z powodu jakiejś awarii lot zostanie odwołany. Kiedy nic takiego się nie zdarzyło i samolot odleciał punktualnie, uczepiła się myśli, że może jakiś wypadek na lotnisku w Portland, albo gęsta mgła, spowoduje, że będą musieli zawrócić do Chicago albo wylądować zupełnie gdzie indziej. Na przykład w Bostonie lub w Providence, lub w Hartford. Wtedy mogłaby w hotelowym pokoju rozpakować swój przenośny komputer i spokojnie zająć się pracą.

Ku jej konsternacji samolot wylądował w Portland gładko, spokojnie i w dodatku pięć minut wcześniej. Co więcej, nieduża torba, którą specjalnie nadała na bagaż z nadzieją, że zaginie, jako pierwsza pojawiła się na taśmie.

Ta torba była znacznie lżejsza niż komputer. Zarzuciła ją na ramię, po czym skierowała się do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniła do biura.

- Witaj, Janice - powiedziała do sekretarki. - Jestem już w Portland. Coś nowego? Nic się nie zmieniło?

Janice była doskonale wyszkoloną sekretarką, ze świetną intuicją, kobietą mniej więcej dziesięć lat starszą od Karoliny.

- Niewiele więcej odkąd dzwoniłaś z lotniska O'Hara. Timothy nadal pracuje nad Westmore, a Beth męczy się z Lundtem.

Timothy i Beth byli asystentami Karoliny. Współpracowali równocześnie z Dougiem. Na czas swojej nieobecności zostawiła im kilka spraw do przygotowania.

- Były jakieś telefony? - zapytała Karolina.

- Żadnych. Wszyscy już wiedzą, że wyjechałaś.

- Mhm... dobrze... gdyby ktoś jeszcze dzwonił, to powiedz mu, jak mnie złapać.

- Tak, oczywiście, Karolino. Mam tutaj zapisany telefon twojej mamy.

Karolina spojrzała na zegarek.

- Dochodzi druga. Za jakieś dwie godziny powinnam być na miejscu. Zadzwonię znowu, jak już tam dojadę. Boję się, że w taksówce nie będzie telefonu.

Rozejrzała się po postojach taksówek, szukając wzrokiem samochodu, który choć trochę odpowiadałby danemu przez matkę opisowi.

- Gdybym była potrzebna wcześniej, to po prostu zostaw wiadomość w Gwiezdnym Zakątku - mówiła do Janice. - Czy Doug jest tam może gdzieś w pobliżu? - zapytała jeszcze.

- Poczekaj, zaraz go zawołam. I już za chwilę Doug podszedł do telefonu.

- Dawno się nie widzieliśmy - zażartował.

- Właśnie chciałam ci przypomnieć, żebyś w razie czego wiedział, jak mnie złapać.

- Mam nadzieję, że numer telefonu twojej matki nie zmienił się od wczoraj.

- Cieszę się, że pamiętasz.

- Całkowicie panuję nad sytuacją - powiedział. - Możesz spokojnie korzystać z wakacji.

Tego właśnie się bała. Jej współpracownicy panują nad sytuacją, a ona nie jest im do niczego potrzebna. Będzie korzystać z wakacji, a oni dojdą do wniosku, że doskonale radzą sobie bez niej.

- Gdyby był choć najmniejszy problem, nie wahaj się, tylko dzwoń - przypomniała.

Popatrzyła znowu na postój taksówek, ale nadal nie widziała samochodu, który miał na nią czekać.

Znowu podeszła do telefonu. - Cześć - odetchnęła z ulgą, usłyszawszy głos Bena. Działał na nią jak balsam.

- Cześć, malutka, już dojechałaś?

- Jestem w Portland i czekam na tę głupią taksówkę. To był błąd, Ben, nie powinnam była tu przyjeżdżać. Dlaczego dałam ci się przekonać i wybrałam się w tę cholerną podróż?

- Sama zdecydowałaś. Stwierdziłaś, że powody uznajesz za wystarczające.

- A ty mi na to pozwoliłeś. Nie zaprotestowałeś. Powinieneś był spróbować mnie zatrzymać, Ben. Wiedziałeś, że nie chciałam jechać.

- Wiedziałem również, że nigdy byś sobie nie wybaczyła, gdybyś nie pojechała. Nie martw się, tam nie będzie aż tak źle.

- Dobrze ci mówić - burknęła. - Muszę pilnować posady. Bóg jeden wie, co mogę stracić w ciągu całych dwóch tygodni.

- Dlatego właśnie wzięłaś ze sobą robotę. Zobaczysz, że równie dobrze możesz to robić, siedząc na plaży.

- Nie sądzę, żeby tam była jakaś plaża. To Maine. Tam na pewno są strome, skaliste brzegi.

- W takim razie nad wodą, na brzegu basenu - zaśmiał się. - To nawet lepiej się składa, nie zapiaszczysz komputera.

- Ha - ha - przedrzeźniała jego śmiech.

- Mówię to poważnie. Zmiana scenerii okaże się dla ciebie twórcza i konstruktywna. Świetnie ci zrobi. Pomyśl, żadnych wrednych słów od twoich kolegów, żadnego naprzykrzania się z mojej strony.

- Lubię, kiedy mi się naprzykrzasz. Dlatego zaprosiłam cię, żebyś tam do mnie przyjechał...

Karolina cały czas była wzburzona, a Ben spokojny i po prostu życzliwy.

- Moja śliczna, zaprosiłaś mnie, bo potrzebny ci bufor. Ale twoja matka mnie nie zapraszała. Chciała, żebyś ty przyjechała i musisz to zrobić, malutka.

- Muszę zapalić papierosa - mruknęła. - Jeżeli ta taksówka nie pojawi się tu w ciągu najbliższych pięciu minut, pakuję się i wracam.

- Spokojnie, kochana, na pewno zaraz przyjedzie.

- Masz przykład, jaki jest poziom usług w Maine. Mogę czekać na to nawet dwa dni.

- Jakbyś w Chicago nigdy na nic nie musiała czekać - przypomniał Ben.

- Oczywiście, nieraz musiałam czekać na różne rzeczy, ale zawsze to było moim wyborem. A teraz łatwiej by było po prostu wynająć samochód, ale Ginny napisała, że ktoś będzie tutaj na mnie czekał. A teraz to ja czekam już całe dwadzieścia minut.

- To nie jest bardzo długo.

- Wystarczająco długo, żebym straciła cierpliwość. Wszyscy z mojego samolotu już dawno zabrali swój bagaż i odeszli. Ci ludzie, którzy stoją tu teraz, są już z innego samolotu... - Przyjrzała się im uważnie. - O Boże, co za przedziwna zbieranina!

- Dlaczego przedziwna?

- Niesamowite... Starzy i młodzi, mieszanka różnych stylów i wszystkie możliwe typy antropologiczne. Drobnii Wietnamczycy, jacyś wysocy młodzi ludzie, jakby drużyna koszykówki... Nawet mężczyźni w eleganckich garniturach, kobiety w... wieczorowych sukniach...

Spojrzała na informację, jaka pojawiła się teraz nad taśmą, na której sunęły już pierwsze bagaże.

- To samolot z St. Louis przez Boston. To wszystko wyjaśnia... - Nagle na chwilę zamilkła. - O Boże!

- Coś złego?

- Jest tu kobieta, która wygląda zupełnie jak moja siostra. Ale to niemożliwe. Matka nic nie pisała o zaproszeniu Anety.

- Czy to ona?

- Nie jestem pewna. Teraz stoi do mnie tyłem. Nie mogę zobaczyć twarzy. Włosy te same, ciemne i do ramion. Chociaż wydaje mi się, że ostatnio planowała przefarbować się na blond.

- Czy to jest Aneta?

- Nie wiem. Ubrana w szorty i bluzkę... Bardzo dobrze uszyte, dobry styl. To może być Aneta - zdecydowała. - Albo to tylko sugestia. Pomyślałam, że samolot jest z St. Louis... Matka nie zrobiłaby mi takiego świństwa.

- Czy napisała w liście, że zaprasza tylko ciebie? Czy tylko tak ci się wydawało?

- Nie, ale wynikało jednoznacznie, że będę sama.

Kobieta przy taśmie spojrzała na zegarek. Potem odwróciła się twarzą w stronę budki telefonicznej, w której stała Karolina.

Karolina szybko opuściła głowę. Nie chciała od razu być rozpoznana. Potrzebowała czasu, by wziąć się w garść.

- Jeśli to nie Aneta, to musi być sobowtór. Do licha, Ben, mama zakpiła sobie ze mnie.

- Odpręż się, kochanie. Nie będzie tak źle.

Karolina była wściekła. - Ginny z premedytacją podpuściła mnie jak głupie dziecko. Gdybym wiedziała, że zaprasza nas obie, nie pojechałabym. Aneta wystarczy jej w zupełności. Nie sądzę, że w takiej sytuacji mogła się do czegoś przydać. Znacznie bardziej jestem potrzebna w swojej firmie.

- I tak poradysz sobie w pracy.

- Praca jest dla mnie bardzo ważna. Jeżeli któryś z moich klientów będzie miał jakiś problem, muszę tam zaraz być.

- Twoi koledzy udzielą mu porady. To właśnie korzyść z tego, że macie spółkę. Poradzą sobie bez ciebie.

- Dziękuję bardzo - mruknęła.

- Jedź do matki, Karolino. Wiesz dlaczego.

- Na pewno. Wystarczająco wiele morałów usłyszałam od ciebie przez ostatnie kilka tygodni.

- To nie tak. Powiedziałem, że jesteś wszystkim dla swoich klientów, ale ich sprawy mogą poczekać. Nie dzieje się nic pilnego. Poza tym nie stanowią ich własności. Masz prawo wyjechać na urlop. Zasłużyłaś na odpoczynek.

- Gdybym miała ochotę wziąć urlop, na pewno nie zaplanowałabym wspólnego wypoczynku z Ginny, ani tym bardziej z Anetą... - zniżyła głos do szeptu. - Dlaczego, u diabła, zaprosiła Anetę?

- Może myślała, że Aneta musi kiedyś odpocząć od swoich dzieci.

- To doskonały przykład manipulowania ludźmi. Ginny jest w tym perfekcyjna. Jeśli chce, żebyśmy przyjechały obie, sugeruje każdej z nas, że będzie tu sama. Ale gdyby ktoś powiedział jej, że nie jesteśmy kochającą się, zgodną rodziną, od razu by zaprotestowała.

- Czasami zachowujesz się podobnie jak ona. Karolina zachnęła się. - Daj spokój.

- Poza tym twoja mama ma rację. Jesteście zgodną, kochającą się rodziną. Pomyśl. Pojechałaś do Portland właśnie dlatego, że mama cię o to poprosiła. I to zupełnie zrozumiałe, że pomyślała również o Anecie.

Karolinę nagle przeszła okropna myśl. - Co tu jest grane? Jeżeli zaprosiła obie moje siostry... O co tu chodzi? Czy to ma być jakieś pieprzone rodzinne pojednanie?

- To nie zmieniłoby powodów, dla których tu przyjechałaś.

Karolinie wcale nie spodobał się pomysł rodzinnego pojednania.

- Może ja się mylę - powiedziała z namysłem. - Może to wcale nie Aneta.

Jeszcze raz przyjrzała się tej kobiecie.

Obiekt jej zainteresowania popatrzył na zegarek, po czym skierował się w stronę sąsiedniej budki telefonicznej.

Wszystkie nadzieje opadły. Odwróciła się szybko, mrużąc do słuchawki: - To ona, bez wątpienia. Idealna mamusia i żoneczka. To ona. Nie mam najmniejszej ochoty na jej towarzystwo. O czym będę z nią rozmawiać? O jej dzieciach?

- Możesz jej unikać - zaśmiał się znowu. - Jeśli ona będzie siedziała przy basenie, ty pójdziesz wspinać się na skały.

- Nie o to chodzi - szepnęła. Aneta weszła do sąsiedniej budki.

- Chodzi o t o , że m a t k a powinna j a s n o postawić sprawę. Powinna napisać mi dokładnie, co zaplanowała.

- Powiedz jej to.

- Oczywiście, że tak zrobię. I jeszcze ci powiem, że jeżeli nie znajdzie na to jakiegoś sensownego wyjaśnienia, zostawiam cały ten majdan i od razu wracam do Chicago. Zapamiętaj moje słowa. Niedługo będę z powrotem.

Aneta była niespokojna. Jean - Paul już o świcie wyrzucił ją z łóżka. Zrobił to niemal siłą. Wcale nie miała ochoty wstawać. Tak naprawdę to już od kilku tygodni czuła się jak w drodze. Odkąd przekonano ją, że musi jechać, że to jej obowiązek. No bo jak potem mogłaby spojrzeć w oczy pięciorgu dzieciom i ich ojcu? Dałaby dzieciom bardzo zły przykład, gdyby nie pojechała. Jeżeli matka prosi o coś, i to w dodatku listownie, na pewno należy to zrobić.

Bała się, że dzieciom może coś się stać podczas jej nieobecności. Przemyślała tę sprawę. Rozeznała wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Przez wiele godzin tłumaczyła Robbiemu i bliźniaczkom, czego powinni unikać, na co szczególnie uważać. Zapisała im starannie wszystkie numery telefonów, które mogą okazać się potrzebne. Dokładnie, krok po kroku, omówiła z nimi instrukcję obsługi kuchenki mikrofalowej. Wyjaśniła, co im może grozić, jeśli zechcą skorzystać z pralki albo ekspresu do kawy. Charlena oczywiście wiedziała, jak włączyć te urządzenia, ale nie przychodziła codziennie. Zdarzały jej się ataki migreny i wtedy dzwoniła, że nie przyjdzie.

Aneta nie mogła niczego powierzyć przypadkowi. Teraz jednak, kiedy czekała już na bagaż, przypomniało jej się, że jedną rzecz przegapiła. Robbie mówił coś Tomowi o pływaniu łódką w Forest Parku. Tak, to na pewno było zbyt niebezpieczne, żeby robili to podczas jej nieobecności. Wszyscy jej chłopcy byli dobrymi pływakami, ale młodsi nie mieli wprawy w wiosłowaniu. Aneta wyobraziła sobie, że łódka się przewraca i dzieci nie mogą się spod niej wydostać. Albo że wiosło uderza w głowę Toma, a chłopiec traci przytomność i idzie na dno. Nie, z całą pewnością nie powinna im pozwolić, żeby szli na łódkę bez opieki. Postanowiła zadzwonić do domu i wytłumaczyć chłopcom, że powinni poczekać z tym do weekendu i pójść do parku nie sami, ale z Jean - Paulem.

Tom i Nat ostatnio byli wpatrzeni z bałwochwalczym zachwytem w Robbiego, co miało dobre i złe strony.

- Witaj, Charleno, to ja. Właśnie wylądowałam w Portland. Czy chłopcy już wrócili do domu?

- Jeszcze nie, proszę pani.

- Ale tam u was już jest pierwsza piętnaście. Mieli przed pierwszą być w domu. Czy jesteś pewna, że nie dzwonili?

- Nie dzwonili.

- A co z dziewczętami? Czy są w domu?

- Nie. Poszły do państwa Kelbych na basen. Aneta jęknęła. - Dobrze, Charleno, trzymajcie się. Zadzwoń znowu, jak już dotrę na miejsce.

Odłożyła słuchawkę i szybko wykręciła numer Jean - - Paula do pracy. Niestety, okazało się, że Jean - Paul jest już na sali operacyjnej.

- Czy chciałaby pani zostawić wiadomość? - zapytała recepcjonistka.

Aneta nie dzwoniła w żadnej ważnej sprawie. Przynajmniej na razie. - Nie będę go teraz kłopotać. Chciałam tylko poprosić, jak już będzie wolny, żeby zadzwonił do domu i sprawdził, czy chłopcy wrócili.

Dla pewności Aneta wykręciła jeszcze numer Lauren Kelby. - Dzień dobry, tu Aneta Maxim. Czy mogłabym mówić z którąś z moich dziewcząt?

- Tak, oczywiście - odparła Lauren. - Devon! Nicole! Dzwoni wasza mama.

Nicole, zadyszana, podbiegła do telefonu. - Mamo, gdzie jesteś?

- Na lotnisku w Portland. Nicole, niepokoję się o chłopców. Dzwoniłam do domu i Charlena mówi, że nie miała od nich żadnej wieści. Na pewno poszli nad jezioro. Boję się o nich. Już dawno powinni być w domu.

- Są teraz na lunchu w Union Station - spokojnie wyjaśniła Nicole. - Tom i Nat chcą potem iść do sklepu sportowego. Jaki miałaś lot?

- W porządku. - Jeszcze wczoraj wieczorem nie było mowy o lunchu w Union Station. - Kiedy im to przyszło do głowy?

- Po śniadaniu, zaraz jak wyjechałaś. Zdenerwowała się znowu. - Boję się o nich.

- Wszystko w porządku, mamo. Jaką masz tam pogodę?

Aneta rozejrzała się. - Hmm, chyba ładna. Tak mi się wydaje, jeszcze jestem na terenie lotniska. Czekam na bagaż.

- Jesteś już z babcią?

- Nie, zobaczę się z nią dopiero w Gwiezdnym Zakątku. Ach, widzę już mój bagaż na taśmie, muszę kończyć. Wreszcie jest. Zrób coś dla mnie, kochanie. Zadzwoń do Charleny i powiedz jej, gdzie są, chłopcy. Zostawiłam już tacie wiadomość, że nie wiem, gdzie są, i nie chciałabym, żeby niepotrzebnie się niepokoił.

- Och, mamó, dobrze.

- Był na sali operacyjnej, ale zadzwoni do domu, jak tylko będzie mógł.

- Z chłopcami wszystko w porządku. Nie martw się, mamó.

Aneta westchnęła, potem powiedziała z uśmiechem: - Po prostu nie przywykłam do tego, żeby być od was tak daleko. Już muszę iść, jest mój bagaż. Zadzwonię, kiedy dojadę do Gwiezdnego Zakątka.

- Mamó, nie musisz...

- Zatem do usłyszenia... - Przesłała dwa całusy do słuchawki i pobiegła do taśmy łapać swój bagaż.

Kiedy miała już swoje obie torby, większą i mniejszą, powoli skierowała się do wyjścia. Jakież było jej zdumienie, gdy w drzwiach stanęła przed nią osoba do złudzenia przypominająca jej siostrę, Karolinę. Pomyłka była wykluczona. To musiała być ona.

- Karolino, na Boga, co ty tutaj robisz? Karolina zdobyła się na słaby uśmiech. - Jak się masz, siostrzyczko?

- Doskonale... uff... Nie spodziewałam się, że cię tutaj spotkam. Co tutaj robisz?

Karolina przyglądała jej się przez chwilę, po czym westchnęła. - To samo co ty, jak sądzę.

- Ale ja myślałam... - Myślała, że jest tą jedyną, którą zaprosiła Ginny.

- Ja też nie wiedziałam nic o tobie. Wygląda na to, że Ginny prowadzi jakąś grę.

Aneta była zdumiona. - Nie mam pojęcia.

Pomyślała raz jeszcze, że niepotrzebnie tu przyjeżdżała. Nie miała chęci na żadne kłótnie z Karoliną, ani w ogóle na jej towarzystwo.

Karolina ubierała się bardzo elegancko i starannie. Nawet teraz, w dzinsach i jedwabnej bluzeczce, wyglądała wystarczająco

snobistycznie. Anecie nigdy jeszcze nie udało się dorównać Karolinie w elegancji strojów.

Aneta włożyła dziś płócienną bluzeczkę. Płótno nie jest tak eleganckie jak jedwab, ale zawsze lepsze niż bawełna. Jednakże, zobaczywszy Karolinę, od razu poczuła, że powinna była ubrać się inaczej. Pomyślała ze złością, że na pewno nie przyjechałaby tutaj, gdyby Ginny choć słowem wspomniała, że będzie tu również Karolina.

- Czy też właśnie teraz przyleciałaś? - zapytała, by przerwać kłopotliwe milczenie.

- Przed chwilą. - Karolina spojrzała przez ramię. - Ginny obiecała przysłać po mnie samochód. To znaczy po nas. Ale nic takiego nie widzę... o, właśnie, czy to nie ten?

Teraz spojrzała krytycznie na dwie, wypchane po brzegi, torby Anety.

- Nie byłam pewna, jakie wziąć ubrania - zaczęła się tłumaczyć Aneta. Patrzyła z zakłopotaniem na zgrabną, niewielką torbę Karoliny.

- Czy to wszystko, co wzięłaś?

- Aha - Karolina ruszyła w stronę postoju taksówek. Aneta pomyślała, że Karolina nic a nic się nie zmieniła.

Zachowywała się tak samo arogancko jak dawniej. Pobiegnęła za nią.

- Karolino, poczekaj! - Nie było czasu do stracenia. Jak już wsiądą do samochodu, to wszystko przepadło. - Słuchaj, ja miałam wrażenie, że matka zapraszała tylko mnie. To był jedyny powód, dla którego przyjechałam. Ale ponieważ ty jesteś tutaj, to ja już na pewno nie będę jej potrzebna. Jestem pewna, że złapię jeszcze dzisiaj jakiś samolot do St. Louis.

Karolina przyglądała się wysokiemu mężczyźnie, który gramolił się właśnie z czekającego na niego samochodu. - Czy pan przyjechał z Downlee?

- Tak. - Otworzył tylne drzwi.

- Karolino?

Starsza siostra włożyła bagaż na tył samochodu.

- Jeżeli któraś z nas złapie powrotny samolot, to raczej ja. - Starannie ustawiła torbę i komputer. - Nie mogę powiedzieć, żeby pomysł tej podróży ucieszył mnie aż tak bardzo. Mam swoje sprawy.

- Moje dzieci mają wakacje - rzekła Aneta, bezradnie rozglądając się za kierowcą, żeby pomógł jej wstawić większą torbę. - To pora, kiedy najbardziej lubię być z nimi. - Skinęła na kierowcę. - Ta podróż jest mi zupełnie nie na rękę.

Kierowca nie ruszył się, ale Karolina już ustawiała jej torby obok swojego komputera. - Ponieważ żadna z nas nie chce tam jechać, najsprawiedliwiej będzie, jeśli pojedziemy obie. Nie warto o tym dyskutować, dopóki Ginny nie raczy nam wyjaśnić, o co jej chodzi. Nie wiem jak ty, ale czuję się tym już troszkę zmęczona.

Anetę ogarniała rozpacz. Downlee było o dwie godziny drogi stąd. Nie wyobrażała sobie, żeby zdążyła jeszcze tego samego dnia porozmawiać z Ginny i wrócić, by złapać samolot powrotny.

- Właż do środka - zakomenderowała Karolina. - Im szybciej przyjedziemy na miejsce, tym szybciej będziemy miały to z głowy.

Aneta jeszcze raz obejrzała się na terminal, po czym wślizgnęła się do samochodu. Siedzenia były welurowe i zupełnie nie zniszczone. W ogóle cały samochód wyglądał jak nowy.

- Spodziewałam się czegoś zakurzonego i zniszczonego. Jak myślisz, jaki jest dom? - szepnęła Aneta.

- Mama lubi tylko to, co najlepsze. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby kupiła coś tandetnego albo brzydkiego. Chociaż z drugiej strony nie mogę sobie wyobrazić, że wyprowadziła się z Filadelfii.

- Dlaczego to zrobiła? Jak myślisz?

- Napisała, że to prezent na jej urodziny.

- Ale dlaczego, do licha, wybrała właśnie taki prezent?

- Napisała, że chciała czegoś spokojniejszego.

- Czy to był prawdziwy powód?

- Kto wie?

- Rozmawiałaś z nią?

- Nie. A ty?

- Też nie. - Teraz czuła, że gorzko tego żałuje. Gdyby zadzwoniła, z pewnością dowiedziałyby się, że matka zaprosiła też Karolinę, i wtedy wyjaśniłaby telefonicznie, że nie może przyjechać.

Ale stało się. Obie są tutaj. Trzeba to jakoś przeżyć.

- Jak tam twoje dzieci? - zapytała Karolina. Aneta uśmiechnęła się. Lubiała rozmawiać o swoim domu. To był jej ulubiony temat. - Doskonale, coraz większe, rosną jak na drożdżach. Rob w przyszłym roku skończy liceum.

- Ten malutki Rob?
- Nie widziałaś go od pogrzebu taty. Skończył już szesnaście lat.
- Naprawdę? Aneta uśmiechnęła się. Dzieci były źródłem jej dumy i siły, czego Karolina nie mogła zrozumieć. - A jak twoja praca?
- Dużo roboty, ale w porządku.
- Wyglądasz na zmęczoną.
- Musiałam uporządkować wszystko w pracy przed wyjazdem. - Spojrzała przez okno. Była tak samo rozdrażniona jak Aneta. - Jak się ma Jean - Paul?

Aneta wzięła głęboki oddech. - Pierwszy na mojej czarnej liście. To on cały czas przekonywał mnie, że powinnam tutaj przyjechać.

- Podobnie Ben.
- Nadal się z nim widzisz?
- Tak. Aneta widziała Bena na pogrzebie ojca. - Podobał mi się. Miałam wrażenie, że szaleje na twoim punkcie.

- Tak - rzekła Karolina. - Nie pytaj. Odmówiłam. Nie jestem gotowa do małżeństwa.

Jeśli nie teraz, to kiedy? - zastanowiła się Aneta. Nie zadała jednak tego pytania. Małżeństwo było jednym z tych punktów, w których siostry nigdy nie mogły osiągnąć porozumienia. Nie miało sensu rozniecać dawnych waśni.

Aneta wychyliła się do przodu. - Nazywam się Aneta Maxim - przedstawiła się kierowcy.

- Cal - odpowiedział. Cal miał tłustą cerę, krótko podcięte siwe włosy i głos płaski, bez wyrazu. Nic w nim nie zachęcało do zawarcia znajomości. Aneta potrzebowała odwrócenia uwagi. - Czy jeszcze jesteśmy w Portland?

- Tak.
- Jak długo jeszcze?
- Troszkę.
- A potem autostradą?
- Do Falmouth. Dalej bocznymi drogami - mruknął. Okazał się niezbyt rozmowny.

Aneta znowu oparła się wygodnie. - Te drzewa są dość ładne, ale liczyłam na coś czarującego.

- Ben zapewniał, że to będzie urocze miejsce. Chyba musimy poczekać, aż zobaczymy wybrzeże.

Słowo „wybrzeże” od razu skojarzyło się Anecie z głęboką wodą. Sprawilo, że znowu zaczęła myśleć o chłopcach, którzy wybierali się na łódkę na jezioro. Spojrzała na zegarek. Może już są w domu. Może nie ma żadnego powodu do niepokoju. Znowu pochyliła się do przodu. Tym razem po to, żeby uważnie obserwować drogę.

- Nigdzie żadnej budki telefonicznej - mruknęła Karolina, jakby czytając w jej myślach. - Już patrzyłam.

- Czuję się odcięta od świata. - Aneta znowu rozparła się na fotelu.

- Nie musisz mi mówić. Ja tak samo. Czy masz telefon w swoim samochodzie?

- W każdym. Dla bezpieczeństwa. Gdyby był jakiś wypadek i dzieci potrzebowały pomocy... Ty też masz telefon?

- A jak myślisz? - parsknęła śmiechem. - A jak Lea? Nie wiesz? Też telefonizowana?

- Ona chyba teraz nie ma samochodu - mruknęła Aneta. - Wydaje mi się, że żadna firma ubezpieczeniowa nie chce już mieć z nią nic wspólnego. Lea jest mistrzynią stłuczek i zarysowań lakieru. Sprzedała samochód i jeździ taksówkami.

- Mądre posunięcie.

- Hmm... Czy myślisz, że matka ją także zaprosiła?

- Nie wiem - odparła Karolina i odwróciła się znowu do okna.

Aneta pomyślała o matce, zapraszającej do siebie wszystkie trzy córki i z premedytacją sugerującej każdej, że jest jedną jedyną. Czy to mógł być przypadek, że każda wywnioskowała z listu, że matka chciała być w Maine tylko z nią? Niemożliwe. U Ginny nie było nigdy miejsca na spontaniczność czy pomyłkę. Miała wszystko dokładnie zaplanowane. Oczywiście, gdyby Aneta powiedziała coś takiego Jean - Paulowi, nazwałby ją cyniczną. Tak, okazała się złą istotą, wyrodną córką, która nie dba o własną matkę. Biedny Jean - Paul nie mógł tego zrozumieć. Miał szczęśliwe dzieciństwo. Nie wie, co to znaczy być zostawionym samemu sobie.

Potem Aneta doszła do wniosku, że rozczulanie się nad sobą i próżne żale nie prowadzą do niczego dobrego. Znowu pochyliła się do przodu. - Pan też pochodzi z Downlee?

- Tak.

- Jak wygląda to miasto?

- Jest małe.

- Ile ma ludności?
- Kilkaset osób, a w latem dwa razy tyle.
- To teraz są tam dzikie tłumy?
- Żadne tłumy. Po prostu rodziny i przyjaciele.
- I turyści.
- Prawie wcale. Aneta zwróciła się do Karoliny. - To prawdziwa ulga.

W Hilton Head co roku mamy z tym problemy. Grzęźniemy w korkach. Kiedy chcemy pojechać do sklepu po mleko, robi się z tego kilkugodzinna wyprawa. Nienawidzę tłoku, ale dzieci lubią tam jeździć.

Karolina skinęła głową, lecz nawet nie odwróciła się do siostry. Najwyraźniej była teraz myślami daleko stąd.

Aneta przypomniała sobie z żalem, że temat jej rodziny nudzi Karolinę. Nigdy nie interesowała się życiem Anety, co czyniło rozmowę jeszcze trudniejszą. Znowu zwróciła się do kierowcy. - Zna pan oczywiście Gwiazdny Zakątek?

- Tak.
- Jakie to miejsce?
- Ładne.
- Matka pisała, że dużo jest tam do zrobienia. Czy jest tam elektryczność i woda bieżąca? Nie orientuje się pan?
- Och, są łazienki i oświetlenie. Aneta słyszała niechęć w jego głosie. Z pewnością uważał, że są bogate i zepsute. Czy chciał, żeby ktoś taki jak one, jak ich matka, sprowadzał się do Downlee? Zastanowiła się, jak przyjęli matkę ludzie z miasteczka.
- Jak duża jest ta posiadłość?
- Około pięćdziesięciu akrów.
- Czy są jeszcze inne takie posiadłości w Downlee?
- Nie. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. - Od kogo to matka kupiła?
- Od spadkobierców Mathew Pierce'a. Był z niego równy gość.
- Kiedy umarł?
- Rok temu. Mieszkał tam samotnie i bardzo zaniedbał dom. Ale pani St. Clair odwaliła tu huk roboty.
- Naprawdę? - Karolina spojrzała na Anetę, tak samo zdziwioną.
- Jakiej roboty?
- Ściany, podłogi.

- Kiedy to zrobiła?

- Wiosną. Zaczęła już w styczniu.

- W styczniu - powtórzyła niepewnie Aneta. Zniżywszy głos, zwróciła się do Karoliny. - Matka napisała do mnie w kwietniu, że będzie dużo do zrobienia. Użyła czasu przyszłego.

- Te jej sugestie i manipulowanie ludźmi. W przyszłości trzeba będzie bardziej na nią uważać.

Aneta zwróciła się do Cala. - Może orientuje się pan, kto kierował robotą?

- Dekoratorka z Bostonu. Miła kobieta. Czasami ktoś z naszych korzysta z jej usług.

- To dobrze się składa - rzekła głośno Aneta, a potem, już dużo ciszej, powiedziała do Karoliny: - Jeżeli ma dekoratorkę, to, do licha, do czego my byliśmy jej potrzebne?

Karolina wzruszyła ramionami.

Aneta czuła, że w głowie jej aż kipi. - Pisała, że prosi mnie o pomoc w urządzeniu domu.

- Mnie tak samo. I że chce spędzić ze mną czas.

- Mnie to samo. Zatem podała nam fałszywy powód.

- Z premedytacją.

- Ale my już nie jesteśmy dziećmi. Jesteśmy dorosłe. Nie może kontrolować nas w ten sposób. O co tej kobiecie naprawdę chodzi?

- Nie mogę się doczekać, aż mi to powie.

- I niech to będzie coś ważnego - zarzekała się Aneta. - Bo jeśli nie, to od razu zamawiam taksówkę do Portland i obie wyjeżdżamy. Jak zostanie sama, zobaczy, że z nami nie ma żartów.

Karolina skrzywiła się. - Sama albo z Leą. Aneta przymknęła oczy. Albo z Leą.

Rozdział 5

Lea wciągnęła powietrze do płuc. Kochała ten zapach - słona woda z oceanu, rosnące w głębi łądu świerki i pnące się po stromym brzegu skalne róże.

Wtulila się w leżak, szczelnie owinięta wełnianym szalem, pod którym miała tylko kostium plażowy i lekki jedwabny sarong. To byłoby dobre ubranie na basen na popołudnie, gdyby słońce mocniej grzało. Od oceanu wiała chłodna bryza. Na szczęście ten szal był wspaniały.

Czuła się zadowolona, nawet rozleniwiona, co było jednym z powodów, że nie poszła do domu się przebrać. Drugim powodem było to, że żadne jej stroje nie były tutaj odpowiednie. Zbyt delikatne, wymuskane, szykowne. Pasowałyby na pewno, gdyby odwiedziła przyjaciół na wybrzeżu w Maryland lub Newport. Ale Gwiezdny Zakątek był inny. Elegancki, a zarazem bezpretensjonalny i przeraźliwie realny - dom, ogród i wysokie, skaliste wybrzeże.

W wilgotnym powietrzu włosy układały jej się jak chciały, ale to miało swój urok. Zapach skalnych róż dawał spokój i komfort psychiczny. Woń świerków orzeźwiała. Lea czuła, że wreszcie naprawdę jest zadowolona.

Cieszyła się z tego domu.

Ta radość nie miała żadnego sensu. Właściwie to Lea powinna czuć się teraz zawiedziona, może nawet oszukana. Nic się nie udało, nic nie poszło ani trochę tak, jak to sobie zaplanowała.

Wyjechała z Waszyngtonu wczoraj rano. Miała wprowadzić jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale niezbyt ważnych. Nic jej tam nie trzymało. Poza tym wpadła na pomysł, że sprawi Virginii niespodziankę i pojawi się w Gwiezdnym Zakątku dzień wcześniej. Zapaliła się do tego.

Niestety, jak się okazało, większość dnia musiała spędzić, walcząc z przeciwnościami losu.

Po wynajęciu auta w Portland skierowała się na północ. Lea nie była najlepszym kierowcą. Słońce świeciło w oczy i nie знаła tych dróg. Kiedy zjechała z autostrady, musiała uważać na wszystkie zdradliwe miejsca, gdzie nietrudno było o pomyłkę. O niektórych z nich dziewczyna z agencji wynajmu samochodów nawet nie wspomniała. Lea kilka razy skręciła niepotrzebnie i musiała zawracać.

Raz wjechała w ślepą uliczkę, a zawracając zarysowała lakier o gałęzie drzewa. Udała sama przed sobą, że się tym wcale nie przejęła.

Wreszcie, okropnie zmęczona, zatrzymała się w przydrożnej restauracji. Od razu jej ulżyło, że może choć na trochę wysiąść z samochodu. Potem, kiedy do niego wróciła, wzmocniona posiłkiem i bogata w nowe wskazówki, dotyczące dalszej drogi, znów zaczęła odczuwać napływającą ekscytację. Im bliżej było do Gwiezdnego Zakątka, tym bardziej wzrastało jej podniecenie. Lubiła niespodzianki. Wiedziała też, że Ginny będzie zadowolona.

Zbliżała się już dziesiąta wieczorem, kiedy dotarła do Downlee. Dość łatwo znalazła centrum miasta - kilkanaście sklepików, ulokowanych wzdłuż ulicy, nie oświetlonych, zupełnie ciemnych, nie licząc poświaty księżyca.

Nie było żadnych drogowskazów, niczego, co pozwoliłoby wywnioskować, w którą ulicę należy skręcić do Gwiezdnego Zakątka.

Miasto wyglądało jak pogrążone w głębokim śnie. Z niechęcią pomyślała o tym, że musi kogoś obudzić, żeby spytać o drogę. Nie cierpiała podchodzić do obcych. Potrzebowała jednak pomocy.

Stała zagubiona na środku drogi, próbując zdecydować co dalej. Naraz pojawił się, nie wiadomo skąd, policjant. Szedł w jej stronę. Wolno przemierzał ulicę. Uchyliła okna. Poczwała na policzkach rześki powiew oceanu.

- Dobry wieczór. Policjant miał okrągłą twarz i wyglądał przyjaźnie.

- Czy ma pani problem z samochodem?

- Szukam drogi do Gwiezdnego Zakątka - powiedziała. - Nie mam pojęcia, gdzie to może być.

- Dlaczego do Gwiezdnego Zakątka?

- Nazywam się Lea St. Clair. Moja matka kupiła tę posiadłość.

Przybliżył twarz i przyjrzał jej się uważnie. - Czyli jest pani córką nowej właścicielki?

- Tak, właśnie.

- Nie wiedziałem, że ma córkę.

- Jest nas aż trzy - uśmiechnęła się.

- Ile pani ma lat? Lea nie była pewna, czy jej wiek ma tu jakiegokolwiek znaczenie, więc po prostu powiedziała: - Jestem najmłodsza. Mieszkam w Waszyngtonie i nigdy przedtem tu nie byłam. Czy to daleko?

- Niedaleko. Dzisiaj przyjechał już samochód firmy przewozowej. Musi mieć dużo rzeczy - odsunął głowę, ale nadal się w nią wpatrywał. - Czy pani matka jest teraz wdową?

- Tak - mruknęła, lekko zdezorientowana. Po co on pyta o takie rzeczy? - Mama nie oczekiwała mnie dzisiaj, dopiero jutro, i nie wysłała nikogo po mnie. Nie mam pojęcia, jak dotrzeć do Gwiezdnego Zakątka, ale chciałabym znaleźć się tam o przyzwoitej porze. Bo inaczej wszystkich pobudzę i zaniepokoją się, co się dzieje. Która droga tam prowadzi?

- Pojedzie pani w tamtą stronę. Szosą na Hullman - machnął ręką w nie określonym bliżej kierunku.

- Nie wiem, gdzie to jest.

- ...A więc pani jest najmłodsza. Ile lat ma najstarsza z sióstr?

Próbując uzbroić się w cierpliwość, tłumacząc sobie, że ten człowiek mimo wszystko reprezentuje prawo, powiedziała: - Niedawno skończyła czterdzieści. Czy ta szosa jest oznakowana?

- Proszę jechać za mną - zdecydował. Wsiadł do wozu patrolowego, ona zaś pojechała za nim.

Po kilku minutach zahamował. - To tutaj - powiedział, wskazując w prawo. - Proszę jechać aż do końca. - Zasalutował i odjechał.

Była to wąska, asfaltowa ulica, po obu stronach obsadzona drzewami, zbyt gęstymi, by przepuszczały światło księżyca. Zamknęła okno, zabezpieczyła drzwi. Powoli ruszyła.

Droga była ciemna i ta jazda wydała jej się całą wiecznością. Wytrzeszczając oczy, ściskając z całej siły kierownicę, zastanawiała się, co zrobi, jeśli znowu gdzieś niepotrzebnie skręci.

Dopiero kiedy wyjechała na otwartą przestrzeń, kiedy w świetle reflektorów ujrzała dom, jej obawy rozwiały się.

Z zachwytem spojrzała na budynek.

Przepiękny wiktoriański dom, piętrowy, zbudowany z drewna i kamienia. Brama wjazdowa ozdobiona łukiem, okna w szczycie dachu, nad werandą wieżyczki, a z nich padał na ogród ciepły blask lamp.

Zaparkowała na zakręcającym podjeździe i wysiadła z samochodu. Owiąło ją chłodne, wilgotne powietrze, przesycone solą. Z oddali słychać było, jak fale rozbijają się o skały. I od razu Lea poczuła się tutaj jak w domu. Od razu uległa urokowi tego miejsca. Wszystko wydało jej się miłe, bliskie sercu i jakby od dawna znajome.

Podeszła do drzwi frontowych, ale okazały się zamknięte. Nacisnęła dzwonek i czekała. Miała nadzieję, że naprawdę ktoś jest w środku, że światła nie są jedynie na pokaz, na przykład dla odstraszenia złodziei.

Był w środku ktoś, kto jeszcze nie spał. Po jakimś czasie usłyszała kroki, choć równie dobrze mogło to być tylko bicie jej serca. Czowała ekscytację. Uwielbiała niespodzianki.

Ktoś zapalił światło i ujrzała przez szybkę w drzwiach twarz Gwen, wieloletniej matczynej gospodyni. Kilka sekund później drzwi się otworzyły.

- Dziewczyno, bój się Boga! Ale mnie przestraszyłaś! Nie miałam pojęcia, kto może tu dzwonić po nocy. W mieście to przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Ale tutaj, na tym odludziu... Wszystko dla mnie jest tu nowe... Nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj. Dopiero jutro.

Lea nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Witaj, Gwen! - zawołała podekscytowana. - Przepraszam za ten najazd, ale nie myślałam, że dotrę tu aż tak późno. Chciałam zrobić mamie niespodziankę. Czy już śpi?

- Ginny tutaj nie ma - powiedziała Gwen, ale teraz już łagodniej.

Lea poczuła, jakby w jednej chwili wyparowała z niej cała radość. - Myślałam, że przyjechała z tobą.

- Owszem, planowała, że będzie tu od początku. Potem jednak zdecydowała, że najpierw ja tu wszystko zorganizuję.

Gwen od wielu lat była ich gospodynią w Filadelfii. Robiła wszystkie te rzeczy, którymi Virginia nie mogła albo nie chciała się zajmować. Dostawała bardzo wysoką pensję. Znała wszystkie rodzinne sekrety. Lubiała swoją pracę. Gotowała, słała łóżka i płaciła rachunki. Zatrudniała służbę i sprawowała nad nią nadzór. Była silna, nigdy się nie męczyła. Miała także pewną wrażliwość. I dlatego teraz w jej głosie słyhać było poczucie winy.

- Ginny jest nadal w Filadelfii.

- Och!

- Chociaż możliwe, że przyjedzie tu już jutro. Mówiła, że da mi znać. ,

Lea czuła się zdruzgotana. Niespodzianka nie udała się, mimo całego wysiłku, jaki w nią włożyła. Było jej przykro. Wiedziała, że

sama sobie jest winna. Znała dobrze Ginny. To oczywiste, że nigdy nie można było na nią liczyć.

- Trudno - rzekła, siląc się na spokój. - Widzę, że muszę poczekać, zanim się z nią zobaczę.

Rozejrzała się po przedpokoju. - Ojej! To wszystko wygląda jak nowe! - zawołała zdumiona. Gwen rzuciła na nią uważne spojrzenie.

- Bo wszystko jest nowe. Pracują nad tym już kilka miesięcy.

- Miesiące? Myślałam, że dopiero niedawno kupiła ten dom.

- Niedawno? Skądże znowu? Kupiła go zeszłej jesieni, jak tylko wystawiono go na sprzedaż. Nie zastanawiała się ani chwili.

To cała Ginny, skryta, odgradzona od córek niewidzialnym murem. Lea poczuła się zraniona. A jednak było coś w Gwiezdnym Zakątku, co podnosiło na duchu. To miejsce miało swój czar. Tu nie można było długo się martwić.

Gwen ujęła ją pod ramię. - Chodź, weźmiemy twoje rzeczy na górę. Pokażę ci twój pokój, a potem możesz już traktować ten dom jak własny. Ale ta przeprowadzka to już nie na moje stare kości - westchnęła. - To był długi dzień.

Lea wiedziała, że Gwen spędziła nieskończone godziny na rozpakowywaniu, układaniu rzeczy na półkach. Dla Gwen zawsze było ważne, żeby robotę wykonać starannie. I na pewno przebierała się przy tym co najmniej kilka razy - ubranie musiało być czyste i estetyczne.

Gwen była wysoka, szczupła i trzymała się prosto mimo sześćdziesięciu lat na karku. W ciągu dnia odrywała się od pracy chyba tylko po to, by przyczesać włosy i mocniej ściągnąć je gumką.

Gwen westchnęła, wyjmując bagaż z samochodu.

- Nie wiedziałam, co wziąć - zaczęła się tłumaczyć Lea.

- Swetry zajmują dużo miejsca, w dodatku te wszystkie rzeczy... Nie chciałam, żeby coś z tego się zgmiotło. Przybory do makijażu... to wszystko do włosów i książki... Mam większość tego, co jest na liście bestsellerów „Washington Post”. - Lea wzięła do rąk dwie torby, trzecią miała zarzuconą na ramię.

Gwen rzuciła jej rozbawione spojrzenie. Potem wyjęła z bagażnika pozostałe torby. - Książki mogą ci się przydać

- powiedziała - ale kosmetyki i suknie wieczorowe na nic tu się zdadzą. Tu się nie organizuje żadnych przyjęć. Nigdzie nie chodzi się wieczorami.

- Muszą być przecież jakieś restauracje.
- Nie tutaj - upierała się Gwen.
- Ach! - uprzejmie zdziwiła się Lea, po czym skierowała uwagę na dom.

Hol na parterze był ogromny. Ściany, świeżo malowane i gołe, dopominały się o dzieła mistrzów. Na podłodze z szerokich desek, z marmurowymi wstawkami, leżał oszałamiająco piękny okrągły dywan.

Lea szła, przytrzymując się błyszczącej, mahoniowej poręczy. Weszły schodami na górę. Gwen otworzyła drzwi sypialni. Zapaliła stojącą na podłodze rzeźbioną lampę, włączyła wentylator.

- Twoja matka uważa, że ten pokój powinien ci się spodobać.

Podobał się. I to bardzo. Ogromne łoże, szafeczki, toaletka, fotele. Stół przykryty obrusem. To wszystko w kolorach: lawendowym i białym, z gustownie wkomponowanymi barwnymi plamkami we wszystkich niemal odcieniach zieleni.

Zdumiało Leę najbardziej to, że pokój był bardzo duży i otwarty, wręcz przeciwnie niż jej niewielka sypialnia w Waszyngtonie. Tam małe okienko we wnęcie wychodziło na starannie uporządkowany ogród, tutaj z czterech dużych okien roztaczał się widok na ocean. Aż zdziwiła się, że tak ogromna otwarta przestrzeń może dawać uczucie przytulności.

- Łazienka wspólna z sąsiednim pokojem... Znajdziesz tu ręczniki, mydło i wszystko, co może okazać się potrzebne - objaśniała gospodyni. - Twoja mama dała mi wskazówki co do najdrobniejszego szczegółu.

- Nie musisz mi tego mówić. Ale Gwen taka już była. Miała do matki bezgraniczne zaufanie. Zawsze w nią wierzyła.

- Mój pokój jest na końcu korytarza - powiedziała.

- Zaraz przy schodach. Pójdę już teraz do siebie. Chyba, żebyś jeszcze coś ode mnie chciała.

Lea zapewniła, że niczego nie potrzebuje, i odwróciła się do okna. Patrzyła na ocean, na grę księżycowego światła.

Szum fal zdawał się hipnotyzować. Otworzyła okno, żeby wpuścić świeżego powietrza. Usiadła na fotelu, wsłuchując się w nocną muzykę morza. Wciągnęła do płuc słone powietrze i nagle poczuła się bardzo szczęśliwa. Uśmiechnęła się. Wstała. Miła była

myśl o szumie fal, kołyszącym do snu. Kusząca. Ale Lei zupełnie nie chciało się spać. Wyszła z pokoju.

Dom miał sześć pokoi na piętrze, w wieżycze bibliotekę, na parterze ogromny hol, salon, elegancką jadalnię i ogromną nową kuchnię, która zachwyciła Leę. W salonie stały wygodne miękkie fotele i sofa. Wielkie okna wychodziły na ocean. Przez chwilę stała nieruchomo, spoglądając na wodę i wyobrażając sobie, jakie piękne widoki muszą być tu za dnia.

Oszklone drzwi prowadziły z kuchni na werandę, która łączyła się dalej z drewnianym tarasem. To o tym tarasie i basenie pisała Virginia, pomyślała Lea.

Lekko pchnęła oszklone drzwi. Matowa powierzchnia wody, po lewej stronie kępa drzew, po prawej zaczynały już się skały. W oddali lśnił ocean.

Spacerowała koło domu. Doszła do krawędzi klifowego brzegu i zatrzymała się tam na jakiś czas, zagubiona w bogactwie doznań. Wzmógł się zapach oceanu. Słone powietrze, które poczuła po raz pierwszy już w Downlee.

Stała wpatrzona w przestrzeń. Wiatr odegnał od niej wszystkie złe myśli, dał jej ciału jakąś dziwną siłę. Po napięciach związanych z podróżą czuła wreszcie spokój, a nawet radość. Nie potrafiła tego zrozumieć, ale nie chciała się teraz nad tym zastanawiać.

Po pewnym czasie znowu podeszła do basenu. Pomyślała, że jeszcze nie ma ochoty wracać do swojej sypialni. Kusilo ją, by zostać na dworze. Opadła na długą, wyściełaną huśtawkę, zwieszoną z grubego konaru dębu. Pachniało żywicą, wszechobecną solą i czymś słodkim. Zachwycalo ją bogactwo tej mieszaniny.

Znikło wszystko, co mogło być nieprzyjemne. Napięcie, zmęczenie długą podróżą, stres, rozczarowanie nieobecnością Virginii. Płuca odetchnęły z ulgą, serce biło z dziwną lekkością.

Lea podkulila nogi i wyciągnęła się na miękkiej, wygodnej huśtawce. Oparła głowę o gruby koc. Doskonale mógł zastąpić poduszkę. Podniosła się potem tylko na chwilę, żeby wyciągnąć spinki. Przesunęła palcami po włosach, czując, jak skręcają się od wilgoci. Tym razem zwijanie się włosów w loki sprawiło jej przyjemność. Położyła się na plecach na huśtawce. Wiatr kołysał ją powoli w przód i w tył.

Zamknęła oczy.

Następne, co zarejestrowała, to był poranek. Odkryła, ku swemu zdumieniu, że nadal znajduje się na huśtawce. Ale wcale nie była obolała ani zmęczona po takim śnie. Wręcz przeciwnie, czuła się tak dobrze jak nigdy od wielu tygodni. Od razu, gdy tylko otworzyła oczy, wiedziała, gdzie się znajduje i wcale jej to nie dziwiło. Zdążyła już polubić to miejsce. Miała wrażenie, jakby znała je od wielu lat.

Czuła chłód na twarzy. Zauważyła jednak ze zdziwieniem, że reszta jej ciała była zachwycająco gorąca, pod wełnianym, robionym na drutach, szalem. Pomyślała, że to Gwen musiała ją okryć, gdy spała. Nie pamiętała, żeby matka miała kiedykolwiek taki szal. Może dostała go od kogoś w prezencie potem, kiedy Lea już z nią nie mieszkała. Jeśli tak, to dobrze zrobiła, przywożąc go teraz tutaj. Szal pasował do tego miejsca.

Otuliła się szczelniej. Pachniał wełną i czymś jeszcze, miłym i nieznanym. Zastanawiała się, kiedy Gwen mogła ją przykryć.

Gospodyni nie było w zasięgu wzroku. Z pewnością jednak krzątała się tu gdzieś w pobliżu. Lea, gdy już wstała, znalazła swoje torby rozpakowane, rzeczy starannie ułożone i powieszzone. Książki ustawione porządnie na półce, a przybory toaletowe w łazience na zielonych półczkach. Wzięła prysznic. Włożyła sweter i białe dżinsy. Już teraz wiedziała, że nie jest to odpowiedni strój. Ale nie przywiozła ze sobą nic lepszego. Złożyła szal i powiesiła na sofie z myślą, że Gwen weźmie go z powrotem. Potem znowu zeszła na dół.

Na długim kamiennym stole w kuchni znalazła koszyk słodkich, ciepłych jeszcze rogalików. Znak, że Gwen była już dzisiaj w sklepie. Zjadła jeden rogalik, po czym odwróciła się oniemiała z zachwytem. Wokół basenu, od domu aż do oceanu, od drzew do skał, rozciągał się precudny ogród. Przebogate w kolory rabaty pełne kwiatów. Wychyliła się przez kuchenne okno i gapiła się na nie z zachwytem. Dalie i astry, gerbery, przepiękna kompozycja purpurowych liliowców i białych floksów, błękitne irysy...

Znowu wyszła na taras i ruszyła w stronę basenu. I tam znalazła, aż nie mogła uwierzyć, błyszczące w promieniach słońca, piękne, szkarłatne maki.

Podeszła do frontowych drzwi. Wokół podjazdu wytryskały z ziemi białe i różowe, niebieskie i złote bukiety. Widziała peonie, pierwsze kwiaty malwy i przekwitające już kolumbiny. Wzruszyły ją

niedawno posadzone dalie, których malutkie jeszcze pączki zapowiadały nowy rozkwit piękna.

Szła dalej. Obejrzała przed domem jasną polankę alyssum, kontrastującą z szarą zielenią krzewów. Potem ruszyła w kierunku klifowego brzegu. Tam po skałach pięły się róże. Były teraz w pełnym rozkwicie, pachniały intensywnie, spijając promienie słońca. Zapach wydał się Lei tak bardzo znajomy, jakby znajdowała się u siebie w domu. Ale nie w mieszkanku w Waszyngtonie; ta woń przywodziła jej na myśl Filadelfię.

Powiodła wzrokiem po całym ogrodzie, zachwycona gamą kolorów. Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Puls jej przyśpieszył. Tam był mężczyzna. Pracował przy irysach, obcinając zwiędłe kwiaty. Domyśliła się, że to ogrodnik, choć znajdował się zbyt daleko, by mogła przyjrzeć mu się dokładnie. Na pewno był wysoki i miał ciemne włosy. Podziwiała płynność jego ruchów, spokój. Widziała, że ubrany jest w dżinsy, ciemną koszulę... To było wszystko, co mogła dojrzeć.

Pomyślała, że może powinna podejść i pochwalić jego robotę. Coś jednak ją powstrzymało. Przystanęła więc, by przyjrzeć się uważnie różom. Spacerowała jeszcze chwilę po ogrodzie. Następnie zawróciła bliżej domu.

I znowu jej puls przyśpieszył. Tym razem mężczyzna był znacznie bliżej. Odkręcał kurek, umiejscowiony w rogu budynku, podłączony do węża ogrodowego.

Rękawy drelichowej koszuli podwinięte miał do łokci. Odślaniały mocno opalone ręce. Odznaczał się mocną budową ciała, ręce miał duże, zabrudzone ziemią. Patrzyła na sprężyste ruchy jego silnych ramion, na pracę mięśni.

Nie był przystojny w klasycznym sensie. Może miał zbyt miękkie rysy, może był zbyt duży, ale w tym tkwiło dziwne piękno. Fizycznie wydawał się tak bardzo męski, że nie mogła oderwać oczu od jego sylwetki.

Domyślała się, że ma koło czterdziestki. Pomyślała, że mogliby się zaprzyjaźnić... Gdyby tylko potrafiła coś powiedzieć. Czuła przeraźliwą suchość w ustach.

Nie wiedziała, czy minąć go i po prostu odejść. Nie potrafiła podjąć decyzji. Aż on wyczuł jej obecność i podniósł oczy znad roboty.

Uśmiechnęła się i pozdrowiła go skinieniem ręki. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, jakby z ogromnym zdziwieniem, później odpowiedział na powitanie. Następnie zaczął rozkładać wąż na trawie. Wrócił do swojej pracy.

Poszła dalej szybkim krokiem, prawie przebiegając wzdłuż domu. Wpadła do kuchni. Serce waliło jej jak oszalałe. Uśmiechnęła się, zobaczywszy, że Gwen też właśnie wchodzi.

- Te kwiaty są zdumiewające - szepnęła. - Dziwię się, że jest tu tak piękny ogród.

- Tak, moja droga. Ogród zadbane jest doskonale - rzekła Gwen, wyjmując z siatki zakupy i wkładając je do lodówki. - Mamy bardzo dobrego ogrodnika. Widziałaś go już?

- Tak, właśnie przed chwilą. Czy on pracuje na cały etat?

- Jakżeby inaczej? Przecież jest tu aż pięćdziesiąt akrów.

- Większość z tego to las - mruknęła.

- Możliwe, ale i tak ogród jest wystarczająco duży. Widziałaś te kwiaty, dziewczyno. Czy wiesz, jakiej one wymagają troski?

Tego nie trzeba było jej mówić. Lea знаła się na kwiatkach jak mało kto.

- Czy on pracował przedtem u nas w Filadelfii, czy matka zatrudniła kogoś nowego?

- Nie, on jest tutejszy. Z tego, co słyszałam, gdyby nie dbał o to wszystko do końca, dom zupełnie poszedłby w ruinę. Właściciel chorował i nie miał kto się o to troszczyć. Mieszka tu, na terenie posiadłości, w chatce pod lasem. Tam jest taki mały domek... Zielony...

- Gwen przerwała na chwilę, zajmując się myciem owoców.
- ...Hmm... to bardzo przystojny mężczyzna - wróciła do tematu. - Gdybym była piętnaście lat młodsza, wszystkie moje wypieki trafiałyby najpierw do jego chatki.

Lea zachichotała.

- Nie ma się z czego śmiać.

- Przepraszam. Czy mama dzwoniła?

- Jeszcze nie.

- Pewnie myśli, że jestem w drodze. Może powinnam zadzwonić do niej i powiedzieć, że już przyjechałam. Jest jeszcze w domu?

- Nie sądzę. Przecież nie ma już żadnych mebli. I beze mnie nie dałaby sobie tam rady. Jest u Lilian. Żegnają się.

- Aaa... zegnają się... to w takim razie nie będę jej zawracać głowy.

Lea niezbyt lubiła Lilian. Poza tym obawiała się, że Virginia znajdzie sobie jakąś wymówkę, żeby nie podchodzić do telefonu.

- Gdyby dzwoniła... - powiedziała do Gwen. - Powiedz jej, że już jestem tutaj i bardzo mi się wszystko podoba. A ja teraz wezmę książkę i posiedzę koło basenu.

Niestety, zupełnie nie mogła się skupić na czytaniu. Przerzuciła kilka kartek, a wreszcie odłożyła książkę. Siedziała na leżaku i nie myślała absolutnie o niczym.

Słońce doszło do południa, potem obniżyło lot. Kiedy tylko Lea zdążyła pomyśleć o lunchu, zjawiała się przed nią Gwen z tacą. Szklanka mrożonej herbaty, kanapka z kurczakiem i sałatką.

- To wygląda wspaniale. Mama jeszcze nie dzwoniła?

- Jeszcze nie.

- Mówiła, że zadzwoni już z lotniska, czy jeszcze z domu, zanim wyjedzie?

- Nie wiem.

- A jak sądzisz?

- Tak samo jak ty mogę się tylko domyślać. Ginny nie musi się śpieszyć. Wie, że ja tutaj wszystkiego dopilnuję.

- I także wie, że ja tu na nią czekam - powiedziała Lea trochę ostrzej. - Dlaczego nie dzwoni?

- Ginny chciała, żebyś przyjechała. Wiedziała, że ci się tu spodoba.

- Ale dlaczego ona to kupiła? To takie do niej niepodobne. Nie spodziewałam się po niej czegoś takiego.

- Może potrzebowała zmiany.

- W jej wieku?

- Dama nigdy nie jest zbyt stara - przypomniała Gwen.

- Przepraszam. - Lea zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. - Spróbowałabym sama do niej zadzwonić, ale może być już w drodze. Poza tym nie mam specjalnej ochoty rozmawiać z Lilian. Wszystko, co mi pozostaje, to czekać.

Czekanie powinno być przykre, a jednak czuła, że Gwiazdny Zakątek daje jej jakiś spokój, radość. Powinna się niecierpliwić, irytować. Tymczasem wręcz przeciwnie. Ciało rozluźniło się. To miejsce było jak zaczarowane. Basen, brzeg oceanu. Ogród.

Lea siedziała na gęstej, krótko przystrzyżonej trawie koło rzędu rabatek i leniwie próbowała sobie przypomnieć, co robiła dwa dni temu. Waszyngton wydał jej się tak odległy, że mógłby w ogóle nie istnieć...

Nagle wyczuła jego obecność. Zanim jeszcze mogła go zobaczyć. Gdy podszedł, wydawał jej się absurdalnie wysoki. Chciała wstać, ale nie mogła się ruszyć. Zamiast tego po prostu uśmiechnęła się. - Cześć.

- Cześć - odpowiedział. Głos miał ciepły, głęboki.

Mogła teraz przyjrzeć mu się z bliska. Jego twarz wyrażała siłę. Tym razem nie wyglądał na zdziwionego. Patrzył na nią z powagą, a jednocześnie z jakimś wzruszeniem.

Wskazała na kwiaty. - Są wspaniałe.

Podążył wzrokiem za jej gestem, ale tylko na chwilę. Potem, gdy już zaczął mówić, cały czas patrzył na nią. Słowa płynęły miękko, łagodząc surowość rysów twarzy.

- To sprawia wilgotność powietrza i gleba. Większość roślin dobrze rośnie w tych warunkach. To wszystko.

- Pora, kiedy kwitnie niemal wszystko, musi trwać tutaj bardzo krótko - zauważyła.

Lekko wzruszył ramionami. - Klimat jest tu znacznie łagodniejszy niż w głębi lądu.

- Czy nie zdarza się, że wiatr niszczy kwiaty?

- Rośliny tutaj są silne. - Przykucnął, pociągnął jakiś chwast i delikatnie wygładził glebę. Jego palce były długie, szczupłe. Krótko obcięte paznokcie. - Delphinium już przekwita. Szkoda, że nie widziałaś, jakie było piękne tydzień temu.

- Nadal jest piękne. Pomyślała, że gdyby mieszkał w mieście, musiałby się golić dwa razy dziennie. Widziała ciemny zarost na jego opalonym podbródku.

- Czy będziesz przycinał delphinium?

- Nie. Będzie silniejsze następnego roku, jeśli kwiaty umrą naturalnie. Ukształtowałem floksy. Będą szersze i grubsze.

Odwróciła wzrok od jego twarzy i skierowała spojrzenie na rabaty z floksami. Były soczyste i bujne. Każdy kwiat tryskał zdrowiem.

- Efekty twojej pracy są wspaniałe.

- Tak, to teraz dobrze wygląda, ale próbowałem kilku rzeczy, które się nie udały.

Znowu przyjrzała się jego twarzy. Ciemnobrązowe, niemal czarne oczy emanowały dziwne ciepło. Obserwowała kąciki jego ust, gdy się uśmiechał. Przez chwilę pomyślała, że patrzy na nią trochę jak na odkrytą niespodziewanie, rzadko spotykaną, niezwykłą roślinę.

Poczuła suchość w gardle. Nie wiedziała, jak się zachować wobec mężczyzny, który... wydzielał tak bardzo męski zapach. To nie był tylko pot.

Patrzył na nią, czekając odpowiedzi. Lekko odchrząknęła i zmusiła się, by coś powiedzieć. - Musi tu być kolorowo przez całe lato - wydukała z zakłopotaniem.

- Staram się. Jak jedne kwiaty przekwitną, zaczynają następne.
- Wspaniale.
- To zaplanowane zgodnie z naukowo opracowaną metodą.
- To brzmi, jakbyś studiował ogrodnictwo.
- Zgadza się.
- A reszta?

- Uczyłem się od ojca. Coś w jego odpowiedzi, może jakaś bardziej osobista nuta, dało Lei siłę, by mogła wstać. Otrzepała spodnie lewą ręką, a prawą wyciągnęła ku niemu. - Jestem Lea St. Clair, córka nowej właścicielki.

Zacisnął palce na jej dłoni. - Jesse Cray.

Skinęła głową. Przełknęła ślinę. Gorące palce. Silna dłoń. Oczy przenikające ją do głębi. Jesse wydał jej się kimś od dawna znajomym. Jego obecność tutaj była tak naturalna, jak i niezwykły urok Gwiezdnego Zakątka. On też dawał jej siłę. Podobnie jak to miejsce. Czowała się onieśmielona a jednocześnie zaintrygowana.

- Pomogasz w rozpakowaniu rzeczy? - zapytał. Gwen wspólnie z firmą przeprowadzkową zrobiła tu już niemal wszystko.

- Większość rzeczy już jest rozpakowana - powiedziała.
- Czekam tu na przyjazd matki.
- Kiedy ma przyjechać?
- Wczoraj... nie, dzisiaj.
- Czy to prawda, że sprzedała swój dom w Filadelfii?
- Tak.
- Zatem planuje zamieszkać tutaj na stałe?
- Najwidoczniej.

- Czy matka jest podobna do ciebie? Lea zdziwiła się. - Jeszcze jej nie widziałeś? Potrząsnął głową.

- Myślałam, że mieszkasz tutaj. - Nie mogła zrozumieć.
- Bo mieszkam.
- I nie widziałeś jej, kiedy kupowała to miejsce?
- Ona tu nie przyjechała.
- Wcale tego nie obejrzała? - dziwiła się Lea.
- Gdyby tu była, wiedziałbym o tym - powiedział tak naturalnie, że musiała mu uwierzyć.

- To niezwykle... niewiarygodne... Kupiła dom, nawet go nie obejrzawszy. - Tu nie chodziło o pieniądze, ale przecież matka nigdy nie robiła takich rzeczy. Lea starała się znaleźć w tym jakiś sens.

- Nie musiała przyjeżdżać tu osobiście - zauważył Jesse.
- Agencje nieruchomości zawsze dysponują kasetami wideo. Poza tym dekoratorka na pewno zdała relację z tego, co zrobiła.

- Tak... - Lea nie przypuszczała, że Virginia mogłaby działać pod wpływem impulsu. Jesse miał rację, pewnie widziała kasetę. - Dopiero niedawno dowiedziałam się, że mama to kupiła - tłumaczyła, nieco skrępowana sytuacją. Czuła jednak, że powinna mu to wyjaśnić. - Nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko... Nie widzimy się często. Ja mieszkam w Waszyngtonie.

Jego oczy mówiły jej, że zrozumiał - to, co powiedziała, i to, co pozostawiła w myślach. To była wspaniała rozmowa. Nie żadna z tych konwersacji, które znała na pamięć i które bezbłędnie mogła powtórzyć nawet przez sen. To nie było wielkie miasto ani też jej elitarnie środowisko, w którym wszystko zostało już powiedziane. Fascynowała ją odmienność sytuacji.

Znowu odchrząknęła. - Jak rozumiałam, pochodzisz z Downlee?

- Tak.

- Ale mówisz inaczej. Twój akcent nie pasuje do Maine. Nic z tego nie ma w twoim głosie.

- Czasami się pojawia, jak jestem zdenerwowany albo zmęczony.

Nie była pewna, czy ktoś taki jak Jesse także bywa zdenerwowany.

- Dlaczego nie cały czas?

- Zimą dużo podróżuję. Często chodzę do kina. Oglądam telewizję. Poza tym większość ludzi, z którymi rozmawiam, nie mówi z tutejszym akcentem. - Rzucił rozmarzone spojrzenie na skały. - To smutne, że coraz mniej słyszy się gwary. To przemijanie czegoś niepowtarzalnego. Ten akcent ma swój urok. Lubię czasami w

miasteczku usiąść na schodach u fryzjera i posłuchać, jak rozmawiają starzy mieszkańcy Downlee. To brzmi jak stara melodia. Niedługo ucichnie ta muzyka. Smutne.

Lea nie mogła sobie przypomnieć żadnej starej piosenki, która brzmiałaby tak lirycznie jak jego głos. Skinęła głową, zasłuchana w to brzmienie.

Jesse opuścił wzrok. - No cóż, teraz muszę już wracać do pracy.

Patrzyła za nim, na oddalającą się wspaniałą sylwetkę. Nie wyglądał na zwykłego ogrodnika.

- Jesse! - zawołała. - Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli narwę delphinium do domu?

Dobrze wychowany miejski chłopak rzekłby: „cała przyjemność po mojej stronie” albo „ten piękny ogród należy do ciebie”. Jesse odpowiedział po prostu: - Możesz. - I poszedł w swoją stronę.

Lea pośpieszyła do domu po nożyce.

- Jesteś tutaj - ucieszyła się Gwen. - Nigdzie nie mogłam cię znaleźć.

- Oglądałam kwiaty - odparła. - Czy mama dzwoniła?

- Tak - Gwen skinęła głową.

- Jest jeszcze w Portland? Mogłabym tam po nią pojechać. Och, mogłam wcześniej o tym pomyśleć - mówiła szybko, podekscytowana. - Teraz już chyba może być na to za późno, ale Admiral Club...

- Nadal jest w Filadelfii - przerwała Gwen.

- W Filadelfii? - wykrzyknęła Lea. - Żartujesz czy coś się stało?

- Nic się nie stało. Po prostu chciała spędzić tam jeszcze trochę czasu.

- Ze swoimi przyjaciółmi - wtrąciła z przekąsem Lea, powstrzymując się jednak, by nie dodać: „zamiast ze swoją córką”.

- To dla niej bardzo trudna decyzja. - Gwen, jak zwykle, starała się ją usprawiedliwić. - Zakończenie jakiegoś etapu życia. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Ale przecież nadal będzie się widywać ze swoimi przyjaciółmi. Oni będą przyjeżdżać tutaj albo ona pojedzie do nich, a zimą i tak spotkają się wszyscy w Palm Springs.

- Prawdopodobnie. Nadal jednak uważam, że niełatwo jej podjąć decyzję.

- Może nie powinna była tego robić. Może to był błąd. Czy wiesz, że mama tu jeszcze nigdy nie była i wcale nie widziała tego miejsca? No, tak, ty i tak wiesz wszystko znacznie lepiej ode mnie. Po co ja ci to mówię? Nigdy nie zrozumieję tej kobiety. Idę na górę.

Pomyślała o tym, żeby zadzwonić do Ellen. Ale to nie miało sensu. Wszystko już jej powiedziała. A innych spraw Ellen nie potrafiłaby zrozumieć.

Zdjęła białe dzinsy - teraz pobrudzone trawą od tego głupiego siedzenia na trawniku przy rabatach. Założyła kostium kąpielowy i okryła się sarongiem. Wzięła książkę, tym razem inną, poprzednią ją nudziła. Poszła nad basen.

Siedziała spokojnie może przez dziesięć minut. Potem poczuła, że dostaje gęsiej skórki. Przyszło jej do głowy, że skoro Virginia już dzisiaj na pewno nie przyjedzie, to nie ma potrzeby aż tak bardzo dbać o elegancki wygląd. Poszła na górę. Zdjęła gumkę z włosów, wyjęła spinki. Wzięła wełniany szal i znowu zeszła na dół.

I znowu wiatr rozwiął wszystkie jej nieprzyjemne myśli. Pozostawił mieszankę zapachu oceanu, woni skalnych róż i aromatu świerków.

Leżała spokojna, wypoczęta. Potem zapadła w drzemkę. Obudziła się z uśmiechem na ustach.

Pomyślała, że mogło być dużo gorzej. Gwiezdny Zakątek mógł okazać się ruderą albo czymś zupełnie bez gustu. Mógł być na wyspie połączonej z lądem jakimś małym, niewygodnym promem. Mogli pracować tu jacyś nieprzyjemni ludzie zamiast ogrodnika o pięknych ciemnobrązowych oczach.

Mogło być gorzej, pomyślała raz jeszcze. Wzięła głęboki oddech i... o mało nie zakrztusiła się, kiedy dwie postaci nagle wyłoniły się zza domu i zmierzały ku niej.

Rozdział 6

Lea gwałtownie wyprostowała plecy. - Co wy tutaj robicie?

Karolina podeszła bliżej. - Ginny nic ci nie powiedziała?

- Ani słowa.

Aneta podeszła do Karoliny i rzekła z ironią: - Pomagamy jej ochrzcić to miejsce, nadać temu domowi trochę ciepła rodzinnego. Nasza obecność sprawi, że stanie się zupełnie wyjątkowy.

- I co ważniejsze - dodała Karolina w tym samym tonie - to będą naprawdę cenne dni, spędzone razem. Nadrobimy zaległości w uczuciach rodzinnych. Będziemy spędzać czas na rozmowach, prowadzonych w atmosferze autentycznej serdeczności. Jakże szczery jest żal Ginny, że wcześniej okazywała nam tak niewiele uczucia... - Głos jej stwardniał.

- Czy wiesz coś więcej na ten temat? Lea wyprostowała się, zniechęcona obcesowością tego pytania. - Skąd mogłabym wiedzieć. Nie zwierzała mi się.

- Przyjechałaś tu wcześniej od nas. Przedtem częściej się z nią widywałaś.

- Nic nie wiedziałam o tym miejscu, podobnie jak wy.

- Wcale nie ucieszyła się widokiem sióstr. Przedtem było tak dobrze. Czowała się zrelaksowana, wypoczęta, siedząc spokojnie przy basenie, otulona ciepłym wełnianym szalem, z rozpuszczonymi swobodnie włosami. Teraz zdenerwowała się nagłą zmianą sytuacji, i niewątpliwie była to wina Virginii. - Matka przysłała mi list i bilety. Pisała najprawdopodobniej te same rzeczy co i wam.

- A nie mówiłam - jęknęła Karolina.

- Co za potwór! Tak nas wystrychnąć na dudka! - krzyknęła Aneta, po czym spojrzała na zegarek. - Dzwonię do domu! Nie mogę w to uwierzyć! Czy jest tu gdzieś jakiś telefon?

Lea wskazała w kierunku kuchni. Szczelniej owinęła się wełnianym szalem. Skręciła palcami włosy i przycisnęła je plecami do oparcia leżaka. Spojrzała pytająco na Karolinę.

- Przyjechałyście razem?

- Taksówką, zamówioną przez Ginny. Spotkałyśmy się w Portland. Ginny tak skoordynowała nasze loty, żebyśmy przyleciały niemal jednocześnie. A co z tobą? Jak się tutaj dostałaś?

- Przyjechałam wczoraj wieczorem. Zmieniłam rezerwację. Gdybym skorzystała z biletu, który przysłała mi matka, byłabym w Portland dzisiaj, o drugiej dziesięć po południu.

- Zaraz po mnie i parę minut wcześniej niż Arieta

- zauważyła Karolina. Rozejrzała się. - Matka napisała list w taki sposób, że wydawało mi się, iż zaprasza tylko mnie. Podobnie namąciła w głowie Anecie.

- Ja też myślałam, że zaprasza tylko mnie. Dlaczego Aneta w takim pośpiechu pobiegła dzwonić do domu? Ma jakiś problem?

Karolina skrzywiła wargi. - Myśli, że jej rodzina nie może bez niej żyć.

Obie wiedziały, że raczej jest odwrotnie.

- To Aneta nie może żyć bez nich. Rodzina jest dla niej wszystkim. Dziwię się, że widzę ją tutaj samą. Czy oni na pewno nie czekają gdzieś tu przed domem?

- Na pewno nie - rzekła Karolina i nagle uśmiechnęła się. Nie był to jasny, promienny uśmiech, ale życzliwy i najzupełniej naturalny.

Lea pomyślała, że do twarzy z tym Karolinie. W końcu najstarsza siostra jest atrakcyjną kobietą. Lea nie aż tak bardzo troszczyła się o ubranie jak ona. Najlepiej się czuła w białych dżinsach. Tutaj jednak zdążyła już poplamić sobie spodnie trawą. Stwierdziła z zakłopotaniem, że Karolina jak zwykle wygląda doskonale i stosownie do okoliczności. Białe dżinsy zupełnie nie pasowały do Gwiezdnego Zakątka. Najlepsze były tu niebieskie spodnie. Karolina oczywiście i to zdawała się wiedzieć.

- Zatem gdzie się podziewa nasza mamusia? - zapytała Karolina.

- Nie wyobrażam sobie, żeby tu, w tym malutkim miasteczku, już sobie znalazła jakieś ekskluzywne towarzystwo; kogoś, kto by ją zaprosił na brydża.

- Jej tu nie ma.

- Gdzie jest? - Aneta pojawiła się w odpowiedniej chwili, by zadać to pytanie.

- Jeszcze nie przyjechała z Filadelfii.

- Żartujesz! - wykrzyknęły obie niemal równocześnie.

- Na co ona tam czeka?

- Kiedy przyjedzie? Lea odczuła pewne zadowolenie z tego, że teraz ona jest jedyną, która wie. Przynajmniej tyle, na ile pozwoliła jej Virginia.

- Może będzie tu jutro albo znowu się rozmyśli i przyjedzie pojutrze. A może wcale. Gwen mówi, że trudno jej się rozstać z Filadelfią. Możliwe, że w ogóle tu nie przyjedzie.

- Przecież sprzedała dom.

- Może kupić drugi dom w Filadelfii.

- To po co przywlokła nas tutaj wszystkie trzy? - krzyknęła Aneta. - Nie wiem, jak dla ciebie, ale dla mnie nie był to odpowiedni czas na wyjazd.

Lea pomyślała, że właściwie nie miała nic lepszego do roboty.

Karolina nagle zapytała, czy nie było do niej jakichś telefonów.

- Żadnego, o którym bym wiedziała.

- Pójdę zadzwonić do biura - zdecydowała Karolina. Lea patrzyła za nią, jak odchodzi.

- Czy ona ma jakieś problemy w biurze? - zapytała Anetę.

- Nic takiego, choć być może chciałaby, żeby tak było - mruknęła Aneta. - Myśli, że klienci nie dadzą sobie bez niej rady.

Aneta sądziła, że jest potrzebna rodzinie, Karolina myślała podobnie o swoim biurze. Lei nasunęła się refleksja, że jej siostry nigdy nie musiały uważać się za bezproduktywne, niepotrzebne nikomu. Poza tym irytowały ją. Tak dobrze tu się czuła, zanim przyjechały.

- Mówiłaś coś?

- Nic. Źle się stało, że przyjechały, pomyślała.

- Wiem, że oni mogą beze mnie wytrzymać - tłumaczyła się Aneta - ale ja tak bardzo lubię być z nimi. Nie ma piękniejszej chwili niż ta, gdy dzieci przychodzą ze szkoły.

- Rozejrzała się wokół ze zdumieniem. - Co ja w ogóle tutaj robię? - Po chwili dodała: - Muszę przyznać, że to naprawdę piękne miejsce. Jest w tym jednocześnie coś bardzo bliskiego, znajomego, choć zupełnie nie przypomina niczego, co zdarzyło mi się odwiedzić. Kuchnia jest wspaniała. A jak reszta domu?

- Przepiękna.

- Rzeczy rozpakowane i w ogóle wszystko gotowe?

- Raczej tak.

- To dlaczego chciała, żebyśmy tutaj przyjechały? Jeżeli po prostu chciała spotkać się z nami trzema, mogła wybrać jakiś stosowniejszy moment.

- Każda pora jest na to tak samo dobra.

- Może dla ciebie. Sezon towarzyski właśnie się skończył.

Lea wzdrygnęła się. - Chodzi mi o to, że nie ma znaczenia, na kiedy nas zaprosiła. I tak żadna z nas nie miała ochoty tu przyjeżdżać. Nasza rodzina nie jest z tych, co to lubią być razem.

- Dobrze powiedziane - zauważyła Karolina, przysiadając się na leżaku obok Lei. Oparła łokcie o kolana. - Nie mogę uwierzyć, że Ginny to zrobiła. Może myślała, że nie mamy nic lepszego do roboty.

Karolina jak zwykle miała rację. Lea faktycznie w Waszyngtonie nie miała teraz nic do roboty. To jednak nie oznaczało jeszcze, że musiała tutaj przyjeżdżać. Mogła pojechać na wycieczkę na Alaskę albo zapisać się na kurs jazdy konnej. Nie musiała narażać na szwank zdrowia psychicznego, by zasłużyć na aprobatę Ginny. To nie była żadna szansa. Lea doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma co liczyć na czułość i serdeczność matki. Tym bardziej teraz, kiedy przyjechały tu Karolina i Aneta - Chłopcy bezpiecznie dotarli do domu - poinformowała Aneta.

- Chyba nie miałaś wątpliwości, że trafią do domu? - mruknęła ironicznie Karolina.

- Było już bardzo późno. Nic dziwnego, że się o nich niepokoiłam.

- Bierz przykład z Ginny - rzekła z sarkazmem Karolina. - Nasza mamusia nigdy nie martwiła się o nas i wątpię, czy teraz przejmuje się nami choć trochę. Pewnie gra sobie w karty w jakimś klubie i nie poczuwa się wcale do winy. Nic jej nie obchodzi, że zakłóciła spokój naszego życia. Ona jest bez serca.

- Wyjątkowa egoistka - przytaknęła Aneta.

- I co my teraz mamy robić? - Karolina spojrzała w stronę oceanu. - Chyba powinnam w tej sytuacji wracać do Chicago.

- Ja też - szybko dodała Aneta. Ale Lei się nie śpieszyło. - Ja chyba zostanę. W końcu zadała sobie trud, żeby przesłać nam bilety. Głupio bym się czuła, gdyby przyjechała, nawet za kilka dni, i nie zastała żadnej z nas.

- Dobra dziewczynka - cmoknęła Karolina. - Będiesz miała u niej za to dodatkowe punkty.

- Podoba mi się tutaj. - W końcu mogła mieć własne zdanie. I w ogóle nie miałyby nic przeciwko temu, żeby obie jutro rano stąd odjechały. Co więcej, mogłyby je nawet osobiście odwiedzić do Portland.

- Kiedy jeszcze byliśmy dziećmi - upierała się Karolina - to ty najbardziej starałaś się ją zadowolić.

- Nadal trochę wyglądasz jak dziecko - Aneta przyjrzała się krytycznie najmłodszej siostrze. Po czym dodała sucho:

- To miał być komplement. Lea przyjęła to spokojnie. Nigdy nie liczyła na komplementy od swoich sióstr. - To moje włosy - wyjaśniła. - Jak ich nie zwiążę, rozlatują się na wszystkie strony jak dziecku.

- Zawsze chciałam mieć kręcone włosy i być blondynką, ale matka nigdy mi na to nie pozwoliła - powiedziała Aneta. - Matka nigdy nie pytała mnie o zdanie. To nie było ważne, co chciałam.

- Czy Gwen wie o tym wszystkim coś więcej? - zapytała Karolina, sprowadzając rozmowę na właściwy temat.

Lea skinęła głową. - Na to wygląda. Wykonuje wszystkie polecenia matki i z całą pewnością wie, co robić. To ona zarezerwowała dla nas bilety... Przygotowała dla nas sypialnie. Naprawdę piękne pokoje. Wygląda na to, że Gwen działała niezwykle efektywnie.

- Czy matka nie napisała niczego o nas w liście do ciebie?

- Nic, Karolino, zaufaj mi. Nie ucieszyłam się bardziej, widząc ciebie tutaj, niż ty, gdy mnie zobaczyłaś. Gdybym się dowiedziała, że wy też macie tu przyjechać, zawróciłabym do domu od razu z Portland.

- Przyjechałaś tu samochodem z Portland? - zapytała Aneta ze zdumieniem.

- Wypożyczyłam samochód. Stoi przed domem.

- Zdawało mi się, że ostatnio nie lubiłaś prowadzić.

- W mieście samochód zupełnie nie był mi potrzebny, co nie znaczy, że czasami nie musiałam czegoś wynajmować.

- To dobry pomysł dać ci samochód, który już przedtem został zadrapany - zaśmiała się Aneta.

Lea powstrzymała się, by nie odplacić jej jakąś uszczypliwością.

Karolina rozglądała się ze zdumieniem. - Jest coś w tym miejscu... Nie wiem. Tak się czuję, jakbym je pamiętała, jakbym tu już kiedyś była... Nie rozumiem.

Aneta wstała. - Oprowadź nas po okolicy, Leo - poprosiła. - Zobaczmy, na co Ginny wydała pieniądze.

Lea uznała, że ta propozycja jest dobrym pretekstem, by pójść teraz do pokoju i doprowadzić się do porządku. Ubrać się i zrobić coś z włosami.

Szał odwinął się, kiedy wstawała. Karolina od razu wykorzystała okazję, by zrobić uszczypliwą uwagę. - Jedwabny sarong. Piękny. Czy to ostatnia moda?

- Tak sędzę - odparła Lea.

- Jesteś w tym bardzo szczupła - zauważyła Aneta. - Czy ty czasami coś jadasz?

- Jadam. Moja waga jest w średnich normach stosownie do wzrostu i do wieku.

- Dlaczego jesteś chudsza ode mnie?

- Bo ja nie mam dzieci, a ty masz pięcioro.

- Cztery ciążę.

- O cztery więcej niż ja albo Karolina - rzekła Lea, a potem dodała, ponieważ to było prawdą: - Wyglądasz zupełnie dobrze.

Następnie, wyciągając koniec szala spod ręki Karoliny, wstała. Poszły wszystkie trzy do domu.

Aneta i Karolina z zainteresowaniem oglądały pokoje na dole.

- Ładne... miła wieżyczka... interesujące rozwiązanie...

- padały ciche komentarze. Lea wymknęła się na górę. Zniknęła w sypialni, gdzie szybko doprowadziła do porządku swój wygląd. I kiedy znowu czuła się elegancka, zeszła na dół. Spotkała siostry na zewnątrz, na ganku. - I co o tym myślicie? - zapytała.

- Piękny dom - przyznała Aneta.

- Jedyne, czego brakuje, to jakichś dobrych obrazów na ścianach - zgodziła się Karolina.

- Chodźmy.

- Zobaczcie, jaki cudny ogród - rzekła Lea, prowadząc je przez trawnik.

- Ty uwielbiasz kwiaty.

- To prawda. - Pomyślała o ogrodniku i zastanowiła się, gdzie poszedł. Nie wspomniała mu przedtem o siostrach. Sama nie wiedziała przecież, że one tu się zjawiają.

- Co jest grane? Dlaczego to wydaje mi się takie znajome? - zastanawiała się Karolina.

- Róże.

- Jakie róże? Lea poprowadziła je na skały. Zapach stawał się coraz silniejszy w miarę, jak się zbliżały.

- Skalne róże - Aneta dotknęła różowego pączka.

- Róże nie mogą wydawać mi się znajome. Nigdy nie miałyśmy róż - zaprzeczyła Karolina.

- Nie - zgodziła się Lea. - Ale ten zapach... Podejdź bliżej, zamknij oczy i powiedz pierwsze słowo, które przychodzi ci na myśl.

- Mama - rzekła Aneta.

- Matka - powtórzyła Karolina.

- To są jej perfumy - wyjaśniła Lea. - Zawsze przysyłano jej perfumy na specjalne zamówienie. Nawet nie zwykły olejek różany, tylko dokładnie to. Skalne róże. Zawsze, odkąd pamiętam, używała tych perfum.

- To róże musiały wpłynąć na jej decyzję, gdy kupowała ten dom - wyraziła przypuszczenie Aneta.

- Nie mogła czuć tego zapachu oglądając kasetę wideo.

- Lea opowiedziała im, czego się dowiedziała. Nie ukrywała źródła informacji. - Matka jeszcze tutaj nie była. Nie widziała tego miejsca.

- Kupiła dom, którego nigdy nie widziała? - Aneta nie mogła tego zrozumieć. - I co? Zdecydowała się spędzić starość gdzieś, gdzie w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, jak będzie?

- Na to wygląda.

- To do niej zupełnie niepodobne. Co jej się stało? Początki Alzheimera?

- Nie sądzę. Karolina wzruszyła ramionami.

- Oszalała. Sprzedała dom w mieście, gdzie mogła prowadzić życie, do jakiego przywykła, by przeprowadzić się do jakiejś dziury, na absolutne pustkowie.

- To nie jest żadna dziura! - Lea poczuła niewytłumaczalną chęć obrony Gwiazdznego Zakątka. - Tu jest pięknie, a Downlee to też urocze miasteczko.

- Kiedyś wzięliśmy do siebie starą bezdomną kotkę - rzekła zamyślona Aneta. - Była stara, ale pokochała nas. Zawsze kładła się w tym pokoju, w którym był ktoś z nas. Nie wchodziła na kolana, czasami dzieci ją drażniły i wtedy trochę się odsuwała. Trzymała dystans, ale nigdy daleko nie odchodziła. Zawsze musiała być blisko

miejsca, w którym jesteśmy. Tam, gdzie coś się dzieje... Trochę jak nasza mama...

- Nie rozumiem - mruknęła Karolina. Aneta spojrzała na nią z roztargnieniem. - Chodzi o to, że nasza kotka zawsze musiała być blisko ludzi. Dopiero jak poczuła, że zbliża się śmierć, odeszła od nas daleko. Taki instynkt mają też niektórzy ludzie. Odsunąć się i umrzeć w samotności, w ukryciu. I to mi jakoś okropnie przypomina zachowanie naszej matki.

- To śmieszne - burknęła Karolina. - Matka nie jest kotką. Jest istotą towarzyską. Całe życie była otoczona ludźmi. Poza tym nie cierpi na nieuleczalną chorobę.

- Życie jest nieuleczalną chorobą.

- Ma dopiero siedemdziesiąt lat i cieszy się dobrym zdrowiem.

- Niezupełnie - mruknęła Lea. Siostry spojrzały na nią pytająco. Przypomniała im o kłopotach z sercem, jakie miała matka zeszłej jesieni.

Karolina wyglądała na oszołomioną. - Kłopoty z sercem?

- Wiesz chyba o tym. Przecież robiła badania.

- Nigdy nic mi nie mówiła o żadnych badaniach - zaklinała się Karolina. Zwróciła się do Anety. - A ty wiedziałaś coś o tym?

- Nic a nic - Aneta była tak samo zaskoczona jak Karolina. - Jakie badania?

Lea powiedziała im.

- Dlaczego nic o tym wcześniej nie mówiłaś?

- To była matki sprawa, nie moja. Poza tym myślałam, że o tym wiecie.

Aneta potrząsnęła głową. - Właściwie nie wiem, czemu się dziwię. Ginny zawsze czuła z tobą jakąś więź. Nic dziwnego, że właśnie ty o tym wiedziałaś.

- Powiedziała mi, bo chciała, żeby ktoś poszedł z nią do lekarza.

- Gwen mogła z nią posiedzieć w poczekalni.

- To nie to samo - upierała się Lea. - Chciała kogoś z rodziny.

Karolina wzruszyła ramionami. - Powiedziała ci coś takiego?

- Nie musiała mówić. To chyba naturalne.

- Pobożne życzenie.

- To naturalne - powtórzyła Lea, teraz już zirytowana. Nie lubiła, gdy Karolina przybierała ten władczy ton. Tym razem nie mogła

pozwolić się tak traktować. - Ty masz pracę, Aneta rodzinę. To naturalne. Z nas trzech właśnie ja mam najwięcej czasu.

Ale Karolina potrząsnęła głową. - To jeszcze jedna jej gra. Matka lubi ustawiać jedną przeciw drugiej. Jak kiedyś powiedziałam jej, że nie chcę iść na jakąś imprezę, to wzięła was obie do Nowego Jorku do teatru na weekend i zostawiła mnie w domu. Byłam ugotowana.

Aneta skinęła ze zrozumieniem. - Kiedy skarżyłam się, że nigdy jej nie ma w domu, jak wracam ze szkoły, postarała się, żeby przez następne sześć tygodni mieć czas tylko dla was.

- Kiedy ja powiedziałam, że nie chcę chodzić do prywatnej szkoły - dołożyła swoje Lea - to wam obu kupiła wtedy nowe ciuchy. Jakby to, co ja mam na sobie, od tej chwili zupełnie przestało się liczyć. Znam te jej zagrania, ale w ubiegłym roku naprawdę bardzo się denerwowała. Chciała iść do doktora z kimś bliskim i jeśli myślicie, że dla mnie to była świetna zabawa, zastanówcie się jeszcze raz. I jeśli wam się wydaje, że matka okazała mi wylewnie swoją wdzięczność, przemyślcie jeszcze raz to wszystko.

Aneta westchnęła. - Zatem nic się nie zmieniło.

- Prócz tego - zauważyła Lea - że jesteśmy tu wszystkie trzy w miejscu, do którego nie planowałyśmy jechać. I co, dziewczyny, wyjeżdżacie rano czy nie?

- Cieszyłaby się, gdybyśmy powiedziały wtedy „tak”. Byłaby zadowolona - mówiła Karolina Benowi, gdy zadzwoniła do niego późnym wieczorem. - Lea chciałaby mieć to miejsce tylko dla siebie. I mieć Ginny tylko dla siebie. - Zastanowiła się przez moment, po czym cicho przyznała: - Wszystkie byśmy tego chciały. Zawsze w takich chwilach odzywa się w nas dawna rywalizacja.

- Dawna czy aktualna?

- Dawna. Teraz wyrosłyśmy już z tego. Już ze sobą nie konkurujemy.

Ben mruknął coś z powątpiewaniem.

- Dobrze, rzeczywiście - zgodziła się Karolina. - Może trochę z tego jeszcze w nas zostało. Chcę być tutaj, kiedy Ginny przyjedzie. - Była wściekła na matkę. - Winna jest nam wyjaśnienie. Muszę to usłyszeć.

- Mogłabyś teraz wrócić do domu i zadzwonić za parę dni, żeby się dowiedzieć od siostr, co mówiła.

- Chcę usłyszeć to z jej ust. Chodzi mi o to, że... - zawahała się - jeden dzień dłużej, a może dwa... Oczywiście nie zamierzam czekać tu na nią całe wieki. Ale już tutaj jestem i muszę przyznać, że miejsce zostało dobrze wybrane. Okolica naprawdę piękna, a Gwen zrobiła pyszny obiad. Nie mam wątpliwości, że stara się zagłuszyć wyrzuty sumienia. Na pewno czuje się nie w porządku, że pomagała w tym oszustwie. Z moim biurem jestem w stałym kontakcie. Sprawy zawodowe mam całkowicie pod kontrolą.

- Dobrze, w takim razie to dla mnie prawdziwa ulga.

- Nie żartuj ze mnie. Jeśli coś się zdarzy, wracam najbliższym samolotem.

- A jeśli ja będę miał jakiś problem, to też wrócisz?

- W ciągu sekundy będę u ciebie.

- Ale nie chcesz wyjść za mnie za mąż?

- Ben! Westchnął. - Jesteś stanowczo za daleko.

- To głupie. Przecież gdybym była teraz w Chicago, też nie spędzalibyśmy razem tego wieczoru.

- Godzina drogi to brzmi dużo lepiej niż dwadzieścia.

- To ty mi kazałeś jechać.

- Tak? Naprawdę? Czy choć trochę za mną tęsknisz?

- Bardzo. - Jego głos ją uspokoił. Zanim sięgnęła po słuchawkę, miała chandrę, wręcz czuła się załamana. To było niewiarygodne, ale Ben, nawet z tej odległości, działał na nią jak balsam. - Jutro pojedę do miasta obejrzeć obrazy - powiedziała. - Ściany są zupełnie łyse. Liczę na to, że istotnie jest to miasteczko artystów, jak mówiłeś. Dobrze by było jeszcze przed przyjazdem Ginny powiesić tu coś odpowiedniego.

Pomyślała, że mogłaby poprosić Bena, by przysłał swoje obrazy. Ale nie miała już na to czasu, zresztą musiała mieć jakieś zajęcie. Wyprawa do galerii wydała jej się świetnym pomysłem. Nie wyobrażała sobie, że może siedzieć przy basenie i rozmawiać z Anetą o dzieciach albo z Leą o kwiatach. Kupno kilku dobrych płócien mogło być dobrym wyjściem z sytuacji.

- Zjedliśmy pyszny obiad - jeszcze raz zapewnił Jean - - Paul. - Zapiekanka, którą zostawiłaś, była doprawdy znakomita.

- Nat nie wyglądał na zadowolonego.

- Zadzwońska akurat wtedy, kiedy kłócił się z Tomem, który z nich będzie trzymał pilota. Akurat wypadło na Toma. Nie martw się, wszystko będzie w porządku. Jutro jego kolej.

- Nicole sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo chciała ze mną rozmawiać.

- Obie z Devon były już w drzwiach... Nie mówiły ci, że wychodzą do kina?

- Tak, ale sądząc po jej, głosie mogę wyobrazić sobie wiele innych rzeczy.

- Śpieszyła się. To wszystko.

- Powinam być tam z wami - rzekła z rozpaczą. - Ale Ginny jeszcze nie przyjechała. Poczekam, żeby się z nią zobaczyć. Lea zdecydowała, że zostanie tu całe dwa tygodnie, bo bardzo jej się podoba Gwiazdny Zakątek. Karolina również postanowiła poczekać. Jak mogę wyjechać, jeśli one obie zostają?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Potem Jean - - Paul powiedział łagodnie: - Nie możesz.

- Nie śmieć się ze mnie, Jean - Paul, w tym nie ma nic śmiesznego. Dochodzi do tego jeszcze sprawa z sercem matki. Lea nic nie powiedziała. Chodziła z nią do kardiologa w Filadelfii. Czy mógłbyś to sprawdzić? Zobacz, czy ten lekarz jest naprawdę najlepszy. Jeśli to sprawdzisz, przynajmniej będę się czuła, jakbym coś robiła, na coś była potrzebna... Ginny miała rację. Ten dom potrzebuje ciepła. Pojadę jutro do miasteczka i poszukam różnych drobiazgów, które nadadzą przytulności temu miejscu.

- Jak się mają twoje siostry?

Aneta westchnęła. - Karolina jak zwykle niemila i arogancka. I pomyśleć, że ona uważa, że taka powinna być nowoczesna kobieta.

- A jak Lea?

- Wspaniale. Na początku prawie jej nie poznałam. Zupełnie inaczej wygląda niż w mieście. Włosy rozpuszczone, potargane, ale ładnie jej tak. Pięknie wygląda. Siedziała przy basenie, otulona wełnianym szalem.

- Czy była miła?

- Raczej tak, ale to jej styl. Lekkie rozmowy towarzyskie o niczym. Przy obiedzie prawie cały czas opowiadała o kwiatach. Nie byłam pewna, czy umiałabym się włączyć do tej rozmowy. Nie znam się tak dobrze na kwiatach. Na szczęście miała tyle do powiedzenia.

Jean - Paul nie odpowiedział.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O tym, że dajecie sobie radę wśród ludzi, jesteście lubiane w towarzystwie. Nie rozumiem, dlaczego macie problem z normalną rozmową we własnym gronie.

- Bo one są moimi siostrami. Nie są jak inni ludzie. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale zrozumiałbyś, gdyby były twoimi siostrami.

- Mimo wszystko dziwię się, że nie potraficie się zaprzyjaźnić.

- Rodziny się nie wybiera.

- Ale czy jest jakiś powód, dla którego nie możecie być w przyjaźni? Nawet dwa tygodnie? Tak krótko?

- Tak, jest coś takiego. - Chciała jej się płakać, ale opanowała się. Rodzina zawsze była dla niej najważniejsza na świecie. - Po tylu latach wydaje się to zupełnie niemożliwe.

- Czy mówiły coś takiego?

- Nie. To wiadomo. Są tak samo niezadowolone z mojej obecności, jak ja z tego, że one też tu przyjechały. Poczekam jednak na przyjazd matki. Muszę z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co wymyśliła.

Lea chciała mieć Gwiazdny Zakątek tylko dla siebie. Pamiętała, jak cudownie tu było, zanim pojawiły się siostry. Przywiozły ze sobą złość i nerwy. Karolina, traktująca wszystko ze śmiertelną powagą i Aneta, zawsze wyskakująca ze swoim zdaniem. Każda z nich uważała, że właśnie ona jest najważniejsza i nie przejmowała się innymi. Lea pomyślała o sobie. Chyba jest taka sama.

Spróbuj, żeby znowu było dobrze, powiedziała sobie w duchu.

Znowu poczuła pustkę. Bezsens istnienia.

A już było tak dobrze. Kiedy w jej pustym, nijakim życiu pojawiło się coś takiego jak Gwiazdny Zakątek, bogactwo tego miejsca oczarowało ją bez reszty. To był świat sam w sobie, świat doznań zmysłowych, kraina zapachów, smaków i dźwięków. Od razu uznała Gwiazdny Zakątek za własny dom. To gwarantowało zadowolenie. Tu kończył się świat i żadna inna droga nie była już potrzebna. I Lea nie chciała szukać niczego innego. Postanowiła odzyskać to niedawne szczęście w Gwiazdnym Zakątku.

I właśnie dlatego zeszła teraz na dół. Karolina i Aneta były już w swoich pokojach i nie mogły niczego podejrzewać. Tymczasem Lea musiała wypełnić swoją sekretną misję. Odnaleźć radość.

Usiadła na ogrodowym krześle w rogu werandy. Długa biała nocna koszula zakrywała ją od szyi do pięt. Poza tym otuliła się szalem, który dobrze ją chronił przed chłodnymi podmuchami wiatru. Wciągała głęboko do płuc morskie powietrze. Przymknęła oczy, wsłuchana w szum fal.

Nie miała już napiętych mięśni. Nie myślała teraz ani o siostrach, ani o matce, ani o firmie, z której wypożyczyła samochód. Powinna poinformować ich o zadrapaniu lakieru, na razie jednak nie musiała się tym zajmować.

Wymyśliła, że to może skalne róże wydzielają jakąś substancję uspokajającą. W ciemności ich zapach stawał się delikatniejszy, ale przy tym bogaczy, kuszący, ponętny.

Nagle usłyszała plusk wody. Szybko otworzyła oczy, początkowo nie rozumiejąc znaczenia tego dźwięku. Dopiero po chwili zorientowała się, że ktoś pływa w basenie. Lecz przecież nikt nie wychodził z domu. Słyszałaby skrzypnięcie drzwi, jakieś kroki. Poza tym nie mogła wyobrazić sobie żadnej ze swoich sióstr, a tym bardziej Gwen, w środku nocy kąpiących się w basenie.

To był ogrodnik, Jesse Cray, który mieszkał w chatce koło lasu. Jego ramiona regularnie przecinały wodę, wilgotna skóra błyszczała w poświacie nocy. Rytmicznie wynurzał rozchylone usta, by zaczerpnąć powietrza. Słyszała jego oddech.

Na dole fale uderzały o skały. Szumiał ocean.

Poczuła wewnętrzne drżenie. Jesse był atrakcyjnym mężczyzną. Nie do porównania z tymi, których kiedykolwiek zdarzyło jej się spotkać.

Zastanawiała się, czy on tak pływa każdej nocy. Jak długo trwa taki trening? I czy Jesse ma na sobie slipki.

Pływał jeszcze około piętnastu minut. Robił ładny sportowy nawrót dość blisko miejsca, w którym siedziała, potem płynął do drugiego brzegu i wielokrotnie to powtarzał. Wreszcie zatrzymał się. Zrobił kilka wydechów. Oparł łokcie na drewnianej podłodze tarasu. Odpoczywał tak przez parę minut, po czym uniósł się na łokciach, podciągnął... i nagle znalazł się na brzegu.

Nie była przygotowana na ten gwałtowny ruch.

Jesse sięgnął po ręcznik i wytarł nim głowę. Spojrzała niżej. Nie był nagi. Miał na sobie coś mokrego, co ściśle przylegało do jego bioder.

Nagle podniósł głowę i rozejrzał się. Lea nie poruszyła się. Jesse mimo to wyczuł jej obecność. Wycierając powoli ramiona, zbliżył się do niej. - Jest tu ktoś? - zapytał.

- To ja - odparła, owijając się szczelniej wełnianym szalem.

Podszedł do niej. - Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Przyszłam tu posiedzieć. To takie ładne miejsce. - Próbowała nie patrzeć, jak owija ręcznik wokół bioder. - Co noc tak pływasz? - zapytała.

- Tylko w sezonie. Basen nie jest ogrzewany. Potem robi się chłodno. - Rozejrzał się. - W nocy jest inaczej. Wszystko jest bardziej intensywne. Kiedy nie można widzieć, słyszy się więcej i czuje.

To było właśnie to, czego doświadczała tutaj, siedząc z zamkniętymi oczami.

- Lubisz noc? - zapytała.

- Bardzo - odparł. Ręcznik trzymał teraz w ręku. Włosy, jeszcze mokre,

przyczesał do tyłu. Na jego ramionach połyskiwały krople wody. Pomyślała, że może być mu zimno.

- Umiesz pływać? - zapytał.

- Wiem, jak to się robi, ale nie mam dużej wprawy. W miejscu, z którego przyjechałam, baseny służą raczej jako dekoracja. Marnotrawstwo, prawda?

- Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Och, używają basenów, ale nie do pływania. Siedzą nad wodą i rozmawiają. I jeżeli ktoś pływa, to już na pewno tylko mężczyźni. Panie boją się o makijaż.

Musnął jej policzek. - Ty nie masz teraz makijażu.

Przez chwilę nie mogła oddychać. Zupełnie nie mogła oddychać. Wreszcie jakoś zmusiła swoje płuca do funkcjonowania. - Już położyłam się spać, ale nie mogłam zasnąć i zeszłam na dół.

Delikatnie dotknął kołnierza jej nocnej koszuli, paseczka jasnej koronki, wystającej spod szala, niemal fluoryzującej w nocy nad bursztynową dzianiną. Podciągnął wyżej szal.

Lea myślała, że umrze. Delikatność jego dotyku rozpalila ją prawie tak samo jak jego siła i męska sylwetka. I jabłko Adama... tak bardzo męskie...

- Kiedy przyjeżdża twoja mama? - zapytał. Mama... Lea próbowała wrócić do rzeczywistości. Pytał o Ginny.

- Hmm... Może jutro, może jeszcze nie jutro...

- Jak długo tu będziesz? Nogi miała miękkie jak z waty. Nie mogłaby wstać, ani tym bardziej wrócić do domu. - Jeszcze kilka minut.

Roześmiał się. - Pytałem, jak długo będziesz w Gwiezdnym Zakątku?

Próbowała zobaczyć jego uśmiech, ale było zbyt ciemno. Też się zaśmiała. Nie mogła nic na to poradzić. I nie dlatego, że rozbawiło ją to drobne nieporozumienie, po prostu ogarnęła ją jakaś dziwna lekkość.

- Dwa tygodnie. Skinął głową i nagle poczuła jego spojrzenie, mimo nocy tak intensywne i gorące. Potem podniósł się z taką samą zwinnością, z jaką wychodził z basenu. - Muszę już iść do domu. Wcześniej teraz robi się widno, a chciałbym jeszcze pospać.

- O której wstaje słońce? - zapytała z lekkim rozczarowaniem.

- O piątej. Lubię, żeby grządki były podlane, zanim jeszcze słońce znajdzie się wysoko na niebie.

Lea obserwowała, jak zniknął za basenem. Wpatrywała się w ciemność szeroko otwartymi oczyma. Potem skuliła się i mocniej otuliła szalem. - O Boże! - szepnęła.

I czekała jeszcze kilkanaście minut, zanim ustąpiło wewnętrzne drżenie i mogła wrócić do domu.

Rozdział 7

Wendell Coombs przeszedł, powłócząc nogami, i usiadł na lewym końcu długiej drewnianej ławki. Zawsze, od kilkudziesięciu lat, siadał tu koło sklepu wielobranżowego na lewym końcu ławki, który był bliższy wschodniej części miasteczka, gdzie mieszkał. Zachodnia strona miasteczka była reprezentowana przez Clarence'a Harta. Siedemdziesięcioletni przyjaciel Wendella zajmował prawy koniec ławki.

Dzielił ich mniej więcej metr. Zawsze tak było. Ta odległość musiała być zachowana. Wendell nie cierpiał zapachu fajki Clarence'a, a Clarence nie lubił zapachu kawy, którą pił Wendell. Nikt nigdy nie odważył się zająć pustego miejsca między nimi. Może z wyjątkiem jakiegoś dziecka, które jeszcze nie było świadome i przysiadło tam na chwilę. Ten metr odległości był kanałem, przez który przepływały plotki pomiędzy wschodnią i zachodnią częścią miasteczka.

- Witaj, Clarence - powiedział Wendell. Clarence skinął głową. - Witaj, Wendell.

- Idzie na pogodę.

- Mhm. Wendell pociągnął łyk kawy i skrzywił się. Znowu za słodka. Wiadomo, pewnie dodali wanilii albo jakiegoś innego paskudztwa. Mavis w swojej gospodzie nie podałyby czegoś takiego. To był smutny dzień, kiedy Mavis zamknęła swoją knajpę. Nikt już nie umiał parzyć dobrej kawy, takiej jak za dawnych lat.

Wendell dobrze wiedział, dlaczego schodzi na psy. Wszystkiemu winne komputery. Miasto zostało zarzucone potworną ilością komputerów. Wykorzystywano je do spisu inwentarza, do prowadzenia rachunków, a nawet w sklepach wprowadzono komputerowe kasy. Przyjmowano zamówienia na różne dziwaczne gatunki kawy, a nikt już nie parzył czarnej kawy na staroświecką modłę.

Nikt. No, może oprócz artystów, ale ci niewiele lepsi od komputerów.

Oparłszy kubek na udach, powiódł wzrokiem po głównej ulicy. Pozornie nic tu się nie zmieniło, ale Wendell nie miał zaufania do pozorów. Krzywiąc się pociągnął kolejny łyk kawy. Znowu postawił kubek na udach. - Słyszałem, że mamy towarzystwo - powiedział do Clarence'a albo gdzieś w przestrzeń.

- Mhm. Spojrzał na Clarence'a. - Skąd wiesz?

- Cał podwoził je z Portland.

- Wszystkie?

- Dwie. A są trzy.

- Trzecia też przyjechała - rzekł Wendell z wyraźną ulgą. Nie lubił, kiedy Clarence wiedział więcej od niego. - Przyjechała tu wczoraj w nocy. Szef musiał pokazać jej drogę. - Zachichotał. - Niezbyt bystra.

Clarence wyjął z kieszeni fajkę.

- Cał mówi, że nie chcą być tutaj długo.

- To dobrze. Niech się wynoszą.

- Cał mówi, że siostry się nie lubią. To wcale nie zdziwiło Wendella. W bogatych rodzinach zawsze wszyscy są przeciw sobie. Tyle że w Gwiezdnym Zakątku żadne wojny nie są potrzebne.

- Szef mówi, że najstarsza ma czterdzieści lat. Ciekawe, czy to prawda. Czy nie czterdzieści trzy.

Clarence zaczął czyścić fajkę.

- Szef wszystko sprawdził - rzekł Wendell. - Najstarsza jest prawnikiem w Chicago. Pracowała dla człowieka, który się nazywa Baretta.

Clarence wiedział, co Wendell ma na myśli. Całe miasteczko zastanawiało się nad tym. A przynajmniej każdy, kto mógł wczoraj rozmawiać z szefem. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowało Downlee, to jacyś obcy prawnicy.

- Cał mówi, że najstarsza ma przyjaciela. To on jej kazał tu przyjechać.

Wendell zastanawiał się przez chwilę. - Może być równy gość, może być drań. Nie potrzebujemy tutaj obcych.

Clarence otworzył mieszek i zaczął napełniać fajkę tytoniem. Kiedy Callie Dalton wchodziła na schody, lekko uchylił czapki. - Dzień dobry, Callie.

- Dzień dobry, Clarence. Wendell w tym czasie patrzył w inną stronę. Callie

Dalton była żoną zdrajcy. Kiedy parę lat temu całe miasteczko zgodziło się trzymać razem przeciwko napływowi niebezpiecznego elementu, George Dalton wyłamał się z tej umowy i wynajmował domy artystom. Wszyscy wiedzą, że artyści to nic dobrego.

Mężczyźni żyją z mężczyznami, kobiety z kobietami... Takich ludzi należy przepędzić z Downlee. Im prędyj, tym lepiej.

Zresztą teraz już za późno, żeby zrobić z tym porządek. Coraz więcej artystów przybywało do miasteczka. Rodowici mieszkańcy znaleźli się w mniejszości. Artyści panoszyli się, gdzie tylko mogli, wtrącali się we wszystkie sprawy Downlee. Wprowadzali własne obyczaje...

Clarence skończył napełniać fajkę.

- Cał mówi, że ta jedna z St. Louis narobiła kłopotów swojemu mężowi.

- Te miastowe to tak zawsze - zdecydował Wendell.

- Artyści i kobiety z wielkich miast to prawdziwa zaraza. Jak stonka ziemniaczana albo gorzej. Jeżeli ona myśli, że będzie sobie pogrywać z mężczyznami z Downlee, to niech się jeszcze raz zastanowi.

Hackmore Wainwright przejechał swoim pickupem i skierował się w stronę portu. Wendell kiwnął mu ręką, po czym powrócił do wymiany informacji.

- Będzie problem z najmłodszą, gdyby mnie ktoś o to pytał. Szef mówi, że to słodka, bezradna blondynka.

Clarence znał takie bezradne dziewczyny. Spotkał jedną taką pięćdziesiąt lat temu i ożenił się z nią. Od razu po ślubie okazało się, że wcale nie jest taka bezradna i delikatna, na jaką wyglądała. Pozwalała mu jednak przesiadywać na ławce przed sklepem. Postawiła tylko jeden warunek - musiał pomagać jej rozwieszać pranie.

- Trzeba by ostrzec Jessego - poradził Wendell. Clarence zastanawiał się, czy to byłoby słuszne.

- Całe miasto powinno być ostrzeżone - dodał Wendell. - Te miastowe kobiety to nic dobrego. Jeszcze tego nam brakowało, żeby przywlokły nam tu narkotyki albo jakieś inne paskudztwo.

Clarence pomyślał o narkotykach. Nawet z tymi wszystkimi artystami Downlee pozostało czyste. Moda na narkotyki jeszcze tu nie dotarła. Czy grozi im to teraz?

- Czy myślisz, że szef wie o narkotykach?

- Dowie się ode mnie - obiecał Wendell. Zadumał się nad niebezpiecznym elementem w Downlee.

Artyści przynajmniej pracowali. Na swój sposób. Wątpliwe, czy Virginia St. Clair kiedykolwiek skalała się pracą.

- Nie wiesz, dlaczego ona kupiła Gwiazdny Zakątek? Chyba nie myśli, że będzie tutaj organizować przyjęcia i bale?

Clarence włożył do ust fajkę i wyobraził sobie wielki bal w Gwiazdnym Zakątku. Światła, śmiechy, muzykę... Temu domowi wyraźnie brakowało takich rzeczy - pomyślał trochę wbrew sobie. - Co mówi o tym Elmira?

Wendell z niechęcią pomyślał o swojej żonie. Pociągnął nosem. - Gada, że tamta przyjechała, żeby tutaj umrzeć. Niedobrze, że kupiła to miejsce. Oj, niedobrze.

Pociągnął łyk kawy, tym razem większy niż poprzednio, aż mu się odbiło. - Cholerna kawa - mruknął. - Wszystko przez te komputery. Gdyby mnie ktoś pytał, wszystko przez komputery.

Rozdział 8

Zegar biologiczny Karoliny funkcjonował bez zmian, co oznaczało, że obudziła się jak zwykle o szóstej rano, według czasu chicagowskiego, a w Maine dochodziła już siódma. I musiała, jak zwykle, rozpocząć dzień szklanką mocnej herbaty. Ubrała się i zeszła do kuchni. Tam, mimo wczesnej pory, zastała już Leę, która właśnie wlewała wrzątek do dzbanka.

Karolina lubiła sama sobie robić herbatę i była przygotowana na najgorsze. Ku jej zaskoczeniu napar okazał się wyśmienity. - Co to za gatunek? Nigdy nie piłam nic tak pysznego.

Lea przeglądała gazetę. - Co ja tam wsypałam? Chyba „Darjeeling”... Nie, już wiem, „Earl Grey”. W szafce było kilka gatunków, ale to na pewno „Earl Grey”.

- Nie pijesz herbaty z torebki? Parzysz z liści? - dziwiła się Karolina. - To, co piła, miało niezwykły, bogaty smak. Pachniało cudownie i dawało siłę. - Jestem pod wrażeniem - przyznała.

Lea lekko wzruszyła ramionami. - Umiem gotować i lubię to robić. A zresztą nawet taki nierób jak ja musi jakoś żyć.

- To ty powiedziałaś, nie ja - ostrzegła Karolina. - Ja nie jestem błyskotliwa ani agresywna, dopóki nie wypiję przynajmniej dwóch szklanek herbaty. W tej chwili więc nie stać mnie jeszcze na żadne złośliwości. - Uważnie przyglądała się siostrze. - Zawsze wstajesz tak wcześnie?

Lea odłożyła gazetę. - Nie zawsze chodzę na przyjęcia, Karolino. Poza tym chciałam obejrzeć wschód słońca. Karolina była zdziwiona. - I jak, obejrzałaś?

- Tak, oczywiście. Nasze sypialnie wychodzą na wschód. Specjalnie zostawiłam odsłonięte zasłony.

- Ja zawsze wieczorem zasłaniam okno. Robię to już zupełnie odruchowo.

Lea wydawała się w dobrym nastroju. - Wczoraj wieczorem też zasłoniłam okno. Dopiero potem zdałam sobie sprawę, co straciłam i postanowiłam drugi raz nie popełnić tego samego błędu. Słońce lśniło na wodzie, potem przesunęło się na urwisty brzeg, rozświetliło kwiaty... - Wydała z siebie okrzyk zachwyty.

Wzrok Karoliny spoczął na wazonie, który stał na środku stołu. - Delphinium?

- Tak, z naszego ogrodu. Tutaj podciąłem je krócej niż lubię, ale w innych pokojach mogłam zostawić dłuższe łądygi. Były tak niesamowite, że musiałam mieć je tutaj, wziąć do domu. Szkoda, że nie będą długo stały.

Karolina popijała herbatę rozkoszując się cały czas jej smakiem. Drzwi na taras były otwarte.

Powietrze z dworu dochodziło rześkie, przepojone zapachem kwiatów. Napawało to dziwnym spokojem, dawało poczucie wolności. Karolina pomyślała, że chociaż Gwiazdny Zakątek jest bardzo daleko od Chicago, mimo wielu różnic przypomina jej to bardzo miejsce, w którym mieszka Ben.

Pomyślawszy o Benie, poczuła się samotna.

- Chcę dziś rano zobaczyć galerie w Dawnlee - powiedziała. - A jak twoje plany, Leo?

- Mam ciekawą książkę.

Karolina odkryła ze zdziwieniem, że może być przyjemnie siedzieć z Leą w kuchni. Kiedyś, dawno temu, bawiły się razem. Ona miała jedenaście lat, a Lea pięć. Wtedy obie były dziećmi. Potem dwanaście i sześć. I wreszcie ich drogi się rozeszły. Karolina zrobiła się dorosła. Studiowała. Poza tym rywalizowały ze sobą o względy Ginny.

Teraz jednak Karolina nie rywalizowała z Leą. Gwiazdny Zakątek usposabiał zbyt pokojowo, żeby chciało się kłócić. Lea wyglądała tak jakoś bezbronne, trochę jak dziecko.

- A może pojechałabyś ze mną? - zapytała niespodziewanie miło.

Lea uśmiechnęła się, ale potrząsnęła głową. - Zostanę tutaj.

Karolina nie nalegała. Spokojnie patrzyła na pierwszą stronę gazety, popijając kolejną szklankę herbaty. To nie był „Sun Times”, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Wypiła i poszła na górę ubrać się. Kiedy wróciła na dół, zastała Anetę uwieszoną przy telefonie.

- Tak, Devon, ja to rozumiem. Ale jeżeli Toma boli brzuch, to nie jest dobry pomysł... Nie, nie, nie zgadzam się na to. Pływanie łódką po rzece możecie odłożyć na później. Idźcie do hali sportowej.... - Podniosła wzrok. - Wybierasz się do miasta, Karolino? - spytała, zakrywając słuchawkę dłonią. - Tak, to dobry pomysł, Devon, jestem pewna, że mu się to spodoba.

- Biorę volvo - rzekła Karolina. - Kluczyki są tam, gdzie mówiła Gwen.

- Poczekaj! Już idę! - zdenerwowała się Aneta. - Devon, muszę teraz kończyć. Zadzwońię po lunchu. Devon, pamiętaj, cokolwiek by się działo, nie pozwól Tomowi jeść niczego ostrego. Mogłabym się założyć, że zaszkodziły mu te pikantne hot dogi, które jedliście wczoraj. Daj mu coś łagodnego, kochanie, coś lekkostrawnego. Banany albo kanapkę z serem, dobrze?

Karolina czekała w drzwiach. - To musi być wygodne mieć męża lekarza. Możesz się nie przejmować, że go boli brzuch.

- Wręcz przeciwnie - mruknęła Aneta. - Taki zwykły ból brzucha to dla niego nic w porównaniu z różnymi okropnościami, z jakimi spotyka się na co dzień. Może zbagatelizować, a potem będzie za późno, żeby uniknąć tragedii.

- To po prostu ból brzucha. Na pewno nie musisz wracać z tego powodu.

- Chyba nie - rzekła Aneta bez przekonania. Karolina prowadziła ostrożnie.

- Nie chciałabym jechać tą drogą w deszczową noc po wypiciu paru drinków - powiedziała. - Ostre zakręty i drzewa. Czy wiesz, ile jest spraw sądowych w związku z prowadzeniem pojazdu w stanie wskazującym na spożycie alkoholu?

- Pamiętasz, jak miałyśmy ospę? - zapytała nagle Aneta. Karolina rzuciła jej zagadkowe spojrzenie.

- Ospę? Hmm... miałam wtedy dziewięć lat.

- Ja miałam sześć lat, a Lea trzy. Matka zdecydowała, że będzie najwygodniej, jeśli wszystkie trzy będziemy chorować w tym samym czasie i zawiozła nas do małego chłopca z przedszkola Lei, żebyśmy się zaraziły. I po trzech tygodniach wszystkie miałyśmy gorączkę i wysypkę. I co robiła wtedy Ginny?

- Przychodziła i wychodziła, jak zwykle.

- Przyniosła nam książeczki do kolorowania. Identyczne, chociaż byłyśmy w różnym wieku i miałyśmy odmienne zainteresowania. Pamiętam, jak siedziała na krześle u siebie w pokoju, trzymając na ręku Leę.

- Nie tylko Leę, ale i ciebie - przypomniała Karolina.

- Pamiętam, że tylko Leę. Karolina jednak wiedziała lepiej, jak bardzo czuła się wtedy zraniona. - Was obie, jestem tego pewna. Nie chciałam książeczki do kolorowania. Podała mi z półki „National

Geographic". Powiedziała, że mi się spodoba. Owszem, to było ciekawe, ale nie o to mi chodziło.

- Chciałaś, żeby posiedziała przy tobie - przytaknęła ze zrozumieniem Aneta. - Ale z nami też nie była tak zupełnie do końca. I już na pewno nie całym sercem. Nigdy nie wierzyłam, że choć trochę niepokoiła się o nas, gdy byłyśmy chore. Znosiła to tak dzielnie. Pamiętam, jak powiedziała: „Nie jesteście pierwszymi, które chorują na ospę i nie będziecie ostatnimi". U niej wszystko musiało być jak w zegarku. Brakowało miejsca na jakąkolwiek spontaniczność.

- Życie było jednym długim, metodycznie zaplanowanym pasmem wydarzeń. Nie zdarzało się nic nieprzewidzianego.

Karolina zgodziła się z tym. Ginny nigdy nie sięgała po czerwień, fiolet czy pomarańcz. Na wyjątkowe okazje najlepszy był kolor kości słoniowej, najwyżej wstawki z różowego lub bladozielonego. Ale nigdy żaden intensywny odcień.

- Chciałam, żeby podeszła i mnie przytuliła - mówiła Aneta. - Albo żeby nawet krzyknęła. Tylko nie ten doskonały spokój, ta obojętność.

- Ginny nigdy nie dała się ponieść emocjom.

- Nigdy nie angażowała się w nasze sprawy. Nie troszczyła się o nasze uczucia. Jakby sporządzono dla niej listę, czego wymaga się od wzorowej matki. Stosowała się do tego punkt po punkcie. Oczekiwała od nas właściwych rzeczy i sprawdzała je rzetelnie. Swoją robotę wykonała perfekcyjnie. Nigdy nie lekceważyła obowiązków. Staram się nie popełniać jej błędów. Zrozumieć, czego potrzebują moje dzieci, czy są zadowolone, czy też mają jakiś problem.

To przecież nic złego, Karolino, kiedy się denerwuję, że Toma boli żołądek.

Karolina musiała przyznać jej rację. W pełni się zgadzała z opinią Anety na temat Ginny. Nawet jeśli Aneta przesadzała w drugą stronę.

- To na pewno miłe, że myślisz o Tomie, ale nie musisz z tego powodu wracać do domu. Inni mogą się nim zająć. On wie, że o nim pamiętasz. Zawsze przy nim byłaś. Wie, że musiałaś wyjechać, bo Ginny ma do nas jakąś sprawę. Nie przestanie cię kochać.

- Wiem.

- Miłość do matki jest niezwykle silnym uczuciem. Można nie lubić swojej matki, mieć do niej pretensje, ale nadal się ją kocha.

Widziałam maltretowane, zaniedbane dzieci, które powinny uciec z domu i nawet się nie oglądać za siebie. A jednak zostają. Płaczą, gdy próbuje się je odebrać rodzicom.

- Miłość nie jest tu jedynym powodem.

- Nie, ale na pewno najważniejszym. Kiedy jesteś dzieckiem, nie umiesz tego nazwać. Kiedy dorastasz, walczysz z tym. W końcu opuszczasz dom i myślisz, że z tego wyrosłaś, ale to nieprawda. Możesz sobie mówić, że to nie istnieje, ale kiedy widzisz swoją matkę po długiej nieobecności... zmarszczki na szyi albo plamy wątrobowe, niepokoisz się. Potem, kiedy ona pisze, że skończyła siedemdziesiąt lat, nie możesz wyprzeć się tej miłości. Czujesz lęk...

- Więc bierzesz bilety, które przysłała i wykorzystujesz je... Nawet jeśli myślisz, że to jest ostatnia rzecz w świecie, na jaką masz ochotę - dokończyła cichym głosem Aneta.

Karolina uśmiechnęła się z wdzięcznością. Wreszcie, choć raz, nadawały na tej samej fali. Potem skierowała uwagę na niewielkie centrum miasteczka, do którego właśnie wjechały.

Przy głównej ulicy znajdowały się sklepy z rzeczami niezbędnymi na co dzień. Spożywczy, księgarnia, apteka...

I jeszcze poczta. Karolina zostawiła Anetę przy sklepie wielobranżowym, żeby mogła obejrzeć centrum, a potem kupić prezenty dla dzieci. Sama pojechała dalej i skręciła na nabrzeże. Tam, wtłoczone pomiędzy stragany z rybami i magazyny, znajdowały się pracownie malarskie i galerie. Naliczyła po drodze aż cztery i zatrzymała się, chociaż jakaś starsza kobieta zapewniała ją, że dalej będzie tego więcej.

Weszła do pierwszej z brzegu galerii, energicznie popychając ciężkie, drewniane drzwi. Mało nie skręciła nogi, kiedy okazało się, że podłoga jest kilkanaście centymetrów niżej. - Uwaga na stopień - usłyszała już po fakcie.

Gdyby Karolina była w Chicago, powiedziałaaby temu człowiekowi, co myśli o braku znaku ostrzegawczego „Uwaga stopień”. Takie rzeczy są wymagane przez prawo. Aż się prosiło, żeby zaskarżyć właścicieli o wielkie odszkodowanie. Ale tu, w Downlee, ludzie się nie procesowali. Nikomu nie chciało się kłócić i z pewnością taki drobiazg, jak skręcenie nogi, też mogli puścić w niepamięć.

Nic więc nie powiedziała. Stała pośrodku i rozglądała się.

Na drewnianych ścianach wisiały obrazy, jeszcze inne stały na podłodze jeden przed drugim. Widziała krajobrazy, morskie pejzaże... Zafascynowała ją niezwykła kolorystyka.

- Czy pani szuka czegoś specjalnego? - zapytał siedzący w rogu mężczyzna.

- Możliwe - odparła Karolina. - Będę wiedziała, jak to znajdę.

Jej wzrok zatrzymał się na przepięknym płótnie. To była luźna kompozycja. Łąka wypełniona kwiatami we wszystkich odcieniach morza. Od razu wiedziała, że pasowałoby to do Gwiazdnego Zakątka.

- Czy pani jest tu przejazdem? - zapytał mężczyzna, podchodząc do niej.

- Przyjechałam tu na dwa tygodnie - rzekła, nadal patrząc na obraz. Potem odwróciła się i wyciągnęła rękę do malarza. Był koło pięćdziesiątki, z krótką bródką, ubrany w niebieskie dżinsy. - Karolina St. Clair - przedstawiła się. - Moja matka jest nową właścicielką Gwiazdnego Zakątka.

Mężczyzna podał jej rękę powoli, z pewnym wahaniem. Prawdopodobnie nieczęsto wymieniał z kimś uścisk dłoni, tym bardziej z kobietą. Przyglądał jej się uważnie. - Jest pani córką nowej właścicielki Gwiazdnego Zakątka? - upewnił się.

Skinęła głową. - Przyjechałam tu wczoraj wieczorem.

- Czy mama też już przyjechała?

- Nie, jeszcze nie. Powinna być tu jutro.

- Mam pewne wątpliwości, czy zamieszka tu na stałe. W porównaniu z wielkim miastem to przecież zupełnie pustkowie.

Karolina już miała na końcu języka, że podziela jego wątpliwości, ale zdołała się powstrzymać. - Nie jestem pewna - rzekła spokojnie. - Może będzie chciała mieszkać tu cały czas, a może będzie wolała spędzać zimę gdzieś w cieplejszym klimacie. - Wskazała na obraz. - Bardzo ciekawe płótno. Czy to pan malował?

- Tak.

- Czy wszystkie te obrazy to pańskie dzieła?

- Nie wszystkie. Wielu artystów maluje tutaj, a potem zostawia u mnie płótna. Biorę tylko najlepsze rzeczy do sprzedaży.

- Żyje pan głównie z turystów?

- Umarłbym z głodu, gdybym miał liczyć na turystów

- zachichotał. - Nie, jest tu parę osób, które handlują obrazami. Daję im moje rzeczy, a oni przywożą mi całkiem niezłe sumki.

Karolina mogła to sobie wyobrazić. Choć ten człowiek nie wyglądał na takiego, któremu zależałoby na pieniądzach. Raczej na takiego, który czuje się najszcześliwszy w starych, wygodnych dzinsach i najchętniej otacza się przedmiotami bliskimi sercu, ale niekoniecznie eleganckimi. Widziała jego sztalugi - zwykła deska, prawdopodobnie z dużych drewnianych drzwi. Na tym rozpięty był obraz

- konie, jakaś maszyna... Pracownia urządzona była surowo. Nawet nie zainstalował tu światła. Prawdopodobnie pracuje tylko do zmroku. Czynsz musi być śmiesznie mały...

- Jaka ona jest? Pani matka? - zapytał. Karolina odwróciła się do niego trochę zbyt gwałtownie.

- Nie miałem na myśli nic złego - rzekł szybko. - Ot, po prostu ciekawość. Rzadko ktoś przeprowadza się tutaj z wielkiego miasta. Wracają ludzie, którzy tu się urodzili i potem na jakiś czas musieli wyjechać. Albo przyjeżdżają do przyjaciół czy też do rodziny...

Mogła zrozumieć jego punkt widzenia. Jednakże nie miała chęci na otwieranie serca przed nieznanym. Ani też, mimo niesnasek rodzinnych, nie zamierzała mówić nic złego o matce.

- Chyba dość miła.

- Czy jest ładna?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Och, naprawdę, proszę się nie gniewać. Nie, oczywiście, to zupełnie nieistotne. Zwykła ciekawość, przepraszam.

Malarz po prostu był ciekawski, a Karolina, wychowana w dużym mieście, we wszystkim dopatrywała się podstępów i intryg. Pomyślała teraz, że do tego miejsca bardziej pasuje szczerść i radość.

- Tak, matka jest ładna - przytaknęła. Zwróciła się w stronę obrazu. - Czy to miejsce naprawdę istnieje gdzieś tu w okolicy?

- To moja wizja rzeczywistości. Nigdy nie kopiuję tego, co widzę przed sobą. Choć oczywiście opiera się to na wielu rzeczywistych lokalnych widoczkach.

- Mówi pan zupełnie jak mój przyjaciel. Też jest artystą.

- Pani przyjaciel ma rację. Gdzie on mieszka?

- Na północ od Chicago.

- Pani też tam mieszka?

- Tak, w samym mieście.

- A pani matka? Słyszałem, że pochodzi z Filadelfii.

- To prawda.

- ...i że teraz jest wdową. Kiedy umarł jej mąż?

Karolina znowu poczuła, że musi mieć się na baczności. Stanowczo nie przywykła do tego, że ktoś zupełnie obcy zadaje jej tyle pytań natury osobistej. To budziło niepokój. Ale z drugiej strony, data śmierci jej ojca nie stanowiła żadnej tajemnicy.

- Trzy lata temu.

- Czy on był pani ojcem? Trwało dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała. - Tak.

Gwizdnął przeciągle. - To całkiem spory kawał czasu byli małżeństwem.

- Nie jestem aż taka stara - mruknęła Karolina, przyglądając mu się ze zdziwieniem. - A może myśli pan, że powinno się częściej zmieniać partnera? A swoją drogą mówi się o ludziach z Maine, że są milczkami. Więc albo stereotyp jest zły, albo pan jest wyjątkiem.

- Coś w tym stereotypie jest - zaśmiał się. - Jak powiedziałem już wcześniej, zdziwiło nas, że pani matka kupiła Gwiazdny Zakątek.

Karolina przypomniła sobie niechęć taksówkarza, który je wiozł z Portland.

- Myśli pan, że będą ją traktować jako kogoś obcego i trzymać na dystans? - zapytała.

- Niekoniecznie. To zależy od niej. Nie jesteśmy uparci ani agresywni. Może po prostu ostrożni - uśmiechnął się. - I ciekawscy.

Jego uśmiech był tak niewinny, że nie mogła się gniewać. A także dlatego, że był otoczony znajomymi zapachami farb i oleju, który kojarzył jej się z Benem... Została jeszcze chwilę, oglądając inne obrazy. W końcu zdecydowała się kupić ten, który spodobał jej się na początku. Potem poszła do następnej galerii.

To był dom pracy trzech kobiet. Dwie z nich siedziały przy sztalugach. Trzecia od razu podeszła do Karoliny. Miała na imię Joy i pochodziła z Nevady. I ona też chciała wiedzieć wszystko o nowej właścicielce Gwiazdnego Zakątka. Rozbawiona tym Karolina cierpliwie odpowiadała na pytania, mówiąc troszeczkę więcej niż poprzednio.

To samo przydarzyło się w następnej galerii. Ta była najmniejsza i wchodziło się do niej przez drewniany taras. Wewnątrz wisiały portrety. Robili je wspólnie kobieta i mężczyzna. Malowali ze zdjęcia

i następnie przesyłali pocztą do klienta. - Daje nam pani swoją fotografię, my wysyłamy portret - wyjaśnili uprzejmie.

Ale to było wszystko, co powiedzieli o sobie. Oni także chcieli dowiedzieć się czegoś o Ginny.

Karolina zaczęła się czuć jak ktoś bardzo sławny, wręcz znakomitość. Nadal jednak starała się nie udzielać konkretnych informacji. Doszła do wniosku, że tu nie chodzi o nią, a decyzja w sprawie, co mówić ludziom z Downlee, należy do Ginny.

Aneta lubiła pogaduszki w sklepie. Wyszła z centrum miasta na uliczki, przy których znajdowały się sklepy z rękodziełem. Zdumiała się bogactwem wyrobów. Nigdy nie widziała w jednym miejscu tak wielu ślicznych drobiazgów. Haftowane poduszki, kilimy, dywaniki... Artystki większość tego robiły na miejscu, w sklepie, czekając na klientów. Chętnie odpowiadały na przeróżne pytania, dotyczące wyrobów, ale tylko do tego momentu, kiedy Aneta im się przedstawiła. Wtedy one zaczęły zadawać pytania.

- Dlaczego pani matka zdecydowała się kupić Gwiazdny Zakątek? - zapytała jedna.

- Kto będzie mieszkał w tym domu? - druga.

- Jaka ona jest? - zaciekawiała się trzecia, podczas gdy Aneta zastanawiała się, jak odpowiedzieć na dwa pierwsze pytania. Na pewno nie chciała źle mówić o Ginny. Była na to zbyt lojalna.

- Mama jest bardzo towarzyska. Z pewnością wiele czasu poświęci na chodzenie po sklepach. Bardzo lubi rozmawiać z ludźmi.

- Czy czuje się samotna po śmierci waszego ojca?

- Na pewno brakuje jej go bardzo, ale ma wielu przyjaciół. Dobrze się czuje w ich towarzystwie.

- Czy jej przyjaciele będą tu do niej przyjeżdżać?

- Jestem pewna, że będą ją odwiedzać - zapewniła Aneta. Miała nadzieję, że pomoże w ten sposób Ginny. Może łatwiej zaakceptują matkę, jeśli pomyślą, że Ginny i jej przyjaciele będą u nich dużo kupowali?

Mniej z wyrachowania, a bardziej wiedzona prawdziwym zachwytem, Aneta kupiła narzutę na sofę do jadalni, ciekawe połączenie kolorów indygo i turkusowego.

Potem przeszła do następnego sklepu. To była pracownia ceramiki artystycznej. Z zaskoczeniem zauważyła, że wyroby są prawdziwym arcydziełami.

I znowu sytuacja się powtórzyła. Aneta wyraziła swoje uznanie, przedstawiła się. A wtedy panie z pracowni ceramicznej zasypały ją gradem pytań o Ginny.

- Musi tutaj być coś w powietrzu - powiedziała w pewnym momencie Aneta. - Nie mogę uwierzyć, że ludzie robią tu takie wspaniałe rzeczy. I przyznam, że wszędzie widzę te same barwy, co w Gwiezdnym Zakątku, kolory morza i kwiatów. Tę samą nastrojowość, pasję i zarazem spokój... Posiadłość, którą kupiła moja mama, okazała się wyjątkowo piękna.

- To żaden sekret - rzekła jedna z artystek. - Gwiezdny Zakątek jest w tych stronach żywą legendą.

- Legendą? - Aneta poczuła się zaintrygowana.

- Może lepiej to nazwać romantyczną inspiracją. To miejsce sprawia, że ludzie się zakochują.

- To miłe - rzekła Aneta z uśmiechem. - Czy zakochują się przez sam fakt bycia tutaj?

- Tak. Mogła to zrozumieć. Było w Gwiezdnym Zakątku coś czarującego, zniewalającego. Zastanawiała się, czy Ginny wiedziała o tym, czy w ogóle choć trochę ją to obchodziło. Ginny nigdy nie była skora do emocji.

Teraz Aneta mogła rozumieć, że osoba Ginny budzi taką ciekawość. Nowa właścicielka miejsca, z którym wiązała się romantyczna historia. To musiało być ważne dla mieszkańców Downlee.

W kolejnym sklepie Aneta już zupełnie spokojnie odpowiadała na liczne pytania. Tym razem opowiedziała trochę o życiu Ginny, o działalności charytatywnej, o Filadelfii.

- Czy jest szczęśliwa?

To pytanie zadał Eddie Stillman, mistrz tkactwa. Wyglądał na kilka lat starszego od Ginny i prowadził sklep z dorosłą córką. W kąciku bawiła się jego wnuczka, urocza, uśmiechnięta dziewczuszka. Ten widok wzruszył Anetę. Pomyślała, że to musi być naprawdę kochająca się rodzina i odpowiadała na pytania niemal bez żadnych oporów.

- Chyba tak. Wydaje mi się, że prowadziła szczęśliwe życie... - rzekła. Choć uderzyło ją, że nie mogła powiedzieć tego na pewno. Ginny zawsze wydawała się szczęśliwa. Nigdy na nic się nie skarżyła.

- Czy ich dom w Filadelfii był podobny do Gwiezdnego Zakątku?

- Większy i też piękny. Tylko zupełnie inny, inny rodzaj piękna.
- Czy opowiadała kiedyś o Gwiazdnym Zakątku?
- Chodzi panu o to, czy mówiła, że chciałyby kupić coś takiego?

Chyba nie. Mama jest osobą bardzo niezależną. Lubi robić niespodzianki. Kupno Gwiazdnego Zakątku zaskoczyło nas... Wie pan, te poduszki są naprawdę wspaniałe...

Kupiła sześć sztuk.

Lea wróciła ze sklepu, przywożąc trzy pary niebieskich dżinsów, parę drelichowych spodni, trzy białe i trzy kolorowe podkoszulki, dużą, luźną bluzę i trampki. To było konieczne. Wszystkie ubrania, które ze sobą przywiozła, absolutnie nie pasowały do Gwiazdnego Zakątku. Dżinsy podpatrzyła u Karoliny, podkoszulki u Anety, a całość okazała się doskonała.

Lei bardzo zależało, by siostry nie odkryły, że musiała kupować nowe rzeczy. Jak najszybciej przyjechała do domu przymierzyć nowe ubrania. Na szczęście volvo jeszcze nie wróciło. Pośpieszyła z zakupami na górę. Szybko zerwała metki i powiesiła ubrania w szafie, starannie przemieszawszy z tymi, które przywiozła z domu.

Stanęła przed lustrem i niemal od razu mogła przyznać, że wygląda wspaniale w dżinsach i białym podkoszulku. Szałowo i stosownie do miejsca.

Oprócz włosów. Rano już wydawały się dobrze ułożone, ale wilgotne powietrze zrobiło swoje. Poskręcane na wszystkie strony cieniutkie sprężynki wyglądały jakby odwirowała je przed chwilą w pralce automatycznej.

Wyjęła spinki. Roztarta palcem obolałą skórę. Potem kilkakrotnie potrząsnęła głową, aż włosy ciężko opadły na plecy.

Zaczesała je w jedną, a potem w drugą stronę. Zmoczyła szczotkę i znowu przeciągnęła po włosach. Powtórzyła tę czynność. Włosy potrzebowały tej odrobiny wilgoci. Rozkwitły dziwnym pięknem.

Cofnęła się od lustra. Zaskoczyło ją, że wcale nie wygląda źle. Rozpuszczone włosy znacznie bardziej pasowały do dżinsów i białego podkoszulka niż gumka i spinki. A zresztą miała już zupełnie dosyć spinek wbijających się w skórę. Pomyślała też o swojej fryzjerce, która zachwycała się jej lokami i zawsze błagała, żeby nosiła rozpuszczone włosy. Teraz niewątpliwie byłaby pod wrażeniem...

Lea zeszła na dół i wyszła na zewnątrz. Usiadła przy brzegu na skałach, gdzie wiatr mógł wysuszyć jej mokre włosy. Wsunęła ręce do

kieszeni dzinsów. Potrząsnęła głową. Czuła się dziwnie - wolna i swobodna.

Po pewnym czasie wstała i odeszła od brzegu, smakując świeże powietrze i wolność. Spacerowała. Przechadzała się po ogrodzie. Potem na skraju lasu. Aż w polu widzenia pojawiła się mała chatka. Drewniane ściany były wyblakłe i spłowiałe od słońca. Wyglądały blado przy gęstwie krzepkich ciemnozielonych dębów. Widać jednak było, że jest to miejsce kochane i dobrze utrzymane.

W oknach, osłoniętych przed inwazją owadów metalowym ekranem, wisiały ciemne żaluzje. Domek był parterowy, ale obszerny wysoki strych można było traktować jak piętérko.

- Halo! - zawołała, walcząc z ogarniającym ją wzruszeniem. - Halo!

Wewnątrz panowała cisza.

Drzwi były otwarte. Jedyne ekran z cienkiej, drucianej siatki chronił mieszkanie przed owadami. Ośmieliła się zajrzeć do środka.

Widziała sofę i krzesła, a w drugim końcu pokoju, przeznaczonym na jadalnię - wysoki stół, a w głębi schody na poddasze. Wysoko nad tym wszystkim wisiał duży, łopatkowy wentylator.

Wnętrze chatki wyglądało jak normalne, eleganckie mieszkanie. Niczego tu nie brakowało. Było przytulne, bezpieczne. Pachniało świerkami, lasem. Może drewnem, które paliło się w kominku w chłodne wieczory. I z pewnością wnętrze domu musiało być przesiąknięte tym upajającym, męskim zapachem Jessego.

Podobał jej się ten dom. Intrygował ją.

Jessego jednak tam nie było. Nie zaprosił jej do środka. Zakłopotana odeszła szybkim krokiem. Ruszyła w stronę domu, ale wkrótce zmieniła kierunek. Woń skalnych róż stawała się coraz bardziej intensywna. Lea znalazła się w miejscu, gdzie jeszcze nie była, a jeśli nawet, to nie przyjrzała mu się dokładnie.

Zatrzymała się, zachwycając się barwnym przepychem łąki. Teraz widziała, że nie rządził tu przypadek. Wielka polana porośnięta wrzosem. Kolory od szarości do ciemnej zieleni i jasna, młodziutka trawa. Grube, wysokie kępy wrzосу, a gdzie indziej niskie pędy, pełzające po ziemi, jak ułożony na glebie wykwintny dywan. Ponad wrzosity wynurzały się pojedyncze skały. Jak jasne wyspy w zieleni.

I właśnie tam, gdzie wrzosowa polana przechodziła w urwisty brzeg, dostrzegła ciemną czuprynę Jessego, szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. On także ją zauważył. Podszedł do niej z uśmiechem. Jej serce przyśpieszyło rytm.

- Cześć - powiedział.

- Cześć. Co słychać?

- Gorąco, straszny upał - odparł, ocierając ręką spoconą twarz. Przyjrzał jej się. - Ładnie wyglądasz.

- Dziękuję. - Poczowała zadowolenie z komplementu. Mało brakowało, a dodałaby, że on też pięknie wygląda. Ale on był ogrodnikiem - zabrudzony ziemią, spocony. Mógłby to potraktować jak niesmaczny żart.

Wskazała na wrzosa. - Jestem pod wrażeniem. Sam tego dokonałeś?

- Tak, ale to nie tylko moja zasługa. Gwiazdny Zakątek to wspaniałe miejsce. Znasz już ogród, las i teraz to. Jeszcze nie pełnia sezonu. W sierpniu wrzos zacznie kwitnąć. Białe, różowe, fioletowe. A kiedy nadejdzie jesień, las ubiera się w złoto i czerwień.

- Wrzosowa polana - powtórzyła. - Jakie to śliczne. Nigdy nie wyobrażałam sobie czegoś podobnego.

- Ludzie nie wiedzą, jak piękny może być wrzos. Myślą, że to nieciekawa, pospolita roślina. Kojarzy im się z Anglią, z chłodnym, wilgotnym klimatem. Tymczasem to bardzo wdzięczna roślina. Niewielkim wysiłkiem można uzyskać znakomite efekty.

Niepewnie spojrzała na miejsce, skąd przyszedł.

- Zbierałem wodorosty, które wyrzuciło morze - wyjaśnił. Nawóz organiczny. Doskonały i za darmo. - Uśmiechnął się.

- Tak po prostu chodziłeś pomiędzy skałami i zbierałeś to?

- Tak. To wyjaśniało, po co mu były widły, które trzymał w ręku. Widły przykuły jej uwagę, ale nie na długo. Zaraz potem przyglądała się śladom potu na jego koszuli i odsłoniętej klatce piersiowej, szerokiej i porośniętej jasnym włosiem. Był dobrze zbudowany. Podziwiała jego sylwetkę.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to ostatni raz mężczyzna wywarł na niej takie wrażenie. Dużo przebywała wśród mężczyzn, spotykała wielu przystojnych i atrakcyjnych. I nigdy nie zauważyła u siebie tak gwałtownej reakcji.

Nawet jej fascynacja Charliem nie mogła się z tym równać. Intelktualista w okularkach w drucianych oprawkach, z kędzierzawą czupryną... Przedtem był Ron, na pewno dużo mniej przystojny niż Charlie. Tamto już zupełnie nie miało znaczenia.

Jesse Cray nie rozniecał w niej iskry. Rozpalał wielki ogień. Budził w niej kobiecość. Bardzo przystojny, a jednak nie pasował do salonów. Zbyt blisko związany z naturą. Na pewno jego uśmiech był zniewalający.

Zastanawiała się, czy dlatego to wywierało wrażenie, że nieczęsto się uśmiechał. A może tak działał na nią jego łagodny i bezpośredni sposób prowadzenia rozmowy. To nie był flirt, tylko coś znacznie bardziej prawdziwego. Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie miała żadnych podstaw, by uważać się za eksperta od męskich serc. Omyliła się już kilka razy, mogła i teraz. Podobało jej się jednak to, co czuła.

- Już chyba pójdę - powiedziała. - Nie powinnam odrywać cię od pracy.

Znowu spojrzał na nią w jakiś dziwnie uroczyستی sposób, podobnie jak wtedy, gdy rozmawiali po raz pierwszy. - Czy twoja mama przyjedzie dzisiaj?

- Nie jestem pewna. Moje siostry będą wściekłe, że jej tu jeszcze nie ma.

- A ty?

- Jestem niezadowolona. Czekałam na nią. Pisała, że będzie tutaj, kiedy przyjadę.

- Czy choruje?

- Nie, po prostu jakoś tak zwleka.

- Boi się tu zamieszkać? Lea zastanawiała się nad tym. Nie miała pojęcia, co myśli

Ginny. Matka zawsze potrafiła zachowywać się stosownie, bez względu na okoliczności uprzejma i miła. Jednakże swoje myśli trzymała dla siebie.

- Nie wiem - przyznała. - Ale to jej strata. To najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Nie wydaje ci się nudne? - uśmiechnął się. Potrząsnęła głową. - Przywiozłam tu ze sobą książki.

Tymczasem urok tego miejsca okazał się tak silny, że książki przestały mnie fascynować. Zupełnie nie mogę czytać.

- Byłaś już w miasteczku?

- Jeszcze nie.

- Powinnaś pojechać. Też jest urocze.

- Urocze? - zdziwiła się. ' - Nie aż tak prowincjonalne, jak myślisz. To miasto artystów. I można kupić różne ciekawe rzeczy. W spożywczym świeże croissanty, a sklep elektrotechniczny sprzedaje nawet ekspresy do parzenia cappuccino.

- I udało im się sprzedać choć jeden? - wymknęło jej się.

Skrzywił się. - Oczywiście. Artyści lubią cappuccino. A poza tym jest w miasteczku restauracja. Nazywa się „Owoce Morza u Julii”, ale menu ma urozmaicone, każdy może wybrać coś dla siebie. Powinnaś tam zajrzeć. Właścicielka jest w twoim wieku. Przyjechała tu trzy lata temu z Nowego Jorku. Polubisz ją.

- To brzmi ciekawie - przyznała Lea. Jednak nie paliła się do wyprawy do miasteczka. Podobało jej się w Gwiezdnym Zakątku.

- Gdybyś chciała, żebym cię podwiózł, daj mi znać - powiedział.

- Dobrze, dzięki. Ruszyła w stronę domu. Szła wzruszona, szczęśliwa, zauroczona tym miejscem. Kiedy już dochodziła do drzwi, dobiegł ją pełen wściekłości głos Karoliny.

Rozdział 9

Aneta, wciśnięta w ką, rozmawiała przez telefon, podczas gdy Karolina wymachiwała jej przed nosem jakimś papierem. - Nie pora teraz na telefony! - krzyczała. - Aneto, rozłącz się! Zadzwońisz do nich później. Musimy zdecydować, co robić.

Odwróciła się do Lei, która właśnie wchodziła do kuchni.

- Leo, czy ty już to widziałaś? Lea wzięła kartkę do ręki. To była wiadomość od Gwen. Zaczęła czytać, ale Karolina nie czekała, aż doczyta do końca.

- Matka nie przyjedzie ani dzisiaj, ani jutro. Mówi, że może w czwartek - gwałtownie wyrwała siostrze kartkę z ręki. - Ta kobieta jest egoistyczna, bezczelna i zakłamana. Co się z nią dzieje? Czy ona nie chce przyjechać? Dlaczego w ogóle kupiła tę posiadłość? Padło jej coś na rozum? Ma jakieś kompleksy i musi się dowartościować akurat naszym kosztem? Chce pokazać, że może prowadzić nas na sznurku jak tresowane małpki?

Lea poczuła rozgoryczenie. Nie wpadła w złość jak Karolina. - Rozmawiałaś o tym z Gwen? Może ona wie coś więcej.

- Ha! Dobre pytanie. Gwen czekała na ganku i jak tylko przyjechałyśmy, od razu wzięła volvo i wybrała się na zakupy. Gwen dobrze wie, co jest grane. A gdzie ty byłaś, jak Ginny dzwoniła?

- W samochodzie, a potem na spacerze - odparła Lea. To w pewnym sensie było prawdą. Woląta nie wspominać siostrze, że pojechała do sklepu kupić sobie nowe ubrania, bo wszystko, co zabrała ze sobą z Waszyngtonu, okazało się nieodpowiednie. Lepiej by było, gdyby myślały, że od początku wiedziały, co jest odpowiednie do Gwiezdnego Zakątka.

Aneta właśnie odłożyła słuchawkę i przyłączyła się do nich. Też sprawiała wrażenie wyprowadzonej z równowagi.

- Żarty sobie z nas stroi czy co? Nie ma dla nas żadnego szacunku. Nic ją nie obchodzi nasze życie.

- Tom czuje się lepiej? - zapytała Lea.

- Na razie tak. Bóg raczy wiedzieć, co zdarzy się w ciągu następnych kilku minut.

Karolina bębniła palcami po kuchennym stole. - Gdybyśmy to my miały czelność zrobić jej podobny numer, wymówkom nie byłoby końca. I jak z rękawa posypałyby się różne kary. - Zaczęła przedrzeźniać głos matki.

- Punktualność to podstawa, moje dziewczęta, najważniejsze jest poczucie odpowiedzialności. Ludzie będą was osądzać właśnie po tych cechach... - Zniżyła głos. - Czy wiecie, że ja prawie na wszystkie umówione spotkania przychodzę trochę wcześniej? W pracy żartują sobie ze mnie, ale ja nienawidzę się spóźniać. Nienawidzę? To mało powiedziane. Nie mogę tego znieść. Wpadam w szaleństwo, jak pomyślę, że mogłabym przyjść za późno. Mówię sobie, że to głupie, że nie ma żadnego znaczenia... Przecież chodzi tylko o to, co ja czuję. Nie potrafię jednak tego zmienić.

Lea dobrze знаła to uczucie. Zawsze musiała siedzieć w domu i czekać co najmniej kilka minut, ubrana do wyjścia, zerkając co chwila na zegarek, by się nie spóźnić ani też nie być za wcześnie.

- Dla mnie to też było problemem - przyznała Aneta.

- Gdy moje dzieci są umówione do dentysty, zawsze jesteśmy punktualnie. Nawet jeśli wiemy, że będziemy musieli czekać. Potem się złościę i chcę im powiedzieć: „Do licha, spóźniajcie się, ile chcecie. Jeśli ludziom zależy na waszych pieniądzach albo na waszym towarzystwie, to poczekają”. Ale ja tego nie potrafię.

- I co robisz? - zapytała Lea.

- Staram się nie przesadzać ani w jedną, ani w drugą stronę - rzekła Aneta. - Nauczyłam moje dzieci, że nie mogą kazać ludziom na siebie czekać. Ale nie powinny traktować punktualności jak sprawy życia i śmierci.

- Matka powinna była dać nam wybór - rzekła Karolina, nerwowo przygładzając włosy. - Mam chęć na papierosa. Czy któraś z was pali i mogłaby mnie poczęstować?

- Ja nie.

- Ja też nie.

- Do licha. Uchyliła drzwi na werandę. Potem znów je przymknęła.

- Co ona sobie myśli? Jak długo możemy tu siedzieć i czekać? Zmarnowałyśmy już jeden dzień. A teraz zawiadamia nas, że w ciągu najbliższych dwu dni nie będzie mogła przyjechać. Co mamy robić przez ten czas?

- Nadal wydawać jej pieniądze - odparła Aneta, podchodząc z uśmiechem do sofy, przy której położyła zakupy.

- Znalazłam w miasteczku kilka wspaniałych rzeczy. Spójrzcie na to. - Rozpakowała jedną torbę i rozłożyła przed nimi turkusową

narzutę. Potem położyła na sofie haftowane poduszki. - I jeszcze to - powiedziała, wyjmując coś bardzo ostrożnie. To była przepiękna salaterka ze sklepu z ceramiką.

- Na owoce albo na ciastka. Lea pomyślała, że te rzeczy są cudne, i powiedziała to.

- Są niewiarygodne - zgodziła się Karolina. Jakby złość już z niej uszła. - Spójrzcie na obraz, który kupiłam. Podeszła do ściany w olbrzymim holu. Tryumfalnie uniosła do góry płótno.

Lea podeszła bliżej. - To aż niemożliwe. To dokładnie kolory Gwiazdnego Zakątka. Wspaniałe do tego pomieszczenia. Jakim cudem znalazłyście takie rzeczy?

- Ben mówił mi, że Downlee to kolonia artystów - mruknęła Karolina - ale myślałam, że po prostu chce być uprzejmy. Nie spodziewałam się zobaczyć obrazów tego kalibru.

Aneta też się zachwycała. - Nie widziałyście rękodzieła. Ja też nie wszystko zdążyłam obejrzeć. Musi być jeszcze co najmniej osiem sklepików, na które już nie miałam czasu. Downlee jest pełne niespodzianek.

Lea pomyślała o tym, co mówił Jesse. Siostry potwierdziły jego słowa. To wywołało uśmiech zadowolenia na jej twarzy. Poczula, że znowu ogarnia ją radość. Opóźnienie przyjazdu Ginny też miało swoje dobre strony. Dawało spokój. Wiedziała, że potem znowu będą rywalizować o miłość matki, walczyć o uznanie. Teraz mają chwilę wytchnienia. Powiodła wzrokiem po siostrach. - Myślę, że powinnyśmy to uczcić.

- Co uczcić? - zdziwiła się Karolina. - Ginny nadal nie zamierza przyjechać.

- Dobrze, to niech nie przyjeżdża. Jej strata. Nie może być z nami, nie może dzielić naszych odkryć, naszej radości. Będziemy zwiedzać galerie i wydawać jej pieniądze. Powinnyśmy uczcić udane zakupy.

Karolina skrzywiła się, lecz Lea pozostała nie zrażona. - Wiem, że jest późno, ale... czy jadłyście lunch? , - Nie... Nie.

- Chcecie coś zjeść?

- Gwen pojechała na zakupy i jeszcze nie wróciła.

- Może usmażymy frytki. Lea nie chciała słyszeć o frytkach. - Jest wiele pysznych rzeczy w lodówce. Ja coś przyrządzę.

- Naprawdę?

- Mówisz poważnie? Lea już była w kuchni. Najpierw odkorkowała butelkę białego wina i napełniła trzy kieliszki.

- Nigdy nie piję w ciągu dnia - zadeklarowała Karolina. - Potem nie mogłabym skoncentrować się na robocie.

Aneta podejrzliwie patrzyła na wino. - Najgorsze, co mogłyby zobaczyć moje dzieci, to że potrzebuję się napić w ciągu dnia.

- Właśnie jesteście na wakacjach - zauważyła Lea. - Dzieci nie ma w pobliżu, a ty, Karolino, nie musisz koncentrować się na robocie. Robią to za ciebie twoi ludzie w Chicago. Na tym polega urok wakacji, że można robić wiele rzeczy, które normalnie są nie do pomyślenia.

- Tak - mruknęła Karolina. - Mogę się założyć o każdą sumę, że moi ludzie narobią takiego bałaganu, że potem długo nie będę mogła się pozbierać. Miałam najgorsze przeczucia, kiedy dzwoniłam do nich ostatnio. - Podniosła kieliszek. - Na zdrowie!

Wkrótce Lea dołała wina do kieliszków. Siostry były teraz w kostiumach i siedziały na tarasie, ciesząc się późnym słońcem i jedząc sałatkę, którą zrobiła Lea.

- Bardzo dobra - zauważyła Aneta. - Udała ci się wyśmienicie.

- Lubię gotować. To nie jest jeszcze prawdziwie gotowanie, ale...

- To jest gotowanie - upierała się Karolina. - Gotowałam ziemniaki i zieloną fasolę, kroilaś, zrobiłaś sos, wymieszałaś. Zobacz, jak to dużo roboty.

- Przyjemnie jest robić dla kogoś, nie tylko dla siebie samej.

- Dlatego właśnie ja zawsze kupuję coś gotowego albo zamawiam z restauracji - zauważyła Karolina.

- Ty masz powody, żeby zamawiać. Trudno, żebyś jednocześnie siedziała w biurze i coś gotowała. A ja jestem w domu prawie cały czas. Więc byłoby głupio, gdybym nie gotowała. Ale dużo zabawniej robić to tutaj. Kuchnia matki jest jak marzenie.

- Tylko nie gotuj nic tuczącego. Mam za grube uda - ostrzegła Aneta.

Lea zaśmiała się. - Są w porządku.

- Są za grube - upierała się Aneta.

- Nie są za grube - zapewniła ją Karolina. - Po prostu wyglądają inaczej niż wtedy, kiedy miałaś osiemnaście lat. Z moimi jest tak samo.

Lea popatrzyła na swoje uda, potem przyjrzała się siostrze. - Obiektywnie rzecz biorąc, żadna z nas nie wygląda źle. Ginny nie będzie musiała się nas wstydzić, kiedy zaprosi tutaj swoich przyjaciół.

Karolina parsknęła śmiechem. - Jak zaprosi, to nie na pokaz ud. Ginny z pewnością jest już za stara na coś takiego. Choć muszę przyznać, że zawsze była zgrabna.

- Jej przyjaciółki będą w kostiumach plażowych ze spódniczkami - mruknęła ironicznie Aneta. Potem jednak mówiła już bez kpiny. - Wy macie świetne bikini, a mój kostium jest jak z minionej epoki. Zakrywa wszystko, co tylko można - westchnęła. - Cieszę się, że Jean - Paul nie przyjechał tutaj ze mną. Patrzyłby na was, nie na mnie.

- Bzdura - mruknęła Karolina. Lea przytaknęła najstarszej, choć z niemałą dozą zawiści.

- Jean - Paul uwielbia ziemię, po której stąpasz - zwróciła się do Anety. - Świata poza tobą nie widzi. A co do matki, to raczej spodobałby się jej twój kostium. Mogę sobie wyobrazić, jak patrzy na nas ze zgorzeniem i czym prędzej każe się przebrać. Jak ją znam, umarłaby ze wstydu, gdyby jej przyjaciółki zobaczyły nas w czymś takim.

- Byłaby zgorzonna, nawet gdyby nie było żadnych gości - zauważyła Karolina. - Ginny zawsze była pruderyjna.

- Ma skostniałe poglądy na to, co wypada - dodała Aneta. - Ciągłe się boi, że coś może okazać się niewłaściwe. Czepia się, jak pokazujemy uda, jak mamy zbyt duży dekolt. Wiecznie się niepokoje, co ludzie o niej pomyślą. Umiera z przerażenia, że mogą obgadywać ją za plecami.

Lea pomyślała o koszmarach dzieciństwa. Tak bardzo było to bolesne, że dopiero teraz mogła swobodnie o tym mówić. - Pamiętacie, kiedy byliśmy dziećmi, jak skrepowana czuła się przed wizytą u swoich rodziców?

- Chciała z nas zrobić idealne małe dziewczynki. Aniołeczki na pokaz. Laleczki jak malowane - skrzywiła się Aneta.

- W sukieneczkach od Saksa - wtrąciła Karolina. - W nowych bucikach i starannych fryzurach. Lokówki... dobrze pamiętam ten koszmar. Zawsze miałam proste włosy i matce to się nie podobało. To byłoby straszne, gdyby jej rodzice zauważyli, że moje włosy nie chcą się układać. Pamiętam to spanie w lokówkach, szpilki, które wbijały

mi się w skórę. Nocny koszmar. Dlatego teraz zawsze obcinam włosy na krótko, choć matka nie może tego zrozumieć.

- Nasz wygląd stanowił o jej sukcesie - rzekła Lea.

- Dlatego miałyśmy obowiązek wyglądać zawsze pięknie i bogato.

- Bogato? - zdziwiła się Karolina. - Dlaczego myślisz, że mogło jej zależeć na czymś takim? I tak byliśmy bogaci.

- Chodziło o to, że nasi dziadkowie byli jeszcze bogatsi

- wyjaśniła Lea. - Pieniądze były dla nich bardzo ważne. Mama chciała pokazać im, że dobrze wyszła za męża, że nie muszą się o nią martwić.

- I to wszystko naszym kosztem.

- Możliwe.

- Możliwe? - powtórzyła jak echo Aneta. - Leo, ona doprowadzała cię do szaleństwa. Tak gorliwie walczyłaś o jej miłość, że mało nie dostałaś bulimii. Nie broń jej.

- Nie bronię. Po prostu próbuję ją zrozumieć. Zależało jej na aprobachie rodziców. W tym niewiele się od niej różnimy. Dlaczego tu przyjechałyśmy? Czy mamy jakikolwiek inny powód?

- Ja jestem tutaj - oznajmiła Karolina - bo Ben powiedział mi, że jeśli nie pojedę, do końca życia będę miała wyrzuty sumienia. Ja mu wierzę, ma dobrą intuicję. I jest cudowny, muszę przyznać.

- Skoro mowa o cudownym mężczyźnie... - zaczęła Aneta. - Czy któraś z was widziała już naszego ogrodnika?

Lea zakasłała. Złapała oddech i napiła się wina.

- Coś nie tak? Karolina rzekła z powagą: - Matka umarłaby ze wstydu, gdyby widziała, że interesujesz się ogrodnikiem.

- To tylko niewinne spostrzeżenie. On jest cudowny.

- Masz rację. Całkiem niezły - poparła ją Karolina, sadowiac się wygodnie na swoim leżaku. - Może troszeczkę za wysoki.

- Cudowny - upierała się Aneta.

- A co powiesz o Jean - Paulu?

- Jean - Paul jest wspaniały, a ten chłopak jest cudowny.

- Jaką w tym widzisz różnicę?

- Dla mnie „cudowny” oznacza wrażenie wzrokowe, postać. A „wspaniały” całą osobowość. Jean - Paul jest błyskotliwy, inteligentny i wspaniały.

- Tak samo Ben. Piękny na duszy i na ciele. A tamten człowiek jest tylko ogrodnikiem.

- Wydaje mi się... - przemówiła Lea cichym głosem. - On jest po studiach ogrodniczych. Rozmawiałam z nim. Ma niewiarygodną wiedzę.

- Na pewno pasuje tutaj - zauważyła Karolina. - Ginny będzie zachwycona, że ma tu tak dobrego pracownika i wspaniałego człowieka.

- Przypomina mi to dzieła sztuki, które dzisiaj kupiliśmy - rzekła Aneta. - Ich styl, kolorystyka... to wszystko przypomina barwy Gwiezdnego Zakątka. To oddaje nastrój tego miejsca. I wcale tak nie jest, że tylko mi się wydaje. Rozmawiałam z rzemieślnikami, z artystami ludowymi. Mówią, że Gwiezdny Zakątek stanowi dla nich inspirację. To nie przypadek.

- W jaki sposób? - zainteresowała się Lea.

- To najpiękniejsze miejsce w okolicy. Artyści właśnie tutaj szukają natchnienia.

- Naprawdę? - zapytała z uśmiechem Lea. Spodobała jej się ta myśl.

- Odniosłam podobne wrażenie - wtrąciła Karolina. - Widziałam barwy Gwiezdnego Zakątka na wielu obrazach, które oglądałam. Ten obraz, który kupiłam, był jednym z wielu godnych uwagi. A była to pierwsza galeria, do której weszłam. Wszędzie, gdzie wstępowałam, znajdowałam tę samą energię, nastrój... - Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. - ...Pasję... Tak to czułam - dodała, spoglądając niepewnie na siostry.

- Podobnie jak ja - przyznała Aneta. - Ja też czułam coś takiego.

- Chciałam dowiedzieć się czegoś o tutejszych artystach, ale oni, zamiast mówić o sobie, pytali mnie o Ginny.

- Mnie też. Gdziekolwiek weszłam, od razu zarzucali mnie milionem pytań. To było szokujące.

- Naprzykrzali się okropnie. Ale tak jakoś, że nie mogłam się o to obrazić.

Lea pomyślała o policjancie, który pierwszego wieczoru pokazywał jej drogę do Gwiezdnego Zakątka. Też był okropnie wścibski.

- Może to naturalne - zastanawiała się. - Downlee jest małym miasteczkiem, matka nowym przybyszem. Są ciekawi, jaka ona jest.

- Sami będą mogli się przekonać, jak Ginny wreszcie przyjedzie. Zobaczą ją na własne oczy.

Lea pomyślała, że w tej chwili wszystkie trzy są w podobnej sytuacji. Coś takiego rzadko się zdarzało. Ginny zawsze starała się je poróżnić, a gdy dorosły, każda poszła swoją drogą.

Ze zdziwieniem zauważyła, że to mogło być przyjemne. Od dawna nie siedziały razem we trójkę, jedząc lunch i rozmawiając. Pomyślała, uśmiechając się do siebie, że może dojrzały z wiekiem, złagodniały na starość... Dzielili je przeszłość, ale terażniejszość dawała pewną szansę.

- I jak zdecydowałyście? - zapytała. - Zostajecie czy wyjeżdżacie?

Oczekiwała, że Karolina odezwie się pierwsza, ale najstarsza pociągnęła duży łyk wina i nic nie rzekła.

- Moja rodzina nie chce, żebym teraz wracała - powiedziała ze smutkiem w głosie Aneta.

- Ależ z pewnością chcą, żebyś była z nimi - pośpiesznie zapewniła ją Lea.

- Nie. Są rozdrażnieni, że dzwonię tak często. Chcą ode mnie odpocząć. I muszą sobie udowodnić, że potrafią istnieć beze mnie.

- Ja też myślę, że w biurze mogą ode mnie odpocząć - cicho przyznała Karolina. - Podobnie ma się sprawa z Benem. Kiedy rozmawiałam z nim ostatnia, sugerował, że uzależniłam się od niego i za często dzwonię.

Lea ugryzła się w język.

Siedziały bez słowa, zajęte jedzeniem, sącząc wino. Słysząc było szum fal, rozbijających się o skały.

Lea pomyślała, że chyba po raz pierwszy w życiu czuje sympatię dla swoich sióstr. Też nie miały łatwo. Też niepotrzebnie komplikowały niektóre sprawy. To oczywiście nie oznaczało, że wszystko zostało wybaczone. Karolina nadal była szurnięta na punkcie swojej pracy, a Aneta pozostawała najbardziej nadopiekuńczą matką na świecie. Tym razem jednak Lea widziała ich wahania, rozterki, emocje. Nie były aż tak niewrażliwe, za jakie je uważała.

Poza tym teraz wydawały się spokojniejsze, łagodniejsze. Nie czepiały się jej jak dawniej. Nie dokuczały. Zwykle czuła się przy nich bezwartościowa, zupełnie nieważna... W jaki sposób to mogło się zmienić? Pomyślała, że może to trochę dlatego, że zrobiła im lunch.

- Zostanę trochę dłużej - rzekła w końcu Aneta. - To doskonale ćwiczenie charakteru, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Chciałabym zostać, a jednocześnie boję się, że powinnam pilnować roboty - wahała się Karolina. - Ale byłabym głupia, gdybym wróciła właśnie teraz. - Wysączyła ostatnią kroplę wina i popatrzyła na siostry. - Poza tym zamierzam zwiedzić pozostałe galerie. Tu jest bardzo dużo ciekawych rzeczy, a ściany w tym domu są łyse, że aż wstyd.

W końcu spędziły resztę popołudnia nad basenem. Lea przyniosła sobie trzecią książkę, ponieważ druga okazała się równie nudna jak pierwsza. Kiedy Karolina powiedziała, że ona to już czytała, Lea nieco się najeżyła, ale potem Karolina udzieliła informacji o autorze, które zachęcały do lektury.

Aneta zajęła się rozwiązywaniem krzyżówki.

Słońce zniżyło się ku zachodowi. Zrobiło się chłodno.

- Znowu jestem głodna - powiedziała Karolina.

Aneta odłożyła krzyżówkę. - Nie patrzcie na mnie. Nigdy na wakacjach nie zajmuję się gotowaniem.

- Nie chcesz chyba, żebym ja gotowała? - mruknęła Karolina.

Obie spojrzały pytająco na Leę.

- Dobrze - powiedziała. Karolina zaczęła się zastanawiać. - Gwen już wróciła.

Może to jednak ona powinna zrobić coś do jedzenia. Odkupić swoje winy. Powinna mieć wyrzuty sumienia, że knuje coś z Ginny przeciwko nam.

Lea miała lepszy pomysł. - Słyszałam, że w miasteczku jest dobra restauracja. „Owoce Morza u Julii”. Może byliście tam dzisiaj?

- Ja nie.

- Ja też nie. Karolina wyglądała na niezdecydowaną.

- Co takiego dobrego jest w owocach morza? - zapytała Aneta.

- Tam są nie tylko owoce morza. Bardzo bogate menu. Julia trzy lata temu przyjechała tu z Nowego Jorku.

Karolina odłożyła książkę i uśmiechnęła się. - Kiedy ruszamy?

- Wiem, Ben, że dzwonię za często, ale muszę powiedzieć ci coś dziwnego. Zdziwisz się. Poszliśmy dziś wieczorem na kolację. I piłam z siostrami wino przez całe popołudnie. To wymyśliła Lea. Najpierw przeraziłam się tym pomysłem, ale potem to okazało się miłe.

- Wszystkie trzy? Spędziłyście razem popołudnie i wieczór i nie pozabijałyście się?

Słyszała zdziwienie w jego głosie i zadowolenie, że zadzwoniła.

- Tak, wszystkie trzy - zaśmiała się. - Co prawda nie miałyśmy większego wyboru. Byłyśmy skazane na własne towarzystwo. Matka nadal gdzieś się przed nami ukrywa, a Gwen pilnuje domu jak pies. Jest w zмовie z matką, to pewne, i ma wobec nas nieczyste sumienie.

Ale my wszystkie trzy żyjemy w idealnej zgodzie. Możesz być ze mnie dumny.

- Zdumiewające.

- Właśnie. Tym bardziej, że tak się od siebie różnimy.

- O czym rozmawiałyście?

- Pojechałyśmy do restauracji. To urocze miejsce. Nawet w Chicago coś takiego byłoby na poziomie.

- Ludzie w Maine też muszą jeść.

- Wiem, ale to restauracja na wyższym poziomie niż całe miasteczko. Na pewno.

- Straszna z ciebie snobka - powiedział. - Ale to miło. O czym mówiłyście?

- Takie ogólne tematy. Książki, film, muzyka... Czas szybko minął. I wyobraź sobie, ani razu nie odeszłam od stolika, żeby zadzwonić do biura.

- Czekałaś z tym, aż już będziesz w domu.

- Nawet nie. Mylisz się. Nie jestem od nikogo zależna.

- Oprócz mnie.

- Ciebie nie muszę cały czas pilnować. A o pracę się niepokoję.

- Z pracą będzie wszystko w porządku.

- Możliwe. Po prostu lubię wiedzieć, co się tam dzieje.

- Lubisz mieć wszystko pod kontrolą.

- A ty nie? Jak byś się czuł, gdyby ktoś wypuścił ci z tubki innej farby na obraz?

- Hmm... Niedobre porównanie. Artysta z definicji działa samotnie, a ty pracujesz w zespole adwokackim. To oznacza konieczność współpracy z innymi.

- Tak? To tylko może mi zaszkodzić. Szczególnie, jeśli będę stała na uboczu.

- Sama wybrałaś taki rodzaj pracy.

- Ponieważ to daje bezpieczeństwo i prestiż. To najlepsza droga do kariery zawodowej, szczególnie dla kobiety.

- Tak? Czyżby? Na pewno najlepsza? Oni cię dołują. Ograniczają możliwości awansu. Blokują twój rozwój. Jeśli chcesz być najbardziej wziętym prawnikiem w mieście, musisz założyć własną firmę. Musisz wyzwolić się z zahamowań.

- Bzdura - oburzyła się. - Dlaczego tak myślisz? - dorzuciła ciszej.

Ben milczał przez chwilę. - Po twoim wyjeździe zacząłem zastanawiać się nad naszym związkiem. Uważam, że najwyższy czas, żebyś podjęła jakąś decyzję. W sprawie twojej pracy i nie tylko. Nie wiem, czy nasz związek może nadal istnieć w ten sposób.

To brzmiało jak ultimatum. Byli z Benem przez całe dziesięć lat razem. Ben nalegał na ślub. Ona, jak tylko mogła, starała się od tego wykręcić. Dziesięć lat. Ben na pewno jest wyrozumiały, ale jego cierpliwość też ma swoje granice. Trudno, żeby czekał na nią całą wieczność.

Chciała wykrzyczeć, że nigdy mu nic nie obiecywała, a jeżeli on sam obiecywał sobie za wiele, to nie jej wina. Nie mogła. Za dużo zostało powiedziane.

- Muszę już iść - mruknęła, zupełnie załamana. I odłożyła słuchawkę.

Aneta wstrzymywała się z telefonem do domu do dziesiątej. Liczyła, że o tej porze Robbie i bliźniaczki będą szykować się do snu, Nat i Tom będą już w łózkach, a Jean - Paul będzie wystarczająco samotny, by jej wybaczyć, że znowu dzwoni.

Nikt nie odbierał telefonu. Jeszcze raz wykręciła numer. Z takim samym rezultatem. Pomyślała, że Jean - Paul zabrał dzieci do kina i wzięła się za rozwiązywanie krzyżówki.

Za pół godziny znowu próbowała zadzwonić. Nadal nikt nie podnosił słuchawki. Otworzyła książkę i zaczęła czytać. Co piętnaście minut odrywała się od lektury i dzwoniła do domu. I w końcu, za którymś razem, Jean - Paul podniósł słuchawkę.

- Jean - Paul, dzięki Bogu! Tak się martwiłam. Gdzie byliście tak długo?

- Wychodziłem i wzięłem ze sobą dzieci - odparł spokojnie. - Wiesz, jak to czasem bywa. Trochę się wszystko przeciągnęło. Mam

dla ciebie wiadomość. Rozmawiałem z lekarzem twojej mamy. Nie jest tak źle.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak. W zasadzie potwierdził to, co mówiła Lea.

- Powiedz mi, Jean - Paul.

- Na początku to nie wyglądało na nic poważnego. Potem wynikły pewne problemy... Nadciśnienie, arytmia. Zapisał lekarstwa, kazał przestrzegać diety i unikać wstrząsów psychicznych.

- A dokładniej?

- EKG wykazało lekką arytmie. Lekarz zaproponował rozrusznik. Odmówiła, a on nie bardzo nalegał.

- Czy ty pozwoliłbyś na to? - zapytała Aneta.

- To nie moja specjalność. W końcu wybór należy do pacjenta. Zalecił regularne wizyty i znalazł jej w Portland dobrego lekarza.

- Tak, może to jest lepsze.

- Oczywiście ja ci nic nie mówiłem - ostrzegł Jean - Paul.

- Doktorzy nie lubią dyskutować z osobą trzecią na temat stanu zdrowia pacjenta.

- Po prostu zapytam o jej zdrowie - obiecała Aneta.

- A teraz powiedz, co zatrzymało was tak długo?

- Wstąpiliśmy na lody.

- Na lody? O jedenastej trzydzieści? Pół godziny przed północą?

- Tom był głodny. Nie jadł wiele w ciągu dnia.

- Przecież dlatego mało jadł, bo miał problemy z żołądkiem - jęknęła. - Lody, dobre sobie!

Przecież Jean - Paul jest lekarzem. Powinien wiedzieć, co robi. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Czuła się jak idiotka, że się tak zamartwiała. Pewnie przed pięćdziesiątką nabawi się wrzodów żołądka od tego ciągłego niepokoju. A przynajmniej zmarszczek na twarzy. A oni będą się bawić i chodzić w nocy na lody. To wydało jej się niesprawiedliwe.

- Lody! - powtórzyła. - Czy wziął do tego jeszcze jakieś ciężkostrawne dodatki, krem czekoladowy, orzechy, rodzynki... - Jean - Paul nie widział powodu do niepokoju. Pomyślała, że przecież nawet w razie kłopotów z żołądkiem jakoś sobie poradzi...

- Tylko krem czekoladowy.

- Lepiej zostaw otwarte drzwi do jego sypialni. Będziesz słyszał, gdyby Tom musiał wstawać w nocy.

- Nie martw się.

- Och, wcale się nie martwię! - wybuchnęła. - Jestem tutaj, a ty tam, i jeśli ktoś ma powód do niepokoju, to raczej ty!

- Jesteś zła? Była jak furia. - Nie, a dlaczego pytasz?

- Masz taki dziwny głos.

- Trudno, żebym przyjmowała spokojnie, że moja rodzina ma mnie dosyć.

- Ktoś ci tak powiedział?

- Nie wprost, ale mogłam się domyślić. Dzieci niecierpliwą się za każdym razem, jak dzwonię. A ty opędzasz się przede mną jak przed intruzem.

- Doskonale wiesz, że nie jesteś intruzem.

- To dlaczego nie mogę dzwonić? Tęsknię za wami.

- My też za tobą bardzo tęsknimy, ale przecież nie jesteśmy sparaliżowani bez ciebie. To zresztą twoja zasługa. Wytresowałaś nas doskonale.

- To wspaniale, że dobrze się bawicie. Widzę, że wcale wam nie jestem potrzebna.

- Wszyscy potrzebujemy twojej miłości, ale nie musisz nam jej wpychać do gardeł.

- Jean - Paul!

- Przepraszam - rzekł cicho. - Nie chciałem powiedzieć tego tak brutalnie.

- Możliwe, że chciałeś. Powiedziałeś, co myślisz.

- Porozmawiamy o tym później. Nie lubię takich rozmów przez telefon.

- No cóż, sam sprowokowałeś tę rozmowę. Mogę więcej nie dzwonić. Ginny zwleka z przyjazdem. Muszę tu na nią poczekać. Mówiłeś, że powinnam odpocząć. Dobrze, będę odpoczywać. Żebyś wiedział, że bardzo miło spędzam tu czas z moimi siostrami. Gdybyś miał jakiś problem, to zadzwoń.

Jean - Paul nie odpowiedział.

Chciało jej się płakać. Nie rozumiała, dlaczego kłóć się z nią z byle powodu. Może naprawdę mają jej dość. Nigdy przedtem się nie kłócili. Nie mogła pojąć, dlaczego Jean - Paul nie tęskni za nią tak bardzo jak ona za nim.

- Dobrze, Jean - Paul, odkładam słuchawkę. Dobranoc - rzekła z goryczą.

Czekała, że może do niej zadzwoni. Ale nic z tego.

Rozdział 10

Nastąpiła noc. Lea siedziała na urwistym brzegu, otulona wełnianym szalem, zafascynowana morzem. Księżyc kładł na czarnej, matowej wodzie srebrne cienie. Dużo niżej fale z hukiem rozbijały się o skały. Tego już nie mogła zobaczyć. Nie pozwalał na to stromy, klifowy brzeg.

Wstała. Skierowała się w stronę domu.

Bogactwo natury było zachwycające. Wszędzie, gdzie tylko się ruszyła, odkrywała coraz to nowe piękne rzeczy. Teraz też - piękno nocy, szaleństwo zmysłów... Choć znalazło się też miejsce i na ból... Nie, nie chciała o tym myśleć.

Nie chciała jeszcze wracać do domu. Zatrzymała się. Patrzyła teraz w stronę basenu. Spokój czarnej, matowej powierzchni znów został zakłócony. Wieczorny pływak już tam był. Lea obserwowała rytmiczne ruchy ramion. Mokrą skórę błyszczącą w świetle gwiazd.

Usiadła na jednym z ogrodowych krzeseł. Czekwała. Pływał już pewnie blisko dwadzieścia minut. Jeżeli nie będzie siedział w wodzie dłużej niż wczoraj, powinien zaraz wyjść na brzeg.

Minęły może dwie minuty i Jesse oparł się łokciami o brzeg. Odpoczywał przez chwilę, zanim zręcznie podciągnął się na rękach i wyszedł z wody. Wytarł się starannie i okręcił ręcznik wokół bioder. Stał odwrócony do niej plecami.

Nagle serce Lei gwałtownie przyśpieszyło rytm. Jesse odwrócił się w jej stronę. - Dawno tu jesteś? - zapytał miękko.

- Dość dawno. Tu jest tak miło i spokojnie.

- Nie zmarzłaś?

- Nie. - Szczelnie otulona szalem, nie bała się chłodu. Poza tym, nie wiadomo dlaczego, miała wrażenie, że ciało jej płonie. To powodowała bliskość Jessego, choć właściwie wcale nie był w jej typie. Kochała jego szczerość, bezpośredniość, siłę jego ciała połączoną z zadziwiającą delikatnością. Aż do bólu. Bała się go dotknąć. Nie potrafiła tego zrozumieć; nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś podobnego. - Byłyśmy wieczorem u Julii - rzekła, starając się ze wszystkich sił, by jej głos nie drżał.

- Podobało mi się. Dzięki, że powiedziałaś mi o tym miejscu.

- Przyjemność po mojej stronie. - Wytarł twarz rogiem ręcznika.

- Twoim siostram także się podobało?

- Tak. Tylko że ja byłam przygotowana na to, co tam zobaczę, a moje siostry bardzo się dziwiły. Przywykły do dużego miasta. Karolina mieszka w Chicago. Aneta w St. Louis. Karolina jest prawnikiem.

- A Aneta?

- Żoną i matką. Zawsze tego chciała. Jej mąż jest neurochirurgiem. Mają pięcioro dzieci.

Jesse przysiadł koło niej na krzeselku. - A ty?

- Ani dzieci, ani męża.

- Jak spędzasz czas? - To było dyplomatycznie powiedziane, z wystudiowanym taktem. Wydawał się mieć naturalną wrażliwość.

- Imprezy towarzyskie, działalność charytatywna i takie rzeczy. Nie pracuję zawodowo.

- Chyba nie martwisz się tym?

- Nie, to nic złego.

Oprócz braku czeków, pomyślała. Albo gromadki dzieciaków. Nie mogła pokazać ludziom, że czegoś w życiu dokonała. I samotne noce, które bywały straszne.

- Czy Karolina ma męża?

- Nie, jest zbyt zapracowana. A przynajmniej tak jej się wydaje.

- A ty też jesteś zbyt zajęta?

- Ja już byłam mężatką. Dwukrotnie - rzekła z goryczą.

- Za każdym razem nic z tego nie wyszło.

- Przykro mi. Jej też było wtedy przykro, a matka była wściekła.

Lubiła

Charlego i Rona. Obaj mieli odpowiednie pochodzenie, odnieśli już pewne sukcesy i zdolni byli zapewnić Lei dobre warunki materialne, do jakich przywykła. Niestety, sprawy nie ułożyły się pomyślnie. Obaj panowie odeszli, pozostawiając żal i pustkę.

- Nie wszystko można przewidzieć - wyjaśniła Jessemu.

- Czasem coś, co się dobrze zapowiada, w praktyce może okazać się fiaskiem. Potrzeby umysłu nie idą w parze z potrzebami serca, coś takiego.

- Kochałaś ich?

- Tak... choć może nie w ten sposób, jak powinnam. To na pewno nie była żadna płomienna miłość, raczej pewne zainteresowanie intelektualne. Potrzeba miłości. Lea znacznie bardziej kochała myśl, że jest zakochana, niż tych mężczyzn.

- Musieli czuć się załamani. Zaśmiała się z goryczą. - Nic z tych rzeczy. Po pierwsze małżeństwa te nie trwały długo. Poza tym nie mieliśmy dzieci. Po prostu nasze drogi rozeszły się. Wiem, że to brzmi chłodno i cynicznie, ale wtedy wcale tego nie chciałam. Lubiłam być mężatką.

- Tylko że nie byliście sobie przeznaczeni. Skinęła głową. - Teraz wiesz. W dziedzinie miłości nie odniosłam sukcesu.

- Zgaduję, że często chodzisz na randki. Odwróciła się w stronę morza. Położyła ręce na kolanach.

- Nienawidzę umawiać się na randki. To jest okropne i mnóstwo z tym kłopotów. Unikam tego, jak tylko mogę.

- Ośmieliła się spojrzeć na niego. - A co z tobą? Wzruszył ramionami. - Spotykałem się z kobietami. Ale to nigdy nie było nic poważnego.

- Nigdy?

- Czekałem na tę jedną właściwą. Jestem niepoprawnym romantykiem.

- Też lubię marzyć. Skierował wzrok w dół, tam gdzie słone fale rozbijały się o skały. - Pięknie jest tam teraz.

- Też tak sędzę - zgodziła się z nim.

- Chcesz zejść na dół?

- Zejść po tych skałach? - zdziwiła się. - Myślałam, że nie można.

- Jest ścieżka i schodki. Trochę natura rzeźbiła tę drogę, a trochę dopomógł człowiek. Miejsca wykute w skale, gdzie można bezpiecznie postawić nogę. To naprawdę wspaniały widok. Czujesz, że jesteś w samym środku żywiołu.

Wstała, szczerze otulając się szalem. - Bardzo bym chciała tam pójść, ale na pewno nie jestem do tego właściwie ubrana. Zmarznę albo przemoknę.

On też podniósł się z krzeselka. - Mam w domu ciepłe swetry, na pewno któryś mógłby się nadać. Już tyle razy były mokre, że raz więcej nie zrobi im różnicy. Poza tym dobrze trzymają ciepło. Poczekaj, zaraz będę z powrotem... - zawahał się. - Albo chodź ze mną, jeśli chcesz...

Lei przemknęło przez myśl, że Ginny mogłaby być zszokowana tym, co jej najmłodsza córka robi w środku nocy z ogrodnikiem. Nie z

kimś z wyższej sfery, choć za to tak bardzo męskim jak nikt inny... Ale przecież Ginny i tak tutaj nie ma.

- Oczywiście - uśmiechnęła się i poszła za nim.

Chatka nie była teraz zielona. Jarzyła się bursztynowym blaskiem poświaty księżyca. Rosła w oczach, gdy się zbliżali, wabiła ich do środka. Jesse przytrzymał drzwi i Lea weszła.

- Zaraz wrócę, poczekaj. - Wbiegał po dwa schodki naraz na poddasze. Było ono pogrążone w mroku, ale zapalona lampa na dole dawała dość światła, by Lea mogła widzieć jego postać. Wyjmował swetry z szafy, potem otworzył komodę... i zdjął mokre slipy.

Lea poczuła, że robi jej się gorąco z wrażenia. Kilim, który wisiał na poręczy schodów, zasłaniał widok, ale wyobraźnia Lei pracowała. Czowała, że puls jej znacznie przyspieszył.

- Jesteś tam jeszcze? - zawołał Jesse.

- Jestem! - odpowiedziała absurdalnie głośno. Jakby to było konieczne, żeby głos dotarł aż na poddasze.

- Podoba mi się tutaj! - wrzasnęła znowu. Widziała fotografie na ścianach, choć nie patrzyła na nie - z bliska. - Jest przytulnie i miło.

Zszedł po schodach, ubrany w dżinsy i sweter. W ręku trzymał jeszcze jeden sweter, który delikatnie włożył jej przez głowę. Przestała ścisnąć szal i wsunęła ręce w rękawy. Jesse zawinął je nad nadgarstki. Potem pomógł jej wyjąć włosy spod swetra.

Lea poczuła, że serce łomocze jej z wrażenia. - Przepraszam, mam straszny bałagan na głowie...

Ale oczy Jessego wyrażały aprobatę, a nawet zachwyt. - Masz piękne włosy. Nigdy nie widziałem czegoś tak wspaniałego.

Przyglądał jej się z zachwytem jeszcze przez chwilę, potem cicho zapytał: - Gotowa?

Skinęła głową. Razem wyszli z chatki. Poprowadził ją w stronę skał. Doszli do krawędzi. Wziął Leę za rękę.

Szli w dół stromą ścieżką po skałach... Cały czas trzymał ją za rękę, by dodać odwagi i wskazywał stopnie w skałach.

Ocean wyrzeźbił przez lata wiele warstw. Kiedyś tu uderzały fale, odrywając kawałki skał, krusząc kamień. Żywioł wody zbudował tę drogę, zanim obniżył się poziom oceanu.

Nie bała się. Pomyślała nawet, że nie jest trudno wyszukiwać stopnie bosą stopą. Sama na pewno by wtedy nie szła. Nawet w dzień. Ale teraz Jesse trzymał ją za rękę.

Doprowadził ją na dół, do ogromnego głazu, który chronił ich przed rozbryzgującymi się falami. To było jeszcze bardziej ekscytujące niż przyglądanie się temu z góry. Kucnęła i przykryła gołe stopy koszulą nocną. Potem naciągnęła sweter na kolana. Usiadła na skale, zatopiona w marzeniach.

- W porządku?

- Och, tak - westchnęła z zachwytem.

- Ciepło?

- Wspaniale. Objął ją, gdy fala rozbiła tuż koło nich. Potem znowu ochronił ją ramieniem. Morze podchodziło coraz bliżej, a Lea coraz mocniej przytulała się do Jessego. Mogłaby zostać tu przez całą noc - zachwycona, oszołomiona morzem i bliskością Jessego. Wiedziała, że nie ma tu nic szczególnego do roboty i może potem spać choćby i cały dzień. Jesse jednak miał pracę w ogrodzie.

Lea przyjęła dłoń, którą jej podał, i ruszyła z nim z powrotem przez skały. Kiedy już wyszli na bezpieczną przestrzeń, nadal trzymali się za ręce. Szli przez trawnik prosto do jego chatki.

- To było cudowne - rzekła. - Często tu przychodzisz?

- Nie tak często, jak bym chciał. Czułbym się samotnie, gdybym był tu sam. To takie miejsce, że przyjemniej jest być z kimś.

Miłe były te słowa. Nie musiał tego robić, nie miał obowiązku pokazywać jej tej drogi. Mógł po prostu wyjść z basenu i pójść spać do swojej chatki, jak w podobnej sytuacji postąpiłaby większość mężczyzn. Jej znajomi nie lubili wysilać się dla kobiet. Jeżeli już zrobili coś podobnego, to wyłącznie z wyrachowania.

Cynik mógłby powiedzieć, że być może motywy Jessego niezupełnie były szlachetne. Lea była przecież córką bogatej właścicielki.

Jednak Lea nie była cyniczna. Wierzyła, że Jesse jest wolnym człowiekiem. Jakby pracował na swoim. Nie musiał odbijać karty zegarowej ani podlizywać się szefowi. Jego praca mówiła sama za siebie. Wykonywał ją, kiedy chciał, jakby ten ogród należał do niego. Sam decydował o swoim życiu. Sam dokonywał wyboru.

I właśnie teraz postanowił pokazać jej ocean o północy.

- Dzięki, że mnie tam wzięłeś. Uścisnął jej dłoń. - Dzięki, że chciałaś zobaczyć. Szli razem. Miękka trawa pod stopami zdawała się hipnotyzować jak fale oceanu. Bryza targała jej włosy, szeptała w liściach drzew. Potem Lea usłyszała jeszcze inny dźwięk.

- Sowa - powiedział. - Noc to jej pora. Lea na chwilę obudziła się z marzeń. - Późno się zrobiło - szepnęła. - Oddam ci sweter, znowu okryję się szalem i już pójdę. Na pewno chcesz spać.

- Nie potrzebuję aż tak wiele snu.

- Bardzo wczesnie zaczynasz pracę. Będziesz zmęczony.

- Ten spacer wart jest mojego zmęczenia. Teraz, kiedy szli górą, morze wydawało się dziwnie ciche. Lea mogła wyraźnie słyszeć łopot swojego serca. Jesse znajdował się tak cudownie blisko. Kiedy doszli do małego zielonego domku, przytrzymał przed nią drzwi i gestem zaprosił do środka. Pomógł zdjąć sweter przez głowę.

Potem podniosła na niego wzrok. Znowu przybrał ten dziwny, uroczysty wyraz twarzy, tym razem zmacony pożądaniem, a nawet lękiem. Tym wszystkim, co ona sama czuła. I nagle to było zbyt wiele, by mogła mu się oprzeć.

Musnął ustami jej policzek. Odwróciła się do niego. Teraz mocno przywarł do niej ustami. Westchnęła z zachwytem. Delektowała się jego smakiem tak samo, jak z ekscytacją wchłaniała jego męski zapach. Był tak blisko. Czuła, że umiera z wrażenia. Pocałował ją znowu. Oddała mu pocałunek. Podniecało ją jego ciało, duże i silne.

W ciągu kilku ostatnich lat miała wiele propozycji od mężczyzn. Nie korzystała z nich. Dopiero teraz. I nie dlatego, że dojadła jej samotność. Samotność nie była dla niej niczym nowym. Umiała sobie z nią radzić.

Jesse Cray fascynował ją jak zakazany owoc, jak symbol męskości. Pragnęła go, a on patrzył na nią tak, jakby była kimś zupełnie niezwykłym, jedyną na świecie i najwspanialszą. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Objął ją w pasie. Niemal krzyknęła, gdy poczuła jego ciało na sobie. Był tak silny i twardy, że zadrżała.

Teraz jego pocałunek nie był prostym dotknięciem ust. Łapczywy i zaborczy, trwał co najmniej kilka minut. Do głowy jej nie przyszło, żeby to przerwać.

Zaprowadził ją do sypialni. Zdjął z niej nocną koszulę. Najpierw pieścił ją oczyma, dopiero później ręce wzięły w tym udział.

Rozebrał się. Kochała jasne włosy na jego piersi, magiczne ręce, które dokonywały cudów. Magnetyczne fluidy działały na nią z całą mocą. Całował jej oczy. Gładził twarz. Pieścił sutki. Potem ręce zsunęły się niżej, w dzikim pożądaniu. Wyszeptał jej imię. Prowadził ją wyżej i wyżej. Aż do nieba.

Kiedy już złapała oddech, odpoczywała wtulona w jego ciało.

Zanim nadszedł świt, odprowadził ją do dużego domu. Szli razem przez trawnik. Obejmował ją. - I co myślisz? - zapytał.

Zastanowiła się, o co mu chodzi. - Że to była najdziwniejsza noc, jaką kiedykolwiek przeżyłam.

- Żałujesz tego?

- Nie, ale trochę jestem speszona.

- Bo nie jestem tego rodzaju mężczyzną, z jakimi zwykle masz do czynienia?

- Trochę, ale najbardziej dlatego, że dawało mi to taką siłę. Czułam się wspaniale.

- Dlaczego czas przeszedł?

- Czuję się wspaniale. - Umilkła na chwilę. Przytuliła się do niego. - Cudownie jest z tobą. Ale to nie ja chciałam kończyć. To ty powiedziałeś, że musimy wstawać.

- Wkrótce będzie widno. Musisz wrócić do swojego łóżka. A ja niedługo zaczynam pracę. - Ujął jej twarz w dłonie. Mówił wzruszonym, lekko schrypniętym głosem. - Pamiętasz, jak zapytałaś mnie, czy byłem na poważnie związany z jakąś kobietą?

- Tak.

- Powiedziałem ci, że czekam na tę właściwą. Teraz ją spotkałem.

Lea z trudem złapała oddech. Doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Sama odczuwała coś podobnego. Jednocześnie zaś gorąco pragnęła temu zaprzeczyć.

- Wierzę, że dla każdego istnieje gdzieś na świecie ktoś drugi, dla niego stworzony. Jakby jego druga połowa. Ten jeden jedyny dla niego przeznaczony. Często się zdarza, że ktoś przejdzie przez życie i nie spotka swojej drugiej połowy. Łączy się węzłem małżeńskim z kimś drugorzędym i nawet nie wie, co traci. Ty jesteś mi przeznaczona, Leo.

- Skąd wiesz? - krzyknęła przerażona, bo trafił we właściwą strunę. To, co czuła, gdy go pierwszy raz zobaczyła, było nieporównywalne ze wszystkim innym.

- Po prostu wiem. Kiedy ostatni raz byłaś z mężczyzną?

- Dawno. Nie pamiętam.

- Właśnie. Minęło od tamtej pory trochę czasu. I nigdy nie robiłaś tego po dwóch dniach znajomości.

- Tak, ale...

- Byłaś dwukrotnie zamężna. Czy z którymś z nich przeżyłaś to, co dzisiejszej nocy?

- Seks nie stanowi o wszystkim.

- Masz rację. Tu chodzi nie tylko o seks. Pomyśl, co czujesz.

Jesse Cray był prostym człowiekiem. Pracował jako ogrodnik. Mieszkał w małej chatce, na terenie należącym do pracodawcy. Był przeciwieństwem wszystkiego, co do tej pory stanowiło dla niej jakąś wartość.

Nigdy jednak nie czuła się tak bardzo zakochana.

Rozdział 11

Wendell Combs wyszedł ze sklepu wielobranżowego i od razu skierował się w stronę długiej drewnianej ławki. - Witaj, Clarence - pozdrowił mężczyznę, siedzącego na jej wschodnim końcu.

- Witaj, Wendell - padła odpowiedź. Wendell z obrzydzeniem spróbował zawartości swojego

kubka. Ta kawa była parzona z ziaren sprowadzonych z miejsca, którego nie potrafiłby nazwać ani nawet znaleźć na mapie. Zresztą na jego własnej mapie, pochodzącej sprzed trzydziestu lat, na pewno nikt nie umieścił tej nazwy.

Postawił kubek między udami. To pomagało utrzymać ciepło. - Świat schodzi na psy - mruknął. - Nic już nie jest jak dawniej. Nikt nie robi takiej kawy jak Mavis ani kanapek z białego chleba.

- Żytni jest całkiem niezły.

Wendell wydał z siebie dźwięk, który miał wyrazić, co myśli o żytnim pieczywie. I o kawie z ziaren rosnących w dziwnym miejscu.

- Ta kobieta, Gwen, wykupuje wszystko, co najlepsze. Musi pamiętać, kurczę, dla kogo gotuje.

- Słyszałem, że ona im nie gotuje. Same sobie robią obiady.

- Kto tak mówi?

- Moja June. Ona rozmawiała z Sally Goode, a Sally wie o tym od swojej kuzynki, Molly, która rozmawiała z tą kobietą.

- A co robi ta Gwen, kiedy nie gotuje? - burknął Wendell.

- Prowadzi dom.

- Dwie starsze wybrały się wczoraj na miasto. Błyszczące laleczki, kurczę blade.

Clarence wyjął fajkę z ust, przyjrzał jej się uważnie, po czym znowu wsunął między zęby. - Słyszałem coś zupełnie innego.

Wendell spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Clarence wyjął z kieszeni tytoń. Nabił fajkę. Pociągnął. Tak, teraz było już dobrze.

- Słyszałem, że są miłe.

- Kto tak gadał? - zdenerwował się Wendell.

- Eddie Stillman. Wendell lubił Eddiego. Spędził w Maine całe swoje życie.

To prawda, jest artystą, ale to nie przynosi mu ujmy. Mógł się wyprowadzić stąd już wiele lat temu, jak inni. Stali mieszkańcy

wyprowadzali się, przyjeżdżali artyści. Miasto schodziło na psy. Eddie był tu od zawsze.

- Co on mówi o matce? - zapytał Wendell.

- Mieszkała w mieście. Dom jak pałac.

- Ha! To paradne. Clarence sięgnął do kieszeni po woreczek z tytoniem.

- A gdzie miała mieszkać? - mruknął.

- To ja powiem ci o najstarszej. Mieszka w Chicago i ma przyjaciela artystę. On ma domek pod miastem. Szymon tak mówi. Będziemy mieć kłopot i innych przyjaciół artystów.

Clarence naszykował zapalki. Przedmuchał fajkę. Tytoń zaczął się palić. - Tylko wtedy, jak tu przyjadą. - Clarence popatrzył z zadowoleniem na smugę dymu.

- I powiem coś jeszcze - mówił Wendell. - Ich ojciec umarł trzy lata temu. Ona sprzedała wszystko, co mieli, i przyjeżdża tutaj. Zastanawiam się, czego ona tutaj szuka. Za czymś węższy, to pewne.

- Jak może czegoś szukać, jeżeli jej tu nie ma.

- Właśnie. Dlaczego jej tu jeszcze nie ma? - zapytał Wendell.

Informatorzy Clarence'a mieli różne teorie na ten temat. Żadna z nich nie potrafiła go zadowolić. Niektórzy mówili, że prowadzi tak rozrywkowy tryb życia, że nie ma czasu przyjechać. Ale jak kobieta w tym wieku mogłaby tak żyć? Bardziej prawdopodobne, że po prostu niewiele tym się przejmuje.

- Może ona zostawiła całą przeprowadzkę swoim córkom.

- Przeprowadzka już jest zrobiona, a jej nadal tu nie ma.

- Może przyjaciele nie chcą jej puścić.

- I przez to każe córkom na siebie czekać?

- A co mówi Elmira? Wendell podrapał się w głowę. - Gada, że matka boi się przyjechać. Ale co ona tam może wiedzieć? Raczej myślę, że czegoś szuka.

Clarence zachichotał. - Niewiele znajdzie w Gwiezdnym Zakątku oprócz Jessego i kwiatów.

Wendell lubił Jessego. Oparł kubek między udami i mruknął: - Jesse jest jednym z naszych. On kocha to miejsce.

Clarence zgodził się z tą opinią. Uchylił czapki, bo do sklepu wchodziła Callie Dalton. - Dzień dobry, Callie.

- Dzień dobry, Clarence. Wendell patrzył prosto przed siebie, aż Callie, żona zdrajcy, zniknęła w sklepie. Rozmyślał intensywnie o

najnowszych wydarzeniach. - Jesse znienawidzi te kobiety - powiedział. - Nie ogłupią go błyskotkami, blichtrzem. On wszystko widzi. Clarence powiedział cicho: - One nie ogłupiają błyskotkami.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Widziałem je, jak robiły zakupy. Wyglądają zupełnie normalnie. Jak my wszyscy.

- Może już zdążyły cię ogłupić.

- Zachowują się grzecznie. Nawet ostatniego wieczoru u Julii nie były głośne.

- Julia to kolejny problem w tym mieście - mruknął Wendell.

Clarence nie przytaknął. Kilka razy jedli z June lunch u Julii. Gdyby nie zwracać uwagi na wymyślny wygląd potraw, jeśli nie przejmować się wyszukanymi nazwami, a skoncentrować się wyłącznie na smaku, to wcale nie były złe. Powstrzymał się jednak z wyrażeniem opinii. June i inne kobiety z kółka różańcowego planowały wydać książkę kucharską. Chciały poprosić Julię o konsultację.

Nic nie mówił o tym Wendellowi, który od razu zacząłby ujadać na Julię jak na te St. Clair. Tymczasem Julia wcale nie była do nich podobna. Cicha, grzeczna, uprzejma i zawsze bardzo zapracowana.

- Masz coś do powiedzenia? - zapytał Wendell.

- Nic - Clarence wypuścił z fajki dym.

- Cuchnie ten twój tytoń.

- Nie aż tak bardzo jak twoja kawa. Jak czarny diabeł. - Clarence zachichotał.

- W jednym przynajmniej się zgadzamy - zauważył Wendell. - Miasto schodzi na psy. Mógłbym się założyć, że panie St. Clair wszystko pozmieniają w Gwiezdnym Zakątku. Już nie będzie tam tak jak dawniej.

Ale Clarence nie lubił się zakładać. Zresztą zmiany nie zawsze są na gorsze.

Świat się zmienia. Clarence nie chciał, by w Downlee ta konieczność była nie zauważona. Bał się, że mogłoby to zniszczyć miasteczko. Czasami trzeba wybudować nową podłogę, pomyślał. I nie miał nic przeciwko temu.

Rozdział 12

Aneta wstała wcześniej, od razu gotowa wziąć się za robotę. Niestety Karolina jeszcze spała.

Aneta rozejrzała się za Gwen. Spotkała ją wreszcie na parterze, w pralni. Gospodyni wyjmowała z suszarki gorące ręczniki i każdy z niezwykłą starannością składała w kostkę.

Aneta oparła się o pralkę. - Opowiedz mi o matce - poprosiła.

Gwen rzuciła jej zdziwione spojrzenie, po czym starannie złożyła kolejny ręcznik. Przyjrzała się krytycznie swemu dziełu; rożki tkaniny nakładały się na siebie z dokładnością milimetra.

- Dajmy teraz spokój ręcznikom - nalegała Aneta. - Powiedz mi prawdę, dlaczego jej tu nie ma.

Gwen zrobiła komiczną minę. - O to musicie ją zapytać.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła. Ale ponieważ jej tutaj nie ma i ponieważ ty jesteś jedyną osobą, która kontaktuje się z nią w miarę regularnie, dlatego zapytałam ciebie. Wiemy, że nadal jest w Filadelfii i ciągle zwleka z przyjazdem. Chcę wiedzieć, dlaczego robi z nas idiotki.

- Nigdy bym nie powiedziała, że robi z was idiotki.

- Mniejsza z tym. Dlaczego opóźnia przyjazd? Coś z jej zdrowiem?

Gwen zmarszczyła czoło i sięgnęła po następny ręcznik. - Jej zdrowie jest w porządku.

- Wiem o jej kłopotach z ciśnieniem, Gwen, i o arytmii. Chciałabym wiedzieć, czy stan jej zdrowia nie pozwala na podróż, czy też chodzi o coś innego.

Gwen starannie złożyła kolejny ręcznik w kostkę. - Ja tego nie wiem - spojrzała na Anetę. - To prawda, że Ginny potrafi być uparta jak muł. Zaproponowałam, że zajmę się wszystkim, co wiąże się z przeprowadzką. I kiedy wszystko było tu gotowe, pojechałam po nią do Filadelfii. Ale Ginny powiedziała, że sobie poradzi. Naprawdę spodziewałam się, że będzie tu w sobotę, tak jak się umawialiśmy. Możecie mi wierzyć.

- W takim razie nie wiesz, co to był za plan z naszym przyjazdem? Dlaczego chciała, żebyśmy tu byli wszystkie trzy?

- Nie mam pojęcia, czy chodziło tu o jakiś plan. Wydawało mi się, że po prostu chciała pokazać wam nowy dom. Nie wiem, dlaczego

zwleka z przyjazdem. Dla mnie też to jest zagadką. Może ma jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, o których mi nie mówiła.

- A co z jej zdrowiem? Gwen zawahała się. - Męczy się szybciej niż kiedyś, ale ma już siedemdziesiąt lat.

- Bierze leki?

- Tak.

- Przestrzega diety? Gwen zmarszczyła czoło. - A czy pamiętasz, żeby kiedyś nie przestrzegala diety?

- Jak to jest pracować dla niej? Jest miła dla ciebie?

- Tak.

- Serdeczna?

- Hmm...

- Prawda - mruknęła Aneta.

- Spróbuję na to odpowiedzieć, ale to nie jest proste pytanie. Ginny nie jest z tych... wylewnych, którzy potrafią okazywać swoje uczucia... wiesz, co mam na myśli... Ale jest przyjacielska, troszczy się o moje sprawy. Tak, mogę powiedzieć, że jest serdeczna.

- Kiedy mówiłaś, że troszczy się o ciebie, chodziło ci o to, że ci współczuje, jak na przykład jesteś przeziębiona?

- Chodzi mi o coś znacznie bardziej ważnego. Ginny jest dobra dla mojej rodziny.

Aneta czuła się coraz bardziej zaintrygowana. - Co masz na myśli?

Gwen złożyła ręcznik w kostkę. Potem jeszcze trzy. Przycisnęła je do piersi. - Czasami mam kłopoty z synem. Moje dziewczynki wyrosły na porządne kobiety. Obie skończyły college, dobrze wyszły za mąż, pracują, mają dzieci. - Przygryzła wargę. - Z Jacksonem to zupełnie inna sprawa. Ten chłopak zawsze sprawiał kłopoty, a odkąd umarł jego ojciec... to już ponad trzydzieści lat...

- Kłopoty z prawem? - domyśliła się Aneta.

- Tak - westchnęła Gwen. - Zaczął od wagarów i podkradania samochodów. Zrobił dziewczynie dziecko i niemal, zabił ją prowadząc na nielegalny zabieg, a potem uciekł... Krótkie są chwile, kiedy mogę odetchnąć. Zawsze wraca z czymś jeszcze gorszym w zanadrzu... Związki z kobietami lekkich obyczajów, kilka pobytów w więzieniu... Nie uczy się, nie pracuje. Płacę za niego kaucje, wyciągam go z więzienia... Ale jestem jego matką i muszę mu pomagać.

Aneta pomyślała, że doskonale ją rozumie. Też zrobiłaby wszystko dla swoich dzieci, niezależnie od tego, w jakich byłyby kłopotach.

- I jak Ginny może w tym pomóc?

- Pomaga mu znaleźć pracę. Dobrą pracę, za biurkiem. Spłaca jego długi. I to, co najważniejsze, za co ją błogosławię, zawsze wierzy w jego poprawę. Nawet kiedy mnie samą ogarniają wątpliwości. On ma już trzydzieści sześć lat i dawno powinien się ustatkować

- A co on robi teraz?

- Jeśli już o tym mowa... - Gwen westchnęła, zapominając nawet o ręcznikach. - Odsiaduje wyrok za defraudację. Ukradł pieniądze swojemu pracodawcy, który jest przyjacielem twojej matki. A ona, jakby nie miała nic innego do roboty, załatwia mu teraz następną pracę. Niepoprawna optymistka, nie sądzisz?

Aneta była wzruszona. - To naprawdę miłe.

- Ginny jest wspaniałą kobietą. Tyle razy myślałam, żeby zrobić coś dla niej. Coś więcej niż zawsze. Ale, jak często powtarzam, Ginny jest uparta jak muł.

- Zgadzam się z tym całkowicie - zapewniła Aneta, przypominając sobie znowu o tajemniczym zachowaniu matki.

Odwracała się już do wyjścia, kiedy Gwen delikatnie dotknęła jej ramienia. - Jest jedna rzecz, o której wiem - szepnęła. - Kiedy na samym początku omawialiśmy z matką jej plany, ustaliłyśmy, że zaraz, jak pomogę wam się rozpakować, wyjadę. Chciała być z wami sama. Tylko wy, we czwórkę. Nie rozumiem tego spóźnienia... tego dziwnego zachowania...

- I ty też miałaś jakieś plany, a teraz jesteś uwiązana tutaj i nie możesz się ruszyć, aż ona przyjedzie - domyśliła się Aneta.

- Chciałam tylko odwiedzić Jacksona.

- To nie krępuj się. Jedź do niego. Gwen wyglądała na przestraszoną. - Nie, nie mogę. Muszę czekać, aż wasza mama tu przyjedzie. Dopiero potem.

- Ginny będzie tu lada dzień. Wszystko jest przygotowane. To, co najtrudniejsze, zostało już zrobione, a wyjąć ręczniki z pralki, wysuszyć i poskładać doskonale mogę sama. A jak się tym zmęcę, to poproszę Karolinę lub Leę o pomoc. Sprzątaczkę już zatrudniłaś, a odkurzać możemy same. Lea uwielbia gotować i jak ją znam, zajmie się tym z prawdziwą przyjemnością.

Gwen pozostała nie przekonana. - Nie, nie mogę. Ginny kazała poczekać.

Aneta pomyślała teraz o swoim domu. Nie była pewna, jak Jean - Paul sobie ze wszystkim radzi.

- Dobrze, jeśli tak uważasz - powiedziała - ale zastanów się nad tym.

Kiedy Lea się obudziła, dochodziło już południe. Szybko ubrała się, umyła i po cichu zeszła do samochodu, zanim siostry zdążyły zapytać, dlaczego spała tak długo.

Pojechała w stronę miasta, ale wkrótce straciła orientację i wreszcie skręciła w drogę, którą już знаła, prowadzącą do restauracji Julii.

Usiadła przy narożnym stoliku. Zamówiła herbatę.

Herbatę przyniosła jej do stolika nie kelnerka, która przyjmowała zamówienie, ale szczupła kobieta w wieku Lei, ubrana w lekki wełniany sweterek i szeroką spódnicę. Ciemne kręcone włosy miała związane kokardą na czubku głowy. I emanowała z niej jakaś serdeczność, co od razu Leę nastawiło do niej przyjaźnie.

- Jestem Julia Waterman - przedstawiła się, stawiając na stoliku herbatę. - Chciałam podejść do was wczoraj wieczorem, ale mieliśmy trochę problemów w kuchni... Musiałam tym się zająć, a jak już się ze wszystkim uporałam, ty i twoje siostry odjechałyście... - Podsunęła koszyk z pieczywem. - Witaj w Downlee. Chcesz mieć tutaj przyjaciółkę?

Zaproponowała to z taką delikatnością, że Lea nie mogła odmówić. Musiałaby znaleźć jakiś pretekst, ale uznała, że z przyjemnością porozmawia teraz z tą dziewczyną. Poczuli nawet pewną ulgę, zastanawianie się nad Jesse mogła odłożyć na potem. W tej sprawie jeszcze nic nie trzeba było decydować. Nie teraz. Poza tym Jesse bardzo dobrze wyrażał się o Julii.

- Słyszałam, że jesteś z Waszyngtonu - powiedziała Julia. - Mieszkałam tam dość długo. W Cleveland Park.

Lea uśmiechnęła się. - Jaki świat jest mały. Mieszkam zaraz po sąsiedzku, w Woodley.

- Ach... to bardzo dobra dzielnica. Miałam tam fryzjerkę, jakiej nigdzie nie mogłam znaleźć. Moje włosy są niemożliwe. Tylko ona potrafiła sobie z nimi poradzić.

- Pani Aubrey - wymieniła nazwisko Lea.

- Nadal tam pracuje? - ucieszyła się Julia. - To niesamowite! Też ją uwielbiasz? Potem przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Tam fryzjerzy byli beznadziejni. Nie do porównania. Czy ona nadal tam jest?

- Tak.

- I Tabbard Inn i Cafe la Ruche? - Julii zebrało się na wspomnienia.

Lea potakiwała. Też lubiła te miejsca. Nawet jeśli były niezbyt interesujące dla jej znajomych.

- Och - westchnęła Julia. - Już zapomniałam, jakie to wielkie miasto.

- Dlaczego się przeprowadziłaś?

- Wysłałam za męża. Mój mąż pracował w Białym Domu i kiedy skończyła się kadencja prezydenta, stracił pracę. Potem został zatrudniony w Nowym Jorku jako konsultant jednej z firm za trzy razy większą pensję. Ale jak zmienił się prezydent, to i nasze uczucia też. I to był koniec naszego małżeństwa.

- Przykro mi.

- Mnie nie. Poczułam się wolna. Po podziale majątku wyszło tego dla mnie nawet sporo. Mogłam tu przyjechać i założyć restaurację. Marzyłam o tym od dziecka.

- Nie tęsknisz za miastem?

- Tylko jak potrzebuję fryzjera - zaśmiała się. - Tu wszyscy są mili. I mają apetyt - dodała. - To ważne.

Lea odpowiedziała uśmiechem. - Obiad, który jadłyśmy wczoraj, był wspaniały. - Sięgnęła po chleb. - Och, przepyszny. Z kminkiem?

- Zgadłaś - Julia pokraśniała.. - Mam w kuchni pasztet, świetnie by do tego pasował... - Zerwała się, by pobiec do kuchni. Nagle się zawahała. - Tylko nie wiem, czy masz ochotę na moje towarzystwo. Może wolałabyś posiedzieć sama?

Lea nie miała wątpliwości. Osoba, która do tego stopnia podzielała jej zainteresowania i sympatie, z pewnością warta była jej towarzystwa. - Przynies pasztet. Poczekam.

Julia wróciła nie z jedną, ale z dwiema porcjami pasztetu, koszykiem z warzywami i z butelką wina. - Umieram z głodu - wyjaśniła. - Zasnęłam i nie zdążyłam zjeść śniadania.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała Lea.

- Trochę dalej przy tej samej ulicy. Mój dom jest stary, ale uroczy. I ma dużą kuchnię. To dla mnie ważne. - Sięgnęła po pieczywo. - Słyszałam, że w Gwiezdnym Zakątku kuchnia jest olbrzymia.

Lea zachichotała. - Dobrze wiesz. Jedną z twoich starych klientek jest szwagierka stolarza, który robił szafki w kuchni.

- Zgadza się - śmiała się Julia. - Spróbuj tego chleba, takiego pewnie nigdy nie jadłaś. Miodowy... Rozsmarowała pasztet na pieczywie. - Pieczywo to moja specjalność. Smakuje ci?

- Wyśmienite - powiedziała Lea szczerze.

- Kiedy byłam dzieckiem - mówiła Julia - przy naszym kościele, pamiętam, sprzedawali gorące chlebki anadama. Uwielbiałam je... Gorące pieczywo o różnych smakach to moja pasja.

Nie myśl teraz o Jessem, powiedziała sobie Lea. Coś się działo. Tym razem na pewno coś dobrego. Znalazła przyjaciółkę, bratnią duszę.

Samodzielne pieczenie chleba to była również jej pasja, jej marzenie. To dlatego chciała kupić sobie w Waszyngtonie profesjonalną, dużą kuchnię. A jej popisowym wypiekiem był chleb na syropie klonowym z curry. Opowiedziała o tym Julii.

Julia westchnęła z zachwytem. - Syrop klonowy z curry? To brzmi fantastycznie. Gdyby ci się chciało upiec coś takiego w Gwiezdnym Zakątku, to mogłabyś przynieść dla mnie. Kocham próbować coś nowego, uwielbiam podawać to gościom. Zawsze staram się doskonalić menu. Przez dwa tygodnie mogłybyśmy tu razem wiele zdziałać. To naprawdę fantastyczne.

Lea uśmiechnęła się. Julia orientowała się doskonale, na jak długo przyjechała. - Co jeszcze ci o mnie powiedzieli?

- Jesteś atrakcyjna, miła, a poza sama - podchwyciła Julia. - A co sądzisz o Gwiezdnym Zakątku?

- Cudowny.

- Prawda? To niezwykle romantyczne miejsce. Nawet bez Jessego Craya byłoby cudowne, ale on robi z tego coś absolutnie niesamowitego. Czasami spotykamy się w bibliotece. Lubi te same książki co ja. Znasz historię Gwiezdnego Zakątku, prawda? Wszystkie związane z tym legendy?

Rzeczywiście, siostry mówiły coś na ten temat, kiedy wróciły wczoraj z miasta. Chociaż po ostatniej nocy Lea widziała to w nowym świetle. - Aneta mówi, że to miejsce inspiruje artystów.

- Nie tylko artystów. Olśniewa i zaczarowuje wszystkich, kobiety i mężczyzn.

Lea chciała usłyszeć o tym coś jeszcze, ale Julia akurat zajęła się jedzeniem.

- To powietrze znad oceanu tak działa, prawda? - zapytała Lea. - Dlatego ludzie tak się czują?

To mogło stanowić racjonalne wytłumaczenie faktu, że Jesse robił na niej tak silne, niezwykle wrażenie.

- Wiatr od oceanu ma w sobie coś takiego, że ludzie tak łatwo ulegają emocjom? - pytała. Nadal jeszcze czuła wspomnienie żaru Jessego, miłosne drżenie.

Julia przełknęła to, co miała w ustach. - Może i tak, kto wie, co to może być. Tego nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Czy wiesz już, kiedy przyjedzie twoja mama? - zmieniła temat.

- Jeszcze nie wiemy. Może dzisiaj zadzwoni.

- Wszyscy czekamy na nią z niecierpliwością.

- My tak samo - uśmiechnęła się Lea. - Możesz mi wierzyć.

Nie chciała jednak mówić o Ginny. I bała się jakoś zapytać teraz o romantyczne legendy Gwiazdowego Zakątka. Bezpieczniej było rozmawiać o Julii. Lea wiedziała o niej tak niewiele.

- Gdzie się nauczyłaś prowadzić restaurację?

- Podpatrywałam tu i tam. Zawsze kochałam gotowanie.

- Skończyłaś szkołę gastronomiczną?

- Nie, ale mam przyjaciół w branży. Zabrali mnie do swoich lokali i pozwolili podpatrywać. Ja się szybko uczę i zawsze robiłam eksperymenty z różnymi przepisami kulinarnymi. Otworzyłam restaurację, zaczynając od moich najlepszych przepisów. Potem po trochu wzbogacałam menu. Ludzie czekają z zaciekawieniem, co wymyślę nowego. Nie mogę ich zawieść.

- Długo nosiłaś się z tym pomysłem?

- Od zawsze. I pewnego dnia uznałam, że przyszła na to pora. Spakowałam się i pojechałam na wybrzeże. Szpiegowałam w kilku wielkich restauracjach.

Lea zaśmiała się. - Co robiłaś?

- Szpiegowałam. Zakładałam ciemne okulary i studiowałam dokładnie menu, aż umiałam je na pamięć. Zamawiałam kilka najbardziej niezwykłych rzeczy, potem jechałam do domu i próbowałam zrobić coś podobnego, żeby miało taki sam smak. Czasami wychodziło mi z tego coś zupełnie innego, ale zawsze był to jakiś nowy, ciekawy pomysł i najczęściej było to smaczne.

Spojrzała na ciemną tablicę na ścianie, na której kredą wypisano menu. - Planuję następną podróż po restauracjach. Już dawno nie wymyśliłam nic nowego. Może chciałabyś mi towarzyszyć? - Twarz jej pojaśniała na tę myśl. - Z kimś jest o wiele przyjemniej niż samej. Nie lubię zamawiać jednej porcji. Zwykle chodzę z moim przyjacielem, ale on jest teraz w Kansas ze swoją matką. Ona jest chora, na wózku inwalidzkim, i powinna być w domu opieki, ale broni się przed tym jak może. Dla Howella to prawdziwy koszmar...

Spojrzała na salę. - Och, wołają mnie. Muszę iść. Pomyślisz o tym? Mogłybyśmy pojechać w przyszłym tygodniu. Znajdę kogoś do pomocy w restauracji na czas mojej nieobecności. Do rychłego zobaczenia - rzekła serdecznie. - I upiecz ten swój chleb, bardzo cię proszę.

Zaraz po wyjściu od Julii Lea wyruszyła na zakupy. Sporo czasu zajęło jej zgromadzenie wszystkiego, czego potrzebowała do wypieku chleba. I to nie dlatego, że potrzebowała wiele. Po prostu ludzie w miasteczku okazali się wyjątkowo rozmowni, aż Lea miała wrażenie, że Ginny to jakaś tajemnicza boginka, która ma przybyć do dziwnego, zaczarowanego miejsca.

Zastanawiała się nad tym, gdy objuczona siatkami szła w stronę swojego samochodu. I wtedy zupełnie niespodziewanie wynurzyła się zza rogu Karolina. Niemal wpadły na siebie.

- Hej! - zawołała najstarsza i spojrzała pytająco na siatki. - Co kupiłaś?

- Mąkę i różne takie rzeczy. Zajmę się pieczeniem chleba. Karolina wzięła od niej jedną siatkę. - Pomogę ci. Nie było cię rano na śniadaniu. Wszystko w porządku?

- Tak, wspaniale, - Lea uniosła głowę. - Myślę, że to świeże powietrze tak dobrze na mnie działa... Może Ginny dzwoniła dzisiaj?

- Jeszcze nie.

- Karolino?

- Hmm?

- Dlaczego nie wyszłaś za Bena? Karolina rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. - Już wiele razy pokłóciłyśmy się przez to.

Ale Lea pozostała nie speszona. - To Aneta zawsze o tym mówi. Nie ja.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Ponieważ wydaje mi się, że po tak długim czasie związek z mężczyzną powinien się rozpaść albo doprowadzić do małżeństwa. A wy nadal jesteście razem. Dzwonisz do niego codziennie. Kochasz go?

- Chyba tak.

- Chcesz być z nim?

- Może kiedyś w przyszłości.

- To dlaczego nie chcesz, żebyście się pobrali?

- Trudno łączyć małżeństwo z pracą zawodową.

- Ale twój związek z Benem to prawie jak małżeństwo. Wiele małżeństw żyje podobnie.

Karolina rzuciła jej zdziwione spojrzenie. - Mieszkają osobno?

- Przecież odwiedza cię przynajmniej raz w tygodniu i spędzacie razem weekendy.

- Tak, chociaż nie zawsze. Kiedy przygotowuję się do procesu, spędzam weekendy w biurze.

- W małżeństwie też tak się zdarza, że praca zawodowa wymaga spędzenia weekendu osobno. Tak było ze mną i z Ronem.

- No, właśnie. I zobacz, jak to się skończyło. Lea włożyła rękę do kieszeni, szukając kluczyków. - Jego praca zawodowa nie miała wpływu na rozwód.

- A co miało wpływ?

- Nuda. - Lea otworzyła drzwi samochodu. Wstawiła do środka siatki z zakupami. - Na pierwszy rzut oka Ron wydawał się idealny. Dokładnie o kimś takim dla mnie marzyła Ginny. Ale przy bliższym poznaniu okazał się potwornie nudny. Jakby miał nie dwadzieścia dziewięć lat, a co najmniej pięćdziesiąt. Wszystko w jego życiu było już dokładnie ustalone i nie planował żadnych zmian. Zraz barani w poniedziałek, filet rybny we wtorek, kurczak pieczony w środę i tak dalej. I wyobraź sobie, nawet jak wychodziliśmy do restauracji na obiad, wybierał zawsze zgodnie z tym schematem. Był geniuszem komputerowym i życie miał zaprogramowane jak maszyna, do najmniejszej śrubki.

- W seksie też był taki, prawda?

- Jak z podręcznika o seksie partnerskim - westchnęła Lea. I już po chwili myślała znowu o Jessem. Spontaniczny, cudowny. Ellen byłaby zachwycona. Oczywiście platonicznie.

- Ben zawsze ma wiele inwencji - powiedziała Karolina.

Lea potrząsnęła głową, oczyszczając swój umysł ze wspomnień ostatniej nocy. - Ben jest artystą - powiedziała. - To oczywiste. Artyści są twórczy.

Karolina jęknęła. Brakowało jej teraz Bena. Przerażliwie za nim tęskniła.

- To dlaczego za niego nie wyjdiesz? - nalegała Lea.

- Ale po co właściwie mielibyśmy brać ślub? - zdenerwowała się Karolina. - Po co nam jakieś formalności, skoro i tak jesteśmy razem?

- A nie boisz się, że on może odejść?

- Ben mnie kocha. Chce być ze mną na zawsze.

- Dlaczego w takim razie nie wyjdiesz za niego?

- Jesteś tak samo okropna jak Aneta - zezłościła się Karolina. - Tak samo uparta. Po co mielibyśmy brać ślub? - powtórzyła. - Mogłabym to jeszcze zrozumieć, gdybyśmy chcieli mieć dzieci. Ale jaka ze mnie byłaby matka. Wiem, że zupełnie nie nadaję się na matkę. Pracuję zawodowo, nie miałabym czasu zajmować się dziećmi. A wszystkie inne powody też nie mają sensu. Nie potrzebuję jego pieniędzy. A tym bardziej jego nazwiska. Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy mieli się pobrać.

Lea zatrzasnęła bagażnik. - Czy dlatego nie bierzecie ślubu, że on nie pasuje do ideału? Czy to jest prawdziwym powodem twojej decyzji?

- Jakiego ideału? - zdziwiła się Karolina.

- Ideału zięcia. Czy o to chodzi, że on nie spodobałby się Ginny?

Karolina parsknęła śmiechem. - Robię to, co chcę. Nie to, co mi każe Ginny.

- Nam wszystkim trzem się wydaje, że robimy to, co chcemy - zauważyła Lea. - Ale to nieprawda. Nam się tylko tak wydaje. Przeprowadzając się do Waszyngtonu, starałam się jakoś odnaleźć po drugim rozwodzie, chciałam podkreślić swoją niezależność. Poślubiłam mężczyznę, który podobał się matce, a kiedy poniosłam klęskę, przeprowadziłam się do miasta, w którym nikogo nie znałam. I co dalej? Zbliżyłam się do takich ludzi, jakimi zawsze otaczała się

Ginny. Śmietanka towarzyska. Bogactwo i dobre koneksje. To były rzeczy, które nauczyłam się cenić. Ale to nie było moje. Te wartości przejęłam od Ginny.

- Ja idę własną drogą - upierała się Karolina. - I to, że Ben nie pasuje do ideału zięcia, to właśnie dowód mojej niezależności.

- Ale ty nie chcesz wyjść za niego - Lea, zupełnie nieoczekiwanie, wpadła w złość. - Powiedz prawdę. Boisz się wziąć ślub z kimś, kto mógłby nie spodobać się Ginny?

Karolina potrząsnęła głową. - Nie. To moja decyzja. Jestem tego pewna. To nie ma nic wspólnego z bogactwem czy też jakimiś koneksjami.

- A nie sądzisz, że Ginny kręciłaby nosem, gdybyś chciała za niego wyjść?

- Sądzę, że wolałaby wszystko, niż żebym miała do końca życia zostać, jak to się mówi, starą panną. Oczywiście na pewno nalegałaby, żeby przed ślubem zastrzec rozdzielność majątkową. Ale to cała Ginny.

- I co podpisałibyście umowę o rozdzielności majątkowej?

- Nie.

- I nie bałabyś się, że Ben czyha na twoje pieniądze?

- Nie. Znam go dobrze i wiem, czego chce od życia. Lea usadowiła się w samochodzie. Włożyła kluczyk do stacyjki. A potem przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądała się Karolinie,

- O co chodzi? - zdenerwowała się najstarsza.

- Myślę, że jeśli jesteś pewna tylu rzeczy, musisz być bardzo szczęśliwa. Podwieźć cię do Gwiezdnego Zakątka? Czym tutaj przyjechałaś?

- Aneta pewnie już na mnie czeka. Jesteśmy razem - mruknęła Karolina. - Ja spędziłam cały ranek na poczcie, a ona poszła kupić dzinsy i podkoszulki. Mówiła, że w domu nigdy nie chodzi w czymś takim, bo chce wyglądać bardziej kobieco. Ale skoro Jean - Paul kazał jej tu przyjechać, to do licha z całą tą kobiecością - zakpiła Karolina. - Zbuntowała się.

Lea odpowiedziała śmiechem. - Biedna Aneta. Musimy być dla niej dobre... Do widzenia, siostrzyczko. Do zobaczenia w Gwiezdnym Zakątku.

Uruchomiła silnik.

Lea wprost przepadała za pieczeniem chleba. Uwielbiała rozczyniać drożdże i patrzeć jak ciasto rośnie. Lubiła zagniać ciasto i formować bochenki. A najbardziej lubiła zapach, jaki dochodził z rozgrzanego piekarnika.

Tym razem smakowicie pachniało syropem klonowym i jeszcze czymś egzotycznym.

Ulepiła sześć bochenków.

Kiedy Karolina z Anetą wróciły z miasta, pieczywo było niemal gotowe. Cztery bochenki piekły się w piekarniku, a dwa pozostałe leżały na blacie kuchennym i czekały na swoją kolej.

- Pięknie pachnie - zauważyła Aneta. I już parę minut później chrupała gorącą kromkę, którą poczęstowała ją Lea.

- Mmm... Nie tylko pięknie pachnie. Smakuje też wybornie.

- Dlaczego tak dużo? - zapytała Karolina.

- Obiecałam Julii.

- Hm... Tej Julii?

- Tak. - Wyjrzała przez okno. - Myślisz, że zdążę przed deszczem? Chciałabym jej to zawieźć, zanim się rozpada.

- Wątpię, czy ci się uda. Ale Lea postanowiła spróbować. Zapakowała trzy bochenki i wrzuciła do samochodu. Kiedy zapinała pas, pierwsze krople deszczu zaczęły bębnić o szyby. Lea obawiała się tego. Nie lubiła jeździć w taką pogodę.

Udało jej się uruchomić wycieraczki.

Ruszyła powoli. Zastanawiała się, czy mimo wszystko powinna jechać teraz do miasta. Julia doskonale mogła się obyć bez chleba klonowego z curry. Przynajmniej nie potrzebowała go już dzisiaj, ani tym bardziej na wieczór. Poza tym tylko dwa bochenki były przeznaczone dla niej.

Kiedy dom znikł już jej z oczu, zjechała z drogi. Zaparkowała kawałek dalej, tuż koło pickupa Jessego.

Ukryła pod swetrem jeden bochenek. Podbiegła do bocznego wejścia. Otworzyła drzwi. Najpierw znalazła się w pomieszczeniu gospodarczym. Tu Jesse trzymał łopaty, grabie, kalosze, tu leżały szczapy drewna i tego rodzaju rzeczy. Następne drzwi prowadziły już do części mieszkalnej.

Weszła do pokoju. Było tam ciepło. Panował spokój. Nawet jeżeli nie było tam Jessego. Nie wiedziała, co tworzy ten nastrój. Może fotografie na ścianach albo zapach drewna. W każdym razie czuła się

tu wygodnie, absolutnie jak w domu. Wszystko wydawało się swojskie, od dawna znajome i zarazem ekscytujące.

Nie chciała nazywać tego przeznaczeniem. Jeszcze nie była gotowa na podejmowanie wielkich życiowych decyzji.

- Witaj - usłyszała za sobą miękki głos Jessego. Obróciła się rozpłomieniona.

- Cześć... ja... drzwi nie były zamknięte.

- Nigdy nie zamykam - podszedł do niej z pewnym zakłopotaniem. - I co? Zmokłaś?

Skinęła głową. To wszystko, co mogła zrobić. Nie rozumiała, jakim cudem ten mężczyzna robił na niej tak silne wrażenie, że aż nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Ale Jesse tak właśnie na nią działał.

Patrzyła na niego. Ciemny zarost, mocno zarysowana szczęka, niebieskie żyły widoczne pod skórą przedramienia. Podobało jej się, jak stał, przenosząc ciężar na jedno biodro. Obecność tego mężczyzny zapierała jej dech. Nigdy nie знаła nikogo, kto choć trochę przypominałby Jessego.

Pociągnął nosem. - Co tak wspaniale pachnie?

Nadal rozpłomieniona i bez tchu, wyciągnęła spod swetra zapomniany bochenek chleba. - Chleb na syropie klonowym z curry, mój ulubiony. Sama piekłam.

- Na pewno jeszcze ciepły.

- Świeżutki - przytaknęła. - Mam w samochodzie jeszcze dwa bochenki dla Julii. Tylko trochę boję się jechać do miasta w deszcz.

- Ja cię zawiozę.

- Och, nie. Nie mogłabym... Pocałował ją i już nie protestowała. Znowu była w raju, rozkoszując się smakiem i zapachem Jessego, kosztując to, co najwspanialsze.

Kiedy już uwolnił jej usta, została z lekko uniesioną głową, z przymkniętymi oczyma. Oddychała płytko i szybciej niż zwykle. - Nie wierzyłam, że to było naprawdę - przyznała. - Myślałam, że może mi się tylko przyśniło.

- Było naprawdę. Zarzuciła mu ręce na szyję. - Lubię twój zapach. Pachniesz ziemią.

- To moje ręce. Od pracy.

- To zdrowy zapach.

Ujmując jej twarz tymi zdrowo pachnącymi rękoma, pocałował ją znowu. Czują, że nogi ma miękkie jak z waty.

- Poczekaj, umyję ręce i możemy jechać - powiedział. - Zawiozę cię do Julii.

Podążyła za nim do kuchni. Zatrzymał się przed zlewem, rozglądając się za mydłem.

Przełknęła ślinę... odchrząknęła. - Podobają mi się twoje fotografie. Robili je artyści z Downlee?

- Można tak nazwać.

- Ty sam? Skinął głową. - Pamiątki z podróży. Te kanały są z St.

Petersburga, rowy tektoniczne z Tanzanii, a sieci rybackie z cieśniny Beringa.

- Sam je robiłeś?

- Dlaczego to cię tak dziwi?

- Są profesjonalne. Doskonale. Sprzedajesz je?

- Nie, to tylko moje hobby.

- Masz do tego sprzęt?

- Sprzęt? Tylko aparat fotograficzny. To mi wystarcza.

Charlie zajmował się fotografią. Posiadał profesjonalny ekwipunek plus wszystkie możliwe gadżety. Ale i tak nie potrafił robić tak dobrych zdjęć jak Jesse.

- Tylko aparat fotograficzny - powtórzyła jak echo Lea. Jesse wytarł ręce. - I jak ci się podoba Downlee? „Wścibskie” to było pierwsze słowo, jakie przyszło jej na myśl.

Jeszcze wczoraj lub przedwczoraj mogła je wypowiedzieć. Teraz jednak wydało się zbyt szorstkie.

- Przyjazne - mruknęła. - Jak to było dorastać tutaj?

- Jak w wielkiej rodzinie. Wszystko o sobie wiemy.

- To może nie być przyjemne..

- Tu akurat było przyjemne. Matka zostawiła nas, kiedy byłem mały. Każdy o tym wiedział i wszyscy mi matkowali, starali mi się to jakoś wynagrodzić.

Lea przeraziła się. - Dlaczego was zostawiła?

- Różnili się z ojcem w wielu sprawach.

- To straszne.

Uśmiechnął się ze smutkiem. - Dzieci potrafią się przystosować. Znaleźli się ludzie, którzy mnie kochali.

- Na pewno twój ojciec.

- Na swój sposób... - Rzucił jej szybkie spojrzenie. - Nie mogę wyobrazić sobie ciebie w mieście.

Pochyliła się nad blatem, żeby być bliżej niego. - Dlaczego?

- Wydajesz się na to zbyt delikatna. Nawet na początku, zaraz jak przyjechałaś. Nawet wtedy nie pasowałaś do miasta.

Tknęło ją przeczucie. - Kiedy zobaczyłeś mnie pierwszy raz?

- Późno w nocy. Szedłem pływać, a ty spałaś na huśtawce.

- I przykryłeś mnie wtedy wełnianym szalem - domyśliła się. - To twój szal.

Tak, to miało sens. Ten szal znacznie bardziej pasował do Jessego niż do Virginii.

- To była zimna noc - przyznał Jesse. Potem dodał cicho: - Ten szal nigdy nie wyglądał lepiej niż na tobie. Moja matka go zrobiła. To jedyna rzecz, jaka tu po niej pozostała.

Lea czuła się wzruszona.

- Już mówiłem. - Powiesił ręcznik. - Czekałem na ciebie. Wystarczyło mi jedno spojrzenie i wiedziałem.

- Nie mów tak - błagała. - Boję się tego. Taka deklaracja mogła ją zmusić, by podjęła w końcu jakąś decyzję.

- Może już powinniśmy iść? - zapytała.

Jazda z Jessem jego pickupem też była niezwykłym doświadczeniem. Typowo męski wehikuł, dość duży dla dobrze zbudowanego mężczyzny - pomyślała. Najgorsze, że miał ławę zamiast osobnych foteli.

Lea nie przewidziała tej ławy. I przez to podczas drogi, im dłużej jechali razem, tym bliżej niego się przesuwała.

W obecności Jessego Downlee wydało jej się przyjazne, miłe i jakby od dawna znajome. Zaparkowali przed restauracją. Lea narzuciła na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, który znalazła w samochodzie. Był duży. Podwinęła rękawy. Potem znowu położyła płaszcz z tyłu samochodu.

Kiedy wracali, znów przesuwała się coraz bliżej. Gdy dojechali do jego chatki, siedziała tuż przy nim, obejmując go w pasie.

Wyłączył silnik. Tęskniła za nim nawet, gdy był w pobliżu. Czuła ciągły niedosyt. Wciąż było jej mało jego smaku, zapachu, bliskości. Chciała zostać z nim. Wiedziała jednak, że siostry będą się o nią niepokoić.

Pocałował ją. I mimo najlepszych chęci nie była w stanie odejść. Smakował zbyt dobrze, a ona czuła się zbyt wygłodniała.

Ku swemu zdziwieniu chwilę później stała na szeroko rozstawionych nogach, a on całował ją, oparłszy dłoń na jej piersi.

Przesunął rękę na biodra, na uda. Ciało jej płonęło.

Rozdział 13

Nienawidzę pożegnań. Mam uraz po tamtych wakacjach w Maine. Ten ból nigdy nie minął.

Zdecydowałam, że opowiem im o wszystkim. Ale to nie jest proste. Boję się tam pojechać. Gdyby one przez ten czas też w jakiś sposób uległy urokowi tego miejsca, gdyby jakoś wzięły udział w mojej bajce sprzed lat, na pewno łatwiej przyszłoby im to zrozumieć.

Boję się wyjechać z Filadelfii.

Od tamtej pory nienawidzę pożegnań.

Kiedy Karolina zdała do college'u, uciekłam do Paryża. Dom bez Karoliny wydał mi się tak przeraźliwie pusty, że nie mogłam tego znieść. Podobnie wtedy, gdy Aneta wychodziła za Jean - - Paula. Zająłam się przygotowaniami do wesela. Rzuciłam się w wir pracy. Wynajęcie lokalu, kwiaty, jedzenie. A kiedy mój Dominik przeszedł boczną nawą, oddając moją córkę Jean - - Paulowi - zdrętwiałam ze zgrozy.

Teraz muszę im to wszystko powiedzieć. Karolinie, Anecie i mojej kochanej Lei, która w zeszłym roku przyjeżdżała aż z Waszyngtonu, żeby chodzić ze mną po lekarzach.

Za każdym razem, kiedy wracała do siebie, cierpiałam straszliwie. Nigdy nie miałam pewności, czy nie widzimy się po raz ostatni. Dużo prościej byłoby widzieć ją codziennie, razem mieszkać.

Moje córki odrzuciły mnie. Nie kochają mnie. Poszły swoją drogą. Wiem, zasłużyłam sobie na to. Sadzą, że jestem zimna i egoistyczna. Wyrachowana. Zastanawiam się, co by pomyślały, gdyby widziały mnie teraz. Od czterech dni włóczę się po pustym domu, próbując pożegnać to miejsce, w którym spędziłam większość życia.

Podobno z wiekiem człowiek staje się coraz mądrzejszy. Ale nie zawsze tak jest. Często bywa, że po prostu przestaje przejmować się swoją głupotą.

Nie wiem. Nadeszła starość i okazało się, że zupełnie nie jestem na to przygotowana. Nigdy o tym nie myślałam. Miałam wrażenie, że to mnie nie dotyczy. Albo że tak jak mój Dominik, zasnę którejs nocy i już się nie obudzę. Tak, chciałabym, żeby kiedyś tak się stało. Bez bólu. Spokojnie.

Nadal jednak budzę się codziennie, trochę starsza każdego dnia, z coraz bardziej chorym ciałem. Ci z nas, którym Bóg ofiaruje

długowieczność, będą jeszcze dotkliwiej odczuwać bliskość, nieuchronność śmierci.

Tak, długie życie to rzeczywiście błogosławieństwo. Myślę o tym teraz, włócząc się po pustych pokojach. Kiedyś te pokoje były bogate, pulsowały życiem. Znajdowało się w nich tyle pięknych rzeczy. Siedzę teraz w gołym oknie salonu. Pamiętam aksamitne zasłony, które tu kiedyś wisiały, oczyma wspomnień widzę pianino, które stało w drugim końcu pokoju. Słyszę głosy gości, siedzących przy marmurowym kominku. Przepastna jadalnia, teraz bez mebli, lecz jeszcze wypełniona wspomnieniem stołu na szesnaście osób, serwantki ze srebrem, jeszcze po mojej matce... Widzę tace wnoszone na stoły do niedzielnych obiadów...

Dla dziewcząt niedzielne obiady nigdy nie były szczególnie ważne. Od czasu, gdy dorosły, zawsze wolały wyjść gdzieś właśnie o tej porze. Uważały to za nudne ograniczenie.

A dla mnie to było tak ważne. Czas spędzony z rodziną. Potem, kiedy dziewcząt nie było już ze mną, niedziela wydawała mi się koszmarem. Zawsze o tej porze myślałam o nich, zastanawiałam się, co robią. Wyobrażałam sobie Anetę, jak je obiad ze swoją rodziną. Karolinę ze swoim artystą... Karolina nie zawsze spędzała z nim niedziele, czasami nawet w weekend musiała pracować. Nigdy nie byłam pewna, co robi w niedziele Karolina. A Lea?... Mogła być gdziekolwiek.

Niepokoję się o Leę. Najmłodsza, najdelikatniejsza. Zawsze lękałam się, że jest tak malutka, że mogę ją stracić. Chciałam jej pomóc... Nie potrafiłam... Dopiero z wiekiem, dopiero teraz, z nadejściem starości, uświadomiłam sobie, jak wiele mam wad. Nigdy nie byłam komunikatywna, nie potrafiłam zachęcić do szczerzej rozmowy. Zamiast powiedzieć Lei coś miłego, zapytać o jej problemy, wmawiałam w siebie, że jest silniejsza niż mi się wydaje, że poradzi sobie w życiu, że niepotrzebnie się o nią martwię. Wolałam to niż szczerą rozmowę, z której mogłabym się dowiedzieć, że jest gorzej niż myślę.

Matki zawsze martwią się o swoje dzieci. Nie byłam wyjątkiem.

Lea kochała ten dom. Pamiętam tupot jej nówek, jak zbiegała po schodach. Pamiętam, jak lubiła stać na dolnym schodku i obserwować wchodzących gości. Moja malutka dziewczynka... Lea kochała swój pokój. Dziecięce sypialnie urządziłam w jasnych, ciepłych kolorach.

Ogromne kwiaty na ścianach, pościel i dywan jak świeże płatki... Urządziłam im sypialnię jak mogłam najlepiej i byłam z siebie bardzo dumna. Myślałam, że dziewczęta będą się cieszyć. Ale one nigdy mi tego nie wybaczyły. - Nie zapytałaś nas, czego my chcemy! - krzyczały.

Dobrze, nie zapytałam. Moja matka nigdy nie pytała mnie o takie rzeczy. Wiedziała, co jest dla mnie najlepsze i nikt nie robił z tego problemu.

Ale role nagle się zmieniły, świat stanął na głowie. Nie byłam na to przygotowana. To moja wina, że nie umiałam się przystosować.

Tamto życie było mi bliższe. Wszystko wydawało się bardziej klarowne, prostsze. Moje córki oddaliły się ode mnie. Nie mogłam za nimi nadążyć. Należałam do innego pokolenia.

Żałuję tego. Tego lata w Maine mogłam być tak samodzielna, odważna i nowoczesna jak one. Och, miałam romans. I mogłam zostać z Willem. Nie musiałam wracać z Dominikiem do miasta. Mieszkałabym z Willem w domku ogrodnika i żyłabym tak jak on. Will zawsze twierdził, że byliśmy sobie przeznaczeni. Czy byłabym szczęśliwsza, gdybym wtedy z nim została? Nie wiem. Moje życie na pewno byłoby wtedy inne. Nie musiałabym teraz słuchać echa w pustym domu. Echo? Ejże, to chyba telefon.

Głupio się stało, że pozwoliłam tym od przewodniczki zabrać wszystkie aparaty telefoniczne, oprócz tego jednego w kuchni. Pośpieszyłam w tym kierunku, ale korytarze w naszym domu zawsze były wyjątkowo długie i jeszcze te straszne schody... Mocno trzymałam się poręczy. Poczulałam nagły zawrót głowy i upadłam. Co za straszne uczucie leżeć bezradnie na podłodze u podnóża schodów. Niezdolna do żadnego ruchu, nie mogłam nikogo wezwać na pomoc. Nienawidzę tej bezradności.

Mam siedemdziesiąt lat. To względnie mało w porównaniu ze szlachetną dziewięćdziesiątką. Czuję się jednak przeraźliwie stara. Moje życie dobiega końca.

Telefon znowu zadzwonił. Czwarty dzwonek... piąty.

- Już idę! - zawołałam. Wzięłam głęboki oddech i nagle stopy wróciły do życia. Podobnie łokcie. Oparłam się, podciągnęłam, przytrzymując się poręczy. Znowu stałam się aktywną kobietą, jaką byłam kiedyś.

- Proszę nie odkładać słuchawki! Już idę! - wołałam w myślach. Nieważne, że nikt mi nie mógł odpowiedzieć. Nikt nie mógł mnie usłyszeć. Wiedziałam jednak, że do tej osoby dochodzi mój głos. Wierzyłam w telepatię.

Nie wiedziałam, kto dzwoni. Na pewno to nie była Lilian. Moja przyjaciółka miała wpaść tu dopiero za godzinę, pożyczyć mi swój samochód. Lilian pomogła mi wytrzymać długie godziny w tym wielkim pustym domu. Ale teraz dzwonił ktoś inny. Na pewno nie ona.

Niemal bez tchu dopadłam telefonu. - Halo!

- Mamo! Jesteś tam! Tu Lea!

- Dzień dobry, Leo - przycisnęłam rękę do piersi. Serce łomotało jak szalone. Nie mogłam go uspokoić. Poczulałam nagły strach. Tak intensywny, że prawie nie do wytrzymania. Ostrożnie zapytałam: - Dlaczego dzwonisz do mnie tutaj?

- Dzwoniłam do Lilian, myślałyśmy, że jesteś u niej. Ale tam nikt nie odpowiadał... Miałam przeczucie... dlaczego jeszcze tam jesteś? - Nie mówiła tego z irytacją. Jej głos brzmiał miło. Może jeszcze nie wiedziały. Nikt im nie opowiedział plotek z dawnych lat.

Uspokoiwszy wreszcie moje serce, powiedziałam już prawie normalnym głosem: - Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Obiecałam to pośrednikowi sprzedaży nieruchomości.

- Czy Gwen nie może zająć się tym wszystkim?

- To naprawdę tylko parę drobiazgów. W zasadzie już jestem gotowa...

- Cieszę się, że zadzwoniłam. Zaczynałyśmy się niepokoić. Kiedy przyjeżdżasz?

Pomyślałam, że jeszcze o niczym nie wiedzą. Jeszcze nie mogły mnie znienawidzić. Odetchnęłam trochę spokojniej. Wyrok został odroczoney.

- Czy Gwen przekazywała wam wiadomości ode mnie? - zapytałam.

- Były strasznie mętne.

- Masz rację. Nie mogę dokładnie powiedzieć, kiedy tam będę. Tu nie chodzi tylko o wynajęcie ciężarówki. Musiałam spotkać się z prawnikami i księgowym, pożegnać się z przyjaciółmi... Takie rzeczy zabierają dużo czasu.

Lea przez chwilę milczała, po czym powiedziała z pretensją w głosie: - Mamo, napisałaś do nas w liście, że chcesz z nami spędzić ten czas. Jeżeli te sprawy zajmują ci tyle czasu, z obiecanych dwóch tygodni zostanie bardzo niewiele.

- Nie, nie, nie martwcie się. Na pewno przyjadę. To nie potrwa tak długo.

- Kiedy? Jutro?

- Może pojutrze.

- Mamo! - syknęła zniecierpliwiona. - Czekamy na ciebie.

- Miło spędzacie czas? Słyszałam, jak Lea powtarza to pytanie obu siostram. Bałam się ich odpowiedzi. Tak rozpaczliwie pragnęłam, żeby się zachwyciły tym miejscem. I żeby wreszcie były w zgodzie. Zawsze napawało mnie smutkiem, że tak często się kłóca, że nic ich nie łączy. Chciałam, żebyśmy stanowiły wielką, kochającą się rodzinę.

- Wspaniale spędzamy czas - odpowiedziały.

- Co myślicie o Gwiazdnym Zakątku?

- Cudowny! - wykrzyknęła z zachwytem Lea, tym razem nie konsultując się z siostrami. - To jest niesamowicie piękne miejsce. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tego nie widziałaś.

Ugryzłam się w język. Jeszcze nie pora na wyjaśnienia. - Czy dom jest ładny? Co myślicie o tym projekcie architektonicznym?

- Doskonały.

- Czy wszystkie prace w kuchni zakończone?

- Całkowicie.

- A jak taras i basen? Podoba się wam?

- Ogromnie. Spędzamy tam większość czasu. Pomyślałam, że właśnie o tym marzyłam.

- A jak kwiaty w ogrodzie?

- Niewiarygodnie piękne. Poczułam, że napięcie mija. Uśmiechnęłam się. Lea pokochała to miejsce. To ważne. Pierwsze koty za płoty.

- Jeździcie do miasta? - zapytałam.

- Ja tylko czasami. Karolina i Aneta wydają twoje pieniądze. Tak jak chciałaś.

- Kupują dobre rzeczy?

Lea powtórzyła siostram to pytanie. Usłyszałam Anetę i Karolinę, mówiące jedna przez drugą. Potem Lea powiedziała: - Bardzo dobre

rzeczy. Tutaj można spotkać naprawdę znakomitych artystów. Wiedziałaś o tym?

- Tak, wiedziałam.

- Karolina mówi, że jeśli szybko nie przyjedziesz, zabiera te obrazy do siebie do Chicago.

- Tak bardzo jej się podobają?

- Ona ma bzika na punkcie dobrej sztuki, a to jest bardzo dobre.

Mamo, jak się c z u j e s z ?

- W porządku - odparłam, jakby nie istniały takie rzeczy jak ból w piersi czy palpacje. - Dlaczego pytasz?

- Byłaś na początku taka zadyszana.

- Musiałam dobiec do telefonu, ale już w porządku, Leo. I bardzo cię proszę, wyświadczyć mi jedną przysługę. Nagle przypomniało mi się, że biedna Gwen czeka na mój przyjazd. Obiecałam jej trochę wolnego. Poproś ją, żeby skorzystała z urlopu już teraz. Mam nadzieję, że poradzicie sobie same z tym wszystkim...

- Dobrze, mamo.

- Muszę już kończyć, Leo. Okładam słuchawkę. Lilian zaraz tu będzie. Nie chcę, żeby się denerwowała...

- My będziemy się denerwować, jeśli tu zaraz nie przyjedziesz.

Masz już rezerwację na samolot?

- Jeszcze nie.

- Mamo!

- Mogę ją załatwić w ciągu godziny.

- Daj znać, kiedy przylatujesz. Przyjedziemy po ciebie do Portland.

- Nie musicie przyjeżdżać. Poradzę sobie sama. Wezmę taksówkę.

- Ależ mamo, to nam zupełnie nie sprawi kłopotu. To tylko dwie godziny drogi.

- Naprawdę, Leo, potrafię sobie poradzić. A teraz odkładam słuchawkę. Do zobaczenia.

Delikatnie odłożyłam słuchawkę. Tak, dziewczęta na mnie czekają, ale wciąż jeszcze nie byłam gotowa. Boję się, jak moje serce to wytrzyma. Tak dawno nie byłam w Gwiezdnym Zakątku. Tamto pożegnanie... Nie wiem, co stanie się ze mną, kiedy znowu zobaczę to miejsce.

Nadal tkwi we mnie ból tamtego pożegnania. Nienawidzę pożegnań.

Ale decyzję już podjęłam. Nieodwracalnie.

- Odpoczniesz tam, a potem znowu do nas wrócisz - powiedziała Lilian. Machała mi ręką na pożegnanie. Machała więcej razy niż mogłam zliczyć. Zawsze byliśmy sobie bliskie. Moja najlepsza przyjaciółka. Woląca myśleć, że jeszcze nie rozstajemy się na zawsze. Chciała mieć nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

Ale ja już nie wrócę do Filadelfii. Wiem o tym aż za dobrze. I nie mam powodu skarżyć się na los. Byłam w życiu szczęśliwa. Nawet bez Willa.

Rozdział 14

Karolina nie mogła się nadziwić. Świat stanął na głowie, a ona sama już chyba nie była sobą. Wszystko tak bardzo się pozmieniało.

Jadły razem śniadanie. Karolina cieszyła się, że siostry są przy niej. Było im razem dobrze. Aneta smażyła omlety. Lea parzyła herbatę i przygotowywała tosty. Karolina wyciskała sok z pomarańczy. - Świeży jest najlepszy - powiedziała.

Jadły na tarasie, w porannej mgle, i nie padło wtedy ani jedno nieprzyjemne słowo.

Karolina czuła się wypoczęta i rozluźniona. To też było dla niej szokiem. Owszem, dzwoniła codziennie do biura, ale odbywała tylko krótkie rozmowy, z których nie wynikało nic nowego. Kiedyś coś takiego podsyciłoby w niej niepokój. Teraz nie było o tym mowy. Karolina najwyraźniej nabrała dystansu do spraw biurowych. Nawet ani razu nie zajrzała do papierów, które ze sobą przywiozła. Kancelaria adwokacka zaczęła jej się naraz wydawać odległa i nie aż tak bardzo ważna.

Natomiast coraz ważniejszy stawał się dla niej Ben, choć nadal był daleko. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał jej, że powinna podjąć decyzję. Czuła się samotna bez Bena. Tęskniła do niego.

Dziwiło ją jeszcze wiele innych spraw. Choćby to, że normalnie w podobnej sytuacji powinna złościć się na Ginny, że tak z nimi postępuje. Tymczasem, wręcz przeciwnie, nie znajdowała w sobie żadnej agresji.

Odczuwała spokój. Nawet przez chwilę nie ciągnęło jej, by zapalić papierosa. Jeszcze niedawno nie mogła bez tego wytrzymać. Wyobrażała sobie, jak trzyma papierosa między palcami, jak zaciąga się dymem. Dziwne, ale zupełnie nie miała na to ochoty.

Karolina zawsze trzeźwo patrzyła na rzeczywistość. Widziała fakty, logiczne związki pomiędzy przyczynami i skutkami. Nie była przesadna. Ben pierwszy mógłby to potwierdzić.

Nigdy nie wierzyła w przesady i zabobony. I nikt by nie pomyślał, że tak bardzo zainteresuje się historią Gwiezdnego Zakątka.

Tymczasem już o dziesiątej rano, zaraz po śniadaniu, Karolina siedziała na schodkach pracowni snycerskiej, czekając na mistrza. Szymon rzeźbił w drewnie. Jego specjalnością były zegary, robione na wzór zabytkowych. Przynajmniej tak jej mówiono. Jednak nie wspomniano jego imienia w związku z zegarami. Szymon liczył sobie

przeszło osiemdziesiąt lat. Całe życie spędził w tych stronach. Był żywą legendą. I z pewnością znał wszystkie opowieści o Gwiezdnym Zakątku. Przynajmniej tak o nim mówiono.

Karolina zawsze sceptycznie słuchała ludzkiego gadania, ale tym razem postanowiła, że nie zmarnuje tej szansy. Trzeba było spróbować. A nuż uda jej się czegoś dowiedzieć.

Siedziała sztywno na ganku, kiedy drobny staruszek pojawił się przed sklepem. Podniosła się. - Czy pan Szymon?

Wymierzył w nią palec. - Pani musi być Karoliną - rzekł głosem, który wydawał się tak samo pomarszczony jak jego twarz. - Mówiono mi, że pani chce mnie odwiedzić.

- Widocznie ci, co to mówili, wiedzieli lepiej ode mnie - mruknęła. Przekręcił klucz w zamku, pchnął drzwi sklepu i gestem zaprosił ją do środka. Wewnątrz, jak grupa przyjaciół nie do końca ubranych, stały nie dokończone zegary. To nad nimi pracował obecnie mistrz Szymon. Karolina spojrzała na jego prace ze szczerym zachwytem.

- Mówiono, że przyjdzie tu pani wcześniej lub później - rzekł Szymon. Karolina nie mogła oczu oderwać od zegarów.

- Są wspaniałe.

- Sprzedają je nawet królom - pochwalił się.

- Naprawdę?

- Tak. I gwiazdom ekranu. Niewiele osób może sprostać moim cenom. Każdy zegar jest unikatowy, żadnej seryjnej produkcji. Każdy jedyny w swoim rodzaju.

Karolina lekko dotknęła jednego zegara, potem drugiego. Ben interesował się malarstwem, nie drewnem. To oznaczało, że nie była ekspertem od rzeźbiarstwa. Nie trzeba jednak być fachowcem, żeby poznać się na wartości artystycznej wyrobów Szymona. Ale Karolina nie przyjechała tutaj, żeby rozmawiać o zegarach. Odwróciła się w stronę Szymona. Stał oparty o ladę. Czekał.

- Słyszałam, że mieszka pan tutaj dłużej niż inni ludzie - powiedziała. Skinął głową. - Osiemdziesiąt sześć lat.

- I podobno Gwiezdny Zakątek jest panu dobrze znany.

- Jeździłem tam wiele razy.

- Czy może pan opowiedzieć mi tę legendę? Zachichotał. — Którą? Takie miejsca zawsze są pełne legend.

- Tę najważniejszą. O zakochanych.

- Aaa... o zakochanych. Dlaczego panią to interesuje?

- Nie jestem pewna, ale to wydaje mi się ważne - przyznała. Przyglądał jej się uważnie przez kilka minut. – Możliwe - mruknął i znowu zapadł w milczenie. Karolina miała wrażenie, że oboje prowadzą jakąś grę.

Usiadła na podłodze wśród zegarów i patrzyła na wirujące w słońcu pyłki kurzu. Uśmiechnęła się. Czuła ten niezwykły, cudowny spokój. A wraz ze spokojem przyszła nieograniczona cierpliwość.

Szymon wzruszył ramionami. - To zawsze było piękne miejsce, cudowny ogród zawieszony nad urwiskiem, jak obrazek. A zarazem największa posiadłość w okolicy - powiedział.

Karolina patrzył na niego z uśmiechem.

- Zawsze mówiono, że to kraina marzeń. To naturalne, że zdarzały się tam takie historie.

- To jakiś wytwór wyobraźni, bajka, czy coś w tym rodzaju? - zaryzykowała.

- Hmm... trochę, ale właściwie wcale nie. Nadal z uśmiechem, nadal obdarzona błogosławioną cierpliwością, poprosiła: - Proszę mi opowiedzieć o tym „wcale nie”.

Złożył ręce na piersiach. - Jeśli oczekuje pani szczęśliwej historii z happy endem, nie mogę tego obiecać. Ta, którą znam, jest smutna.

- W porządku. Chcę usłyszeć cokolwiek.

- Dobrze. Oni spotkali się w czasie wakacji.

- Kiedy?

- Dawno, jeszcze przed pani urodzeniem. Ona wynajęła Gwiazdny Zakątek na ten czas, a on tam pracował. Był ogrodnikiem.

- I pokochali się?

- Tak i wybuchł skandal.

- Z powodu różnic społecznych?

- Nie. Ona była mężatką.

- Och! - westchnęła Karolina.

- Rozumiem pani reakcję - Szymon pokiwał głową. - Mąż przyjeżdżał tutaj na każdy weekend i w poniedziałek wracał do miasta. A kiedy go nie było, ona spała z ogrodnikiem.

Karolina od razu pomyślała o Jessem Crayu. Ale rzecz działa się oczywiście dużo wcześniej. To nie mógł być Jesse.

- Co się wydarzyło?

- Ktoś zrobił im dwojgu zdjęcie i zamieścił w lokalnej gazecie.

- Czy to była kompromitująca fotografia?

- Teraz chyba pani by tego tak nie określiła. Za moich czasów inaczej patrzono na takie sprawy. Kobietom nie wolno było spojrzeć na mężczyznę, bo od razu zaczynały się komentarze. Mąż widział to zdjęcie.

- I jak zareagował? - zapytała Karolina.

- Zdecydował, że powinni wracać do domu. To i tak był koniec wakacji.

- I co dalej? - Karolina wyobraziła sobie pojedynek na skalistym stromym wybrzeżu. - Nie było konfrontacji?

- On nie był tego rodzaju człowiekiem. Poszedł po linii najmniejszego oporu, jak mówią. Nie znałem go. Za to znałem ogrodnika. Całe miasto go znało. To był bardzo lubiany człowiek.

- Musiał być z niego drań. To obrzydliwe, żeby dobierać się do mężatki.

- Nic takiego. Miły, porządny człowiek. Po prostu zakochał się w kobiecie, która była już mężatką. Ona wyjechała, a on pozostał ze złamanym sercem.

- Dlaczego wyjechała? Jeżeli tak bardzo go kochała, mogła zostać.

- Nigdy nam tego nie powiedziała. Nigdy potem jej nie widzieliśmy.

- Nigdy?

- Nigdy.

Karolina wyobraziła sobie dwoje zakochanych, spędzających razem wakacje. Tylko wakacje. Potem rozstali się i już nigdy w życiu nie spotkali. To nie była romantyczna historia.

- Ma pan rację - powiedziała. - To bardzo smutne. Czuła wzruszenie tak wielkie, jakby ta historia dotyczyła jej osobiście. Kochała Bena. Od razu uzmysłowiła sobie, jakie to byłoby straszne nigdy więcej go nie zobaczyć.

Nie lubiła zobowiązań, chciała być wolna. Ale teraz? Ogarnęła ją rozpaczliwa tęsknota. Przejmująca pustka.

- I już nigdy się więcej nie spotkali? - zapytała Aneta.

Siostry znowu wyszły na taras, tym razem z mrożoną herbatą i kanapkami. Lea dodała do herbaty cytryny i pomarańczy, napój okazał się wyśmienity, tak samo dobry jak sałatka z krabów, podana z majonezem i ciepłym jeszcze chlebkiem domowego wypieku.

Herbata, sałatka i chleb były dziełem Lei. Ale najdziwniejsze było to, że wszystkie trzy lubiły siedzieć razem na tarasie.

Wiatr wiał znad oceanu, a powietrze przesycone było zapachem Gwiezdnego Zakątka, co czyniło tę starą historię jeszcze bardziej prawdziwą.

Aneta łatwo poddała się wzruszeniu. Kochała Jean - Paula, od razu przejęła się tragedią kochanków. Zasmuciła się ich losem. Prawdę mówiąc, i tak odczuwała smutek. Od przedwczoraj wieczór nie rozmawiała z Jean - Paulem. Przysłał kwiaty z bilecikiem, na którym były tylko dwa słowa: „Kocham cię”. Telefonował wczoraj po południu, kiedy akurat była w Downlee. Przekazał przez Gwen pozdrowienia. Nic jednak nie mogło zastąpić słodkiego brzmienia jego głosu.

- Nigdy - powtórzyła Karolina. - Z tego, co mówił Szymon, wynika, że ona nigdy więcej nie wróciła do Gwiezdnego Zakątka.

- To co zrobiła?

- Wydaje mi się, że wróciła ze swoim mężem do domu i została z nim. Kobiety nie tak łatwo występowały wtedy o rozwód.

- A co z jej kochankiem? - zapytała Lea.

- Szymon mówi, że już później nie mógł bez niej żyć.

- Czy on się potem ożenił?

- Nie pytałam.

- Lepiej by było, żeby się nie ożenił - zdecydowała Aneta.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby mógł jeszcze pokochać inną kobietę. A ślub bez miłości to tragedia.

- Może w końcu jakoś się po tym pozbierał.

- Ja w to nie wierzę. Gdybym nagle musiała stracić Jean - Paula, nigdy bym się nie pozbierała. Nie potrafiłabym zacząć życia od nowa.

- To dlatego, że ty i Jean - Paul jesteście małżeństwem - wyraziła przypuszczenie Karolina. - Jesteś z nim już prawie dwadzieścia lat. Macie dzieci. On stał się istotną częścią twojego życia. Ale gdyby coś mu się przydarzyło od razu, jak tylko się poznaliście?

- To nie ma znaczenia kiedy - upierała się Aneta.

- Na pewno?

Zawahała się. Zawsze, kiedy zaczynała rozmowę na tematy rodzinne, kończyło się to kłótnią. Siostry miały własne życie i na wiele spraw zupełnie inne poglądy niż ona.

- Wiem, że żadna z was nie chce w to uwierzyć - rzekła cicho. Zdecydowała się podjąć ryzyko. Może siostry nie tak bardzo będą ją krytykować, kiedy im powie, co myśli.

- Wiecie, ja i Jean - Paul pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. Jeden rzut oka i wzięło mnie. Tak samo z nim. Może nazwiecie mnie beznadziejną romantyczką, ale tak właśnie było. I gdyby coś mu się stało, zanim wzięliśmy ślub, odczuwałabym stratę przez całą resztę życia. Mogłabym wyjść za mąż za kogoś innego. Mogłoby się tak zdarzyć, ale ten ktoś zawsze by cierpiał przez to, że porównywałabym go z Jean - Paulem.

- A gdyby ten ktoś okazał się lepszy od Jean - Paula?

- zapytała Karolina. Aneta potrząsnęła głową. - Nikt nie może być dla mnie lepszy od Jean - Paula. - Oczy jej zwilgotniały. - Ktoś inny mógłby być lepszy dla ciebie, Karolino, albo dla ciebie, Leo, ale dla mnie istnieje tylko Jean - Paul.

Marzyła, żeby zadzwonił. Och, wiedziała, że tam bez niej było wszystko w porządku. Po prostu chciała usłyszeć jego głos.

- Czy myślicie, że można kochać więcej niż jednego mężczyznę?
- zapytała Lea.

Aneta zastanowiła się nad odpowiedzią. - Nie w ten sam sposób. Możesz kochać jednego za towarzystwo, innego za intelekt, innego za ciało, ale jeśli kochasz całość, to przychodzi tylko raz.

- To bardziej straszne niż piękne - powiedziała Karolina. Spojrzenie Lei mówiło, że zgadza się z Karoliną.

- Ale to może być miłe - dodała Aneta. - To znaczy, że od razu przyjmujesz całość. Doświadczasz czegoś niepowtarzalnego.

- Niepowtarzalnego - mruknęła Karolina. - Mów dalej.

- Ja i Jean - Paul w podobny sposób patrzymy na życie, można powiedzieć, że oboje chcemy tego samego. Jak partnerzy w jednej drużynie. Czasami ja muszę z czegoś dla niego zrezygnować, czasami on musi poświęcić się dla mnie. Uzupełniamy się i to ma swoją wartość.

- Czy zdarzają wam się kłótnie? Anecie przypomniała się ostatnia rozmowa z Jean - Paulem.

- Nie, żadnych awantur za zamkniętymi drzwiami. Czasami mamy inne zdanie na jakiś temat. Na przykład Jean - Paul uważa, że za często dzwonię do domu. - Poczwała, że łzy znowu napływają jej do oczu. - On mówi, że narzucam im się ze swoją miłością.

Spojrzała na siostry, czekając na jakieś krytyczne uwagi z ich strony. Kiedy to nie nastąpiło, dodała: - Nigdy nie myślałam, że można kochać tak bardzo.

Lea lekko dotknęła jej ramienia, by dodać otuchy. Ale to Karolina powiedziała łagodnie: - On mówi, że jesteś trochę nadopiekuńcza. Nie ma nic złego w tym, że ich kochasz.

- Oni znaczą dla mnie dosłownie wszystko - zaklinała się Aneta.
- Jeżeli nudzę was, że tak często o nich mówię, to przepraszam. Ale ja zawsze byłam żoną i matką i nie potrafię być niczym więcej. Choćby Jean - Paul nie wiem jak bardzo uważał, że powinnam być czymś jeszcze.

- Wiem.

- Umieram z tęsknoty za nimi - powiedziała szybko. Trzeba było wykorzystać okazję, że obie siostry jeszcze chciały jej słuchać. Potrzebowała współczucia. - Nie mogę bez nich wytrzymać - mówiła.
- Obiecałam Jean - Paulowi, że nie będę dzwonić. Gdyby wynikł jakiś problem, on mnie zawiadomi. Ale tu nie chodzi o żaden problem. Po prostu tak bardzo bym chciała usłyszeć jego głos.

- Dzwonił do ciebie - uspokoiła ją Lea. - Tylko akurat wtedy, kiedy pojechałaś do miasta.

Aneta odczuła pewną ulgę. - Zawsze byliśmy tak blisko. Nigdy przedtem, ani razu, nie musieliśmy się rozstawać.

- Weź pod uwagę, że on może po prostu nie mieć czasu - podsunęła Karolina. - Po całym dniu intensywnej pracy musi jeszcze zajmować się dziećmi. To sporo, szczególnie dla mężczyzny. Nie przejmuj się, spróbuj się cieszyć wakacjami. Zasłużyłaś na trochę wolnego.

- Ale tęsknię za nim. To mój mąż.

- W ten sposób zyskujesz własną indywidualność, wzbogacasz osobowość.

- Ale ja nie chcę niczego innego oprócz rodziny. Nie chcę być prawnikiem ani też pełnić żadnej funkcji w organizacji charytatywnej.

- Przecież nie mówię, żebyś stała się jedną z nas, tylko żebyś była sobą - odpowiedziała Karolina. Uśmiechnęła się do Lei. - Na przykład ja teraz mogę być sobą. Nie żadnym prawnikiem. - Rozsiadła się wygodnie. - Właśnie teraz po prostu jestem sobą. Nie myślę o Chicago, ani o ostatnich rozmowach z Benem, ani o swojej firmie. Jest mi najzupełniej obojętne, czy ktoś w pracy ukradnie mi jakąś

ciekawą sprawę, czy też nabruździ w czym innym. Siedzę sobie, odpoczywam, oddycham. Jem lunch, który podstawiono mi pod nos. Siedzę sobie na tarasie, który sprząta ktoś inny, nie ja. Nazwij to egoizmem, jeśli chcesz. Każdy choć przez chwilę powinien być trochę egoistyczny. - Spojrzała na Anetę. - Tego powinnaś się nauczyć. Odrobiny egoizmu.

Aneta spojrzała pytająco na Leę. - Czy ona ma rację?

Lea zwlekała z odpowiedzią. Jakby próbowała teraz nabrać dystansu do własnych spraw. Wreszcie wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się. - Niechętnie to przyznaję. Nie chcę dać jej satysfakcji, ale tak. Ona ma rację. Jean - Paul cię kocha. Przesyła ci kwiaty. Dzwoni do ciebie. Nie musisz być uwiązana do telefonu. Możesz po prostu cieszyć się wolnością. Wakacjami. To jest w porządku. Jean - Paul jest w St. Louis i pilnuje wszystkich spraw, podczas gdy ty spędzasz czas z twoją matką... - Skrzywiła się. - Może nie całkiem tak to wygląda, bo jej tutaj nie ma. Ale za to jesteśmy my. Odpoczywaj i ciesz się, że nic nie musisz robić.

Aneta w końcu zgodziła się z tym. - Macie rację. Tym bardziej, że to przecież oni kazali mi tu przyjechać.

- Zasłużyłaś na to - dodała Karolina. - Przez te wszystkie lata byłaś za wszystko odpowiedzialna. Teraz wreszcie możesz odpocząć.

Aneta popatrzyła za lecącą nad skałami mewą. Westchnęła. Wygodniej usadowiła się na krześle. W ciągu ostatnich lat ani razu nie zakosztowała lenistwa. Rozejrzała się po okolicy. - Pięknie jest tutaj i spokojnie. Macie rację. Mogło być znacznie gorzej...

Nie dokończyła zdania, kiedy rozległ się ostry dźwięk telefonu. Odebrała Karolina, bo siedziała najbliżej.

Aneta zerwała się z krzesła i podbiegła do niej. Piękno i spokój od razu wywietrzały jej z głowy. Odetchnęła z ulgą, kiedy Karolina podała słuchawkę Lei.

One mają rację, pomyślała. Nie ma sensu denerwować się na zapas. Tak. I mają też rację, że musi nauczyć się radości, odnaleźć własną drogę w życiu.

Niedługo Nicole i Devon pójdą na studia. Zamieszkają w akademiku. Potem założą własne rodziny. To będzie straszne: siedzieć cały czas w domu i czekać, aż zadzwonią. Albo śledzić w gazetach informacje o wypadkach. Wzdrygnęła się. Taka wizja przyszłości nie mogła jej odpowiadać. Pomyślała, że trzeba będzie pójść do pracy.

Nie chciała żyć tak jak Ginny. Albo jak Lea. Aneta spojrzała na Karolinę. Tak, ona pracuje zawodowo, a teraz cieszy się zasłużonymi wakacjami.

- Dzwoniła Julia - wyjaśniła podekscytowana Lea. - Powiedziała, że mój chleb miał duże wzięcie. I prosi o następną dostawę.

Aneta zdziwiła się tym entuzjazmem, ale jej również udzieliło się zadowolenie. - To wspaniale - uśmiechnęła się.

Karolina wystawiła twarz do słońca. - Jesteś na wakacjach, Leo. Nie musisz pracować.

- Pieczenie chleba to nie praca. To jest miłe zajęcie, tak samo jak przygotowywanie lunchu.

Nagle znowu zadzwonił telefon. Karolina podała Anecie słuchawkę.

- Cześć, mamó.

- Nat? - zapytała nerwowo. Nat ciągle był dla niej dzidziusiem. Miał tylko osiem latek. A głosik dziecka był tak nieszczęśliwy, że przejął strachem jej matczyne serce. - Coś złego, kochanie?

- Tak! Tom jest wstrętną świnią!

Aneta odetchnęła z ulgą. Kłótnia to jeszcze żadne nieszczęście. I zaraz potem zdała sobie sprawę, że Lea i Karolina podeszły do niej. Jakby chciały jej pokazać, że w razie czego może na nie liczyć. Spojrzała na nie z wdzięcznością.

- Kłóćcie się, chłopaki? - zapytała.

- Bo on nie pozwala mi grać w Game Boya.

- W jakiego Game Boya?

- W tego, którego tato kupił mu wczoraj. Tata mówił, że ja też będę mógł grać, a Tom mi nie daje. Powiesz mu, mamó? Bo on jest świnią...

- Poczekaj chwileczkę, Nat. Nic z tego nie rozumiem. Game Boya Tom miał dostać dopiero na swoje urodziny.

Zwróciła się do Lei i Karoliny. - Błagał nas o to od gwiazdki. Dwaj jego koledzy dostali tę grę pod choinkę. Ustaliliśmy, że dostanie w listopadzie na trzynaste urodziny.

Zapytała teraz Nata: - Dlaczego tato kupił mu to już teraz?

- Bo Tom się nudził.

- Nudził? Teraz? W czasie wakacji?

- Ale tato uważa, że skoro Nicky i Dev nie mogą brać nas do klubu, wideo nie działa, a w kinie nie grają tego, co byśmy chcieli, i

przez to musimy siedzieć w domu... Tak zdecydowaliśmy, bo Tomowi się nudziło.

Aneta poczuła, że nic jej tutaj nie pasuje. - Dlaczego tato nie chciał, żebyście poszli do klubu?

- Bo Tom nie może pływać! - wykrzyknął zniecierpliwiony Nat.

- Dlaczego nie może?

- Przecież nie może moczyć gipsu.

- Jakiego gipsu? - zdenerwowała się Aneta. Instykt macierzyński podsuwał jej różne koszmary.

- Tego na ręce, mamó... Bo ja miałem nic nie mówić...

- Co się Tomowi stało w rękę?

- Spokojnie, Aneto - mruknęła Karolina. Lea szepnęła, że Jean - Paul na pewno zadzwoniłby, gdyby to było coś poważnego.

Aneta wstrzymała oddech i powtórzyła pytanie, tym razem o wiele spokojniej. Ale wyglądało na to, że Nat rozmawia jeszcze z kimś, kto złości się na niego, a on musi się bronić.

I po chwili Devon podeszła do telefonu.

- Nat jest mały i nie wie, co mówi, mamusiu. Z Tomem wszystko w porządku. Po prostu złamał rękę. Nic strasznego się nie stało.

- Po prostu złamał rękę - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Zjeżdżał z górki na rowerze. Tą drogą w lasku za szkołą.

- Ta droga jest niebezpieczna i nie powinien tam jeździć - powiedziała. Nie pozwoliłaby na to, gdyby była w domu. Wiedziała, że musi być cały czas przy swoich dzieciach, mówiła to już Jean - Paulowi wiele razy.

- Tom wiedział o tym - rzekła Devon z powagą. - I to jest jego kara.

- Powiedz mi, Devon, co dokładnie się zdarzyło?

- Upadł i przekoziółkował w dół. To proste złamanie bez żadnych komplikacji.

- Kiedy to się stało?

- Przedwczoraj. Zaraz po kolacji.

- I później cały wieczór spędziliście w szpitalu - domyśliła się. To wyjaśniało, dlaczego tak długo nie mogła się do nich dodzwonić.

- Trwało jakiś czas, zanim Tom dotarł do domu - mówiła Devon.

- Potem długo czekaliście w szpitalu, bo tata miał zaufanie tylko do doktora Olmsteda i nie chciał, żeby ktoś inny zakładał gips, a doktor już poszedł do domu i musieliście zadzwonić po niego. Czekaliście,

aż będzie mógł przyjść. Tom chciał dzwonić do ciebie ze szpitala, ale tato powiedział, że tylko niepotrzebnie będziesz się niepokoić. Masz szczęście, mamó, że cię tutaj nie ma. Tom to straszny dzieciak, trudno z nim wytrzymać.

- Boli go?

- Tak, trochę go boli, ale on jest nie do wytrzymania. Myśli, że świat powinien kręcić się wokół niego.

- Która to ręka?

- Prawa. Skarży się, że przez to nie może robić różnych rzeczy. Ale nie ma szkoły i nie musi pisać, a jeść doskonale może lewą ręką. Tylko przez jakiś czas nie może pływać. Ale to jego problem. Jeździł rowerem tam, gdzie mu nie wolno...

Devon przerwała. Aneta usłyszała, że córka rozmawia jeszcze z kimś. - To prawda, Tom... Wiem, że miałeś kask, ale, jak widzisz, to nie wystarczyło.

- Daj go - poprosiła Aneta.

Kilka sekund później usłyszała Toma. Dwunastolatek mówił jak najgrubszym głosem. Wyobrażał sobie, że jest dorosłym mężczyzną. - To nie moja wina, mamó. Ktoś zostawił tam pustą puszkę i nie udało mi się jej ominąć.

- Dzięki Bogu, że nie stało się nic gorszego - odetchnęła Aneta. Tom broni się, że to nie jego wina, buntuje się. Nie słyszała jednak bólu w jego głosie. - Jak się czujesz? - zapytała.

- To boli. Robbie poszedł wypożyczyć kasetę wideo...

- Słyszałam, że magnetowid się zepsuł...

- Właśnie go reperują. Nicole szykuje już prażoną kukurydzą, żebyśmy mieli co jeść, jak będziemy oglądać. Ale Nat chce grać w mojego Game Boya... - Znowu mówił piskliwym, żalonym głosem dwunastolatka, - Mamó, powiedz mu coś. Bo jak mu przykopię... Nie, nie możesz grać! - zawołał. - Nat, nie rusz tego!

Dzieci często się kłócą. To normalne. Aneta jednak zauważyła z zaskoczeniem, że cieszy się, że nie ma jej teraz z nimi. - Pozwól mu grać - poprosiła.

- Devon chce znowu z tobą mówić.

- Tak, słucham.

- Czy dobrze się bawisz, mamó? Aneta popatrzyła po siostrach. Potem spojrzała na taras.

Robiło się późno. Cienie stawały się coraz dłuższe. Pomyślała o lenistwie i egoizmie. O krzyku mew, przelatujących nad urwistym wybrzeżem. Poczwała się szczęśliwa, że może odpocząć hałasu dzieci, od ciągłego zamieszania.

- Owszem, miło spędzam czas - przyznała.

- Czy babcia już przyjechała?

- Nie, jeszcze nie. Może będzie w sobotę.

- Czy miło spędzasz czas z ciotkami? Aneta uśmiechnęła się. - Bardzo miło.

- To dobrze... Uspokójcie się chłopcy. Mamo, muszę iść do nich. Znowu się biją. Czy nie byłoby dobrze, gdybym kupiła drugą grę dla Nata? Mogę wziąć to na kartę kredytową...

- Nie bierz nic na kartę kredytową. To na czarną godzinę. Wymyśl Natowi coś innego. Wykaż trochę inwencji. Nabierzesz wprawy w opiekowaniu się dziećmi. To ci się przyda, jak sama będziesz matką.

- Matką albo sędzią bokserkim. Oni ciągle się biją.

- Sama widzisz, jak to wygląda - Aneta uśmiechnęła się. Zaczęło jej się podobać, że choć na chwilę może odpocząć od problemów rodzinnych. - Trzymaj się, kochanie. Ucałuj wszystkich ode mnie. Pa, kochanie.

- Pa, mamusiu. Kocham cię. Aneta odłożyła słuchawkę. Zamyśliła się.

- Może powinnam wrócić do domu?

- Nie! - zawołały obie niemal jednocześnie.

- Rozmawiałś z Tomem i wiesz już, że wszystko w porządku - przypomniała jej Karolina.

- On złamał rękę.

- Ty też, jak miałaś osiem lat, złamałaś rękę. Dobrze to pamiętam. I jakoś przeżyłaś.

- Ale on bije się z Natem. To nie w porządku z mojej strony, że zostawiam ich samych z tymi wszystkimi problemami. - Wyraźnie ciążyło jej poczucie winy.

- A dlaczego nie mieliby zostać sami z tymi problemami?

- zapytała Karolina. - Dzieci często się kłócą. To naturalne. Tak samo jak zwierzęta, które walczą o swoje terytorium.

- Przecież to oni powiedzieli ci, że powinnaś tu przyjechać - zauważyła Lea. - To oni nalegali, żebyś odnalazła własną

indywidualność. To oni chcieli spróbować, czy poradzą sobie bez ciebie. Niech się sprawdzą w trudnej sytuacji. Oni tego chcą. Nie odbieraj im tego.

- Nie wiem - mruknęła Aneta. - Przedwczoraj wieczorem próbowałam się do nich dodzwonić. Dopiero o jedenastej trzydzieści ktoś podniósł słuchawkę. Musieli tak późno wrócić ze szpitala. I ani słowa nie pisnęli o tym, co się stało.

- Nie chcieli cię denerwować.

- Do licha, a może coś jeszcze ukrywają przede mną? Może Tomowi grozi trwale kalectwo, a oni, dla mojego dobra, nic mi o tym nie powiedzieli. Czy na pewno potem ta ręka będzie tak samo sprawna jak przedtem? Co jeszcze mogli przede mną zataić?

Karolina parsknęła śmiechem. - Biorąc pod uwagę, jak doskonały jest Nat w trzymaniu tajemnicy, myślę, że już nic przed tobą nie ukrywają.

Aneta pomyślała, że być może najstarsza siostra ma rację. W końcu kilka tygodni w gipsie to nie aż taki problem, można jakoś wytrzymać. Devon troskliwie zajmowała się młodszymi braćmi. Nicole pitrasila coś w kuchni. Również Robowi, a tym bardziej Jean - Paulowi można było zaufać.

Jean - Paul zatroszczył się o to, żeby Tom miał najlepszą opiekę medyczną. I Aneta pomyślała, że szkoda czasu na zamartwianie się rodziną. Szkoda wakacji. Ale nie tak łatwo wykorzenić stare nawyki. Im bardziej o tym myślała, tym gorzej się czuła. - Mam poczucie winy - wyznała. - Powinnam być tam z nimi.

- Czy to dlatego, że Ginny w takiej sytuacji zupełnie by się nami nie przejmowała? - zapytała Lea. - Czy dlatego, że nie chcesz być taka jak ona?

- Tak i dlatego, że ja lubię być razem z moimi dziećmi, kiedy mnie potrzebują.

Lea i Karolina wymieniły spojrzenia.

Aneta westchnęła. - Wiem, myślicie, że dzieci mnie teraz nie potrzebują. Możliwe. To moja wewnętrzna potrzeba. Muszę być przy moich dzieciach, kiedy są chore. Nawet, jeśli nie trzeba ich pielęgnować, czasem jest bardzo ważne po prostu potrzymać za rękę, poprawić poduszkę... Takie zwykłe opiekuńcze gesty. Albo usiąść na krześle i czytać. Być przy nich. I na pewno, gdybyście miały dzieci, potrafiłybyście to zrozumieć.

Prawie natychmiast pożałowała swoich słów. Zbyt często klóciły się o to w przeszłości. Każda z nich wybrała inny styl życia i każda broniła swego z uporem maniaka. Aneta nie miała więcej ochoty na tego rodzaju kłótnie.

- Nawet jeżeli nie mam swoich dzieci, i tak potrafię to zrozumieć. - Karolina zaskoczyła ją odpowiedzią. - Sama byłam kiedyś dzieckiem. I dobrze pamiętam, jak bardzo było to dla mnie ważne. Właśnie te opiekuńcze gesty.

- Brawo, Karolino! - zawołała Lea. Aneta zdziwiła się. - Obie się ze mną zgadzacie? Lea spojrzała na Karolinę. - W tym, że tego typu gesty

są bardzo ważne. Tak, tutaj obie się z tobą zgadzamy. Natomiast obie uważamy, że nie musisz wracać do St. Louis. Twoje dzieci wiedzą, że nie wyjechałaś na długo. Poza tym jesteś teraz potrzebna w Gwiezdnym Zakątku. Aneta nie miała już siły się spierać.

Lea tego wieczoru nie planowała spotkania z Jessem. Nie mogła uzależniać się od niego. Nie przyjechała tu na długo. Nie chciała odczuwać żalu, kiedy będzie stąd wyjeżdżać.

Siedziała w ciemnej sypialni i próbowała myśleć o Waszyngtonie. Ale tamto życie wydało jej się mgliste, mało realne. Waszyngton był teraz tak daleko. Łatwiej przyszło jej myśleć o Gwiezdnym Zakątku. O Julii, której smakował jej chleb.

I która wymusiła na niej obietnicę następnych wypieków. Lea wspominała dzisiejszy obiad. Befsztyki, które przyrządziła siostrze. Aneta i Karolina zaklinały się, że nie będą tego jeść, że brzydzą się czerwonego mięsa. Krzywiły się, a później rzuciły się do jedzenia z wilczym apetytem.

Przypomniała sobie ludzi z Downlee. Serdecznych, choć nie zawsze życzliwie nastawionych do nowych przybyszy. Pomyślała ze smutkiem o kochankach z Gwiezdnego Zakątku.

I zaraz potem ujrzała oczyma wyobraźni, jak Jesse wychodzi z wody, szuka jej. Rozgląda się za kochanką, nie za tchórzem. Doszła do wniosku, że nawet gdyby miało ich zupełnie nic nigdy nie łączyć, teraz winna jest mu wyjaśnienie.

Zeszła na dół i już za chwilę była przy basenie. Jednakże Jessego tam nie było. Obeszła basen dookoła, wypatrując w świetle księżycy mokrych śladów stóp. Nic takiego jednak nie znalazła.

Nie przyszedł. Nieważne, że chciała mu wszystko wyjaśnić.

Rozgoryczona skierowała się w stronę domu.

- Lea? Zatrzymała się. Znowu ożyły w niej nadzieje. Stłamsiła je. Znowu ożyły.

Podszedł do niej. Tym razem nie był w kąpielówkach. Ona zaś była w nocnej koszuli. Nie chciała przecież nigdzie wychodzić z domu.

Jego głos był głęboki i lekko zachrypnięty ze wzruszenia.

- Zastanawiałem się, czy to coś zmieni, jeśli dzisiaj nie przyjdę pływać.

- Moje życie jest związane z Waszyngtonem. Niedługo będę musiała tam wrócić.

- Teraz twoje życie związane jest z Gwiezdnym Zakątkiem - zauważył.

- To jakby ktoś inny, nie ja. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Która z was jest prawdziwa? Ta z Waszyngtonu czy ta z Gwiezdnego Zakątka?

Już miała odpowiedzieć, kiedy się zawahała. Może istotnie w Waszyngtonie w większym stopniu była sobą. Robiła rzeczy, do jakich przywykła od lat. Ale czy właśnie tego chciała? Czy po prostu było jej z tym wygodniej? Chyba jednak wołała Gwiezdny Zakątek. Czuła się dużo swobodniej w dżinsach i z rozpuszczonymi włosami. Jej skóra z przyjemnością oddychała słonym powietrzem znad oceanu. Nie potrzebowała nawet makijażu.

Ale czy chciała być tutaj przez cały okrągły rok? Trzysta sześćdziesiąt pięć dni to może za dużo. Jakby wakacje nie chciały się skończyć.

Stali w milczeniu blisko siebie.

- Może masz ochotę na cappuccino? - zapytał w końcu. Poszli do jego chatki. Wyciągnął ekspres do kawy. Nie kupił tego w sklepie elektronicznym w Downlee. Przywiózł go przed kilkoma laty z Harvard Square.

Potem siedzieli razem przy kawie. Opowiadał jej o swoich podróżach. Pokazywał zdjęcia na ścianie.

- Niezwykle romantyczne miejsce - rzekła Lea z westchnieniem.

- Chodzi ci o to, że prowizorka i niewygodnie?

- Nie, skądże znowu. Cały Gwiezdny Zakątek jest romantyczny. Ma w sobie jakiś czar i dziwnie działa na ludzi. Weź na przykład moje

siostry i mnie. Nigdy nie żyłyśmy w zgodzie. Ani w dzieciństwie, ani później. A teraz jest nam razem bardzo przyjemnie. Nie kłócimy się wcale. Karolina przestała mądrzyć się. Aneta nie próbuje nikogo uszczęśliwiać na siłę.

- A ty?

- Nie czuję się niepotrzebna.

Spojrzał zdziwiony - Dlaczego miałabyś czuć się niepotrzebna?

- Pozwoliłam Karolinie i Anecie myśleć, że noce spędzam na balach, śpię do późnego popołudnia, a potem robię zakupy, idę do fryzjera i do manikiurzystki, i tak mi upływa całe życie.

- Dlaczego chciałaś, żeby w to uwierzyły?

- Zależało mi na tym, żeby myślały, że jestem inna niż one. To chroni mnie przed ustawicznymi porównaniami. Nie lubię być porównywana. Zawsze wypadam przy nich bardzo blado.

- Ja wcale tak nie uważam.

- Owszem, ty tak nie uważasz. Pomyślała, że gdyby wybrał którąś z jej sióstr, jej problem by nie istniał.

- One jednak więcej osiągnęły w życiu niż ja - mówiła. - Karolina jest wysoko cenionym prawnikiem. Aneta matką pięciorga dzieci. Nawet nie chodzi o to, że ma ich tak dużo. Ale jest dla nich naprawdę wspaniałą matką.

- A czy ty chcesz mieć dzieci? Skinęła głową. - Chociaż prawdopodobnie zupełnie nie nadaję się na matkę. Zaprzeczył z gorącym przekonaniem.

- Tylko tak mówisz, żeby sprawić mi przyjemność - droczyła się. Znowu zaprzeczył.

Jesse ją kocha. Widziała ciepło jego oczu, pamiętała delikatność jego ramion. Łatwo mogła wyczytać to z jego głosu. Byli sobie przeznaczeni, choć Lea starała się przed tym bronić. Choć wmawiała w siebie, że tylko tak na nią działa niezwykły urok tego miejsca.

- Karolina słyszała dzisiaj w Downlee historię... legendę Gwiezdnego Zakątka - rzekła. - O kochankach stąd. Czy znasz tę opowieść?

- To zależy, którą historię masz na myśli.

- Tę o zamężnej kobiecie i ogrodniku.

- Znam.

- Czy to prawda? Skinął głową.

- I nigdy po tych wakacjach już się nie spotkali?

- Nie.
- Nie pisali do siebie ani nie dzwoniли?
- Nie.
- Legenda głosi, że byli zakochani.
- Bardzo.
- To dlaczego się rozstali? Czy tylko dlatego, że jej mąż tak postanowił?
- Nie tylko. To była jej decyzja.
- Czy ona kochała swojego męża?
- Nie wiem.
- Ale ona kochała ogrodnika?
- Tak.
- I on ją kochał. To bardzo smutne. Czy go znałeś?
- Wszyscy w miasteczku go znali.
- Czy on nadal tu mieszka?
- Nie. Umarł jakiś czas temu.
- Jak?
- Po prostu jego serce przestało bić.
- Pękło mu serce z rozpaczy - powiedziała Lea i to wydało jej się najzupełniej zrozumiałe. Potem złapała się za głowę. - Ależ plotę bzdury. To nie jest naukowe wyjaśnienie.
- Ale to prawda. Miał złamane serce. Próbował żyć bez niej, ale nie mógł. Wyjechała. Dla niego zawalił się przez to cały świat. Nazwij to sobie jak chcesz, depresja czy cokolwiek innego. Ale on już nigdy potem nie mógł się pozbierać.
- Nie pojechał za nią?
- Nie.
- Dlaczego?
- Poczucie godności. I właśnie miłość. To była jej decyzja. Musiał to szanować. Bał się mieszać w jej życie, żeby nie utrudniać wszystkiego dodatkowo. Poza tym nie miał dużo do zaoferowania. Ona była bardzo bogata, z innej sfery. On nie miał nic.
- Lea odwróciła wzrok. Dopięła do końca cappuccino.
- Co byś zrobił na jego miejscu?
- To samo, co on. Chyba tak.
- Czy nie walczyłbyś o nią?

- Nie w tych okolicznościach. Spojrzała na niego. - Nawet gdybyś wierzył, że ona jest twoim przeznaczeniem, jedyną na świecie?

- Nawet wtedy - rzekł cicho i z taką samą uroczystą powagą, jaką widziała u niego na początku. - Często tak się zdarza, że miłość siebie, a życie sobie. I nic na to nie można poradzić. Tu też tak było. - Zerknął na nią z ukosa. - Ale ja nie jestem na jego miejscu. Mam wykształcenie i pieniądze. Mogę żyć tam, gdzie zechcę. Jestem dobry. Mógłbym starać się o pracę w ogrodzie botanicznym w Waszyngtonie. Wybrałem Gwiazdny Zakątek. To mój wybór.

Wiedziała o tym od zawsze. Kochała go za to jeszcze bardziej, ale to niczego nie zmieniało.

Walcząc ze łzami, wstała, by odnieść filiżankę. Wstawiła do zlewu, zalała wodą. Podszedł do niej. Stał z tyłu.

- Tu nie chodzi o żaden upór - powiedział. - Po prostu nie potrafiłbym żyć w Waszyngtonie.

- Ale tam jest mój dom. - Chciało jej się płakać. Zamknęła oczy i odchyliła się do tyłu. On tam był. Silny, dający poczucie bezpieczeństwa. Objął ją i nagle nie chciała już myśleć o przyszłości.

Dotknął jej. Rozchylił jej bluzkę. Pieścił rękoma, potem ustami, wyzwalając w niej to coś, co istniało tylko dla niego. Kochali się w kuchni. Potem przeniósł ją na łóżko. Tylko w tej namiętności mogła okazać mu, co czuje.

Obudziła się. Stał przy oknie. Wczesne słońce oświetlało jego nagość. Bardziej męski, niż jakikolwiek śmiertelnik mógł namalować. Musiała zbliżyć się do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję. Przycisnęła policzek do jego pleców.

Wykapali się razem. Ubrali się. Poszli do dużego domu, gdzie Lea zostawiła wiadomość dla swych sióstr, że idzie na spacer. Potem Jesse pokazał jej łąkę. Polne kwiaty. - Jak w boskim kalejdoskopie - westchnął lirycznie.

Położyli się wśród kwiatów. Na listkach leżała jeszcze poranna rosa, choć słońce przygrzewało już dość mocno...

Jeszcze kilka godzin później wspominała tę piękną łąkę. Przywiozła Julii następną porcję chleba. I jadła obiad przy tym samym stoliku, przy którym poprzedniego dnia siedzieli razem z Jessem. Przyglądała się innym gościom - rodowitym mieszkańcom Downlee.

Później Julia przysiadła się do niej, zajmując miejsce, na którym poprzednio siedział Jesse.

Julia westchnęła. - Uwielbiam Jessego. - Skubnęła kawałek chleba. - To najbardziej zmysłowy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Czasami myślę, że oszalałam, że wcale go nie podrywam i nie myślę o nim w ten sposób. - Skubnęła drugi kawałek. - Ale ja kocham Howella. A i Jesse też nie bardzo się mną interesuje... On interesuje się tobą.

- Tak myślisz? - zapytała, zastanawiając się, czy to jest aż tak bardzo widoczne.

Julia zaśmiała się z widocznym zadowoleniem. - Widziałam, jak patrzył na ciebie. Właśnie... on nigdy na nikogo nie patrzył w ten sposób. I nie tylko ja to zauważyłam. Przez te czterdzieści minut byliście pod ścisłą obserwacją.

- Nie powiesz chyba...

- Nie ma powodu do niepokoju - zapewniła ją Julia. - Wyglądacie razem naprawdę wspaniale. Oczywiście wszyscy patrzyli na was z ciekawością. Mam na myśli ten niesamowity zbieg okoliczności. Po tym, co się przydarzyło twojej mamie... Sama rozumiesz.

- Zbieg okoliczności?

- To musi być w twoich genach. Taka ucieczka od cywilizacji. Bo mężczyźni, którzy pracują nie tylko mózgiem, ale i rękoma, są naprawdę dobrzy. Wiesz chyba, co mam na myśli... Lea, czy ty mnie słuchasz?

- Co przydarzyło się mojej mamie? - wykrztusiła Lea. Julia przestała się śmiać. Spojrzała na Leę z prawdziwym przerażeniem.

- Ty wiesz o tym... prawda?

- Co się zdarzyło?

- Cholera!

- Powiedz mi, Julio, proszę.

- To nie ode mnie powinnaś to usłyszeć. Cholera, to ona ci nic nie powiedziała? Nie wiesz, dlaczego kupiła Gwiazdny Zakątek?

- Julio, proszę, powiedz mi, o co chodzi. Julia opuściła głowę.

- To ona była tą kobietą od ogrodnika, Leo. Ona i ogrodnik.

Rozdział 15

Tego dnia Wendell wcześniej pojawił się przed sklepem. Od razu pokuśtykał w stronę ławki. Był zdecydowany nie marnować czasu na kupowanie kawy. To paskudztwo zupełnie nie nadawało się do picia. Świat schodził na psy. Na domiar złego Clarence przyszedł tego dnia trochę później niż zwykle.

- Witaj Clarence.

- Witaj Wendell.

- Co tak późno? - burknął Wendell. Clarence rozsiadł się na swojej części ławki. Wendell oparł dłonie na udach. Popatrzył w stronę ulicy.

- Ta najmłodsza już omotała Jessego - wykrzywił się. - Wiesz już o tym?

Clarence wiedział. Młodych widziano razem. Wyglądało na to, że są sobą zainteresowani. Ale Clarence miał okazję widzieć tę dziewczynę na własne oczy. I nie winił Jessego, że dał się omotać.

- Natknąłem się na nich w miasteczku - oznajmił Wendell.

- To nie wygląda dobrze. Będą kłopoty. Clarence włożył fajkę pomiędzy zęby. Sięgnął ręką do kieszeni, szukając woreczka z tytoniem. Wendell spojrzał na niego pytająco. - Więc jak? Clarence naszykował woreczek z tytoniem. - Co jak?

- To nie wygląda dobrze - powtórzył Wendell. - Jechali razem samochodem. Obejmowali się. - Splunął.

- Prawo tego nie zabrania.

- A powinno - zdenerwował się Wendell.

- Zgłoś projekt do Kongresu - podsunął Clarence.

- Wiesz dobrze, że nie o to chodzi. Rzeczy nie mają się dobrze. Będą kłopoty. I ta matka nie wiadomo, czy przyjedzie.

Clarence zajął się czyszczeniem fajki.

- Malcolm mówi, że ta matka nie żyje - powiedział Wendell.

- Gus uważa, że jest w Nowym Jorku - zauważył Clarence.

- Nie żyje - upierał się Wendell. - Mówią, że ona już od dawna nie żyje.

Clarence wiedział, że gdyby to było prawdą, wszyscy w miasteczku już dawno by o tym wiedzieli. Coś takiego jak śmierć Virginii St. Clair nie mogłoby umknąć ich uwadze. - A co sądzi o tym Elmira? - zapytał ostrożnie.

- Elmira gada, że ta matka już jest w drodze. Niby, że lada chwila tu już będzie. Ale co tam Elmira może o tym wiedzieć? Ja twierdzą, że ona już od dawna nie żyje, gdyby mnie kto o to pytał.

- Jeśli nie żyje, to jak mogła kupić Gwiazdny Zakątek?

- Córki kupiły albo ktoś inny z rodziny.

- Po co miałyby to robić? - Clarence nie wierzył w to.

- Przecież Gwiazdny Zakątek nie znaczy dla nich dosłownie nic.

One nawet nie wiedzą o swojej matce i o Willu.

Wendell wbił wzrok w ziemię. - Kto ci to powiedział?

- Ta najmłodsza rozmawiała z Julią. Kiedy Julia zaczęła ten temat, okazało się, że nie ma pojęcia o niczym.

Wendell podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Skąd wiesz?

- Widziałem - rzekł Clarence po chwili namysłu i znowu włożył do ust fajkę.

- Jak mogłeś wiedzieć?

- Byłem u Julii.

- Po co tam chodziłeś? - Restauracja Julii była dla Wendella wrogim terytorium. Aż zatrząsł się na tę zdradę. Czuł, że już nikomu nie można teraz zaufać. Bo jeżeli nawet Clarence...

- Ona piecze dobre bułeczki - powiedział Clarence. Wyjął zapałki i podpalił tytoń.

- Kto wie, czego tam dodaje.

- Mąkę, masło, orzechy... - Clarence mówił, pykając z fajki.

- Ciekawe, dlaczego tak bardzo ci smakują. Clarence spojrzał na niego z ukosa. - Ty nie lubisz Julii.

- Nie jest jedną z naszych.

- Jest tutaj już trzy lata.

- To nie ma znaczenia. My nie chcemy tu obcych.

Clarence wyprostował nogi.

- Zgodziliśmy się, że nie potrzebujemy obcych - upewnił się Wendell.

- To ty nie chcesz. Wendell przez jakiś czas przyglądał mu się z uwagą, po czym znowu splunął i skierował wzrok na ulicę.

- I jeszcze jedna rzecz - dodał Clarence. - Nie widzę w tym nic złego, że Jessego widziano z Leą... Najmłodsza tak ma na imię - wyjaśnił.

- Będą przez nią kłopoty. Dla nas wszystkich.

- Ona zachowuje się w porządku. Jest miła... uprzejma.
- Ale nie jest jedną z naszych. I nigdy nie będzie.
- Wendell, do cholery, czasy się zmieniają. I czy tego chcesz, czy nie, musisz się przystosować.

Wendell skrzywił się z niechęcią. Clarence już dawno nie pozwalał sobie na to, żeby zwracać mu uwagę w ten sposób. Podniósł się. - Pójdę kupić kawę.

Clarence rozparł się wygodnie na ławce. Zaciągnął się głęboko. I przyglądał się w milczeniu grubej smudze dymu. Kiedy Callie Dalton wchodziła na schody, przyłożył palce do czapki. - Witaj, Callie. Uważaj na Wendella, jest w środku.

Callie uważnie popatrzyła przez szklane drzwi.

Odskoczyła z kocią zręcznością, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i wyszedł Wendell z kubkiem gorącej kawy. Callie poczekała, aż ją minie, po czym spokojnie weszła do sklepu.

- Tym razem z irlandzkim kremem - burknął Wendell, patrząc z obrzydzeniem na swój kubek. - Dlaczego nie mogą robić normalnej czarnej kawy bez żadnych dodatków?

- Bo czarna kawa bez dodatków jest śmiertelnie nudna - odpalił Clarence. - To żadna przyjemność przez pół wieku pić dokładnie to samo.

Wendell usiadł na ławce.

- I jeszcze jedno - dodał Clarence. - Miasteczko nie może przez pół wieku żyć jednym romanssem. Ludzie potrzebują czegoś nowego. Im się podoba, że wreszcie coś się dzieje. Ta najmłodsza przyjechała tu w samą porę.

- Wiedziałem, że palenie szkodzi na umysł. Coś z twoją głową znów nie w porządku.

Clarence spokojnie pyknął z fajeczki i nie odwracał wzroku, gdy Wendell przyglądał mu się z uwagą. - Tych dwoje pasuje do siebie. To wszystko.

- Ona go zabije, jak jej matka zabiła Willa. Nie wstyd ci mówić coś takiego? Stary dziad, a głupoty gada. Jesse jest chlubą naszego miasta.

- Nie mam nic przeciwko Jessemu, ale on nie jest nadzieją na zachowanie przeszłości. Świat idzie do przodu i Jesse to widzi.

- Jesse jest tutejszy tak jak my.

- Miasto się zmieniło. Spójrz prawdzie w oczy, Wendell. Julia nadal będzie prowadzić restaurację, panie z kółka różańcowego interesują się jej przepisami. A kawa może stać się jeszcze bardziej obrzydliwa. Albo jeszcze smaczniejsza. To zależy tylko od ciebie, jak to potraktujesz.

Wendell splunął.

- Ja to widzę w ten sposób - mówił Clarence. - Dostaliśmy wybór. Albo odejść wraz ze starym, albo zaakceptować zmiany. Ja wybieram to drugie. Jeszcze nie jestem stary i nie mam ochoty umierać. I zupełnie mnie nie obchodzi, co Julia dodaje do bułeczek, jeśli tylko są dobre. Faktem jest, że ja nigdy nie lubiłem tych wysuszonych precelków, które Mavis podawała do kawy.

Rozdział 16

Karolina była pewna, że musiała się przesłyszeć. Spokojnie poprosiła Douga, by powtórzył to jeszcze raz.

- Nie oglądałaś wieczornych wiadomości? - zdziwił się.

- Nie, nie mamy tutaj telewizora - odpowiedziała zaskoczona.

- W takim razie to wszystko wyjaśnia. Wiedziałem, że musiałaś mieć jakiś powód, że nie zadzwoniłaś.

- Dzwonię teraz i zastanawiam się, dlaczego nikt z was mnie nie zawiadomił. Przecież zostawiłam numer telefonu... - zdenerwowała się. - Luther Hines jest moim klientem, a nie Walkera Housmana. Od trzech lat zajmuję się jego sprawami. Dobrze znam jego problemy z synem...

- To poważna sprawa, Karolino. Zabił chłopaka. Karolina nie mogła spokojnie tego słuchać. Poczula, że ogarniają ją mdłości. Spędziła z Lutherem wiele godzin. Próbowwała mu pomóc, zająć się chłopcem. Najpierw był oskarżony przez nauczycielkę z ogólniaka o napaść seksualną. Później w college'u odpowiadał za poważne wykroczenie przeciwko regulaminowi. W obu przypadkach występowała o zawieszenie kary i o psychoterapię. Do tego kilka drobnych wykroczeń. Prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu skończyło się pozbawieniem na rok prawa jazdy. Awantury i bójki z własnym ojcem nie wydawały się groźne. Za każdym razem obywało się bez interwencji policji.

Karolina nie wyobrażała sobie, że mogło dojść do czegoś takiego.

- Jak to się stało?

- Luther twierdzi, że zabił chłopca w obronie własnej. Posprzeczali się, smarkacz przyszedł do niego z nożem... Ale Luther nie posłużył się nożem.

- Od czego Jason zginął?

- Został uduszony.

- Przez Luthera? To niemożliwe.

- Nikogo innego tam nie było. Wezwał policję i przyznał się do zabójstwa.

Karolina wiedziała, że Luther ma gwałtowny temperament. Ostro reagował na niektóre wybryki Jasona. Nigdy jednak nie widziała, żeby dopuścił się przestępstwa. Owszem, nieraz był załamany występkami syna. Ale załamanie to jeszcze nie nienawiść ani też ten rodzaj emocji, który mógłby doprowadzić do morderstwa. Mógł to zrobić ze strachu.

Wiedziała, że Luther kochał Jasona. Płacił Karolinie naprawdę wielkie sumy za to, że mu pomagała.

Spróbowała opanować emocje. - Luther miał prawo wykonać jeden telefon, kiedy został aresztowany. Do kogo zadzwonił? - zapytała.

- Prosił ciebie, ale nie było cię w biurze, więc Walker wziął tę sprawę. To było już po północy. Ściągnęliśmy go z łóżka. Musiał pójść na posterunek policji. I potem reprezentował go w sądzie. Wczoraj rano...

- Miałabym wystarczająco dużo czasu, żeby przyjechać. Dzwoniłam wczoraj, Doug. Dlaczego nikt wczoraj nie wspomniał mi o tym ani słówkiem...

- Ponieważ to już nie był twój klient. Nie byłaś potrzebna. Walker zajął się tą sprawą.

- Ale Luther jest moim klientem - upierała się Karolina. - To ja powinnam była zająć się jego obroną. - Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.

- Ciebie nie było w biurze.

- Gdyby Walker do mnie zadzwonił, wsiadłabym w pierwszy samolot i za parę godzin byłabym w Chicago. Praca w zespole do czegoś zobowiązuje. Nie można kraść komuś klienta.

- Nie przesadzaj, Karolino. Robisz z igły widły. Faktem jest, że Walker Housman ma na swoim koncie o wiele więcej spraw o zabójstwo niż ty. Ma zdecydowanie więcej doświadczenia w podobnych przypadkach.

- Sądzę, że mamy podobne doświadczenie. Występowałam w obronie klienta mniej więcej tyle samo razy co on.

- Oskarżenie o zabójstwo to trochę inna sprawa niż te, które do tej pory prowadziłaś.

Karolina poczuła się podwójnie zdradzona. Doug zawsze stawał po jej stronie. - Czy sugerujesz, że nie dałabym sobie z tym rady?

- Chcę ci powiedzieć tylko to, żebyś przestała się teraz tym przejmować. Luther Hines ma dobrego obrońcę. Dobre imię naszej firmy ani trochę nie ucierpiało na twojej nieobecności. A to jest przecież najważniejsze.

- Ale ja znam Luthera o wiele lepiej niż Walker. On nie ma pojęcia o wielu sprawach. Wierzę w niewinność Luthra.

- Karolino, nie mów głupot. Przecież się przyznał.

- On nie jest mordercą, Doug. To przyzwoity człowiek.

Mógł naprawdę działać w obronie własnej. Coś go poruszyło bardziej niż zwykle. Może postradał zmysły ze strachu... Już nie wiem. Musi teraz strasznie cierpieć. Poczucie winy może doprowadzić go do gorszego stanu niż na to zasługuje.

- Luther Hines i poczucie winy? Chyba żartujesz. Świetnie wie, co robi. Bogaty biznesmen, człowiek sukcesu. Doskonale się orientuje, jaką kartą powinien zagrać.

- Chciał kandydować na burmistrza. Po tym, co się stało, nie ma już żadnej szansy. Prasa rozdmucha tę sprawę. Dla niego to oznacza koniec. Czy myślisz, że on to z góry zaplanował, żeby pokrzyżować sobie plany?

Doug zwlekał z odpowiedzią.

- Powiedz Walkerowi ode mnie, że jest świnią - dodała szybko i odłożyła słuchawkę.

Wróciła do salonu. Opadła bez sił na krzesło. - Jeden z moich kolegów z zespołu adwokackiego ukradł mi bardzo ciekawą sprawę - powiedziała do siedzącej na sofie Anety.

- Czy to nie jest wbrew prawu?

- Takie rzeczy nie są regulowane żadną ustawą. To po prostu nieetycznie. Do licha z tym... - Machnęła ręką i gwałtownie podniosła się z krzesła. Energicznym krokiem wróciła do kuchni. Znowu podeszła do telefonu. I już za chwilę połączyła się z sekretarką Walkera Housmana.

- Pan Housman jest teraz zajęty. Ma ważną naradę, pani St. Clair.

- To jest ważne i zajmie najwyżej kilka minut. Może jednak mogłaby go pani poprosić do telefonu.

Czekała przez chwilę, mając nadzieję, że usłyszy głos Walkera. Niestety.

- Przykro mi niezmiernie - powiedziała sekretarka. - Szef nie może teraz podejść do telefonu.

- W sprawie Hinesa. Czy mogłaby mu pani to powiedzieć? Naprawdę spodziewała się, że Walker podejdzie do telefonu i w jakiś sposób będzie próbował się wytłumaczyć.

Sekretarka znowu poszła zapytać szefa. I znowu nie miał on ochoty na rozmowę z Karoliną.

- Pan Housman prosił, żeby zadzwoniła pani później.

- To znaczy: kiedy? - zapytała Karolina, bębniąc palcami po blacie kuchennym.

Mogła zapalić papierosa, ale, do licha, nie powinna się przejmować takim gnojkiem jak Walker Housman.

- Chwileczkę, spojrzę w kalendarz - mówiła sekretarka. - Dziś prawie cały dzień ma zajęty. Może późnym popołudniem... Nie, też nie da rady.

Karolina kipiała ze złości.

- Dlaczego nie mógłby teraz podejść na chwilę?

- Najlepiej będzie, jeśli pani poda swój numer. Pan Housman do pani zadzwoni. Przekażę wiadomość.

Karolina nie wiedziała już co gorsze: rozmowa z tępą, nieprzyjemną sekretarką, czy Walker unikający z nią kontaktu. Wiedziała, co zrobiłby z tą wiadomością. Zwinąłby kartkę i wrzucił do kosza na śmieci. Pomyślała, że można by tę sprawę załatwić jeszcze inaczej.

Posłusznie odłożyła słuchawkę, po czym wykręciła następny numer.

Graham Howard był szefem zespołu i wydawało jej się stosowne złożenie skargi na jego ręce.

Graham zawsze zachowywał się wobec niej z hałaśliwą serdecznością i tym razem też nie było wyjątku. - Dobrze się bawisz się na wakacjach, Karolinko? - zapytał.

- Bawiłam się wspaniale aż do momentu, kiedy dowiedziałam się o Lutherze Hinesie. Właśnie próbowałam złapać Housmana, ale nie chciał podejść do telefonu. Muszę przyznać, Graham, że jestem oburzona tym, co zrobił Walker.

Graham nie udawał głupiego. Od razu zrozumiał, o co chodzi. Znalazł jednak sposób, żeby zbyć pretensje Karoliny. - Doskonale cię rozumiem, Karolino. To bardzo ciekawy przypadek, że tak powiem... prestiżowa sprawa.

- Luther jest moim klientem. Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił?

Graham zawahał się. - Nie sądzę, żeby to było konieczne informować cię o wszystkim. Walker jest specjalistą od takich spraw naszym w zespole. Luther wyraził zgodę.

- Czy Luther miał wybór?

- Nie wiem. O to już musiałybyś spytać Walkera.

- Próbowałam dodzwonić się do niego - powtórzyła.
- Nie chciał podejść do telefonu. Wyraźnie unikał rozmowy ze mną. Musiał wiedzieć, że zadzwonię... Graham, to nie jest w porządku...

- Oczywiście, że w porządku, Karolino. Walker jest doświadczonym adwokatem. Luther ma najlepszego obrońcę, jakiego mógł dostać.

- Ja byłabym znacznie lepsza. Luther jest moim klientem.

- Ale przecież nie było cię tutaj. Naprawdę niepotrzebnie tak się tym denerwujesz.

Zacisnęła rękę w pięść, żeby nie stracić samokontroli.

- Denerwuję się, bo pracuję dla Hinesa od ponad trzech lat. Mam z nim stały kontakt i włożyłam w to wiele wysiłku, przynosząc firmie znaczne profity. Was też chyba obowiązują jakaś lojalność.

- Nie przesadzaj, Karolino. Nie warto o to kruszyć kopii.

- Nie przesadzam - mruknęła.

- Zastanów się jeszcze raz. Walker nie zrobił nic złego. Pracujemy w zespole.

- Jeśli nie chciał zrobić mi świństwa, to dlaczego nie zadzwonił do mnie? Powinien był skonsultować się ze mną. Mogłam mu coś doradzić.

- Walker nie potrzebował twojej porady. Sam dobrze wie, jaką przyjąć linię obrony. Zbrodnię popełniono w afekcie. To jedyna i najlepsza linia obrony. Karolino, nic tutaj nie mogłabyś pomóc. Pozwól sobie przypomnieć, że twoje wystąpienie w obronie Baretty było... hm... lekko żenujące. Pozwoliłem Walkerowi spróbować. Tak było lepiej.

Karolina poczuła się ogłuszona. Trwało to dobrą chwilę, zanim zdołała pozbierać myśli.

- Chciałabym wiedzieć... - zaczęła. Nie mogła opanować drżenia głosu. - Czy to, co właśnie powiedziałaś, nazywa się totalnym przejściem do ofensywy?

Graham westchnął. - To już tylko twój problem. Jeśli chcesz pracować w dużym zespole, musisz patrzeć dalej, nie tylko na czubek własnego nosa. Najbardziej liczy się dla nas dobro zespołu, profesjonalne podejście do rzeczy.

- Właśnie mówię o etyce. Zwracam ci uwagę na pewne sprawy. Ludzie pozbawieni skrupułów, jak na przykład Walker Housman, burzą harmonię zespołu.

- To brzmi jak oskarżenie.

- Dokładnie to mam na myśli.

- Puszczę w niepamięć twoje słowa i nie zrobię z nich użytku. Jesteś zdenerwowana, mogę to zrozumieć. Gdybyś potrafiła spokojnie się nad tym zastanowić, przyznałabyś mi rację, Karolino. To oczywiste, że potrzebujesz odpoczynku. Korzystaj z wakacji, baw się dobrze. Mam teraz drugi telefon, nie mogę dłużej rozmawiać. Poplotkujemy sobie, jak już wrócisz do pracy.

Karolina wróciła do salonu i bez sił opadła na krzesło. - Aż nie mogę uwierzyć, że to takie chamskie świnię. On mówi, że to tylko mój problem, że przesadzam.

- Wydaje mi się, że rozmawiałaś z nim logicznie i przekonująco - powiedziała Aneta.

- Ja też tak sądzę. To są stereotypy, których nie można przeskoczyć. Kobiety zawsze są przez nich traktowane tak protekcyjnie i spychane na boczny tor.

- Czy możesz teraz jeszcze coś zrobić? Polecieć do domu, pomyślała, najbliższym samolotem do

Chicago. Ale, do licha, nie chciała przecież tego. Nie czuła najmniejszej ochoty wracać teraz do domu. Zasłużyła wreszcie na jakieś wakacje. Miała prawo spędzić ten czas z rodziną.

Znowu westchnęła i zaraz potem jej gniew przeszedł w rezygnację.

- Mogę złożyć protest przed komisją wniosków. Ale z rozmowy z Grahamem wywnioskowałam, że to też nic by nie dało. Mężczyzna może protestować, ma prawo dochodzić swoich racji. A o kobiecie mówi się tylko, że niepotrzebnie się awanturuje. Bo kobieta to albo sekutnica, albo słodka laleczka. Na pewno nie człowiek; tu obowiązują zupełnie inne prawa. Faktem jest jednak, że kiedy Luther zadzwonił do biura, mnie tam nie było. A Walker akurat był na miejscu.

Aneta przyjrzała jej się uważnie. - Jesteś zła?

- Jak furia.

- Mówisz, to jakbyś była absolutnie spokojna. Karolina zdawała sobie sprawę, że to może tak wyglądać.

Nieraz na sali sądowej musiała wykrzykiwać coś z oburzeniem albo patosem. Na co dzień jednak obowiązywały pozory. Musieli myśleć, że ma stalowe nerwy i nie daje się ponieść emocjom. Nauczyła się mówić spokojnie.

A jednak był teraz w tym wszystkim jakiś prawdziwy spokój. Wszystkie sądy Chicago znajdowały się teraz tak daleko.

- Czuję się zdradzona - powiedziała do Anety. - To pierwsze wakacje, odkąd zaczęłam pracować w zespole. Bałam się tu przyjeżdżać, podejrzewałam, że zrobią mi jakieś świństwo...

Nie dokończyła tej myśli, bo nagle przyszło jej do głowy, że właśnie w tym tkwi sedno.

- Pracuję w środowisku, gdzie jeden drugiemu jest wilkiem. Może kiedyś wszyscy się pozagryzają. Na razie odnoszą sukcesy, bo są bezwzględni, ale ta bezwzględność powinna mieć swoje granice, przynajmniej w stosunku do kolegów z zespołu.

- Ty nie jesteś taka.

- Dziękuję.

- Mówię poważnie.

- Ja też - powiedziała Karolina. - Dziękuję.

Nie mogła zrozumieć swojego zachowania. Jeszcze niedawno od razu pognałaby do pracy. Teraz nie miała na to ochoty. Nie śpieszyła się z powrotem.

- Proszę bardzo - uśmiechnęła się Aneta. - Nie rozumiem, dlaczego tam pracujesz? Jak możesz tam wytrzymać, jeżeli masz takie obrzydliwe układy?

- Ben zawsze mi to powtarza - westchnęła. - Twierdzi, że nie powinnam tam pracować. - Tęskniła za nim. Marzyła, by usłyszeć jego głos. Wczoraj wieczorem próbowała dzwonić do niego. Nie było go w domu. - Ben uważa, że powinnam otworzyć własną firmę.

- Dlaczego tego nie zrobisz? Karolina poczuła nagłą pustkę w głowie. Raz jeszcze musiała zastanowić się nad tym wszystkim.

Odpowiedziała po chwili. - Nie wiem. Zawsze chciałam pracować w zespole, w dużej, prężnej firmie. Przywykłam do myśli, że to dla mnie najlepsze.

- Ale teraz już to osiągnęłaś i możesz iść dalej. Jesteś pierwszą kobietą w zespole, możesz być z tego dumna. Chyba jednak stać cię na coś lepszego, prawda?

Karolina założyła nogę na nogę. - Chcesz wiedzieć? Teraz nie jestem z tego dumna. Masz rację, trzeba będzie coś z tym zrobić. Oni są żałośni, ohydni... - Zaczęła rytmicznie huścić nogą. - Pozbawieni zwykłych ludzkich uczuć. Kiedy jest przerwa w obradach... wiesz o czym mówią? Nie o swoich dzieciach, ani o rodzinie... Nie o tym, żeby kupić prezent komuś, kto odchodzi na emeryturę. To jest im obojętne. Cały czas mówią o swoich samochodach... - Nagle nerwowo parsknęła śmiechem. - Co ja w ogóle tam robię? Siedzenie w tej firmie nie ma żadnego sensu...

Huknęły gwałtownie otwierane drzwi.

- Hej, dziewczyny! Jesteście tutaj? Noga Karoliny nagle nieruchomo zawisła w powietrzu.

- Lea, bój się Boga, wyglądasz jak upiór! - zawołała z przerażeniem Karolina.

Lea w istocie rzeczy wyglądała jak upiór. Słowa Julii nadal dźwięczały jej w uszach. Na próżno próbowała je uciszyć, zrozumieć, dlaczego Ginny nigdy nie powiedziała im o tym ani słowa. Dlaczego Jesse nic nie wspomniał, że to chodziło o jej matkę... Czuła się, jakby cały jej uporządkowany świat runął i rozsypał się na kawałki. Była zszokowana i zraniona.

Usiadła na tej części sofy, na której przedtem siedziała Aneta. Miejsce było jeszcze ciepłe. Lea czuła wdzięczność, że jej siostry są w domu. Tylko one mogły dzielić z nią ten ból albo pomóc jej się pozbierać.

- Nie uwierzycie, czego się dowiedziałam... - zaczęła drżącym głosem. - Matka była tu już kiedyś... Mimo wszystko... Była tutaj. Ona i nasz ojciec wynajęli Gwiazdny Zakątek na wakacje, parę lat przed twoimi narodzinami, Karolino. I matka... z ogrodnikiem...

Głos jej się załamał.

Siostry na chwilę znieruchomiały z wrażenia. Potem Karolina powiedziała: - Na bezludnej wyspie na drewnianym kamieniu siedziała młoda staruszka.

- Matka tu była - upierała się Lea.

- To absurd - powiedziała Aneta. Karolina skinęła głową. - Pomylili ją z jakąś inną kobietą.

- Jeżeli w tym miasteczku lubią bawić się w takie głupie ploty, byłoby lepiej, gdyby Ginny nie kupowała tego domu - dodała Aneta.

Patrzyły na Leę, jakby chciały zmusić ją zmusić do cofnięcia tych słów. Ale jej pierwsza reakcja była podobna. Też nie chciała w to wierzyć. Dopiero później, kiedy zaczęła się zastanawiać...

Najwidoczniej z Anetą działo się to samo. Nagle drgnęła i zapytała: - Więc to ona była tą kobietą?

Karolina pozostała nie przekonana. - Niemożliwe. To nie Ginny. Nie mogłaby związać się z żadnym mężczyzną oprócz taty. Zawsze była zbyt porządna. Przesadnie przestrzegała konwenansów.

- Miała dogodną sytuację - powiedziała Lea. - Ojciec dojeżdżał do pracy. Był z nią tylko w weekendy. Dwa dni w tygodniu. Pięć pozostałych spędzał w Filadelfii.

- Kto ci powiedział?

- Julia. Wiem, że ona jest tutaj tylko trzy lata i skąd mogłaby wiedzieć. Ale tutejsi plotkują. Przychodzą do niej tłumy klientów. Restauracja to dobre miejsce, nie tylko, żeby zjeść, ale i porozmawiać. Jak tylko Ginny kupiła Gwiazdny Zakątek, od razu zaczęto plotkować z nową siłą. Przypomnijcie sobie, jak wszyscy nas o nią wypytują.

- To zrozumiałe, że się nią interesują - zauważyła Karolina. - Nagle pojawia się tu ktoś obcy, samotna kobieta, która jest najbogatszą osobą w miasteczku.

- Zwróć uwagę, o co oni pytali - przypomniała Aneta.

- Nie interesowali się, jak bardzo jest bogata, czy zamierza wprowadzić jakieś zmiany na tym terenie. Chcieli wiedzieć, jakie było jej życie w Filadelfii. Czy została z ojcem i czy była z nim szczęśliwa...

Lea pomyślała, że Jesse zadawał podobne pytania. On od początku wiedział, kim jest Virginia. Właśnie poprzedniej nocy opowiedział Lei tę historię. Byli razem w jego domku, ale nie pozwolił, żeby się dowiedziała. Zastanawiała się, dlaczego zataił to przed nią. Jeśli ją kocha...

- Miejscowi byli po prostu wścibscy. Zadawali zbyt intymne pytania - rzekła Karolina z dezaprobatą.

Ale Aneta wyglądała na zaniepokojoną. Ona już uwierzyła. - Tak sądzisz? Pamiętam, jak pierwszy raz czytałam ten list od niej. Nie mogłam uwierzyć, że pisze, zamiast zatelefonować. To było dziwne, że zdecydowała się na sprzedaż domu, w którym spędziłyśmy całe dzieciństwo. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nagle przeprowadza się

do miasteczka, gdzie nikogo nie zna. I cały czas miałam wrażenie, że musi istnieć jeszcze jakiś powód. To mogłoby wszystko tłumaczyć.

- Wręcz przeciwnie - nie mogła się zgodzić Karolina.

- Gdyby to ona była tą kobietą, tym bardziej nie powinna tu wracać. Jeśli kiedyś była zamieszana w jakiś skandal, byłoby bardzo nierozsądnie znowu się tutaj pokazywać.

- Może nie mogła nic na to poradzić - podsunęła myśl Lea. - Może to było silniejsze niż całe jej racjonalne myślenie. Może musiała jakoś zamknąć tę sprawę.

Lea rozumiała to dobrze. Ludzie często robią rzeczy, które wydają się pozbawione sensu.

- To ma być zamknięcie tej sprawy? Ha! Ta wizyta otworzy puszkę Pandory.

- Jeśli to prawda, że była szaleńczo zakochana, możliwe, że bardzo chciała tu wrócić - zauważyła Aneta.

- Matka szaleńczo zakochana? . - mruknęła Karolina. Rzuciła gniewne spojrzenie na taras. - Robicie jakieś absurdalne założenia. Pierwsze, że ostrożna, pruderyjna Ginny mogłaby rzucić wyzwanie społeczeństwu, przeciwstawić się normom społecznym przez cudzołóstwo. Drugie, że ona w ogóle byłaby w stanie szaleńczo się zakochać. Z tego, co wiem, wy obie też nigdy nie powiedziałybyście o matce, że może dać się ponieść emocjom. Ona nie jest zdolna do namiętności. To ostatnia cecha charakteru, o jaką można ją podejrzewać. Aneta pozostała nie przekonana. - Być może moje dzieci też sądzą, że ja i Jean - Paul nie jesteśmy zdolni do namiętnej fizycznej miłości, do pożądania... Jesteśmy dla siebie tak naprawdę dopiero wtedy, gdy możemy zamknąć drzwi naszej sypialni.

- Nieprawda - upierała się Karolina. - Z matką to zupełnie inna sprawa. Spędziłyśmy większość życia obserwując jej zachowanie. Nigdy nie okazywała namiętności w stosunku do ojca. Tylko poprawność, żadnych emocji. Co do przyjaciół, przynależności do klubów, czy też ciągłego przemeblowywania salonu... Po prostu robiła wszystkie te rzeczy, które wydawały jej się właściwe. Ale nigdy nic nie poruszyło jej dość głęboko.

Lea pomyślała o sobie. O tej kobiecie z Waszyngtonu, ładnej laleczce, ozdobie towarzystwa. Ugrzecznione maniery i gładkie odpowiedzi. Czy okazywała tam emocje? Nie. Czy była w ogóle zdolna do jakichś emocji? Tak.

I to do jeszcze jakich. Jesse ją odblokował. Wyzwolił emocje. Czowała się związana z Gwiazdnym Zakątkiem na wszystkie sposoby. Nigdy przedtem nie doznawała takich uczuć.

- A co ze skalnymi różami? - krzyknęła. Nie mogła przestać o nich myśleć. Wydawały jej się najlepszym potwierdzeniem słów Julii.
- Przez te wszystkie lata mama specjalnie zamawiała perfumy. Czy pamiętacie, żeby kiedykolwiek użyła jakichś innych perfum?

- Nie, ale...

- Kiedyś znalazłam trochę podobny zapach - upierała się Lea. - Naprawdę dobre perfumy. Kupiłam jej flakonik na urodziny. Przez wiele lat stał nie ruszony na jej toalecie. Pocieszałam się, że może tak się ucieszyła z prezentu, że chciała zachować go na zawsze. Ale oszukiwałam samą siebie. Mama nie chciała tych perfum. Musiała mieć dokładnie ten zapach, który przypominał jej to miejsce. Nie żaden podobny. Czy myślisz, że to przypadek, że kupiła posiadłość, która pachnie dokładnie tak samo? Jeżeli to ona była tamtą szaleńczo zakochaną kobietą, która wyjechała stąd pod koniec wakacji i już nigdy tu nie wróciła, potrzebowała czegoś, co byłoby namiastką tego miejsca. To pomagało jej żyć.

Aneta westchnęła. - Pomagało? Myślę, że takie ciągłe przypominanie mogło być dla niej jeszcze bardziej bolesne.

- I dla ojca też - dodała Karolina. Siedziała wyprostowana z rękoma ściśniętymi pomiędzy kolanami. Popatrzyła na Leę, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w życiu.

- Zawsze wydawało mi się, że doskonale panuję nad tym, co dzieje się w moim życiu. Miałam do czynienia prawie ze wszystkim. Bóg jeden wie, z jakim głównem stykałam się przez te wszystkie lata pracy. Ale zawsze miałam nad tym jakąś kontrolę. A teraz ta wiadomość z Chicago. A potem o mamie. - Karolina skrzywiła się z niedowierzaniem.

- Co się wydarzyło w Chicago? - spytała Lea i Aneta jej wyjaśniła.

- Och, Karolino, tak mi przykro. - Tragedią nie była może utrata sprawy, ale zdrada kolegi. Spojrzała na Karolinę ciepło i ze zrozumieniem.

- To śmieszne - rzekła Karolina bez śladu uśmiechu. - Sytuacja w firmie wytrąciła mnie z równowagi. Jestem zła, irytuje mnie ta odległość i to, że nic nie mogę na to poradzić. Ale ta sprawa z matką

wydaje mi się daleko ważniejsza. Właśnie, założmy, że matka we wczesnych latach małżeństwa miała ten namiętny romans. To prowadzi do wielu innych ważnych pytań.

Lea była zbyt oszołomiona tym, co usłyszała od Julii, by zadawać dodatkowe pytania. Jednak słowa Karoliny natychmiast przywołały ten problem.

- Jak jej uczucia do ojca albo... do nas.

- I jej sztuczność. Sztywność i pedanteria - wtrąciła Aneta. - I to przesadne życie towarzyskie.

- To mnie zastanawia - kontynuowała Karolina. - Dlaczego chciała, żebyśmy tutaj przyjechały i dlaczego tak opóźnia swój przyjazd? To rzuca nowe światło na wiele rzeczy. Zakładając oczywiście, że to prawda.

- Możemy sprawdzić - zauważyła Lea. I nie myślała w tej chwili o Jessem. Musiała najpierw wiedzieć, czy jest prawdą, czego dowiedziała się o Ginny. - Jeżeli te zdjęcia były w gazecie, gdzieś w archiwum muszą być stare egzemplarze „Downlee Daily”. Redakcja nadal istnieje. Możemy pojechać do miasteczka i sprawdzić.

Gazeta „Downlee Daily” założona została w roku 1897. Jej pierwsze numery były pojedynczą kartką papieru z miejscowymi plotkami. W latach dwudziestych rozrosła się do czterech stron. Zawierała wtedy wiadomości o wojnie, a po skończeniu wojny informacje z kraju i ze świata. W latach pięćdziesiątych to już był dwunastostronicowy tygodnik zawierający mieszankę wiadomości politycznych i sportowych, komiksów i miejscowych plotek.

Ta fotografia nie znajdowała się na pierwszej stronie, ale nawet na piątej wydawała się szokująca. Karolina trzymała otwartą gazetę, teraz już trochę pomarszczoną i pożółkłą na rogach. Tak, to była Virginia, nie ulegało wątpliwości. Ale zupełnie inna Virginia niż ta, którą znały.

Aneta i Lea stały przy Karolinie. Wszystkie trzy niemal zapomniały o obecności kobiety, która pokazała im ten archiwalny egzemplarz gazety.

- Wygląda tak młodziutko.

- Była wtedy młoda.

- Nawet młodsza niż na swoim ślubnym zdjęciu, a tamto było przecież wcześniejsze.

- I włosy ma potargane.

- I jakie długie. Musiała obciąć je krótko zaraz potem. Nigdy nie pozwoliła im odrosnąć.

- Spójrz na jej twarz. Ma wyraz takiego szczęścia. Nigdy nie myślałam...

- Spójrz na niego. To kochanek matki.

- Nie mów tak. To brzmi okropnie. Karolina cierpiała. Zawsze szanowała Virginie. Miała jej za złe, że za bardzo liczy się z opinią środowiska, uważała ją za nudną, tchórzliwą kobietę. Był jednak w tym wszystkim jakiś szacunek. Ginny nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby wyróżnić się z tłumu. Nawet odrobina szaleństwa była jej obca. Ale Karolina w jakiś sposób zdażyła już się przyzwyczać do pewnego dostojeństwa Ginny, do zimnej, niewzruszonej twarzy. Jak matka mogła tak długo trzymać przed nimi sekret? Robić z tego tajemnicę nawet przed własnymi dziećmi?

Karolina była najstarsza. Przez pierwsze trzy lata życia była jedynym dzieckiem Ginny. To oczywiście nie dawało jej większych praw niż Anecie czy Lei. I to zupełnie irracjonalne, ale teraz Karolina poczuła się głęboko dotknięta w miłości własnej. Matka nigdy nie patrzyła na nią z taką miłością. Tak, Szymon miał rację. W tym spojrzeniu kryło się wszystko.

- Nigdy nie spoglądała w ten sposób na ojca.

- Nigdy na nas tak nie patrzyła.

- On jest bardzo przystojny.

- Na Boga, oni trzymają się za ręce.

- W środku miasta? Przy ludziach?

- W dodatku tak blisko kościoła - uszczypliwie wtrąciła Karolina.

Przeczytała głośno krótką notkę pod zdjęciem: Festyn zaczął się w ostatni piątek na boisku do piłki nożnej przy kościele. Virginia St. Clair, gość z Gwiezdnego Zakątka, bawiła się na festynie ze swoim ogrodnikiem, Willem Crayem. Lea wyrwała Karolinie gazetę. - Z kim?

- Czy to ojciec Jessego? - zapytała Aneta.

- Na pewno. - Karolina porównywała w myśli rysy twarzy. Tak, bez trudu dostrzegła podobieństwo. Ten sam typ urody. I obaj niezwykle przystojni.

- W tym artykule nie byłoby nic złego, gdyby nie zdjęcie. Nawet nieważne, że trzymają się za ręce. Szymon miał rację. Te ich spojrzenia wystarczają za wszystko.

- Will Cray - z rozpaczą w głosie powtórzyła Lea.

Odłożyła gazetę.

- Jak myślicie, co się potem stało? - zapytała Aneta.

- Czy ona potem pogodziła się z ojcem, żeby uniknąć rozwodu? O Boże! - jęknęła. - Nie mogę w to uwierzyć. Matka jest ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o coś takiego. Gdyby nie to, że nas urodziła, uważałabym, że ani razu nie zeszła z drogi cnoty.

Karolina próbowała sobie wyobrazić, jak matka wiele lat temu schodzi z drogi cnoty. Ale ta pełna namiętności kobieta ze zdjęcia zupełnie nie pasowała do osoby, która ją wychowała. - A może jednak to kłamstwo - mruknęła sfrustrowana.

- Jak mogłoby to być kłamstwo? - krzyknęła Aneta.

- Masz tutaj czarno na białym. Ale Karolina spotykała się w sądzie dość często z tego rodzaju rzeczami. - Czarne i białe może być mylące. Niekiedy coś wyrwane z kontekstu wygląda zupełnie inaczej niż jest naprawdę.

- Oszukujesz sama siebie, Karolino.

- Próbuję widzieć całość. Ta fotografia... - spojrzała na gazetę
- ...nie pasuje i już.

- Mówisz, że to nie jest zdjęcie naszej matki?

- Och, oczywiście, to ona! - krzyknęła Karolina, świadoma, że podnosi głos bardziej niż to jest konieczne. Bardzo chciała podważyć wiarygodność rzekomych domniemań na temat Ginny. - Może to jednak... na przykład błędna interpretacja jej wyrazu twarzy. Z tego, co wiemy, powiedziała Willowi Crayowi o tym, że ma męża.

- Na ojca nigdy tak nie patrzyła. Karolinie to nie mogło wystarczyć. - Nieobecność czyni serce wrażliwszym. Jego nie było pięć dni w tygodniu. Mogła przecież bardzo za nim tęsknić

- Karolino! Przecież oni trzymają się za ręce.

- Tak? Sześć miesięcy temu prowadziłam sprawę, której przygotowanie wymagało spotkania z prokuratorem okręgowym. Jest on moim byłym szefem, a co więcej, przyjacielem. Któregoś dnia czekałam na niego koło windy. Wracał z lunchu. Coś powiedział, zaśmialiśmy się. Nagle złapał mnie za rękę i wciągnął do windy. Ktoś mógłby zrobić nam zdjęcie w tym momencie i wmawiać, że coś między nami istnieje, chociaż my wiedzieliśmy doskonale, że nic nas nie łączy.

- Ale całe miasto o tym mówi.

- Czy ktoś przyłapał ich razem w łóżku? - nalegała Karolina. - To plotki, bajka, legenda... Takie rzeczy trzymają przy życiu małe miasteczka. Może być w tym znacznie więcej fantazji niż prawdy.

- To akurat było prawdą - usłyszały cichy głos od drzwi. Karolina najpierw pomyślała, że to mówi Lea. Ale nie, w drzwiach stał ktoś inny.

Marta Snowe była obecnym redaktorem „Downlee Daily”. Szeroka w biodrach, zaniedbana, o czerwonych policzkach. Mówiła niechętnie, jakby z przymusem. Karolinę zaskoczyło, że Marta nie chciała im przeszkadzać. Po prostu czuła się zobowiązana udzielić im rzetelnej informacji.

- Była pani wtedy w miasteczku?

- Tak, miałam siedemnaście lat.

- Proszę mówić.

- Wasi rodzice przyjechali tutaj na wakacje. Już to stało się ważnym wydarzeniem. Miasteczko było wtedy o wiele bardziej prowincjonalne niż teraz, a oni byli bogaci i atrakcyjni. Razem z moimi koleżankami obserwowałam waszą matkę, jak spaceruje po mieście. Marzyłyśmy, że pewnego dnia będziemy takie jak ona. Wspaniale ubrane, przyswoimy sobie ten sposób poruszania się. Rozmawiała z nami i była miła. Wszyscy ją lubili. Zapraszano ją na miejscowe pikniki i na inne imprezy. Will ją woził...

Przerwała. Karolina rzuciła jej niecierpliwe spojrzenie.

- On potem jeździł z nią już wszędzie - powiedziała Marta bardzo cichym głosem.

- Był szoferem - podchwyciła Karolina.

- Nie siedziała na tylnym siedzeniu. - To był niemal szept.

Karolina próbowała stworzyć z tego jakiś obraz. - Jak blisko siebie siedzieli?

- Bardzo blisko.

- Kto o tym mówił? Kto ich widział?

- Różni ludzie w różnych sytuacjach. I szef policji. Aneta wyglądała na zaniepokojoną. Lea spopieliała na twarzy. Karolina próbowała uporządkować fakty. - Jaka jest podstawa tej legendy? Dwoje ludzi siedzących blisko w samochodzie?

Marta potrząsnęła głową. - Widziano ich w lasku w Gwiezdnym Zakątku.

- W kompromitującej sytuacji?

- Bardzo.

- Byli widziani przez kogoś z miejscowych, kto akurat tamtędy przechodził? - dociekała Karolina. - Jeśli tak, to było wbrew prawu. Jeżeli przechodził przez teren prywatny, nie należący do niego...

Marta potrząsnęła przecząco głową. - Miasteczko zawsze miało porozumienie z właścicielami Gwiezdnego Zakątka. Nasi ludzie mogą tamtędy przechodzić, byle tylko nie zakłócali spokoju. Ci ludzie przechodzili nocą, nie robili nic złego.

- Nastolatki?

- Artyści. Karolina wsunęła dłonie do tylnych kieszeni spodni.

Artyści z Downlee przypominali jej Bena. Wierzyła artystom.

To mogła być prawda. Czowała się jak ogłuszona. Spojrzała na siostry. Wyglądały na równie przerażone. Starając się zachować spokój, powiedziała: - Chyba będziemy musiały już wracać.

Prawie całą drogę powrotną przebyły w milczeniu. Prowadziła Aneta. Karolina zastanawiała się, dlaczego ją to wszystko tak bardzo zdenerwowało. Przecież do tej pory zawsze potrafiła zachować dystans do wszystkiego, co wymyślała Ginny. - Zawsze myślałam, że matka jest z natury zimna - powiedziała, gdy już dojeżdżały do domu.

- Z tej historii wynika, że potrafiła kochać. Tylko akurat wybrała inną osobę do kochania. Nie którąś z nas, nie naszego ojca. Jakiegoś obcego człowieka.

- Albo że już nikogo więcej nie potrafiła pokochać - wtrąciła Aneta.

Karolina westchnęła z goryczą. - Trzeba będzie matkę dokładnie o wszystko wypytać. Niech no tylko tu się zjawi, a ja jej nie daruję.

Virginii jednak nadal nie było w Gwiezdnym Zakątku. Karolina od razu podeszła do telefonu. Ale w starym domu w Filadelfii nikt nie odpowiadał. U Lilian również nie było nikogo. Pozostawało czekać.

- Gdzie ona może być? - zastanawiała się Aneta.

Karolina wzruszyła ramionami, a Lea, zamiast odpowiedzieć, odwróciła się i wybiegła do ogrodu. I już po chwili straciły ją z oczu.

Rozdział 17

Lea zupełnie nie przejmowała się tym, czy jej siostry domyślą się, dokąd zmierza. Przebiegła przez ogród, potem przez trawnik i już po chwili była w lasku. Otworzyła drzwi zielonej chatki.

Ale Jessego nie było w domu. Ani na dole, ani na poddaszu, ani nawet na podjeździe koło samochodu, błyszczącego w popołudniowym słońcu. Wybiegła na zewnątrz. Próbowwała przebić wzrokiem gęstwą liści. Nic z tego. Jesse zniknął jak kamfora.

Natychmiast musiała go odnaleźć. Rozpalony umysł podpowiadał jej przeróżne rzeczy. Być może Jesse nigdy nie istniał. Mógł być tworem jej wyobraźni, a nawet duchem Willa Craya.

Przebiegła przez drogę, potem przez wrzosowy ogródek, tak starannie wyrzeźbiony przez Jessego. Następnie przemknęła przez skalne róże, pachnące tak niezwykle. Jessego nigdzie nie było.

Walcząc ze łzami, zawróciła do lasku. Klucząc wśród brzoź, dębów, świerków i sosen, wypatrywała czegoś, co choć trochę przypominałoby ludzką postać.

Naraz lasek przerzedził się. Lea ujrzała łąkę. Bogactwo kolorów dzikich kwiatów, zieleń trawy rozjaśniona słońcem. I Jesse był na łące. Kiedy go ujrzała, doznała tak silnego wrażenia, aż wydało jej się, że nie zniesie tego, że ucieknie. I naprawdę zapragnęła teraz być sama, schronić się w lasku przed Jessem i przed całym światem. Wszystko, co przeżyła przez całe trzydzieści cztery lata, wydało się niczym wobec tego, co czuła w tej chwili.

Jesse zauważył ją od razu. Początkowo uśmiechnął się na jej widok. Jednak uśmiech na jego twarzy szybko zgasł, tak jakby wyczuł, co się z nią dzieje. Ruszył w jej stronę poprzez kwitnącą łąkę.

Instynktownie odwróciła się i chciała uciec. Podbiegł do niej i otoczył ramieniem, zanim mogła zniknąć mu wśród drzew.

- Nie, nie! - krzyknęła. - Odejdź ode mnie.

- Lea, przepraszam. Nie mogłem ci tego powiedzieć.

- Wiedziałaś o wszystkim! - zawołała oskarżycielsko, próbując wyrwać się z jego ramion.

Przytrzymał ją. - Miałem dziewięć lat, kiedy ojciec mi wyjaśnił, dlaczego matka od nas odeszła.

Lea prawie go nie słuchała. - Znałeś prawdę. Pytałam o legendę, a ty wiedziałeś, że tak było naprawdę.

- Nigdy nie kłamałem.

- Ale zataiłeś przede mną to najważniejsze. Dlaczego?

- Ponieważ to była jej sprawa. I ona ci nie powiedziała. Trzymał ją w ramionach tak delikatnie, jak tylko mógł.

Nie pozwolił jednak, by mu się wyrwała. Głos miał silny, głęboki.

- Najpierw sądziłem, że wiesz o wszystkim. Wydawało mi się, że jeżeli wasza matka kupiła Gwiazdny Zakątek, musiała wam powiedzieć. Dopiero potem, gdy rozmawiałem z tobą, zdałem sobie sprawę, że nie masz o niczym pojęcia.

I pomyślałem, że skoro matka zaprosiła was tutaj, to może sama chciała opowiedzieć wam o wszystkim. Nie chciałem jej tego psuć. Musi mieć jakiś powód, żeby tak opóźnić swój przyjazd... Nie wiem.

- Musiałyśmy robić z siebie idiotki - płakała Lea. Tym razem dotyk jego rąk sprawiał jej przyjemność. Tym razem pragnęła jego pieczyoty.

- Przykro mi.

- I musiałyśmy się dowiedzieć o tym z plotek - nie przestawała szlochać Lea, jednak wiedziała już, że jej pretensje zaczynają wygasać. Jesse dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

- Przykro mi - powtórzył. I znowu była wdzięczna za delikatną pieczyotę jego rąk, za bliskość jego ciała. Ciepło płynące od Jessego przeniknęło jej piersi, ogrzało ramiona i łydki.

- Gdybym mógł przewidzieć, że tak się stanie, opowiedziałbym ci o wszystkim. Cały czas jednak wydawało mi się, że twoja matka przybędzie tu pewnego dnia i sama będzie chciała to wyjaśnić.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. - Od razu wiedziałeś, kim jestem. Zanim się przedstawiłam.

- Tak, do licha. Oczywiście. Patrząc na ciebie, odczuwałem to samo gorąco, ten sam magnetyzm, o którym opowiadał mi ojciec. On czuł coś takiego, jak zobaczył po raz pierwszy twoją mamę. I nawet jeśli to nie było dokładnie to samo, to przecież mogłem poznać cię po tym, że jesteś tak bardzo podobna do swojej mamy. Mam zdjęcia, Leo, całe stosy zdjęć, które znalazłem po śmierci ojca.

Słyszała ból w jego głosie i zdała sobie sprawę, że on cierpi tak samo jak ona. Próbowwała przypomnieć sobie, co mówił o swoim dzieciństwie, o swojej matce, o związkach z ojcem. Uświadomiła sobie, że nie było dużo tych zwierzeń.

Spojrzała na niego pytająco. Ze wzruszeniem patrzyła na jego twarz nakrapianą piegami, rozjaśnioną słońcem, przenikającym

poprzez liście. Nie czuła już gniewu. - O Boże - westchnęła. Nie mogła mieć do niego żalu. On także padł ofiarą tej namiętności.

Przymknęła oczy. Potem odwróciła się i oparła głowę na jego piersi.

Stali tak razem bez ruchu, aż przyciągnął ją ku sobie, przytulił mocno... Nogi zaczęły jej drżeć. Wówczas delikatnie, miękko posadził ją na ziemi, na dywanie z polnych kwiatów. Siedzieli teraz po indiańsku, twarzami do siebie. Złączyli ręce i kolana.

- Moja matka wyjechała dopiero wtedy, kiedy byłem dość duży, by pójść do szkoły - mówił niskim głosem. - Wtedy nas zostawiła. Po prostu pewnego dnia spakowała się i znikła. Ojciec nie powiedział mi wiele. Coś tam na temat różnicy charakterów i że syn powinien dorastać z ojcem. Wziąłem z niego przykład. On się tym nie zmartwił, to i ja też. Minał rok, później drugi. Zacząłem za nią tęsknić. Ojciec ani trochę nie żałował, że odeszła. Nie potrafił okazywać emocji. Wstawał rano, robił, co do niego należało, i wieczorem szedł do łóżka. Nigdy nie skarżył się, nigdy nie płakał.

- Och, Boże - jęknęła Lea. Jak dobrze to rozumiała.

- Ale ja byłem jeszcze dzieckiem - mówił Jesse. - Czasami płakałem. Szczególnie wtedy, kiedy dostawałem listy od matki. Pisała, że wyszła drugi raz za męża i ma dwoje dzieci z drugiego małżeństwa. Nalegała, żebym któregoś dnia do niej przyjechał. Nawet przysłała mi bilety na samolot na moje dziewiąte urodziny. Chciałem pojechać, ale nie mogłem. Nie potrafiłem zostawić ojca samego. Było w nim coś tragicznego, wyczuwałem to już wówczas. Całkowity brak emocji. To mnie przerażało i zupełnie nie mogłem tego zrozumieć.

- Kiedy opowiedział ci o wszystkim? - zapytała Lea. Widziała ból w jego oczach. Dziecięcy ból u dorosłego mężczyzny.

- Kiedy nadeszły bilety, pokłóciliśmy się z ojcem. Rzadko podnosił głos, ale wtedy naprawdę się zdenerwował. Kazał mi jechać. Nie chciałem. Mówił, że jest już tylko wypaloną skorupą, że nie nadaje się na ojca. Zaprzeczyłem. Nalegał, żebym pojechał. Wtedy właśnie opowiedział mi o twojej matce.

- Byłeś zły?

- Raczej smutny. To była smutna historia. Pokochał ją całym sercem. I cały czas ją kochał, nawet wtedy, czternaście lat po jej wyjeździe.

- Byłeś zły na moją mamę? Jesse potrząsnął głową. - Na początku. Potem ojciec już cały czas był tylko z nią. Nie mogłem mieć pretensji. Lea spojrzała ze zdziwieniem.

- Wyobrażał sobie, że są razem - sprecyzował Jesse. - Oni już nigdy się nie spotkali. Nie dzwonili do siebie, nie pisali listów. Ale on przez ostatnie lata życia wyobrażał sobie, że ona jest przy nim. Czasami ludzie mówią do siebie. On mówił do niej. Nazywał ją Virginia. Nigdy nie mówił na nią Ginny. Uważał, że to bardzo piękne królewskie imię.

- To bardzo smutne - westchnęła Lea.

- Ojciec był romantykiem. Twierdził, że los tak chciał, żeby pokochał Virginie i potem ją stracił. I chociaż się nie widzieli, należał do niej. I nie mógł już kochać nikogo innego. Na zawsze oddał całe swe serce Virginii.

Aneta mówiła przedtem coś bardzo podobnego, pomyślała Lea. Jak mogła wątpić w historię, którą opowiadał Jesse, jeśli tak doskonale pasowała do Ginny.

- Nie miał już potem innych kobiet?

- Żadnych.

- Żadnych przelotnych flirtów?

- Oczywiście, że nie.

- A jak się poznali z twoją matką?

- Próbował uwierzyć, że potrafi żyć jak każdy normalny człowiek. Chciał w to wierzyć. Dopiero, gdy matka odeszła, załamał się zupełnie.

- Dlaczego odeszła?

- Brakowało jej miłości. On ją lubił. Szanował. Nie mógł jednak jej kochać.

- Istnieje wiele udanych małżeństw, w których nie ma miłości - przypomniała Lea. Pomyślała o małżeństwie swoich rodziców.

Ale to nie był koniec historii Jessego. - Moja matka nie pochodziła z Downlee - mówił. - Przyjechała tu na wakacje, podobnie jak Virginia. Ojciec był przystojny. Przypadł jej do gustu. Po roku małżeństwa urodziłem się ja. Przez kolejne parę lat matka jeszcze miała nadzieję, że między nią a ojcem jakoś się ułoży. Pragnęła miłości.

Lea była jak odrętwiała. - Pierwszy raz widzę taką Ginny. Nigdy nie myślałam o niej w ten sposób. Niełatwo mi się do tego przyzwyczaić.

Jesse podniósł się z trawy - Chodź, pokażę ci zdjęcia.

Nie była pewna, czy chce oglądać te fotografie. Czuła, że ma już dosyć silnych wrażeń. Potrzebowała odpoczynku. Z drugiej strony jednak marzyła, by ujrzeć szczęśliwą, namiętą matkę w ramionach Willa Craya. Tę nową, nieznaną Ginny.

Poza tym pragnęła być nadal przy nim. Ściskając jego dłoń, poszła za nim przez las, później przez wrzosową polanę. Minęli skalne róże i doszli do jego domku.

Jesse odłożył na bok stertę starych czasopism. Odsunął kawałek drewna, który dawno temu morze wyrzuciło na brzeg. Wyciągnął stary kufer, a z niego zniszczoną saszetkę ze śladami rdzy na zamczku. W środku, w dużej szarej kopercie, były zdjęcia.

Fotografie robione w różne dni w różnych sytuacjach, wszystkie przyzwoite, żadnej pornografii. Lea rozpoznała zdjęcie, które było opublikowane w gazecie. To, że tych dwoje łączyła jakaś więź fizyczna, mogło być widoczne najwyżej jeszcze na jednym zdjęciu, na którym stali oboje w porcie, ramię przy ramieniu, oparci o ogrodzenie. Ale żadne takie sugestie nie były potrzebne, zdjęcia i bez tego emanowały dziwną siłą.

W saszetce były nie tylko fotografie. Znajdował się tam również wianek zasuszonych skalnych róż, sprasowanych pomiędzy kartkami woskowanego papieru. I dwie skórzane obrączki. Mała i duża.

- Obrączki zaręczynowe - powiedział Jesse - Lubili wyobrażać sobie, że są narzeczonymi.

Lea wzięła obrączki do ręki i rozplakała się. - Jaka szkoda, że nie mogli zostać razem.

- Po prostu inne czasy. Ona była bogata i zamężna, on zaś był tylko ubogim robotnikiem.

- Ale zapłacili za to straszliwą cenę - otarła łzy. - Zostali okaleczeni emocjonalnie.

- To zależy od punktu widzenia.

- Ach, tak. Dużo lepiej jest kochać i stracić niż nie kochać w ogóle - powiedziała z rozpaczą. Znowu zaczęła płakać.

Jesse objął ją, co jeszcze pogłębiło jej żal. Zaczęła dostrzegać coraz więcej podobieństw pomiędzy związkiem ich rodziców a tym, co łączyło ją z Jessem. I to było przerażające.

Trzymał ją w uścisku, aż łzy przestały płynąć. Potem zostawił ją i poszedł do łazienki po miękkie papierowe ręczniki. Wytarł jej tym oczy. - Mówiłeś, że umarł ze złamanym sercem - szepnęła. - Czy ty naprawdę w to wierzysz?

- Całkowicie.

- Czy czekał, aż ona wróci?

- Nie, wiedział, że ona już tu nie wróci. Nie miał siły żyć bez niej - wyjaśnił i spojrzawszy na Leę, dodał szybko: - Nie winię jej za jego śmierć ani za to, co przedtem przeszedł. On także mógł coś zrobić, na przykład pojechać za nią. To była również jego decyzja. Poza tym on kochał Gwiazdny Zakątek. Pochowano go tutaj... Na skałach znajduje się niewielki cmentarzyk. Jest tam pochowany. Chciałabyś obejrzeć jego grób?

Lea przetarła oczy. Tak, chciała zobaczyć cmentarz. Skinęła głową, bo przepełniona wzruszeniem nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa.

Poprowadził ją za rękę na urwisty brzeg. Dalej niż zwykle chodziła na spacer. Pomyślała, że to mogłoby stanowić ostateczny dowód, że ta historia zdarzyła się naprawdę. Mocniej ścisnęła jego rękę.

Cmentarz wyłonił się zza skały. Od granitowych nagrobków dzieliło ich około dwudziestu kroków. To miejsce aż zapierało dech w piersiach. Niewielka polanka na stromym zboczu. Szum fal i krzyk mew.

To nie był tylko jeden grób, ale tym razem Lea nie miała wątpliwości. Wiedziała doskonale, gdzie pochowano Willa Craya. Nie musiała odczytywać wyrytego w granicie nazwiska.

Przed grobem klęczała drobna siwa kobieta.

Rozdział 18

Will kochał to miejsce. Mówił mi o tym, kiedy mnie tu przyprowadził ostatniego tygodnia naszego wspólnego pobytu. Wtedy już wiedzieliśmy, że rozstanie jest bliskie. Chciał, żebym zobaczyła ten cmentarz. Miał nadzieję, że właśnie tutaj zostanie pochowany.

Nic tu się nie zmieniło przez te wszystkie lata. Te same skały, wiatr gwizdzący w wysokiej, nadmorskiej trawie. Lekko zamglone niebo.

Wówczas śmierć wydawała się jeszcze czymś zupełnie nierealnym, czymś, co nas nie mogło dotyczyć. Niebo było zbyt piękne, horyzont zbyt szeroki. Świat nęcił bezkresem poznania. Nie było mowy o końcu.

A jednak Will przyprowadził mnie wtedy w to miejsce.

Ach, Will. Mogłam się tego spodziewać, że Gwiazdny Zakątek zawsze tak bardzo będzie się łączył z jego imieniem.

Dotknęłam rzeźbionych liter na kamieniu nagrobnym. Pieściłam je jedną po drugiej. Znowu urzekł mnie spokój Gwiazdowego Zakątka, piękna pogoda.

Odetchnęłam z ulgą. Wreszcie dotarłam. Od lat marzyłam, by tutaj wrócić. Czasami obawiałam się, że nie zdobędę się na to, że zabraknie mi odwagi. Bałam się pożegnać, bałam się, że umrę zbyt szybko i nie zdążę.

Zdążyłam. Inne pożegnania należą już do przeszłości. Żyję. Wróciłam do Willa.

Zatopiona we wspomnieniach, usłyszałam nagle jakiś głos. Z całą pewnością nie był to krzyk mewy. Odwróciłam się.

Przede mną stali kobieta i mężczyzna. Zauważyli mnie. Bliskość ich ciał świadczyła, że są przyjaciółmi. Albo więcej. To było dla mnie czymś nowym. Podniosłam się z kolan. To była Lea i... Wiedziałam, kim on jest. Nie musiał mi się przedstawiać.

Po wielu latach bezkresnego szaleństwa wyobraźni przygotowałam się teraz na ostre słowa ze strony Lei, na jakieś zarzuty.

Nie, Lea nie miała do mnie żalu.

Tylko moje serce zaczęło bić gwałtownie, uderzając o obolałe żebra. Spokojnie, serce, powiedziałam w myśli. Jeszcze trochę musisz wytrzymać. Jeszcze tylko troszeczkę.

Ruszyłam w ich stronę. Spotkaliśmy się w pół drogi. Zobaczyłam, że Lea płacze. Dotknęłam jej policzka i uśmiechnęłam się. Była bardzo piękna. - Leo, ślicznie wyglądasz, jak całkiem inna osoba. - Dotknęłam jej włosów. - Pięknie ci w rozpuszczonych. I pomyśleć, że miałyśmy zwyczaj je ukrywać. Wyglądasz uroczo.

Oczy jej znowu wypełniły się łzami. Dotknęłam jej ramienia. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz dotykałam mojej córki. Nasz związek nie był natury fizycznej. Po Willu raczej uciekałam od pieścizot i teraz moja ręka była nieporadna. Jednak trzymałam ją i wkrótce niezręczność p i e s z c z o t y zaczęła blednąć. Po chwili cofnęłam rękę. Wyjęłam chusteczkę. Otarłam jej łzę z policzka. Lea zaczerwieniła się, a potem się uśmiechnęła. Uświadomiłam sobie, że to musiało być nowe także dla niej. Nie знаła moich pieścizot, nawet lekkiego dotknięcia dłoni.

- Czy mogłabyś przedstawić mnie swojemu przyjacielowi? - zapytałam łagodnie, choć oczywiście wiedziałam, kim on jest. Nie mogło być pomyłki. Dobrze znałam te cudownie brązowe oczy. Niemal te same rysy twarzy. Will. Mój Will.

Mężczyzna był wzruszony. Widziałam to. Oczywiście on także wiedział, kim ja jestem. Przez te wszystkie lata zastanawiałam się, czy Will mu powiedział. Kiedyś byłam na niego o to zła. Przeraził mnie zazdrośna. Ale z tego gniewu nie pozostało ani śladu. To był Will.

Objęłam Leę. Czułam, że cała drzę. Potrzebowałam wsparcia.

- Jesteś bardzo podobny do ojca - rzekłam, podziwiając jego urodę. Czułam dumę w imieniu Willa, że ma tak pięknego syna. - I jesteś bardzo zdolny, widziałam ogród. Przepięknie urządony.

Skinął głową, ale z pewnym roztargnieniem. Nie myślał teraz o ogrodzie. Nie zależało mu na komplementach.

Przyglądał mi się z wyteżoną uwagą. Patrzył niemal tak jak jego ojciec.

- Czuję, jakbym znał panią od lat - powiedział. - Wygląda pani prawie dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem.

- Miło słyszeć takie słowa. - Nie wierzyłam w to ani przez chwilę. Moje włosy były teraz siwe. Skóra straciła gładkość, wiedziałam o tym. Mimo szczupłej budowy figury nie miałam już dziewczęcej. Cóż, grawitacja nie oszczędza nikogo. Walczyłam z tym jak mogłam, ale czas robi swoje. Byłam teraz kilka centymetrów niższa niż czterdzieści trzy lata temu.

- To naprawdę pani - rzekł, przyglądając mi się intensywnie. - Oczy te same i ten sam uśmiech.

- To twój uśmiech z Gwiezdnego Zakątka - dodała Lea. - W domu nigdy nie miałaś takiego uśmiechu. Widziałam go pierwszy raz dopiero przed chwilą, kiedy Jesse pokazał mi twoją fotografię.

Serce skoczyło we mnie znowu. Nakazałam mu, żeby się uspokoiło. - To Will trzymał je cały czas?

- Tak i zasuszony wianek z róż, i skórzane obrączki.

- Och, mój... - westchnęłam, walcząc ze łzami. Nie płakałam przez całe lata i sądziłam nawet, że moje kanały łzowe zanikły przez ten czas. - Czy będziesz mógł mi je później pokazać?

Skinął głową i zerknął na Leę. Dostrzegłam, w jaki sposób odwzajemniła jego spojrzenie. Ten błysk w jej oczach rozgrzał moje serce. Wiedziałam już, dlaczego Lea nie gniewa się na mnie za mój sekret. Ona sama jest zakochana. Zrozumiała.

Moja córka z synem Willa. To była miła myśl.

Lea była jakby stworzona do Gwiezdnego Zakątka. Rozpuszczone włosy, piękne loki. Twarz opalona, wypoczęta. I to cudowne porozumienie z Jessem. Nigdy nie widziałam takiej Lei. Nawet ze łzami w oczach.

Lea wreszcie bez dręczących ją niepokojów. Moja najmłodsza córeczka, która w końcu odnalazła swoje miejsce. Modliłam się o to. Lea potrzebuje domu. Bóg jest sprawiedliwy.

- Czy już widziałaś dom? - zapytała Lea. Trzeba było dłuższej chwili, żeby moje myśli wróciły na ziemię.

- Nie, najpierw chciałam zobaczyć Willa. Odwróciłam się. Raz jeszcze spojrzałam na kamienny grób. Poczułam, jak ściska mi się serce. - To piękne miejsce. Cieszę się, że pochowałeś go tutaj, Jesse.

- Gwiezdny Zakątek był mu domem od siedemnastego roku życia - odparł Jesse. - Nie mógł być pochowany nigdzie indziej.

- Ty także mieszkałeś tu przez cały czas, prawda?

- Tak, oprócz czasu kiedy studiowałem. Próbowалам sobie wyobrazić, jakie życie miał tutaj Will po moim wyjeździe. Bałam się, że Jesse cierpiał jak wiele dzieci z rozbitych rodzin. Czułam się winna.

- Przykro mi za twoją matkę - powiedziałam. - Musiało być jej trudno żyć w cieniu. Moim córkom też było niełatwo. Przykro mi z tego powodu.

To ostatnie zdanie skierowałam do Lei. To była wiadomość dla niej. Nie potrafiłam dać córkom ciepła. Chciałabym, żeby teraz zdołały mi to wybaczyć.

Uśmiechnęłam się do niej. - Zawsze chciałam opowiedzieć wam o tym, ale nie potrafiłam. Kiedy kupowałam Gwiazdny Zakątek, to z myślą o tym, żeby wam wszystko opowiedzieć.

Skinęła głową. Znowu ze łzami w oczach.

- Chodźmy już do Karoliny i Anety - zaproponowałam. - Niech zobaczą, że przyjechałam. Kiedyś wreszcie muszę zebrać się na odwagę.

- Wrócę tu niedługo, mój słodki - po cichu obiecałam Willowi.

Pozwoliłam Jessemu i Lei poprowadzić się przez skalne wykroty. Wiedziałam, że moje kochane córki musiały się zastanawiać, po co je tutaj zaprosiłam. Dziwiły się, że nie przyjeżdżam. Biedne, moje kochane. Dla nich była nowa ta moc, która przychodzi, kiedy chce się od życia więcej niż ono może dać.

Nadal byłam słabym człowiekiem. W miarę jak oddalaliśmy się od grobu Willa, odżywały dawne lęki. Z mojej odwagi nie zostało ani śladu. Panicznie bałam się spotkania z Anetą i Karoliną.

Przyszedł jednak czas, bym wypełniła swoją misję. Mimo lęku odczuwałam jakąś ulgę. Osiągnęłam wreszcie kres mojej podróży. Czekałam na to tak długo. Odczuwałam ulgę. I ekscytację zarazem.

Jadąc tu, bałam się, w jakim stanie znajdę to miejsce. Zastanawiałam się przez te wszystkie lata, czy zapierający dech w piersiach urok Gwiazdnego Zakątka, który ja pamiętałam, nie zniknął bez śladu, nie zbladł, a może nigdy nie istniał poza moją wyobraźnią. Na szczęście moje obawy nie znalazły odbicia w rzeczywistości.

Nie mogłam skupić oczu na jednej rzeczy. Pociągało mnie wszystko - soczysta zieleń, las, pełna gama barw kwiatów w ogrodzie i jeszcze dom, pokryty nową farbą, wyremontowany, jak okryty nowym płaszczem. I spojrzałam jak kiedyś na basen, na taras, na oszklone drzwi prowadzące do jadalni.

Zdziwiłam się, kiedy Jesse powiedział: - Teraz zostawię panie same.

Zaczęłam protestować. Chciałam, żeby był z nami. Dawał mi poczucie bezpieczeństwa jak kiedyś Will.

- One nie wiedzą - dodał nieoczekiwanie. Od razu zrozumiałam, o czym mówi. Chodziło mu o jego związek z Leą. W tym momencie

zdałam sobie sprawę, że ten czas powinnam poświęcić moim córkom. I nikt obcy, nawet syn Willa, nie może być z nami przy tej rozmowie. Myślę, że Jesse i to także rozumiał.

Skierował się do swojej leśnej chatki. Tej samej, w której mieszkał Will. Może to taki sobie zwykły domek ogrodnika, a jednak tak bardzo naznaczony moimi wspomnieniami.

Szłyśmy z Leą w stronę domu. Podtrzymała mnie za rękę, jak zwykle młoda kobieta, kiedy prowadzi kogoś dużo starszego. Pomyślałam, że pilnuje mnie, żebym nie uciekła. Pomyślałam, że to i dla niej czas wielkich emocji.

- Jaki miałaś lot? - zapytała.

- Bardzo dobry.

- Jesteś zmęczona?

- Wcale. Zawsze tutaj miałam więcej energii. - Moje serce waliło jak młotem. - Tobie też służy to miejsce, prawda, Leo?

- Kocham Gwiazdny Zakątek. Poczułam tryumf. Ale to moje samozadowolenie szybko

zgasło, kiedy Karolina pojawiła się na ganku. Przyglądała mi się krytycznie, jak to ona. Potem dołączyła do niej Aneta. Pomachałam im ręką, ale żadna mi nie odpowiedziała.

Westchnęłam. Znowu poczułam się stara i bardzo zmęczona. Nie chciałam teraz niczego więcej, tylko położyć się, zamknąć drzwi. Nie miałam siły na to wszystko, co tak misternie sobie zaplanowałam.

Wciągnęłam głęboko powietrze. To zawsze dawało moc, mój dawny wypróbowany sposób. Zachwyciłam się naturalnym zapachem skalnych róż. Tak bardzo do tego tęskniłam. I znowu stałam się silna, jakby Will był przy mnie i dodawał mi otuchy.

- To interesujące - zwróciłam się do moich córek, kiedy już byłam dość blisko, żeby wszystkie trzy mogły mnie słyszeć. - Wtedy, tego lata, kiedy musiałam podjąć decyzję, zastanawiałam się, czy potrafiłabym opowiedzieć o tym moim rodzicom. Teraz widzę, że byłoby znacznie łatwiej to zrobić, niż opowiadać o wszystkim własnym córkom.

- A co z tatą? - krzyknęła Aneta. - Wyobrażam sobie, że najtrudniej było przyznać się jemu do czegoś takiego. Był twoim mężem.

Cofnęłam się kilka kroków. Siła jej oskarżenia była przytłaczająca. Musiałam jednak być na to przygotowana. Nie oczekiwałam, że będzie to bezstresowe spotkanie przy herbatce.

- Tak, był moim mężem, ale moje uczucia do niego były inne niż do rodziców czy do córek.

- Zawsze sądziłam, że były silniejsze - upierała się Aneta. To nią wstrząsnęło. - Dominik był ojcem twoich dzieci.

- Nie cofnę czasu - przypomniałam jej łagodnie. Oczywiście Aneta myślała teraz o swoim Jean - Paulu, którego uwielbia. Przez osiemnaście lat małżeństwa nie tylko go nie zdradziła, ale nawet nie przyszło jej to do głowy.

Zastanawiała się, jak ja mogłam być tak niewierna i pozbawiona zasad. Jak to możliwe, że moja miłość okazała się tak słaba, bym mogła zgrzeszyć - zgrzeszyć nie tylko myślą, ale i uczynkiem.

- Pobraliśmy się z Dominikiem z powodów nie mających wiele wspólnego z miłością czy też z romantyzmem. Od samego początku nie było to udane małżeństwo.

Twarze moich córek zastygły w zdumieniu. Oczywiście dziewczęta nic nie wiedziały o naszych kłopotach małżeńskich. Nikomu o tym nie mówiłam. To była tajemnica, moja i Dominika. Tylko Will o tym wiedział.

- Co było złego w tym małżeństwie? - zapytała Aneta.

- Brakowało nam miłości. Przynajmniej teraz tak sądzę.

- Nie kochałaś taty? Zawahałam się. Ale to miała być chwila szczerości. Może ostatnia nasza wspólna rozmowa.

- Nie. Na pewno, kiedy wychodziłam za mąż, nie kochałam go. Wówczas uważało się, że uczucie nie jest konieczne.

- A co się liczyło? - zapytała Lea. Troszeczkę odsunęła się ode mnie.

- Nazwisko, pozycja społeczna, pieniądze.

- To brzmi niezwykle zimno - osądziła Karolina.

- Owszem - zgodziłam się z nią. - Istnieją jednak małżeństwa aranżowane, gdzie rodzice umawiają się zaraz po urodzeniu dzieci. A także małżeństwa zawierane drogą korespondencyjną, zgodnie z obyczajami. I to na ogół nie bywa złe. Najczęściej takie małżeństwo układa się szczęśliwie. Nie każdy bierze ślub z miłości. Bywa, że uczucie przychodzi później...

Nie miałam siły, żeby się z nimi kłócić. Rozejrzałam się po domu. Wyszłam na taras. Popatrzyłam na ogród.

Usłyszałam jakieś kroki. To Aneta. - Na czym polegała słabość twojego małżeństwa? - zapytała.

Zbyłam ją westchnieniem. - Jak tu pięknie. Wszystko urządzone doprawdy wspaniale.

Weszłam teraz do kuchni. Dotknęłam ręką drewnianych szafek, potem kamiennego blatu, błyszczącej pokrywy kuchenki. - Dobra robota. To mi się podoba.

- W jaki sposób to małżeństwo było słabe? - powtórzyła Aneta.

Odwróciłam się, by obejrzeć resztę wyposażenia. - Różnica charakterów, można by teraz tak to określić. Nie potrafiliśmy rozmawiać, a tym bardziej nie stać nas było na coś takiego jak porozumiewanie się bez słów. Nie pasowaliśmy do siebie.

Przeszłam do salonu. Znalazłam miękkie, wygodne krzesło. Usiadłam. W ten sposób mogłam być zwrócona twarzą do dziewcząt, lecz w pewnej odległości od nich. To mi odpowiadało. Miałam być tu gościem honorowym, główną atrakcją.

Założyłam nogę na nogę. Aneta i Karolina usadowiły się na sofie, a w kuchni Lea przygotowywała herbatę.

- Ładnie obie wyglądacie - powiedziałam do starszych córek.

- To nieważne - skrzywiła się Karolina.

- To dla mnie bardzo ważne. Jesteście moimi kochanymi córkami.

- Nigdy nam tego szczególnie nie okazywałaś.

- Nie - nabrałam powietrza do płuc. - Nie okazywałam. Moje serce znów zaczęło dudnić. Bolały mnie zębra.

Czułam całe moje siedemdziesiąt lat życia. Ciężyło mi poczucie winy.

Ale wyobrażałam sobie ten moment zbyt wiele razy w życiu i nie chciałam już tego odkładać na później.

- Żeby zrozumieć, co się wydarzyło, musicie wiedzieć jak wyglądało moje dzieciństwo. Moi bracia i ja byliśmy w czwartym pokoleniu milionerami i nasze życie to odzwierciedlało. Mieliśmy piękne ubrania i samochody. Posiadaliśmy domy, letnie i zimowe rezydencje, i mogliśmy zatrudnić pomoc do wszystkiego, czego nie mieliśmy ochoty robić. Należeliśmy do ekskluzywnych klubów i chodziliśmy na najlepsze przyjęcia i bale. Marzyłam o debiucie, jak i

wszystkie moje przyjaciółki. A potem wyobrażałam sobie mój ślub, wielką, wspaniałą uroczystość.

- Czy w tym twoim świecie - zapytała Karolina, moja córka - feministka - nie było nic takiego jak studia, nauka czy też praca zawodowa?

Pomyślałam, że ja nie byłam feministką. Ani ja, ani żadna z moich przyjaciółek. Nie interesowałyśmy się wtedy takimi rzeczami.

- Studia - powiedziałam z namysłem - mogły być dla dziewczyny, która nie znalazła nikogo o odpowiedniej pozycji społecznej. Nikogo, kto by ją poślubił.

- I nie myślałaś wtedy zupełnie o wykształceniu? - krzyknęła Aneta, matka dorastających córek, wybierających się niedługo na studia. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele dziewcząt życie by oddało, by studiować w Harvardzie?

- W moich czasach - zauważyłam - dziewczęta nie szły do Harvardu. Jeśli już musiały, to studiowały w Radcliffe, gdzie niemal jedynym warunkiem przyjęcia były pieniądze. Wysokie czesne. Ale ja nigdy nie miałam aspiracji, by być geniuszem. Tak, możecie powiedzieć, że zmarnowałam życie, nie troszcząc się o edukację. Ale kobiety w tamtych czasach nie myślały o sukcesach zawodowych. Nie tak jak teraz. Nie chcę się o to kłócić. Mniejsza z tym, czy to było dobre, czy złe. Po prostu mówię wam, jak było.

- Byłam produktem swoich czasów - mówiłam dalej. - Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ty chciałaś być prawnikiem, Karolino. W moich czasach kobiety nie zostawały prawnikami. Miałyśmy do wyboru albo małżeństwo, albo staropanieństwo. A to drugie było naprawdę strasznym wyrokiem. Rzeczywiście tak wtedy myślałam. Nie mogłyśmy wyobrazić sobie kobiety znajdującej prawdziwą satysfakcję w męskim zawodzie.

- A teraz już to rozumiesz? - zapytała Karolina.

- W pewien sposób tak. Mogę powiedzieć, że przywykłam do tego, że coraz częściej kobiety robią męskie rzeczy. To nie znaczy, że potrafię to całkowicie zaakceptować. Pewne pojęcia tkwią we mnie zbyt głęboko i nic na to nie poradzę. Najważniejsze dla mnie było poczucie bezpieczeństwa, jakie daje małżeństwo.

- A czy kobiety pracujące zawodowo nie miały poczucia bezpieczeństwa? - dziwiła się Karolina.

- Możliwe, że tak.

Nie byłam przekonana, ale w końcu, co mogłam o tym wiedzieć. Nigdy nie pracowałam.

- Ojciec wasz kończył szkołę handlową i był miłym przystojnym mężczyzną - powiedziałam. - Nie było między nami żadnych burzliwych uczuć, żadnych gwałtownych namiętności. Po prostu silne społeczne powinowactwo. Jego wychowanie było bardzo podobne do mojego. Pochodził z podobnego środowiska. Moi rodzice zaakceptowali go bez zastrzeżeń. Nie wszystkich mężczyzn z Harvardu cenili równie wysoko.

- Czy spotykałaś się przedtem z innymi? - zapytała Lea z kuchni.

Uśmiechnęłam się. - Czasy nie zmieniły się aż tak bardzo. Mieszkałam w bursie daleko od domu i chociaż miałyśmy tam bardzo dobrą opiekę, to jednak zostawiano nam trochę wolności.

- I przedtem nie zakochałaś się w żadnym innym? W kimś, kto na przykład mniej podobałby się twoim rodzicom? - pytała Lea.

- Nie, nigdy. Być może dlatego nie byłam przygotowana na Willa. Nie miałam pojęcia, że coś takiego w ogóle jest możliwe. To zważyło mnie z nóg.

- Jak mogłaś pozwolić, żeby coś takiego się zdarzyło?

- krzyknęła Aneta. - Byłaś już mężatką. Musiałaś poczuwać się do jakiejś lojalności wobec swojego męża. Jak mogłaś zaangażować się w związek z kimś innym?

- Nie planowałam tego - rzekłam z pewnym wysiłkiem. Muszę zapłacić za to, co zrobiłam w przeszłości. Moje córki mogą teraz robić mi wyrzuty. Mają do tego prawo.

- Nie planowałam tego - powtórzyłam. - To się po prostu zdarzyło.

- Nie pomyślałaś o konsekwencjach? Nie mogłaś sobie powiedzieć: „nie mogę, jestem mężatką”.

Westchnęłam. - Anetko, co byś zrobiła, gdybyśmy, ja i twój ojciec, nie zaakceptowali Jean - Paula? Gdybyśmy od samego początku byli do niego uprzedzeni?

- To by się nie zdarzyło. Był odpowiedni dla mnie pod zbyt wieloma względami.

- Niezupełnie. Mogliśmy mieć pewne wątpliwości. Urodzony za granicą. Nie mówi dobrze po angielsku. Nie potrafi wyzbyć się francuskiego akcentu. Gdybyśmy okazali się zbyt małostkowi, żeby zaakceptować ten związek, co byś zrobiła?

- I tak bym wyszła za niego.
 - A gdybyśmy postawili sprawę na ostrzu noża?
 - Nie dbałabym o to. Byłam zakochana.
 - Dokładnie o to chodzi - rzekłam.
 - Chcesz przez to powiedzieć - rzekła Karolina z oczywistym sceptycyzmem - że nie myślałaś o tym, co dobre, a co złe, bo tak bardzo byłaś zakochana w Willu Crayu?
 - Trochę myślałam o tym, ale było mi to obojętne. Tamto zawładnęło mną bez reszty.
 - Może, gdyby twój związek z tatą był dość silny, potrafiłabyś stawić temu opór - zasugerowała Aneta.
 - Może.
 - Dlaczego nie był silny? - zapytała Karolina.
 - Być może to była moja wina. Od czterech lat byliśmy małżeństwem i nic się nie działo. Nie mieliśmy dzieci. Nie było między nami przyjaźni ani partnerstwa. Czułam się sfrustrowana. Wasz ojciec za dużo pracował. Uważałam, że powinno być między nami coś więcej. Wynajęliśmy Gwiazdny Zakątek na lato. Tak piękne romantyczne miejsce wydawało się doskonałe, byśmy wreszcie zajęli się sobą. Niestety Dominik nie mógł porzucić pracy. Odwołano go z urlopu i w końcu okazało się, że mamy dla siebie tylko weekendy.
 - Czyli Gwiazdny Zakątek okazał się głupim pomysłem - zauważyła Karolina.
- Odpowiedziałam jej ostrym spojrzeniem.
- Czasami najlepsze plany biorą w łeb. Nie wszystko w życiu jest czarne lub białe, dobre lub złe... winny lub niewinny...
- Zaczerpnęłam powietrza. Przymknęłam na chwilę oczy. Musiałam zregenerować siły. Mówiłam ze smutkiem, poruszona pamięcią tamtych dni.
- Rzeczywiście, miałam nadzieję, że wreszcie będziemy razem, tylko dla siebie. I liczyłam na to, że coś się odmieni na dobre. Nie udało się. Wasz ojciec załatwiał jakąś ważną transakcję. Wezwano go do Filadelfii. Musiał osobiście wszystkiego dopilnować. I potem się okazało, że może przyjeżdżać tutaj jedynie na weekend. Pamiętam, jaka czułam się rozgoryczona. Pragnęłam dużo więcej.
 - I z zemsty poderwałaś Willa Craya?
 - Karolino! - oburzyła się Aneta. - Pozwól mamie opowiedzieć całą historię.

Karolina, prawniczka, zachowywała się teraz jak podczas przesłuchania świadka. Za to Aneta, wzorowa żona i matka, dążyła do pogodzenia zwaśnionych stron. Osobowość każdej z moich córek dokładnie pasowała do sposobu życia, jaki sobie wybrały. Muszę im to powiedzieć. Moim obowiązkiem było też wyjaśnienie tamtej sprawy.

- Nie chodziło mi o zemstę - powiedziałam. - Raczej mój smutek przebrał miarę. Zbyt wiele czasu miałam na marzenia. Zbyt młoda byłam, by łatwo pogodzić się z losem. Czułam się samotna. Godzinami spacerowałam nad wodą.

Wspominanie tamtych czasów dawało mi poczucie bezpieczeństwa, spokój. Urok tego miejsca nie przeminął. To wszystko było tu nadal. Hipnotyzujący rytm fal, basen, urwisty brzeg oceanu. Z łatwością powróciłam pamięcią do dni, które odmieniły moje życie.

- Widywałam go czasami. Pracował na terenie posiadłości. Wiedziałam, że jest ogrodnikiem. Wynajmowaliśmy tę posiadłość, wówczas nie należała ona do mnie. Nie interesowałam się ogrodnikiem. Dominik rozmawiał z nim kilka razy. Ale ja nie miałam okazji przyjrzeć mu się z bliska. Aż do pewnego dnia, kiedy pojechałam do miasta na zakupy i wróciłam z tyloma paczkami, że nie mogłam sobie poradzić. Podszedł, żeby mi pomóc... - Zamilkłam, szukając odpowiednich słów na opisanie tego, co wtedy czułam. Nic nie pasowało. Powiodłam wzrokiem po ich twarzach, starając się ukryć bezradność. - I to przyszło nagle - próbowałam im to wytłumaczyć - z taką mocą, tak potężne, że przekraczało to możliwości mojego umysłu.

Oczy Lei rozszerzyły się nienaturalnie. Tak, ona także tego doświadczyła.

Byłam zadowolona. Roześmiałam się, żeby odwrócić uwagę od Lei. To było piękne, ale tylko od niej zależało, kiedy powie o tym siostrze.

Udało mi się. Aneta i Karolina patrzyły teraz na mnie. Nie zajmowały się Leą. W końcu to nic trudnego. Całe życie uczono mnie, bym w każdej sytuacji umiała odpowiednio się zachować. I chodziło tu o wiele więcej niż o zwykłą grzeczność. Miałam doświadczenie. Potrafiłam rozmawiać z politykami, z biznesmenami. Kiedyś nawet przyjaźniłam się z pewnym księciem. Poza tym wiedziałam, jak

traktować innych ludzi - dostawcę z restauracji, piekarza, albo mężczyznę, który nalewał mi benzyny do baku.

Tak, umiałam zachować się w każdej sytuacji. Zawsze. Z jednym tylko wyjątkiem. Will okazał się tak bardzo inny od ludzi których miałam okazję spotykać.

- Tatko był przystojny - zauważyła Aneta, stając w obronie ojca.

- Bardzo - zgodziłam się z nią. - Ale w wyglądzie Willa było coś zniewalającego. Coś w jego oczach... Coś, co pochodziło z głębi duszy...

- Pociąg seksualny - zauważyła Karolina. Zignorowałam ten ton.

- Tak, ale to również było emocjonalne i intelektualne.

- Intelektualne? On był ogrodnikiem.

- Karolino! - tym razem oburzyła się Lea i rozumiałam dlaczego.

- Wszystko w porządku, Leo - powiedziałam. Po czym zwróciłam się do Karoliny. - Karolino, czy Ben skończył prawo albo inne studia?

- Oczywiście, że nie. On jest artystą.

- Nie zastanawiałaś się, czy intelektualnie nie stoi niżej od ciebie?

- No pewnie, że nie.

- Bo jest uzdolniony artystycznie?

- Tak i dlatego, że wyrastał wśród ludzi wykształconych. Ben nie potrzebuje studiów prawniczych, by rozumieć moją pracę. Ma naturalne zrozumienie dla takich rzeczy.

- Podobnie Will. Był samoukiem. Miał naturalną potrzebę wiedzy i dbał o swoje wykształcenie. Uwielbiał czytać książki. Wiedział o świecie wiele więcej niż ja.

- Byłaś pochłonięta jego umysłem? - zapytała Karolina. Mówiła sucho, z rezerwą.

- Byłam pochłonięta nim całym.

- W tej jednej chwili, kiedy zobaczyłaś go z bliska? Już za pierwszym razem?

- Choćby to brzmiało nie wiem jak absurdalnie, ale właśnie tak.

- Od razu wskoczyłaś mu do łóżka?

- Karolino! - oburzyła się Lea.

- Karolino! - krzyknęła Aneta. Karolina zwróciła się do sióstr. - Czy wy w to wierzycie?

- Chciałabym usłyszeć całą resztę tej historii. A twoje przesłuchanie świadka mogłabyś odłożyć na później - stwierdziła Aneta.

Wstrzymałam oddech, spodziewając się, że Karolina zaraz odpowie jej coś ostro i zacznie się awantura. Pamiętam ich gwałtowne kłótnie, w których niemal zawsze Karolina była górą. Szczególnie te późniejsze utarczki, kiedy moje córki były już dorosłe. Karolina nie odpowiedziała na tę uwagę, tylko usiadła koło Anety. Jeszcze bardziej zdziwiłam się, kiedy zobaczyła, jak Lea dotknęła lekko jej ramienia, jakby chciała ją uspokoić. Obawiałam się, że Karolina odtrąci jej dłoń, ale ku mojemu zaskoczeniu przyjęła ten gest z wdzięcznością.

- Mów dalej - poprosiła Lea. Przyglądałam jej się z zaciekawieniem. Potem znowu skierowałam wzrok na Karolinę i Anetę. Coś niezwykłego zdarzyło się podczas mojej nieobecności. Zrobiło mi się lżej na sercu. Łatwiej mi było oddychać. Moje serce nadal potrafiło to wszystko wytrzymać. Znowu zatonełam we wspomnieniach. Powróciłam myślami do tamtych pięknych dni.

- To była gwałtowna, natychmiastowa reakcja. Jakby spotkanie drugiej połowy, swojego przeznaczenia. Ale nie, nie od razu poszliśmy do łóżka. W tamtych czasach kobiety tak nie postępowały. Przynajmniej nie kobiety z mojej sfery. Obojgu nam nie przyszło do głowy, że mogliśmy zrobić coś takiego. Byłam niewinna, możesz to nazwać nie rozbudzona... Poza tym miałam męża, waszego ojca, i serio traktowałam słowa przysięgi.

Mówiłam teraz do Anety. Oczywiście wiedziałam, jakie to dla niej ważne. Ona całkowicie poświęciła się mężowi i dzieciom. Ale ja tak samo, na swój sposób... Dałam mojej rodzinie wszystko, co mogłam. Chciałam, żeby moja córka zrozumiała, iż - zważywszy pustkę, jaką w sobie nosiłam - rzeczywiście próbowałam żyć dla rodziny.

Chciałam, żeby wszystkie wiedziały, że nie oszukiwałam z premedytacją mojego męża, że nigdy przedtem nie myślałam o czymś takim. To stało się tak nagle, z tak wielką mocą, że na nic by się zdał opór całego świata. Walka z tym z góry skazana była na niepowodzenie.

Skrzywiłam się. Wbiłam wzrok w swoje dłonie. - Wasz ojciec przyjeżdżał późnym wieczorem w piątek i odjeżdżał w poniedziałek raniutko. Ale nawet te weekendy nie były tym, na co miałam nadzieję.

Nie potrafiliśmy osiągnąć takiego porozumienia, na jakim mi zależało. Nasz związek nie rozkwitał. A potem był Will. Lubiliśmy rozmawiać. Mieliśmy sobie tak dużo do powiedzenia. Mimo że pochodziliśmy z tak bardzo odmiennych światów - to zdumiało mnie wtedy i do tej pory zdumiewa. To była magia naszego związku. A poza tym sprawy fizyczne.

Podniosłam wzrok. Trzy pary oczu przykleiły się do mnie. To nawet wydało mi się śmieszne. Stara kobieta opowiada dorosłym córkom o namiętym uczuciu, którego doświadczyła.

- Will zaczarował mnie - mówiłam dalej, walcząc ze wzruszeniem. - Otworzył przede mną inny, cudowny świat. Kiedy byłam z nim, czułam się wolna. Nie byłam czyjąś córką, ani też czyjąś żoną. Nie należałam do nikogo. To dawało mi ufność i odwagę.

Byliśmy w lasu... tamten pierwszy raz. Pokazywał mi grzyby, które tam rosły w wilgotnej ciemności. Zaczęło padać. Najpierw schroniliśmy się pod drzewem, ale zaraz Will zaproponował, żebyśmy poszli do jego domku po płaszcze przeciwdeszczowe. I pobiegliśmy, trzymając się za ręce. Weszłam tam z nim i wtedy pierwszy raz kochaliśmy się.

Ubrania mieliśmy przemoknięte do suchej nitki. Wydało się naturalne poczekać, aż wyschną. Will rozpałił ogień pod kuchnią. Zdjął koszulę i powiesił przy ogniu. Pomógł mi się rozebrać.

Czułam, jak przejmuję mnie drzenie. Jakby to wszystko działo się teraz. Will pieścił mnie spojrzeniem. Jego oczy suszyły mnie, ogrzewały. Doprowadził mnie aż do bólu, zanim jeszcze mnie dotknął. I kiedy był nagi...

Trudno mi było o tym mówić. Zaczerpnęłam powietrza. Musiałam choć na chwilę uwolnić się od wzruszeń.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć - szepnęłam. Córki siedziały cicho jak ogłuszone. Poczułam, że łzy płyną mi z oczu. I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno wydawało mi się, że nie potrafię płakać.

Uśmiechnęłam się przez łzy. - To był najpiękniejszy czas, ale połączony z bólem, z prawdziwym bólem od samego początku. Wszystko było cudowne i zarazem bardzo bolesne. Kochałam Willa. Zawsze jednak pamiętałam, że jestem mężatką... Nigdy o tym nie zapomniałam. To było dla mnie ważne. Chciałabym, dziewczęta, żebyście to zrozumiały. Mogłam odsunąć od siebie te myśli w momentach, kiedy byłam w ramionach Willa, ale nie na długo. Na

początku wcale o tym nie rozmawialiśmy. Oboje myśleliśmy, że to po prostu przejdzie wraz z końcem lata.

Tak się nie stało. Uczucie okazało się silniejsze. Nawet teraz odczuwam tę moc. Czuję, jakby Will był tutaj z nami. Jakby stał w drzwiach, a nie leżał w grobie. On był rzeczywiście moją drugą połową. Nigdy nie byłam całością. Ani przedtem, ani potem.

Przełknęłam ślinę, na nowo przeżywając tamte chwile, konieczność podjęcia decyzji.

- Miałam dwie możliwości: zostać z Willem albo wrócić do Dominika. Pozostanie z Willem znaczyło dla mnie porzucenie wszystkiego, co miałam. Męża, nazwiska, rodziny, przyjaciół i reputacji. Niczego nie dałoby się ocalić. Nikt z mojego otoczenia nie zrozumiałby, ani nie zaakceptował mojego nowego położenia. Musiałabym porzucić wszystko co miałam.

Zamknęłam oczy. Znowu poczułam ból. Przycisnęłam palce do serca. To zawsze pomagało. Ale ból ustępował powoli.

- Mamo? - zaniepokoiła się Lea. Uśmiechnęłam się do niej. - W porządku - szepnęłam.

Potrzebowałam jeszcze chwili, żeby dojść do normy. - To była trudna decyzja - powiedziałam do Lei.

- Czym się kierowałaś? - zapytała najmłodsza.

- Tym wszystkim, co wymieniłam. I chyba zwyciężyło poczucie obowiązku. Czułam się odpowiedzialna. Uważałam, że powinnam ratować moje małżeństwo. Czułam, że jestem to winna Dominikowi. Lubiłam go, choć na pewno nie kochałam w taki sposób jak Willa. Powiedziałam sobie, że zostanę z Dominikiem i że to właśnie będzie słuszną decyzją.

- Tak, to był jakiś rodzaj odpowiedzialności - mówiłam. - Poza tym jednak lubiłam ten styl życia, jaki prowadziliśmy z waszym ojcem. Byłam przyzwyczajona do bogactwa. Umiałam z tego skorzystać. Zależało mi na aprobacie moich rodziców. Chciałam mieć dzieci i stworzyć im jak najlepsze warunki życia. Will nie mógł mi dać tego wszystkiego.

- Ale jeżeli go kochałaś... - powiedziała Lea. Oczy jej zwilgotniały.

Wstałam z krzesła. Podeszłam do Lei. Pogłaskałam ją po głowie. Przytuliłam. Czułam przyjemność z kontaktu fizycznego z moją

córką. Jak wiele straciłam przez te wszystkie lata. Jaka szkoda, że nie potrafiłam być bliżej z moimi córkami.

- Kochałam także inne rzeczy - powiedziałam ze smutkiem. - Byłam materialistką. Może to głupie, ale taka już byłam. Wróciłam do Dominika i potrafiłam go pokochać. Nie tak jak Willa, ale to też miało swoją wartość. Potem wy, dziewczęta, przyszłyście na świat. To nas połączyło.

Razem cieszyliśmy się waszą obecnością, razem obserwowaliśmy, jak dorastacie. Wydawało mi się absurdem, że mogłam wybrać inny styl życia, być z kimś innym.

Wyjęłam chusteczkę. Otarłam łzy z policzka mojej najmłodszej. Dziewczęta patrzyły na mnie ze zdumieniem. To prawda, niewiele zaznały ode mnie pieśczoł. Nie wiedziały, co się ze mną stało. Nie wiedziały też jeszcze o Lei i Jessem.

- Ale nigdy nie zapomniałaś Willa - powiedziała Lea łamiącym się głosem.

- Nigdy nie zapomniałam. On stał się częścią mojego życia, częścią mnie, choć może nie zawsze byłam tego świadoma. Pamięć o innych bladła dość szybko. Will pozostał na zawsze. Jeden jedyny.

Gdy tak mówiłam, nagle rozległ się jakiś głośny gwizd. Drgnęłam nerwowo, jakby to był wystrzał. Lea delikatnie wysunęła się z mojego uścisku. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to gwizdże czajnik. Zagotowała się woda i Lea pobiegła do kuchni zrobić herbaty. Przycisnęłam dłoń do serca.

- Czy ojciec wiedział o tym? - zapytała Aneta.

- Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Sądzę, że się domyślał.
- Oparłam się o sofę.

- Nie denerwował się potem, jak widział, że rozmawiasz z jakimś innym mężczyzną?

- Nie. Wiedział, że dokonałam wyboru. To też pewien rodzaj zaufania.

- Kto jeszcze wiedział o tych wakacjach? - zapytała Karolina, bledsza niż zwykle. Przyszło mi do głowy, że jej Ben troszeczkę przypomina Willa.

- Nikt nie wiedział.

- Nawet twoi rodzice? - zdziwiła się Aneta. Potrząsnęłam głową.

- Uznaliby to za skandal. Tak samo moje przyjaciółki.

- Żyłaś w ciągłym strachu, że ktoś się o tym dowie? Uśmiechnęłam się. - Nie. W Downlee wiedzieli wszyscy, ale to był zupełnie inny świat.

- Nie obawiałaś się donosów? - dopytywała Karolina.

- Kto by się przejmował czymś takim. Dominik już wiedział o Willu. Inni mnie nie obchodzili.

- Jacy inni? - ostro zapytała Karolina. Lea przyniosła mi herbatę. Skosztowałam. Poznałam smak brzoskwini. - Przepyszna - pochwaliłam.

- Jacy inni? - Karolina domagała się odpowiedzi.

- Nikogo innego już nie potrafiłam kochać - powiedziałam.

Lea odstawiła tacę. Karolina i Aneta wymieniły spojrzenia.

- Wy wszystkie ucierpiałyście na tym - szepnęłam. - Tego najbardziej mi żal.

- Nie tego, że zostawiłaś Willa? - zdziwiła się Lea.

- Jeżeli tak było - powiedziała Karolina - dlaczego chciałaś, żebyśmy tutaj przyjechali? Dlaczego kupiłaś Gwiazdny Zakątek?

Wzięłam herbatę, którą podała mi Lea. - Myślę, że znacie na to odpowiedź.

- Dobrze, chciałaś opowiedzieć nam o Willu. Ale czy nie byłoby dużo prościej zaprosić nas do Filadelfii?

- Chodziło mi nie tylko o to, żebyście wiedziały. Chciałam pokazać wam to miejsce, żebyście mogły je widzieć, odczuć jego urok. Poza tym musiałam tutaj wrócić. Musiałam odwiedzić Willa.

- Nadal jednak to wszystko nie wymagało kupowania Gwiazdnego Zakątka - upierała się Karolina.

- To jest miejsce, gdzie chcę umrzeć.

- Mamo!

- Nie mów tak!

- Wielki Boże!

- Ale dlaczego tutaj? - dziwiła się Aneta. - Całe twoje życie związane było z Filadelfią.

- Na pewno nie całe. Większość, ale nie całe. Miałam pięć ważnych osiągnięć w życiu. Małżeństwo z waszym ojcem, urodzenie trzech wspaniałych córek i w końcu mój czas z Willem. To też było osiągnięcie. Dzięki tej znajomości doszłam do wyżyn emocji, jakich ludzie zazwyczaj nie doświadczają. Nawet jeśli to opłacałam to bólem, byłam szczęśliwa.

Piłam herbatę. Mogłam usiąść znowu, ale podobało mi się, że stoję oparta o sofę przy moich córkach. Byłam jak jedna z nich i nie musiałam teraz odpoczywać. Obecność Willa dodawała mi siły.

- Pożegnałam waszego ojca. Nie pozostały między nami żadne nie zamknięte sprawy. Teraz pora na was i na Willa. Chciałam, żebyście poznały Willa z moich opowieści i dzięki Gwiezdnemu Zakątkowi.

Wyjrzałam przez okno. Kwiaty, daleki horyzont.

- I jeszcze kwestia przeprosin. Trudno by mi było robić to w Filadelfii. Gwiezdny Zakątek wydał mi się właściwym miejscem.

Powoli odwróciłam się od okna. Skierowałam serdeczne spojrzenie na moje córki.

Było już bardzo późno. Leżałam w łóżku. Wyczerpana, a zarazem spokojna.

Tego dnia, może pierwszy raz w życiu, naprawdę byłam matką. Matką trzech córek, kochanych i kochających. Denerwowałam się, przeżywałam to wszystko zbyt mocno. Ale właśnie to było cudowne. Spędziłyśmy razem cały wieczór. Rozmawiałyśmy, piłyśmy herbatę, jadłyśmy kolację. I nawet pojechałyśmy na lody do małej cukierenki w Downlee.

Wspólna jazda volvo do Downlee sprawiła nam dużo uciechy. Nigdy przedtem nie bawiłyśmy się tak cudownie. Może dawno temu, gdy moje córki były jeszcze malutkie.

Dawno nie byłyśmy razem tak bardzo szczęśliwe, a już na pewno nie od czasów, kiedy przestały być dziećmi. Przedtem robiłyśmy podobne rzeczy.

Byłyśmy dzisiaj rodziną, prawdziwą rodziną, może po raz pierwszy. Czy to Gwiezdny Zakątek dokonał tego cudu? Chciałabym myśleć, że to było w nas, a magia Gwiezdnego Zakątka jedynie wyzwoliła potencjał naszej miłości.

Przy lodach jeszcze raz opowiedziałam naszą historię, moją i Willa. Pytaniom nie było końca. Nie miałam nic przeciwko temu. Chyba nawet o to mi chodziło. Czułam ulgę, że wreszcie mogę o tym mówić. W końcu potrafiłam się otworzyć.

Może to właśnie nas zbliżyło. Prosty fakt wyjawienia tajemnicy. Dziewczęta nie pochwaliły tego, co zrobiłam. Nie pogłaskały mnie za to po głowie. Ale nie prosiłam o to. Ani nie oczekiwałam tego. Sądzę

jednak, że one w końcu zrozumiały, co przeżyłam. I potrafiły to docenić.

Gdy wróciłyśmy do Gwiezdnego Zakątka, znowu rozmawiałyśmy. Tym razem poważniej. Padło wiele oskarżeń. Miały do mnie wiele pretensji i w większości przypadków musiałam przyznać im rację.

Dziewczęta twierdziły, że zaniedbywałam je w chwilach, gdy najbardziej mnie potrzebowały. Zarzucały, że nastawiałam jedną przeciwko drugiej i że faworyzowałam Leę. Tym drugim byłam zaskoczona. Wyjaśniłyśmy sobie, że kochałam zawsze wszystkie trzy i zawsze tak będzie.

Kocham je i podziwiam, i chcę, żeby były szczęśliwe.

Były łzy i śmiech. To dobrze. Tego chciałam. Nawet przytulałam moje córki. Najwięcej pieszczot spotkało mnie ze strony Lei. Chociaż i Aneta kilka razy przytuliła się do mnie. To typowe dla jej rodziny przytulać się, obejmować. Czułam, że wreszcie przyjęła mnie do swojego kochającego się stadła, że stałam się jedną z nich.

Tylko Karolina zachowała rezerwę. Cały czas uważa, że źle zrobiłam, tak długo utrzymując sekret. Myśli, że jako najstarsza miała prawo znać moją tajemnicę. Wiem, jej duma została zraniona. To, co zdarzyło się dzisiaj, to tylko początek. Znam moją córkę. Wiem, że przemyśli to wszystko dokładnie i wszystko zrozumie.

To bardzo dobry początek. O, tak. Leżę w ciemności i czuję wielką satysfakcję. Ulgę. Spokój.

Bałam się nawet o tym marzyć. Leżę w ciemności w tym miejscu, które tak kocham. Myślę o Willu. Nigdy nie spał ze mną w dużym domu, ale czuję, jakby teraz był przy mnie. Zamglone powietrze, rytmiczny śpiew oceanu, wspaniałe zapach, za którym tyle lat tęskniłam. Skalne róże jak powrót do przeszłości.

Pamiętam pikniki na skałach, pieczenie chleba. Chrupiąca skórka, gorące kromki z żółtym serem. I wino domowej roboty. Pamiętam poranne mgły wychodzące z wody, gorące południowe słońce wysoko ponad falami. Urwisty brzeg... Pamiętam szkunery płynące na wschód.

Pamiętam jego ramiona. Silne, muskularne i opalone. I jego dłonie. Odciski i zgrubiałą, szorstką skórę. Jego dłonie, zawsze dla mnie tak delikatne.

- Jestem tutaj, Will. Jestem tutaj.

Śmieję się i wzdygam. Potem jeszcze raz wciągamy powietrze do płuc. Głęboko. Jestem szczęśliwa.

Rozdział 19

Aneta trzymała w ręku trzy kartki. Pierwsza to bilecik załączony do kwiatów od Jean - Paula. Dwie następne to telegramy. Też od jej męża. Zawiadamiał, że Tom ma się dobrze. Ostatnia wiadomość przyszła dzisiaj rano. Jean - Paul napisał, że tęskni.

Nie zadzwoniła do niego. Miała swój honor. Musiała mu udowodnić, że doskonale potrafi się bez niego obejść. A przynajmniej bez wydzwaniania do niego co kilka godzin.

Wczorajsze wydarzenia całkowicie pochłonęły jej uwagę. I przede wszystkim dlatego udało jej się tak długo wytrzymać. Pomyślała teraz, że ma już kilka punktów przewagi nad Jean - Paulem. Może by jednak zadzwonić, zastanawiała się.

Była już prawie pierwsza w nocy. W St. Louis dochodziła północ. Jean - Paul z pewnością o tej porze smacznie chrapie i nie ma sensu go budzić.

Podniosła słuchawkę. Przez parę minut trzymała ją w ręku, nie wykręcając numeru. Jean - Paul miał za sobą męczący dzień. Nie było żadnego powodu, żeby mu teraz zawracać głowę. Odłożyła słuchawkę.

Tak bardzo jednak marzyła, by usłyszeć jego głos. Oczywiście miała swój honor. Ale jej serce wydawało się o to nie dbać. Podniosła słuchawkę i odważnie wykręciła numer.

Ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę niemal od razu. Lecz nie był to ciepły, głęboki głos Jean - Paula. I na pewno nie był to ktoś, kogo brutalnie obudziła. Ten ktoś nie wyglądał na zaspanego. Był raczej czymś podekscytowany, może trochę zdenerwowany.

- Słucham. Aneta uśmiechnęła się.

- Dzień dobry panu - powiedziała z powagą. Ten ktoś przez chwilę nie odpowiadał. Nie miała wątpliwości, że to był Robbie.

- Mama? - usłyszała wreszcie. Tym razem wypowiedziane z wyraźnym rozczarowaniem.

- Nie, to nie ja. To Jessica - odparła, nie przestając się uśmiechać. Kiedy przed pięcioma dniami wyjeżdżała z domu, Robbie kochał się w Jessice. Przez tak krótki czas prawdopodobnie nie zdążył zmienić obiektu zainteresowania. Było dla niej oczywiste, że siedział teraz przy telefonie, czekając na telefon od tej dziewczyny.

- Mamo! - zawołał Robbie z wyrzutem.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - zapytała. - Czy musicie dzwonić do siebie tak późno?

- Rozmawialiśmy wcześniej, ale ona musiała się wyłączyć, żeby wziąć prysznic, umyć włosy i potem wysuszyć. I później miała znowu zadzwonić. Tu jest wszystko w porządku, mamó. Wszystko robimy jak należy. Nie musisz się denerwować. Nikt już więcej nie złamał ręki. Charlena przychodzi codziennie, a tatko jest wspaniały. Teraz już śpi. Powiem mu rano, że dzwoniłaś.

Wiedziała, że Robbie chce, żeby jak najszybciej odłożyła słuchawkę i nie blokowała mu telefonu. Jessica mogła już dzwonić, ale musiała być przecież jakaś sprawiedliwość. On chciał usłyszeć głos swojej ukochanej, ale Aneta też miała prawo do swojego najdroższego Jean - Paula.

- Jesteś pewien, że tata śpi? - zapytała. - Może telefon go obudził.

- Właśnie szedłem na dół coś przekąsić i widziałem. Zaglądałem do salonu. Tata śpi jak trup. Zasnął na sofie. Musiałem wyłączyć telewizor.

- Nie mogłeś go obudzić i powiedzieć, żeby poszedł do łóżka?

- Próbowałem, ale spojrzał na mnie jak na obcego. Obrócił się na drugi bok i spał dalej. On tak robi każdej nocy. Nie lubi spać w waszym łóżku bez ciebie.

- O, jak miło - ucieszyła się Aneta. To było potwierdzenie jego miłości. Jak kwiaty i telegramy.

- Czy wszystko w porządku u ciebie, mamó?

- Tak, absolutnie w porządku. Wzięła głęboki oddech. Raz jeszcze pomyślała o minionym wieczorze. - Naprawdę wspaniale - dodała. - Twoja babcia w końcu przyjechała. Spędziłyśmy razem niezwykły dzień. Cieszę się, że tu jestem. Myślę, że to naprawdę było ważne.

- To dobrze, mamó. Co powiedzieć tacie? Ma zadzwonić do ciebie jutro rano?

- Jeżeli będzie chciał. Jak się czuje Tom?

- Tom to głupi gnój, ale z jego ręką wszystko w porządku. Anecie zrobiło się przykro, że zapytała. - Nat i dziewczęta też w porządku? - musiała jednak wiedzieć o wszystkich.

- Doskonale. Wszyscy mamy się znakomicie. Powiedzcie tacie, żeby zadzwonił do ciebie jutro rano?

- To nie jest konieczne. Nie musi dzwonić. Jeśli będzie bardzo zajęty albo zmęczony, może to zrobić później. - Nie miała żadnego konkretnego powodu, by z nim rozmawiać. Po prostu chciała tego. Czowała się podbudowana, wiedząc, że Jean - Paul nie może spać w łóżku bez niej. - Chciałam tylko powiedzieć mu coś miłego.

- O północy?

- Dlaczego nie?

- Jest późno. Nie mogła się zgodzić na to, by ją pouczał. - Przepraszam?

- Jest późno - powtórzył. Dla ciebie późno, młody człowieku, ciągle czekający na telefon, pomyślała. - Możesz to powtórzyć?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem Robbie zapewnił ją: - Dobrze, mam, nie będziemy rozmawiali długo. Dobranoc, mam.

- Dobranoc, Robbie.

Zadowolona z siebie odłożyła słuchawkę. W końcu nie poprosiła, żeby Jean - Paul do niej zadzwonił.

Karolina nie mogła zasnąć. W podobny sposób reagowała zwykle po zakończeniu rozprawy sądowej. Poziom adrenaliny we krwi musiał dojść do normy. Nie mogła od razu wyciszyć nerwów, uspokoić mózgu, pracującego przez wiele godzin na pełnych obrotach. Tym razem okoliczności były inne, lecz jej organizm zareagował podobnie. Niespokojnie wierciła się w łóżku, a sen nie nadchodził.

Pomyślała, że papieros dobrze by jej zrobił. Nie czuła jednak głodu nikotynowego, nic takiego. Tylko tak przemknęło jej przez głowę, że to mogłoby pomóc. Ale do Gwiazdznego Zakątka papierosy zupełnie nie pasowały.

Tutaj panował spokój. Żadnych nerwów, żadnego życia w biegu. Nie było powodów do czujności, nie trzeba było lawirować wśród ludzkich intryg. Nic takiego.

I zaraz potem pomyślała, że to, czego naprawdę pragnie, to skontaktować się z Benem. Niestety, albo nie było go w domu, albo nie odbierał telefonów. Żadna z tych możliwości nie mogła jej uspokoić.

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Przygładziła ręką włosy i wyszła na korytarz. Dom pogrążony był w ciszy. Prawdopodobnie wszyscy już spali. Bezszelestnie zeszła po schodach i równie cicho weszła do kuchni. Zapaliła lampkę nad kuchennym stołem. Nalała

wody do czajnika i zapaliła gaz. Potem jak najszybciej załała herbatę, bojąc się, że gwizdek czajnika zaalarmuje domowników.

Podczas gdy herbata naciągała, Karolina podeszła do oszklonych drzwi, prowadzących na taras. Księżyc wisiał wysoko ponad cienką warstwą pierzastych srebrnych chmur, gwiazdy odbijały się w wodzie. Poświata niosła się aż po horyzont.

Skierowała spojrzenie w stronę lasu. Ulotne blaski tańczyły w liściach drzew. Tam gdzieś, ukryty w ciemności znajdował się domek Jessego. Chatka ogrodnika. Miejsce, gdzie dawno temu Ginny potrafiła być wolna i szczęśliwa. Zakochana, szalona, roześmiana. Ta nowo poznana Ginny nadal była zdumiewającym zjawiskiem.

- Nie możesz zasnąć? Karolina odwróciła się. To Aneta.

- Nie mogę. Zupełnie się rozbudziłam. Ty też?

- Tak. Nie rozumiem tego. Czuję się okropnie zmęczona, lecz sen nie nadchodzi. Przewracam się z boku na bok i nic - przyznała Aneta.

- Na co patrzysz?

- Zobacz, jak liście błyszczą w świetle księżyca. Próbuję sobie wyobrazić, jak to wtedy było. Matkę, jak biegnie nocą przez trawnik... Willa...

- Dziwne to wszystko. Nigdy w życiu coś takiego nie przyszło mi do głowy.

- Mnie też.

- Chciałam opowiedzieć to Jean - Paulowi, ale spał, gdy zadzwoniłam.

- Ja chciałam opowiedzieć Benowi, ale nie było go w domu.

- Gdzie był?

- Mnie to zwisa. Może sobie chodzić na noc, gdzie chce - rzekła z nonszalancją Karolina. A może raczej z rozpaczą.

- Wczoraj wieczorem też go nie było w domu. - Odwróciła wzrok. - No cóż, Ben jest wolnym człowiekiem - dodała.

- Czy spotyka się z kimś jeszcze?

- Nie, ale ja go frustruję.

- Ben dużo podróżuje. Może znowu wybrał się na jedną ze swoich wypraw.

- Powiedziałby mi, gdyby planował jakąś podróż.

- Może po prostu wyszedł na spacer. Był sfrustrowany i chciał się przejść. No, wiesz, żeby rozładować stres.

Karolina wiedziała, że to możliwe. Ale jak długo można być na spacerze? Ben nie lubił wychodzić na długo. Kochał swój mały domek. Kiedy dni były długie, a lasy cudownie zielone, Ben lubił siedzieć u siebie w domku i malować. To działało na niego inspirująco, pobudzało natchnienie.

- Naprawdę powinnaś wyjść za niego, Karolino. On cię kocha. Zauważyłam to już na pogrzebie taty. Jeżeli masz w zasięgu ręki prawdziwą miłość i nie bierzesz tego, to straszne marnotrawstwo. Nie możesz odrzucać czegoś tak wspaniałego.

- I tak jesteśmy razem. Co to za różnica, czy mamy ślub.

- To nie to samo. To jest zobowiązanie. Prawne zobowiązanie.

- Nie rozumiem?

- Kiedy kogoś kochasz, stawiasz wszystko na jedną kartę. Ryzykujesz. To zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem. Ale miłość jest tego warta. Mama bała się tego. Nie potrafiła porzucić łatwego, wygodnego życia. Spójrz na cenę, jaką zapłaciła. Och, nie powiedziała tego dokładnie. Mówiła, że nauczyła się kochać tatę, że gdyby nie zostawiła Willa, nie miałyby nas... Faktem jest, że gdyby została z Willem, miałyby całkiem inne dzieci. Może kochałyby je bardziej niż nas.

Karolina przyglądała się swojej siostrze z zaskoczeniem.

- Przecież cały czas ją potępiałaś. Dla ciebie obowiązek wierności małżeńskiej jest święty. Przynajmniej wydawało mi się, że coś takiego mówiłaś.

- Obowiązek wierności małżeńskiej jest dla mnie święty, i miłość jest dla mnie niesamowicie ważna. Mama powinna była być lojalna wobec ojca. Nadal tak uważam. Ale przykro mi, że straciła coś tak rzadkiego, jak to, co przeżyła z Willem. Nie chciałabym, żeby tobie zdarzyło się coś podobnego...

- Lekko uniosła dłoń. - To koniec mojego mądrzenia się. Jeśli cię zanudziłam, to przepraszam. Ale tak właśnie myślę. Nie zawsze zgadzałyśmy się w różnych sprawach, różnie to bywało. Ale jesteśmy siostrami, Karolino. Życzę ci szczęścia.

Karolina poczuła dziwną suchość w gardle. Dawno już nie doświadczyła tego rodzaju wzruszenia. Może nawet nigdy...

Chciała coś powiedzieć, ale zanim zdobyła się na odpowiedź, nagle skrzypnięcie drzwi odwróciło jej uwagę. To była Lea, która -

myśląc, że wszystkie już śpią - zamierzała po cichu wślizgnąć się do kuchni. Drgnęła gwałtownie, kiedy zobaczyła Karolinę i Anetę.

- Och... przepraszam. Myślałam, że już dawno śpicie.

- Może coś nam się pomyliło. Bo to niemożliwe, żebyśmy wszystkie trzy nie mogły zasnąć. Może zegarek źle chodzi albo coś takiego - zaczęła się zastanawiać Aneta. Spojrzała na zegarek. - Może jest dopiero dziesiąta albo jedenasta, a nie pierwsza czterdzieści, jak mi się wydaje. - My obie nie mogłyśmy zasnąć - zwróciła się do Lei. - A ty dlaczego jesteś jeszcze na nogach? Czemu jeszcze nie śpisz?

Lea lekko wzruszyła ramionami. Była w długiej nocnej koszuli, owinięta ciepłym wełnianym szalem. Karolina domyślała się, że ona także nie mogła zasnąć. Zbyt dużo doznały tego dnia silnych wrażeń.

- Nie mogłam zasnąć - rzuciła od niechcienia Lea i dodała szybko: - Pomyślałam sobie, że pójde na spacer.

- O tej porze? - zapytała Aneta. Karolina uśmiechnęła się na ten ton pełen matczynej wymówki. - Ona jest pełnoletnia - przypomniała Anecie.

- Ale zobacz, jak teraz ciemno na dworze.

- Nie muszę chodzić nigdzie daleko - mruknęła Lea. - Mogę po prostu usiąść na brzegu i patrzeć na fale. To nie jest niebezpieczne. Nie pierwszy raz wychodzę z domu tak późno.

Karolina cofnęła się, by przepuścić ją w drzwiach.

- Może napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję - Lea machnęła ręką i po chwili zniknęła za drzwiami.

- Czy z nią wszystko w porządku? - zapytała Aneta. Karolina nie była pewna. Przez większą część spowiedzi Ginny Lea wyglądała, jakby to ją torturowano, a nie matkę. Teraz wyglądała normalnie. Choć może trochę dziwnie z nienaturalnie błyszczącymi oczyma.

Pomyślała, że mimo wszystko Ginny zawsze najbardziej troszczyła się właśnie o Leę. To wyglądało jak faworyzowanie najmłodszej, ale Ginny mogła mieć jakieś powody. - Ona jest najdelikatniejsza z nas... Może trochę przegrana... Nieszczęśliwa. Często dzwoniła do ciebie do domu?

- Nie. To chyba ja powinnam do niej dzwonić. Mogłaby przyjeżdżać do nas z wizytą.

Karolina miała podobne myśli.

- Lea zawsze lubiła Bena. Muszę zapytać. Może on ma jakiegoś kolegę... - westchnęła. - Do licha z kolegą. Co się dzieje z Benem? Gdzie on się włóczy o tej porze?

Aneta oczywiście nie mogła jej odpowiedzieć na to pytanie.

Karolina znowu podeszła do telefonu i wykręciła numer Bena. Potem jeszcze raz i znowu. Cały czas bez odpowiedzi. Westchnęła. Wyobraźnia zaczęła podsuwać jej różne makabryczne rozwiązania.

Ben wyjechał na trzy miesiące i nawet się nie pożegnał.

Ben zginął w wypadku motocyklowym.

Ben zakochał się w kimś innym...

To pierwsze zirytowało ją. Drugie przeraziło. Trzecie wywołało ból. Wiedziała, że mężczyźni dość często zdradzają swoje partnerki. Wiedziała, jak bardzo potrafią być niełojalni w sprawach zawodowych i wszelkich innych. Ale Ben jest inny i Karolina nie chciała wierzyć w jego zdradę.

Śmieszne, że od wielu godzin prawie wcale nie myślała o pracy. Dzieje się z nią coś złego, to oczywiste. Chociaż, z drugiej strony, biuro nie było warte jej uwagi. Odsuną ją teraz od ciekawszych spraw, to pewne. Dlatego, że ośmieliła się wyjechać na wakacje i prawdopodobnie dlatego, że jest kobietą. Karolina miała poważne wątpliwości, czy gdyby na jej miejscu był mężczyzna, też by go tak potraktowano. Ale mniejsza z tym. Nie było sensu denerwować się z powodu tych łajdaków.

Ben to zupełnie inna sprawa. Ben jest ważny. I to zupełnie naturalne, że niepokoi się o kogoś tak niezwykłego jak on.

Położyła się. Zapadła w drzemkę. Wkrótce jednak obudziła się i od razu spojrzała na zegarek. Pomyślała że jej niepokój o Bena jest dziwnie podobny do tego, jaki odczuwała Aneta, gdy chodziło o jej rodzinę. Poczula dziwny szacunek dla siostry. Zaraz jednak przypomniała sobie, że Aneta jednak trochę z tym przesadza.

Potem pomyślała o Ginny. Zupełnie możliwe, że Ginny naprawdę kochała swoje córki. Tak, całkiem prawdopodobne, że niepokoiła się o nie przez te wszystkie lata. Tak przynajmniej mówiła i chyba musiały jej wierzyć. Tak, Ginny kochała swoje córki. Miłość bądź niepokój nie zawsze wyrażają się tak samo. Choćby to ciągle telefonowanie Anety. Ginny nie miała zwyczaju wydzwaniać do nich nieustannie. A może jej miłość była delikatniejsza, subtelniejsza? Karolina wiedziała z własnego doświadczenia, że te same fakty mogą

być wykorzystane zarówno przez obronę, jak i oskarżyciela. Matka wiedziała, że córki jej nie akceptują. Może bała się dzwonić za często, żeby na przykład im się nie narzucać?

Matka. Ben. Lea i Aneta. Kancelaria adwokacka... Tak wiele spraw do przemyślenia. Musiała przemyśleć to od nowa. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż do tej pory jej się wydawało.

Świt zastał Leę na skórzanej sofie Jessego. Zwinięta w kłębuszek przyglądała się wiankowi z róż i skórzanym obrączkom. Potem podniosła wzrok. Na poddaszu spał Jesse. Wieczorem nie rozmawiali długo. Kochali się, jak zawsze, gdy się spotykali. Potem Jesse trzymał ją za rękę, dopóki nie zasnęła.

Słyszała teraz, jak Jesse wierci się na łóżku. Następnie dobiegł ją z góry ostrożny szept. - Lea?

Znowu skrzypnęło łóżko. Po chwili pojawił się na schodach, ubrany tylko w slipki. Był rozczochrany, nie ogolony. A jednak na widok jego dobrze zbudowanego ciała skuliła się jeszcze bardziej, niemal przyciskając kolana do piersi.

Przykucnął przy niej. Pieszczotliwym ruchem odgarnął jej włosy z twarzy. - Coś nie tak?

- Wciąż zbyt silnie na mnie działasz - zmusiła się do uśmiechu.

Wziął ją w ramiona. Usiadł koło niej. Przywarła policzkiem do jego klatki piersiowej, porośniętej jasnymi włosami. ' Złączyli dłonie. Było ciepło, przytulnie. Kochała jego zapach.

Ginny miała swoje skalne róże. Lea wiedziała już, że każda kropla perfum przypominała matce Willa. Lea miała dla siebie piżmowy, męski zapach, który już na zawsze złączył się w jej myślach z Jessem.

Prawie teraz nie rozmawiali. Siedzieli razem, oddychając wspólnym rytmem.

- Muszę już iść - szepnęła. Pocałowała go, zarzuciła mu rękę na szyję i przycisnęła. Nie, nie było rozpaczy w tym geście. Przynajmniej Lea nigdy by się do tego nie przyznała. Jeszcze nie wyjeżdżała z Gwiezdnego Zakątka. Miała czas. Jeszcze nie musiała się martwić.

Przeszła przez trawnik, różowy w blasku wschodzącego słońca. Minęła basen i po cichu otworzyła oszklone drzwi, prowadzące do kuchni. Wślizgnęła się do środka, mając nadzieję, że zaraz schroni się w swoim pokoju, przez nikogo nie zauważona.

Ale drzwi lodówki były otwarte. Karolina z kartonem soku w ręku zamarła ze zdumienia. I nic dziwnego. Lea patrzyła na nią ze strachem. Mogła sobie wyobrazić, jak wygląda. Zadyszana, włosy w nieładzie, zaczerwieniona na twarzy.

- Wielkie nieba! Lea! Co ty tak długo robiłaś na dworze?

- Nie byłam zmęczona - mruknęła Lea. To zresztą nie było kłamstwem. - Nie było sensu przewracać się na łóżku. Może teraz uda mi się zasnąć. A co z tobą? Po prostu chciało ci się pić?

- Nie wiem. Czuję się straszliwie rozbita. - Zamknęła lodówkę i sięgnęła po szklankę. - Chcesz soku?

- Nie, dziękuję. Pójdę teraz do siebie. Może uda mi się zasnąć - skierowała się w stronę schodów.

Kiedy już znalazła się w łóżku, opatulając się ciepłą kołdrą zastanawiała się, dlaczego właściwie nie powiedziała Karolinie o Jessem.

Przecież nie wstydzi się, że on jest tylko ogrodnikiem.

Nie miała jeszcze zaufania do Karoliny. Bała się jej reakcji. Tak samo nie była pewna Anety. Obawiała się, jak zachowają się jej siostry, gdy się o tym dowiedzą,

Trzeba im powiedzieć. Ale jeszcze nie teraz.

Karolina pozostała w kuchni. Oparta o blat kuchenny, obserwowała wschód słońca. Cynobrowy blask na dalekim horyzoncie, jasne iskierki w falach oceanu. Popijała ze szklanki sok pomarańczowy rozcieńczony wodą. Rozmyślała o wszystkich sprawach, które układały się nie tak jak trzeba.

Uważała Bena za pewnik. Uznawała za oczywiste, że Ben zawsze będzie z nią. A tymczasem jego nie ma. Mógł wyjechać nawet na trzy miesiące. Mógł w ogóle odejść. Jest wolny, a wszystko to jej wina. Nie chciała się zgodzić na ślub.

Nie doceniała Lei ani Anety. Uważała je za powierzchowne, mało ciekawe. No, dobrze, nie odnosiły sukcesów zawodowych. Ale ona też w pewnym sensie była przegrana. Nie miała rodziny jak Aneta, ani takiej zdolności zdobywania przyjaciół jak Lea. Wczoraj wieczorem jej młodsze siostry okazały się bystrzejsze niż ona, bardziej elastyczne. Mimo swego profesjonalizmu Karolina dała się zwalić z nóg rewelacjami Giny. Nie wykazała ani śladu refleksu. Nie umiała odpowiednio zareagować na nieoczekiwaną sytuację.

Lea potrafiła wysłuchać Ginny. Zrozumieć, co jej się przydarzyło i nawet płakać razem z nią. Podobnie Aneta. Tylko Karolina okazała się zatwardziała i nieprzystępna. Nie umiała zrozumieć, ani tym bardziej przebaczyć. W końcu przebaczyła. Przynajmniej w myślach. Tylko nie potrafiła tego wyrazić.

Zaskoczyło ją to, że jest w tym podobna do Ginny. Ona, która zawsze krytykowała powściągliwość Ginny w wyrażaniu uczuć. Tak często mówiła o sobie z dumą, że potrafi być szczerą, bez uprzedzeń, że umie osądzać sprawiedliwie.

Zaskoczyło ją to, że nie starała się być obiektywna, kiedy w grę wchodziły jej sprawy, jej emocje. Nie doceniała Ginny. Ani Bena. Ani Anety i Lei.

Znowu ogarnęła ją tęsknota. Sięgnęła po telefon. Wykręciła numer Bena. Znow nikt nie odpowiadał. Słuchała kolejnych sygnałów. Liczyła do dziesięciu, a kiedy odzywała się jego automatyczna sekretarka, odkładała słuchawkę, czując się jeszcze bardziej sfrustrowana i bezsilna niż kiedykolwiek przedtem.

Zegar pokazywał szóstą dwadzieścia. Lea nie spała całą noc i nie ulegało wątpliwości, że teraz śpi jak suseł. Aneta na pewno też. Większą część nocy spędziły razem w kuchni. Aneta dopiero niedawno poszła do siebie na górę.

Pozostała Ginny.

Karolina przypomniała sobie, jak miała szesnaście lat i Ginny obraziła się na nią. Jak zwykle w takich wypadkach ignorowała córkę. Karolina chciała przeprosić, ale była jeszcze dość dziecinna i nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Ginny ostentacyjnie okazywała pozostałym córkom większe niż zwykle zainteresowanie. Chodziła z nimi na zakupy. Do kina.

I pewnego poranka Karolina po prostu wkradła się do pokoju Ginny. Usiadła na łóżku i czekała, aż matka się obudzi. Ginny otworzyła oczy, spojrzała na Karolinę i lekko dotknęła jej dłoni. Żadna nie powiedziała ani słowa. I rzecz była załatwiona.

I teraz Karolina wyszła z kuchni. Po cichu przekradła się na górę. Cichutko zapukała do drzwi. Ale w sypialni Ginny panowała cisza. Nikt nie odpowiedział. Karolina nacisnęła klamkę i weszła. Ginny spała. Wyglądała tak spokojnie, że Karolina stała przez chwilę w drzwiach, nie mając odwagi zakłócać jej snu. Nawet nie pomyślała wcześniej, czym był wczorajszy dzień dla tej kobiety. Jeżeli to

wstrząsnęło Karoliną, że matka śmieje się i płacze, podnosi głos, mówi z pasją, z uczuciem, to dla Ginny musiało być jeszcze silniejszym przeżyciem. Obnażenie duszy, otworzenie się po tylu latach nie jest łatwe. A Ginny nie jest już taka młoda.

Karolina widziała, jak bardzo matka wszystko przeżywa. A przecież teraz leżała tak spokojnie, jakby pozbyła się wszystkich zmartwień. Nawet wyglądała na szczęśliwą. Z pogodnym wyrazem twarzy, z delikatnym uśmiechem na wargach.

Karolina po cichu weszła do środka. Podchodząc bliżej, spostrzegła, że twarz Ginny jest dziwnie blada. Może nawet woskowa.

- Mamo? - szepnęła.

Drżącą dłonią dotknęła policzka matki. Był zimny.

Nieśmiało podniosła drżącą dłoń do włosów Ginny. Starannie ułożone, były tak ładne i bez zarzutu jak zawsze. Właściwe nakrycie głowy na podróż do wieczności. Dobrze rzeźbione kości policzkowe. Ostro zarysowany podbródek. Ginny była piękną kobietą, nawet z tym alabastrowym cieniem na twarzy.

Oczy Karoliny napełniły się łzami. Usiadła na brzegu łóżka i ujęła zimną dłoń. - Och, mamo! - płakała. - Jak mogłaś?

To niesprawiedliwe. Ginny dopiero od paru godzin naprawdę należała do nich. Dopiero wczoraj był początek.

Potrzeba rozmowy z matką znowu odezwała się ze zdwojoną siłą. - Przepraszam, mamo - szepnęła Karolina. - Tak mi przykro. Powinnam była powiedzieć więcej. Okazałam się zbyt uparta i dumna. Myślałam, że panuję nad wszystkim, ale to nieprawda. Byłam złym człowiekiem.

Płakała, ściskając oburącz dłoń Ginny, głaszcząc ją. - Obudź się, mamo. Musimy porozmawiać. - Wydała z siebie długie, gwałtowne westchnienie. Otarła łzy rękawem. I znowu zaczęła płakać. - Mamo, nigdy nie rozmawialiśmy. To także była moja wina. Jako osoba dorosła ponosiłam taką samą odpowiedzialność. Och, Boże! - Zaczęła głośno łkać.

- Karolino? - ktoś zapytał w drzwiach. Potem dodał przestraszonym głosem: - Co się stało, Karolino?

Siedziała bez ruchu, trzymając dłoń Ginny. Słyszała za sobą jakąś krzątanicę. Okrzyki. Ktoś objął ją serdecznie. To Lea. Przytuliła się. Obie płakały.

- To niesprawiedliwe - powiedziała Karolina, myśląc o cofnięciu czasu.

- Wiem.

- Tak wiele jeszcze zostało do powiedzenia.

- Wiem.

- Wczoraj był dopiero początek.

- Albo zwiastun - rzekła drżącym głosem Aneta. Była szara na twarzy. Zbliżyła się do Ginny. Oczy rozszerzyły się jej ze strachu. Powieki nabrzmiały łzami.

- To musiało być związane z jej sercem.

- Ale doktor powiedział, że nie ma niebezpieczeństwa - protestowała Lea.

- Potem zmienił zdanie. Prosiłam Jean - Paula, żeby się dowiedział. Ostatnio częściej musiała chodzić do lekarza. Miała złe EKG.

Lea westchnęła. - I nie powiedziała ani słowa. Jak mogła być wobec nas tak bardzo skryta?

- Może oszukiwała też samą siebie. Wiesz, na przykład nie przyjęła tego do wiadomości. Ciekawa jestem, czy w ogóle realizowała recepty, które jej przepisywano?

- Gdybyśmy wiedziały, zmusiłybyśmy ją, żeby wzięła lekarstwo.

Karolina przytuliła się do Lei. Łatwiej było zachować spokój, kiedy ktoś był przy niej. - Nie, Leo - mruknęła. - Ta decyzja nie należała do nas. Ginny zawsze robiła wszystko po swojemu. - Znowu załkała. Później zaśmiała się histerycznie. - Słaba kobieta, do cholery. Ona była jak z żelaza. Sama podejmowała decyzje i szła zawsze wytyczoną przez siebie drogą. Powiedziała nam, że chce tu umrzeć i umarła. Musiała to zaplanować w ten sposób.

- Spójrz na jej twarz - szepnęła Aneta. - Taka spokojna, jakby zadowolona.

- Jest teraz z Willem - szepnęła Lea.

Karolina nie była pewna. Nie wierzyła w życie pozagrobowe. Tutaj jednak nie miało to znaczenia. W jakiś sposób na pewno byli teraz razem. Poza tym niewykluczone, że Karolina myliła się co do życia pozagrobowego. W ciągu ostatnich dni miała okazję zauważyć, że nie jest osobą nieomylną.

Otarła łzy, nadal nie puszczając z ręki Ginny.

- Chyba powinniśmy kogoś zawiadomić - zapytała Aneta. - Policję? Przedsiębiorstwo pogrzebowe? Chyba mają jakiegoś lekarza, żeby wypisał akt zgonu.

- Poczekajmy z tym - poprosiła Karolina. Nie była jeszcze gotowa pozwolić Ginny odejść. Nie tej nowej, wspaniałej Ginny. - Czy nie mogliśmy dowiedzieć się o tym wcześniej?

- O Willu? - zapytała Lea.

- Mogłyśmy częściej rozmawiać. Miałybyśmy więcej czasu, żeby ją poznać. To smutne.

- Gdyby umarła w zeszłym tygodniu albo jeszcze wcześniej, wcale byśmy nie porozmawiały - zauważyła Aneta.

- Śmierć nie wybiera, chociaż... ona wytrzymała aż do momentu, kiedy mogła nam o tym powiedzieć. Jest w tym coś niezwykłego.

- Czy myślisz, że kupiła ten dom, żeby tu umrzeć? - zapytała Lea.

- Tak. Mówiła, że chce tu umrzeć.

- Czy ludzie mogą aż tak bardzo decydować o swoim losie?

- Jean - Paul mówi, że siła woli, psychika, jest czasami tak efektywna jak chirurg. W pewnych sytuacjach ma większą moc niż medycyna.

Karolina właśnie zaczynała to sobie uświadamiać. - Coś takiego jak omyłność prawa.

- Co masz na myśli?

- Wyrok sądu opiera się na dowodach rzeczowych. Ale to tylko połowa prawdy. Drugiej połowy nie znamy. Jak sąd może decydować o czyjejs winie, jeżeli nie zna całej prawdy?

- Masz na myśli motyw przestępstwa?

- Och, tak, ale jak my możemy go poznać? Przecież nie wiemy, co się dzieje w umyśle człowieka, tak naprawdę nic nie wiemy. Weź na przykład naszą mamę. Mogłabym przysiąc, że znam ją dobrze, a myliłam się jak bardzo. Tyle miałam jej do zarzucenia. Fakty mówiły przeciwko niej. Dowody rzeczowe, cholera jasna.

Nie wypląkała jeszcze wszystkich łez. Znów popłynęły jej z oczu.

Lea, przytulona do Karoliny, poczuła się teraz tą silniejszą. - Nie tylko ty, Karolino. My też fałszywie ją osądzałyśmy. Nie ty jedna się pomyliłaś.

Aneta zbliżyła się do Ginny. Zawahała się, a potem delikatnie pogłaskała policzek zmarłej matki - Ginny pozwoliła, żebyśmy tak o

niej myślały. Nie sprzeciwiała się temu. Nie broniła się przed tym. Sama stworzyła taki swój wizerunek.

- Do licha! - płakała Karolina. - Dlaczego tak się stało? Dlaczego?

Odpowiedziała jej przeraźliwa cisza. Słysząc było, jak fale oceanu rozbijają się o skały.

Dopiero po pewnym czasie odezwała się Aneta. - Mama myślała, że postępuje właściwie, że idzie dobrą drogą. Chyba uznała, że słuszne jest ukrycie przed nami prawdy o Willu Crayu. Uważała, że chroni w ten sposób ojca.

- Może chroniła w ten sposób samą siebie - mruknęła Karolina. - Lub zadawała sobie taką karę - dodała ze zdziwieniem.

- Powinnyśmy gdzieś zadzwonić - przypomniała Aneta.

- Poczekaj, jeszcze nie teraz. - Karolina nadal nie była gotowa. - Matka cieszyłaby się, gdyby nas teraz widziała. Jesteśmy tu z nią wszystkie trzy, tak jak tego chciała. Zawsze żałowała, że jesteśmy daleko.

- Ale dlaczego byliśmy daleko?

- Bo każda z nas poszła przez życie swoją drogą.

- To nie najlepszy powód.

- Nigdy przedtem nie zastanawialiśmy się nad tym.

- Bo nigdy nas to nie obchodziło - oznajmiła Karolina. - Nic nas nie łączyło, niczego wspólnie nie potrafiłyśmy zrobić. Ale to było jakoś tak przypadkiem, bez zastanowienia. A ja naprawdę nie czuję do was nienawiści, dziewczyny.

- Po prostu nie chciałaś spędzać z nami czasu.

- Jakoś tak głupio wyszło - przyznała Karolina. - Ale w końcu każda z nas ma swoje życie. Zawsze wydawało mi się, iż tak bardzo wszystkie trzy się różnimy, że to normalne, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Moje ambicje zawodowe wydawały mi się najważniejsze. - Skrzywiła się. - Chyba powinnam to wszystko przemyśleć jeszcze raz od początku.

Znowu nastąpiła cisza. Promienie słońca, które parę minut wcześniej padały na parapet, przesunęły się, rozświetlając tym razem twarz Ginny, jak swoisty rodzaj błogosławieństwa.

W końcu odezwała się Karolina. - Chyba jednak powinniśmy gdzieś zadzwonić.

Tym razem zbuntowała się Aneta. Rozpaczliwie przywarła do Ginny, ujmując serdecznie jej drugą dłoń. Lea porzuciła teraz Karolinę i objęła Anetę. Wtedy Karolina pozostawiła wreszcie w spokoju rękę Ginny. I powoli, opornie, podniosła się z łóżka.

Energicznie podeszła do telefonu i w ciągu minuty obudziła właściciela firmy pogrzebowej w Downlee.

- Zaraz tu będzie. - Odłożywszy słuchawkę, zwróciła się do Anety i Lei. - Może najpierw powinniśmy zadzwonić do Filadelfii do jej adwokata. Może zostawiła u niego swoją ostatnią wolę. Może miała jeszcze jakieś życzenia - zastanawiała się Aneta.

- Wiedziała, że umrze - przypomniała Karolina. - Przyjechała tu żeby się z nami pożegnać. Gdyby miała jeszcze jakieś życzenia, na pewno by nam powiedziała. Wszystko zaplanowała tak starannie. Niczego nie pozostawiła przypadkowi. - Powiodła wzrokiem po zrozpaczonych twarzach sióstr. - Myślę, że jest dla nas jasne, czego ona chciała.

- Gwiazdny Zakątek ma swój cmentarz - zauważyła Lea. - Kilkanaście grobów. Na dole, na skałach. Tam jest pochowany Will.

- A co z ojcem? - zapytała Aneta. Chyba diabeł podpowiedział jej to pytanie.

Lea chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Wszystkie trzy były tak bardzo zdenerwowane. Nie pora teraz na kłótnie.

I zaraz potem znowu odezwała się Aneta. - Oddała ojcu całe swoje życie, odkąd rozstała się z Willem - powiedziała cicho. - Czuła, że to jej obowiązek i wypełniła go sumiennie.

Lea lekko kiwnęła głową. Obie z Karoliną podzielały tę opinię.

Czekanie na firmę pogrzebową mogło trwać całe wieki. Trzeba było jednak jakoś się do tego przygotować. Karolina posłała Leę i Anetę, żeby się ubrały. Sama została z Ginny. Chciała być przy niej do końca. Mieć przy sobie „swoją” Ginny tak długo, jak tylko było można. Potem zobaczy ją znowu w domu pogrzebowym, a później ostatni raz, na cmentarzu, gdzie będzie cała wielka rodzina i tłum przyjaciół.

Trzymała znowu Ginny za rękę. Łzy płynęły jej z oczu, ale nie walczyła z nimi. Płacz przynosił ulgę.

Odeszła od matki tylko na chwilę, żeby jeszcze raz zadzwonić do Bena. Rozpaczliwie pragnęła usłyszeć jego głos. Niestety, nadal nikt nie odpowiadał. Pomyślała, że jak tylko zakończą przygotowania

do pogrzebu, od razu pojedzie do Chicago. Mogła od nielicznych wspólnych znajomych dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Mogła wynająć prywatnego detektywa. Znała kilku dobrych fachowców, współpracujących z jej firmą. Ale teraz w żadnym wypadku nie mogła wyjechać z Gwiazdznego Zakątka. Pozostał jej ból i czekanie.

Lea wróciła i Karolina, choć bardzo pragnęła siedzieć przy Ginny aż do końca, musiała wstać i pójść do swojego pokoju. Wiedziała, że powinna się przebrać. Ekipa z przedsiębiorstwa pogrzebowego mogła tu być już za kilka minut. Poza tym zdawała sobie sprawę, że Lea też chce się pożegnać z Ginny. Pozwoliła teraz siostrze zostać sam na sam z matką.

Karolina weszła do swojego pokoju. Wzrok jej padł na rozesłane łóżko. Zaczęła się zastanawiać, w którym momencie umarła Ginny. Czy wtedy, gdy rozmawiały z Anetą w kuchni, a może później, kiedy już próbowała zasnąć.

To było tragiczne i niesprawiedliwe.

Przebrawszy się, wróciła do pokoju Ginny. Aneta i Lea już tam były. Teraz wszystkie trzy stały przy Ginny. Zgodna, kochająca się rodzina. Pomyślała, że nigdy za życia Ginny nie wyglądały w ten sposób. Ten obrazek był tragiczny, a zarazem miał w sobie jakieś ciepło.

Karolina czuła, że grunt osunął jej się spod nóg. Trudno będzie teraz żyć. To ją zdziwiło. Zawsze uważała się za niezależną. Wydawało jej się, że wcale nie potrzebuje matki. A teraz wszystko się zmieniło.

Dochodziła dziewiąta, kiedy usłyszały dzwonek do drzwi. Karolina odwróciła się od Ginny. Wbiła wzrok w siostry. - Teraz to jest przeraźliwie prawdziwe.

Obie siostry skinęły nerwowo głowami. Pomyślała, że muszą czuć dokładnie to samo, co ona.

Aneta zeszła na dół otworzyć drzwi. Karolina spoglądała na przemian na Ginny i na Leę. Najmłodsza wyglądała strasznie, zapłakana i zrozpaczona.

Karolina podeszła do niej i uściśniła ją serdecznie. Drugi raz przytuliła siostrę, gdy ekipa z przedsiębiorstwa pogrzebowego wносиła ciało matki. Karolina kilka razy, z racji wykonywanego zawodu, musiała uczestniczyć w podobnych ceremoniach. Lea nie

miała jeszcze takich doświadczeń. Nawet kilka lat temu, kiedy umarł ich ojciec, przyjechały dopiero na pogrzeb.

Przedsiębiorca i jego pracownik, nawet w tak małym miasteczku jak Downlee, wyglądali typowo. Gładko przyczesane włosy, starannie wyprasowane czarne garnitury i wypolerowane czarne buty.

Ciało Ginny zostało przykryte prześcieradłem i przeniesione na nosze. Potem zabrano je na zewnątrz, do stojącego przed domem karawanu.

Wszystkie trzy stały nieruchomo na ganku.

Karawan ruszył i po chwili zniknął im z oczu.

Lea wybuchnęła tłumionym łkaniem. Nagle wyrwał się z jej gardła krzyk rozpaczony. Karolina podeszła do niej, chcąc ją pocieszyć. Ale Lea nie patrzyła już na drogę, którą odjechał karawan. Spoglądała gdzie indziej, gdzieś w stronę trawnika.

Tam stał ogrodnik, Jesse Cray. Widać było, że waha się, czy podejść do nich, czy wręcz przeciwnie, nie przeszkadzać im teraz. Wreszcie zdecydował. Ruszył ku nim. Lea krzyknęła jeszcze raz, wyrwała się Karolinie i pobiegła mu naprzeciw. Zanim Karolina zaczęła coś z tego rozumieć, Lea już była przy nim.

Powoli fakty dotarły do Karolin}'. Stała jak ogłuszona. To mogło wyjaśnić kilka spraw.

- Lea i Jesse? - szepnęła Aneta, tak samo zaskoczona.

- To u niego była dziś w nocy - domyśliła się Karolina.

- I to dlatego historia matki i Willa wywarła na niej takie wrażenie - odgadła Aneta. - Dlaczego nam tego nie powiedziała?

- Nie zrozumiłybyśmy. Mogłyśmy ją wyśmiać. Jeszcze parę dni temu dokuczałabym jej z tego powodu.

- Ja też nie potrafiłabym przyjąć tego ze zrozumieniem - przyznała Aneta. - On jest ogrodnikiem.

- Ale jest także synem Willa Craya. To znaczy o wiele więcej.

- Myślisz, że oni się kochają?

- Na pewno jest coś między nimi. Spójrz, jak się wtuliła w jego ramiona. - Karolina pomyślała, jak bardzo chciałaby też się wtulić w swojego ukochanego. Marzyła, żeby Ben był tu teraz przy niej.

Lea i Jesse ruszyli w stronę Karoliny i Anety. Trzymali się za ręce. Lea wyglądała na przestraszoną.

- Przykro mi z powodu waszej matki - powiedział Jesse.

- Mogła więcej czasu spędzić w Gwiezdnym Zakątku. Podobałoby jej się tu wszystko. Cieszę się, że jednak udało jej się tu przyjechać.

- Wiedziałaś o niej? - zapytała Karolina. Uśmiechnął się. Jednak był to jakiś wymuszony, smutny uśmiech. - Przez wiele lat mój ojciec nie mówił o nikim innym. Znaczyła dla niego cały świat. Byłby zadowolony, gdyby mógł wiedzieć, że tu wróciła.

Karolina czuła, że Jesse mógłby jeszcze wiele dodać do historii, którą wczoraj poznały. Miała też wrażenie, że Lea już to usłyszała.

- Na kiedy planujecie pogrzeb? - zapytał Jesse. - Zaprosicie ludzi z miasteczka? Oni lubili waszą mamę. Była dla nich legendą, kimś bardzo ważnym. Prawie oszaleli na wieść, że wróciła. Po tym jak pojechałyście razem na lody wczoraj wieczorem, nikt nie interesuje się niczym innym. Będzie im przykro, że ją stracili. Na pewno będą chcieli oddać jej ostatnią posługę. Pożegnać ją.

Karolina pomyślała o tych wszystkich innych ludziach, którzy będą chcieli przyjechać na pogrzeb. O telefonach. Do Gwen, do jedyne go pozostałego przy życiu brata Ginny, do kuzynów i przyjaciół. Tyle osób trzeba będzie zawiadomić. W Filadelfii. W Palm Springs. To przypomniało jej Bena, którego telefon nadal nie odpowiadał. Tak, trzeba będzie zatrudnić prywatnego detektywa.

Potem usłyszeli warkot silnika. Skierowała wzrok na drogę. Podświadomie oczekiwała, że to wraca karawan. Pozostała jej nierealna nadzieja, że Ginny może się po prostu obudzić, że to był tylko wyjątkowo głęboki sen.

Ale nie. Silnik karawanu pracował inaczej. Poza tym dobrze znała ten dźwięk. Chociaż nie mogła w to uwierzyć.

- Ben? - szepnęła bez tchu.

Motocykl wjechał na podjazd i zatrzymał się.

Rozdział 20

- Jean - Paul, kochanie - wydyszała Aneta w odpowiedzi na jego zaspane „halo”. Wiedziała, że go obudziła. Była sobota rano, jedyny dzień, kiedy mógł się wyspać.

Jeszcze nawet nie było ósmej, a w St. Louis dopiero dochodziła siódma. Aneta jednak nie była w stanie czekać ani minuty dłużej. W małżeństwie wszystkie nieszczęścia są wspólne. Aneta chciała opowiedzieć mu o wszystkim. Śmierć matki była wydarzeniem zbyt ważnym, żeby przejmować się tym, że Jean - Paul chce się wyspać.

I teraz biedny zaspany Jean - Paul musiał wysłuchać wszystkiego, co się wydarzyło. Dość długo Aneta była silna i niezależna. Mogła wszystko sama udźwignąć. Ostatniej nocy to przestało się liczyć. Przeważała potrzeba opowiedzenia zdarzeń ostatniej doby.

Aneta opowiedziała Jean - Paulowi historię Gwiazdowego Zakątka. Potem o tym, jak się dowiedziała, że miało to związek z Ginny. Powiedziała, jak zmienił się jej stosunek do sióstr. Następnie o przybyciu Ginny i o dziwnej rozmowie. O wyprawie do cukierenki na lody i o rozmowie w kuchni późną nocą. Ocierając łzy, opowiadała, jak wróciła do swojego pokoju, nie podejrzewając, że to ostatnie chwile życia Ginny.

- Umarła na serce - płakała Aneta. - Dowiedziałyśmy się niewiarygodnych rzeczy o naszej matce. Rzeczy, które pomogły wyjaśnić, dlaczego była właśnie taka przez te wszystkie lata. I pierwszy raz w życiu wszystko między nami stało się jasne i dobre.

- Przykro mi, kochana. Bardzo mi przykro.

- To niesprawiedliwie, że to się zdarzyło właśnie w tej chwili.

- Wiem. Śmierć rzadko kiedy jest sprawiedliwa. Wypowiedział te słowa z przekonaniem, ale spokojnie.

Aneta zawstydziała się, Jean - Paul obcował ze śmiercią niemal codziennie. Widział śmierć o wiele młodszych niż Virginia. Śmierć matek, które pozostawiały małe dzieci. Znał nieoczekiwaną śmierć i znał konanie w męczarniach. Virginia zmarła we śnie. Nie cierpiała.

Aneta starała się myśleć pozytywnie.

- Szkoda, że nie mogłeś jej zobaczyć. Wyglądała inaczej niż zwykle. Mówiąc o tym mężczyźnie, wyraźnie ożywiła się na twarzy. Policzki jej się zaróżowiły. Śmiała się, płakała. A ja myślałam, że zupełnie nie jest zdolna do ludzkich uczuć. Pierwszy raz zobaczyłyśmy ją taką. Wszystkie trzy byłyśmy tym absolutnie

zaskoczone. Nigdy przedtem nie widziałyśmy, jak płacze - mówiła Aneta. Myślałyśmy, że nie umie płakać. W każdej sytuacji zachowywała stoicki spokój.

- Ciekawe, że potrafiła tak długo tłamsić to w sobie i wytrzymać z tym wszystkim. Jej sercu musiało być z tym niełatwo.

Aneta westchnęła. Przedtem nie widziała zależności pomiędzy chorobą serca a skrywanym tak długo sekretem. Słowa Jean - Paula nadały temu tragiczny sens.

- Wynika z tego, że zapłaciła wysoką cenę za swoją decyzję. Tutaj mówią, że Will Cray umarł ze złamanym sercem. I nie ulega wątpliwości, że ona także. Na to wygląda. Myślałyśmy po prostu, że nie jest zdolna do żadnych uczuć. Powinieneś był ją zobaczyć. Jakby ktoś odblokował jej emocje i wszystkie nagle wytrysły.

- Czy była z siebie zadowolona?

- Bardzo... tak sędzę. W pewnym momencie przez kilka sekund wydawało się, że ma kłopot z oddechem. Ale to akurat pasowało do historii, którą właśnie opowiadała. My też nie mogłyśmy złapać tchu z wrażenia. Dopiero teraz widzę, że u niej to wynikało z choroby serca. To była inna reakcja niż nasza.

- Czy brała pigułki?

- Nie. Znalazłyśmy przy łóżku buteleczkę z lekarstwem. Wyglądała na nie tkniętą.

- Z całą pewnością lekarz ostrzegł ją, że powinna unikać nadmiernych wzruszeń.

Aneta uśmiechnęła się na te słowa. Mężczyźni działali bardziej mechanicznie niż kobiety. Nawet Jean - Paul, choć wrażliwszy niż większość panów, koncentrował się na zaleceniach medycznych, podobnie jak inni lekarze. Walcząc o życie pacjenta, nie brał pod uwagę, że cena pozostania przy życiu bywa czasami za wysoka.

- Jak można powiedzieć kobiecie w takiej sytuacji, żeby unikała wzruszeń? - zapytała. - Ginny marzyła o tym, żeby tutaj wrócić. Musiała zobaczyć grób Willa Craya. Miała błyszczące, szczęśliwe oczy. Była podekscytowana, ale tego właśnie pragnęła. Wzruszenie sprawiało jej przyjemność, na pewno... - W Anecie znowu wezbrała gorycz. - To niesprawiedliwe. Odnalazłyśmy ją i utraciłyśmy zaraz tego samego dnia.

- Przykro mi, kochanie. Żałuję, że nie było mnie przy tobie. Jak zniosły to Karolina i Lea?

Aneta znowu wzięła się w garść. - W porządku. Obie zrozpaczone, to naturalne. Karolina może nawet bardziej niż Lea.

- Hm... zdumiewające.

- Tydzień temu i owszem, nie mogłabym w to uwierzyć. Teraz sędzę, że Karolina wcale nie jest taka twarda. Może nawet nigdy nie zadzierła nosa, tylko ja miałam takie wrażenie. Nigdy nie myślałam, że Karolina jest tak bardzo podobna do Ginny i że Ginny nie była taka, jak nam się wydawało.

- Czy podjęłyście już jakieś decyzje w związku z pogrzebem?

Aneta nigdy przedtem nie dostrzegła analogii pomiędzy profesjonalizmem Karoliny i stoicyzmem Ginny. Pomyślała, że kiedyś później warto głębiej się nad tym zastanowić. - Tylko to, że pochowamy ją tutaj.

- W Maine? Aneta musiała się uśmiechnąć. - Szokujące, no nie? Nie słyszałeś jej historii, Jean - Paul. Nie widziałeś jej podczas opowiadania. Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Wszystkie trzy jesteście absolutnie zgodne. Musi być pochowana tutaj.

- Raczej tam niż z Dominikiem?

Aneta wzięła głęboki oddech. Wyprostowała plecy. Spojrzała przez okno. Brzeg oceanu wydał się stąd dość odległy. Różowe chmury na horyzoncie, iskierki słońca na falach. Blżej widać było trawnik. Spojrzenie Anety padło na róże pnące się po skałach. Ich zapach to część historii Gwiazdowego Zakątka. Skalne róże na zawsze będą im przypominały Willa.

Jean - Paul jeszcze nie rozumiał, jak ważny dla Virginii był Gwiazdny Zakątek. Musiała mu to wyjaśnić.

- Kiedy po raz pierwszy dowiedziałam się o matce i Willu - zaczęła - oburzyłam się. Stałam po stronie ojca, ale mama mówiła dalej. I zrozumieliśmy wszystko, co czuła do Willa i z czego musiała zrezygnować dla ojca. Jeżeli godność i wdzięk cokolwiek znaczą, zrobiła dla ojca naprawdę wiele. Została z nim. Urządziła mu piękny dom. Była dobrą żoną, dała mu troje dzieci. I jeśli nawet brakowało w tym uczucia, spełniła swoją rolę lepiej niż większość kobiet.

Zapadła cisza, a potem ciche: - Fiu! - Jean - Paul aż zagwizdał. - To brzmi, jakbyś zaakceptowała zdradę.

Aneta uśmiechnęła się zakłopotana. - Tak sędzę. - Czuła się silna. Odważnie wygłaszała swoje poglądy. Związek z Je - an - Paulem zawsze dawał jej siłę. - Czy chcesz usłyszeć, co dalej? Najpierw

utożsamiałam się z ojcem... Matka była jego żoną, tak jak ja jestem twoją. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy oglądać się za innymi. Cały czas traktowałam to jako niemoralne. Myślałam, że to po prostu wybryk młodości, to się zdarza, jedno lato i koniec. Coś, co przeminęło i co trzeba szybko wyrzucić z pamięci. Tak myślałam. Ale matka mówiła dalej. Wspomniała o dobrych przeżyciach, których doświadczyła z Willem. Nie chodziło o seks, tylko o te inne rzeczy. Mówiła o tym, jak to lato wpłynęło potem na jej dalsze życie. Opowiadała o pasji, o namiętnościach. Mogłyśmy wyczytać z jej twarzy, co wtedy przeżyła.

- Złapała oddech. - Teraz to jest dokładnie to samo, co ja czuję. Teraz utożsamiam się z matką.

Jean - Paul jęknął z rozpaczą.

- Uwielbiam cię - pośpiesznie go zapewniła. - Jeżeli czymś cię uraziłam...

- Ciii...

- Nie zamierzałam cię urazić ...

- Kocham cię, Aneto.

- Ja nie chcę o tym mówić. Cały czas się powstrzymuję. Ale tak bardzo tęsknię za rozmową z tobą. Cały czas bałam się zadzwonić.

- Ach, nie... nie - Jean - Paul znów jęknął.

- Może masz rację, że przesadzam w tym opowiadaniu o Ginny. Dla mnie szokiem było odkrycie drugiej twarzy matki. To głupie, Jean - Paul, zawsze myślałam, że nasz związek, wiesz, ja i ty, jest dużo lepszy niż moich rodziców. Puszyłam się, że my mieliśmy to, czego oni nie mogli mieć. Tymczasem okazało się, że ona przeżyła tak samo wielką miłość z Willem, jak ja z tobą. - Aneta westchnęła głęboko. Znowu poczuła straszliwe znużenie. - I dlatego pochowamy ją tutaj - dokończyła.

- Czy już wiecie kiedy?

- Jeszcze nie. Musimy porozmawiać z pastorem.

- Tak, oczywiście. Dasz mi znać? Dzień i godzinę.

- Tak - zadrżała. - Ale nie musisz przyjeżdżać.

- Na pewno przyjadę. Jestem twoim mężem. To moja teściowa. Zawsze miałem dla niej przyjazne uczucia.

- Jean - Paul, to naprawdę bez sensu. Taka długa podróż. Mnie wystarczy, że będę wiedziała, że ty i dzieciaki myślicie tu o nas. Poza tym będę cały czas zajęta. Trzeba będzie wszystko przygotować, a

potem odpowiadać na różne kłopotliwe pytania. Przyjadą tłumy jej przyjaciół. Nie rozumieją, dlaczego robimy to tutaj. Nie jestem pewna, czy będziemy chciały to wyjaśniać. Jeżeli nie miała zamiaru opowiadać im tego za życia, to teraz też nie muszą o tym wiedzieć. Tak, że chyba po prostu powiemy im, że kiedyś była tu z ojcem i pokochała to miejsce. Musimy dać na mszę w Filadelfii. Może lepiej by było, żebyśmy tam się spotkali w przyszłym tygodniu. Albo ty sam z dziećmi możesz tam pojechać. Tak, to chyba ma więcej sensu..

- Chcę być z tobą. Uśmiechnęła się. - Bardzo chciałam to usłyszeć. - Teraz mogła być z siebie dumna. - Dzieci będą potrzebowały cię w ten weekend bardziej niż zawsze. Wymyśl im coś wspaniałego...

- Głos jej się załamał. - Weź dzieci do kościoła i powiedz, żeby się pomodliły za jej duszę. - Z pewnym zażenowaniem dodała:

- Zadzwoń do ciebie później... Tak po prostu, żeby usłyszeć twój głos. Czy to będzie w porządku?

- Bardziej niż w porządku. Kocham cię.

- A ja ciebie - rzekła, przecierając oczy. Jean - Paul dawał jej siłę do życia.

- Dziękuję ci za to, że kazałeś mi tu przyjechać... - Znowu sięgnęła po chusteczkę. - Nigdy w życiu bym sobie nie darowała...

- Spokojnie, kochana. Musisz być teraz ze swoimi siostrami. Potrzebują twojej pomocy.

- Kocham cię, Jean - Paul.

Mąka kukurydziana, mąka pszenna, proszek do pieczenia, miód... Lea otaksowała wzrokiem to, co miała na stole kuchennym i szybko dodała masło, śmietanę i jajka. Wrzuciła na durszlak kwartę amerykańskiej czarnej borówki. Trzymała owoce pod bieżącą wodą. Obierała z łyżek i liści. Potem zrobiła to samo z drugą i trzecią kwartą.

- Lea... - Aneta podeszła od tyłu. - Co robisz?

- Bułeczki z czarną borówką. Tak naprawdę to chciałam zrobić coś z malin, ale nie sezon na maliny. W sklepie nie mieli nawet mrożonych. - Zaczęła odmierzać kubeczki mąki kukurydzianej. - Zrobię około stu sztuk. Wyliczyłam, że połowę z tego dam Julii, a druga połowa zostanie dla nas. Ludzie będą przychodzić. Trzeba przygotować coś jeszcze. To, co przyniosła Julia, na pewno nam nie wystarczy. I trzeba się z tym pośpieszyć.

Ustaliły termin pogrzebu na poniedziałek. Nie dawało to dużo czasu na przygotowanie.

- Nie musisz tego robić teraz.

- Muszę. - Im więcej miała zajęć, tym lepiej znosiła to wszystko.

- Ty i Karolina wzięłyście na siebie wszystkie telefony. Ja też powinnam czymś się zająć. Dużo łatwiej piec bułeczki niż kolejny raz opowiadać o wszystkim któremuś z jej przyjaciół. A co z Gwen? Jak przyjęła wiadomość?

- Nie dziwiła się, chociaż oczywiście się przejęła.

- A przyjaciele matki? Trudno by mi było z nimi rozmawiać. Wiem, myślicie, że ich nigdy nie lubiłam, ale to nieprawda.

- Myślę, że powinnyśmy porozmawiać - podeszła do nich Karolina.

- Gdzie Ben? - zapytała Aneta.

- Poszedł spać. Jechał przez pół Ameryki na tym cholernym motocyklu bez odpoczynku. Prawie się nie zatrzymywał, szalony człowiek.

- Wspaniały - przyznała Aneta.

- Tak - ze wzruszeniem powiedziała Karolina. Lea rzuciła na nie szybkie spojrzenie, zanim znowu zajęła się odmierzaniem mąki kukurydzianej. Ale straciła rachubę, ile szklanek mąki już wsypała. Nie była pewna, czy pięć, czy sześć.

- Ben śpi i możemy teraz spokojnie porozmawiać o Jessem - powiedziała Karolina.

Lea przesypała trochę mąki z jednej miseczki do drugiej.

- Lea?

- Nie ma tu o czym mówić - mruknęła.

- Raczej wydaje mi się, że to bardzo ważne.

- Zdecydowanie jest o czym mówić - wtrąciła Aneta. Cztery szklanki... Lea odmierzyła piątą. - Możliwe.

- Od kiedy się znacie? - zapytała Karolina. Szósta szklanka.

- Od poniedziałku albo niedzieli, jeżeli liczyć to, że zobaczył mnie, jak śpię w nocy na leżaku, pomyślał, że mogę zmarznąć i przykrył mnie wełnianym szalem.

- Jaki to rodzaj znajomości? - zapytała Aneta. Lea odstawiła prawie pustą szklankę i sięgnęła po mąkę pszenną. - Jaki to rodzaj pytania?

- Od sióstr, które troszczą się o ciebie.

- Od dwóch kochających sióstr - dodała Karolina.

- To coś nowego - sucho zauważyła Lea.

- Tak.

- Leo, odstaw tę mąkę. Porozmawiajmy. Czując, że nie zostawia jej samej, dopóki nie odpowie, odstawiała mąkę na brzeg stołu. - To nic takiego - rzekła, patrząc na szafkę kuchenną. - Spotkaliśmy się, zaczęliśmy rozmawiać. To interesujący mężczyzna, ale jest tylko ogrodnikiem. Zupełnie inny niż ja. Z innego świata. Mieszka tutaj, a ja w Waszyngtonie. Ubiera się w drelich, ja w jedwabie...

- Teraz nie jesteś w jedwabiach - zauważyła Karolina. Lea pociągnęła ręką po dzinsach. - No, dobrze, to miejsce jest inne. A poza tym teraz gotuję. A przynajmniej próbuję gotować. Do pracy nie ubieram się w jedwabie... Szczerze mówiąc, to dziwny rodzaj znajomości. Wszystko i nic. Oboje nie pasujemy do siebie. Na milion różnych sposobów. Dobrze, nie mówmy o drelichu i jedwabiu. Porównaj szampan i piwo, oszlifowane szlachetne kamienie i granitową skałę... On podróżuje zimą, ja latem... Na milion różnych sposobów - powtórzyła. - I dlatego nie zostanę tutaj z nim. Wrócę do Waszyngtonu.

- Do czego? Poczula, że trochę przesadziła. Nie miała jeszcze żadnych konkretnych planów. Może wczasy w Montanie... Przedtem w Waszyngtonie wielki bal Towarzystwa Walki z Rakiem. Będzie się bawić wśród śmietanki towarzyskiej, a Jesse w tym czasie będzie kosić trawnik.

- Ja jestem jasna, a on ciemny. Ja jak opera, a on skecz z jakiegoś telewizyjnego programu rozrywkowego.

- Który skecz? - zapytała Aneta.

Lea nie miała pojęcia. Nie lubiła oglądać telewizji. Wydawało jej się, że porównanie ze skeczem brzmi dobrze.

- Śmieszne - zauważyła Karolina. - Dobry skecz jest błyskotliwy i inteligentny. I elegancki. Mówiłaś, że gdzieś studiował.

Lea odwróciła się do niej.

- Jesse jest inteligentny.

- I przystojny.

- I uprzejmy.

- Owszem, ma te wszystkie zalety - jęknęła.

- I jeszcze więcej - dokończyła za nią Aneta. Lea skrzywiła się. Oderwała tasiemkę od worka na śmieci i związała włosy.

Rozpuszczone mogły być piękne na spacer, ale na pewno nie do pracy w kuchni. Pomyślała o obcięciu ich na krótko, ale przeszedł ją dreszcz. Co to było, co Ginny o tym powiedziała? „I pomyśleć, że miałyśmy zwyczaj ukrywać coś tak pięknego.”

Łzy napłynęły jej do oczu. Przycisnęła palce do czoła. Usiadła na stołku kuchennym, starając się nie patrzeć na siostry. - Dlaczego życie jest tak strasznie skomplikowane?

- Czasami tylko wydaje się skomplikowane - zauważyła Karolina. - Jak trochę to uporządkować, posortować, nagle staje się proste.

- Och! - westchnęła Lea. - Nie wiem. Już od poniedziałku próbuję jakoś się pozbierać. Najpierw sama przed sobą udawałam, że to nic ważnego. Chciałam po prostu cieszyć się pięknem tego wszystkiego i pograżałam się w to coraz głębiej.

- Miłość? - zapytała Aneta.

- Tak sądzę.

- Seks? - zapytała Karolina.

- Do licha... Och, tak.

- To niewiarygodne - powiedziała Aneta. - Gdzie myśmy byli przez cały ten czas?

- Spałyście albo byliście na zakupach.

- Ty to robiłaś, jak wyjeżdżałyśmy na zakupy? Lea spojrzała na nią, po czym znowu odwróciła wzrok.

- Kiedy byliście na zakupach, my tylko rozmawialiśmy. Poszliśmy wzdłuż brzegu na spacer. Potem patrzyłam na niego, jak pracuje... Przypomnij sobie, jak matka opisywała swój związek z Willem. To samo ja mam z Jessem. To najbardziej ekscytująca rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. Nadzwyczajna i zarazem przerażająca. Matka i Will. Ja i Jesse.

- Co on na to? Lea przymknęła oczy.

- On jest romantykiem.

- Jak Will.

- Aha.

- A ty jesteś jak mama.

- Nie, nic podobnego.

- Tak samo lubisz życie towarzyskie. Na pewno bardziej niż każda z nas - powiedziała Karolina.

- To tylko tak wygląda - mruknęła Lea. Odwróciła się do sióstr. - Może w ogólnym stylu życia, ale to wszystko. Matka miała obsesyjną potrzebę akceptacji. Zależało jej na tym, by robić dobre wrażenie. Przesadnie przestrzegała konwenansów.

- Leo, spójrz tylko na swoje życie.

- Patrzę. Ja nie dążę do tego, by wyrzucić na ludziach wrażenie. Ubieram się modnie, bo zawsze to robię. Chodzę po sklepach, bo taki mam zwyczaj. Podobnie jak to, że robię coś z włosami i maluję paznokcie. Tak samo przywykłam do tego, że chodzę na przyjęcia. To jest to, co zawsze robię.

- A nie to, co chciałabyś robić - podsumowała Karolina.

- To jest to, co robię - powtórzyła Lea, jakby nie mogła wymyślić nic innego. Życie w Waszyngtonie było czymś znajomym. Wiedziała, czego oczekiwać. Nie wchodziły w grę żadne niespodzianki. To można było wytrzymać.

- Och, Leo.

- Matka wybrała ten styl życia - rzekła, szukając usprawiedliwienia.

- A co naprawdę chciałabyś robić?

Przez moment Lea stała w milczeniu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. - Piec ciasta. Najbardziej chciałabym zajmować się pieczeniem ciast. Kiedy to robię, czuję, że jestem potrzebna. Mam konkretne efekty, dowód dla samej siebie, że nie powinnam wątpić w swoją wartość, że mogę być komuś potrzebna.

- To zajmij się pieczeniem ciast - poważnie doradziła Karolina. - Zorganizuj dostawy do domu albo otwórz restaurację.

Lea westchnęła. - To tylko pozornie wydaje się takie łatwe.

- Dlaczego? - zdziwiła się Aneta.

- Byłabym zaledwie amatorką. Dyletantką, a nie przeszkolonym szefem. Nie chodziłam do żadnej szkoły, gdzie uczą, jak zarządzać zespołem. I nie poszłabym teraz do szkoły. Poza tym w Waszyngtonie jest tysiąc restauracji. Podobnie z dostawami do domu.

- Wyprowadź się z Waszyngtonu.

- Ale ja kocham Waszyngton - upierała się. W pewnym sensie to była prawda. To miasto nie miało sobie równych, jeśli chodzi o kulturę. Niektóre miejsca były tu wyjątkowo piękne. Oczywiście bez wieżowców i bez tłumów ludzi Lea doskonale mogłaby się obyć.

- Jeżeli kochasz Waszyngton i kochasz Jessego, coś z tego powinnaś wybrać.

- Dokładnie tak - płakała Lea. Wiedziała, że chodzi tu o wybór całego dalszego życia. Kiedyś rozmawiały z Ellen o tego rodzaju koniecznościach wyboru. Omówiły ten problem dość dokładnie. Lea wiedziała, że nadejdzie dzień, kiedy będzie musiała zebrać się na odwagę i „ruszyć z miejsca ze swoim życiem”, jak to określiła Ellen. Wolą jednak odwlec ten moment. Teraz nie był najlepszy czas na podejmowanie decyzji.

- Zostań tutaj i otwórz piekarnię - doradziła Karolina.

- Żartujesz - oburzyła się Lea.

- Nie.

- Nie mogę tu zostać.

- Dlaczego nie?

- Właśnie to powiedziałam. Kocham Waszyngton. Mam tam przyjaciół. Poza tym teraz, kiedy mama nie żyje, musimy sprzedać Gwiazdny Zakątek.

Karolina spojrzała na Anetę.

- Czy planowałyśmy sprzedaż posiadłości?

- Nie przypominam sobie, żebyśmy mówiły coś takiego.

- Nie byłby to dobry pomysł. Lea nie ucieszyła się z tego.

Decyzja sióstr o sprzedaży

Gwiazdny Zakątek mogła uwolnić ją od konieczności podejmowania decyzji.

- Nie teraz, to dla mnie za szybko. Jeszcze nie mogę nic postanowić. Myślę, że na razie powinnyśmy zająć się pogrzebem.

Odwróciła się do stołu i znowu sięgnęła po mąkę.

- Czego właściwie się obawiasz? - zapytała Karolina.

Lea odwróciła się do niej. - Czy mówiłaś coś do mnie?

- Przestań, Leo.

- Daj spokój z tą mąką. Odwróciła się do nich.

- Niczego się nie obawiam. Oprócz tego, że nie lubię zmian. Przyzwyczaiałam się już do życia w Waszyngtonie. A jak coś zmieniam, to zawsze mam wrażenie, że tracę grunt pod nogami.

- Mówiłaś, że kochasz Jessego.

- Mówiłaś, że kochasz Bena - wypaliła.

- Tak, masz rację. Muszę ponownie zastanowić się nad niektórymi sprawami. Może ty także powinnaś coś przemyśleć.

- Nad czym się zastanowić? - zwróciła się Aneta do Karoliny.

Lea także skierowała zaintrygowane spojrzenie na najstarszą, ale Karolina nie dała się zbić z tropu. - Czy matka podjęła słuszną decyzję, opuszczając Willa? - zapytała.

Lea wzruszyła ramionami. - Miała ojca i nas.

- Ale straciła Willa. Czy był sens, żeby tak się poświęcała?

- Nie mogę na to odpowiedzieć - Lea zaczęła płakać. - Nie jestem Virginią, jestem sobą.

- Oczywiście, ale sytuacja jest w jakiś sposób podobna. Zakochałaś się w mężczyźnie, którego styl życia całkowicie różni się od twojego. Pozostanie z nim wymaga od ciebie, żebyś się do niego dostosowała. Boisz się zmiany. I co? Zdecydujesz się czy nie? Poświęcanie się dla kogoś ciebie akurat nie dotyczy. Nie masz męża, żadnych zobowiązań. Może nadszedł czas, Leo, że powinnaś zmienić swoje życie.

- Jesse jest tylko ogrodnikiem.

- Och, proszę - burknęła Karolina. - Dlaczego bawisz się w snobkę? Przez przekorę mówisz na odwrót niż myślisz? Pamiętasz, rozmawialiśmy niedawno o Benie. Nie masz racji. Mój problem z Benem nigdy nie polegał na tym, że nie skończył żadnych studiów. Wykształcenie, pochodzenie społeczne, pieniądze... Teraz te rzeczy nie mają takiego znaczenia jak za czasów mamy. Ludzie nie pobierają się wyłącznie z tego powodu. Klasa społeczna, rasa, religia... Te rzeczy są teraz dużo mniej ważne.

- Miłość jest najważniejsza. Ty go kochasz - przypomniała Aneta. Pewność stopniowo zniknęła z jej głosu.

Lea westchnęła. Wbiła wzrok w sufit. - Ja sama mam problem z uwierzeniem w to, że go kocham. To wszystko stało się tak szybko. - Opuściła oczy. - I jeszcze... ta paralela z mamą i Willem. Wzrusza mnie to, co przydarzyło się mamie. Ale, jak już mówiłam, ja nie jestem nią. Mam własne życie.

Wiedziała oczywiście, że zakochała się w Jessem już wcześniej, zanim jeszcze opowiedziano jej legendę Gwiezdnego Zakątka, zanim dowiedziała się, że to dotyczy Ginny. Ale to teraz nie miało znaczenia.

- Czy Jesse sugerował ci, żebyś tu została? Lea jęknęła. - Mówi mi to nieustannie. Każdym gestem.

Każdym spojrzeniem.

Aneta westchnęła. - To jest takie romantyczne.

Ale Lea nie poddawała się łatwo. - Istnieją trwalsze związki niż przelotny romans. Poza tym już dwa razy próbowałam i nic z tego nie wyszło.

- Tamci dwaj nie byli ciebie warci. Karolina dodała: - Aneta ma rację, Leo. Poza tym od razu mogłam przewidzieć, że nic z tego nie wyjdzie.

Lea spojrzała na nią z zaskoczeniem. - Naprawdę? Skąd wiedziałas?

- Obserwowałam was w czasie ślubu. Obaj starali się bawić gości, chcieli, żeby ludzie śmieli się z ich żartów. Myśleli o tym, żeby wyrzucić jak najlepsze wrażenie. Wiesz, jakby chodziło im najbardziej o jakieś przedstawienie, w którym przypadkowo mieli okazję grać główną rolę. A ty za to płaciłaś. - Potrząsnęła głową. - W obu przypadkach nie był to najszcześniejszy wybór.

- Jeżeli to było tak oczywiste, dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- I tak nie chciałyś słuchać. Miałabyś tylko do mnie żal, że ci psuję radość.

- Mówiliśmy o tobie, że byłaś zakochana w „byciu zakochaną” - wtrąciła Aneta.

- Kto wie, czy nadal nie jestem taka - rzekła Lea. Ale wszystkie trzy wiedziały, że to tylko przekora.

- Znam Jessego zaledwie pięć dni. To żalosne - dodała.

- Może po prostu potrzebujesz więcej czasu.

- To właśnie cały czas próbuję wam powiedzieć. Karolina uniosła dłoń. - Dobrze, mogę się z tobą zgodzić.

Tylko ostrzegam cię. Nie mogę być tutaj ciągle przy tobie. Muszę wracać do Chicago, niezależnie od tego, co postanowię z moją firmą. Aneta też wyjeżdża w przyszłym tygodniu. Dom jest twój.

- Przecież musimy sprzedać ten dom - upierała się Lea. Karolina zwróciła się do Anety. - Dużo telefonów ci jeszcze zostało? Opędziłaś choć połowę tej listy?

- Mniej więcej połowę. Lilian obiecała pomóc, dzwoniąc do swego kręgu przyjaciół. Ona, tak samo jak Gwen, zmartwiła się, ale spodziewała się tego. Powiedziała, że mama była zbyt sumienna w swoich pożegnaniach.

- Mama nie żyje - upierała się Lea. - Nie możemy trzymać tego domu.

Ale mogła się nie wysilać. Siostry wcale nie chciały tego słuchać. Karolina skierowała się do drzwi. Skinęła na Anetę. - Czy Lilian przyjedzie na pogrzeb? - zapytała.

Aneta nacisnęła klamkę. - Tak, przylecą w niedzielę do Portland. Tam zatrzymają się na noc w hotelu i będą tu wczesnym rankiem. Szykuje się duża grupa.

- Dziewczyny... - zaczęła znowu Lea. Karolina odwróciła się do niej. - Gwen jest już w drodze.

Lepiej ciesz się gotowaniem, zanim ona się tu zjawi. Od razu wyrzuci cię z kuchni.

Zirytowana, że nie potraktowały jej poważnie, zawołała za nimi: - Na pewno mnie nie wyrzuci! Matka wybudowała tę kuchnię dla mnie!

I tym razem naprawdę zabrała się do robienia ciasta.

Karolina usiadła w nogach łóżka. Ben spał jeszcze. Przyglądała mu się ze wzruszeniem.

Odłożył robotę, choć lubił pracować latem, bo o tej porze roku zawsze miał twórcze natchnienie. Nigdy latem nie opuszczał swojego domku. A teraz rzucił wszystko i pognął jak wiatr swoim motocyklem. Trzydzieści sześć godzin jazdy. Pędził na wschód bez wytchnienia, by być razem z nią. Nie wiedział, że Ginny zmarła. Nie miał pojęcia, czy w ogóle Virginia St. Clair dotarła do Gwiezdnego Zakątka. Po prostu tęsknił do Karoliny i chciał być razem z nią.

Obserwowała, jak śpi. Stopniowo ogarniało ją coraz większe wzruszenie. Aż to bólu. Ben był atrakcyjny fizycznie. Rozwalony wygodnie na łóżku, z kołdrą zarzuconą na pośladki. Opalony, ramiona pokryte piegami. Potargany. Wyczuwała każdy mięsień na jego plecach. Nie musiała dotykać. Znała je tak dobrze.

Przewrócił się na wznak. Usiadł, unosząc nad sobą kołdrę. Wciągnął powietrze. Przeciągnął się. Z trudem udało mu się otworzyć oczy. Kiedy zobaczył Karolinę, uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

Przysunęła się bliżej niego.

- O czym myślisz? - szepnął zaspany.

- Że jesteś pięknym mężczyzną. Nadal nie mogę uwierzyć, że przyjechałeś tutaj. Wyobrażałam sobie okropne rzeczy.

- Jakie?

- Że zostawiłeś mnie dla innej kobiety.

- Tak bardzo ci mnie brakowało? Uśmiechnęła się. - Tak. Objęła go. Położyła mu palce na usta. Pogłaskała. Potem palce powędrowały niżej, aż do jabłka Adama. Uważała je za rzecz bardzo męską. Jak owłosione ciało, silne mięśnie. Jak erekcja... Ben był zawsze bardzo seksowny.

W gardle jej zaschło, kiedy powiedział: - Chciałbym, żebyśmy się pobrali.

- Tak, wiem. Mój opór zaczyna słabnąć. Jabłko Adama poruszyło się. - Naprawdę? Jak to się stało?

- Okazało się, że we wszystkim miałeś rację. Tak samo z moją firmą. - Powiedziała mu o Lutherze Hinesie i o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy Ben był w drodze.

- Gdybym oglądał telewizję albo słuchał wiadomości, od razu bym zadzwonił do ciebie - zaklinał się, zły, że ją tak potraktowano.

- I wtedy nie miałabym okazji dowiedzieć się, jak lojalni są moi partnerzy. Ty ich wyczułeś od razu.

- Hmm... Odpiął suwak w jej dzinsach i wsunął z tyłu rękę. Przesunął dłoń po skórze.

- Jakim cudem ty się na nich poznałeś, kiedy ja niczego nie zauważyłam?

- Ty też to widziałaś - szepnął, ściągając z niej dzinsy.

- Wiedziałaś, jacy oni są. Westchnęła. Czowała, że ciało jej płonie. Zawsze tak reagowała na jego dotyk.

- Nie mam najmniejszej ochoty tam do nich wracać. Klęknął, kończąc ściągać z niej dzinsy. - Nie wracaj do nich.

Otwórz własną firmę. Uniosła biodra, żeby mu pomóc. - Gdzie?

- Gdzieś niedaleko mojego domku.

- Przecież nie mogę mieć praktyki na wsi - protestowała, zdejmując majtki. - To nie mój rodzaj wykształcenia. Poza tym nie lubię siedzieć za biurkiem. Ja muszę być w sądzie, tam, gdzie się to wszystko dzieje.

- To mieszkaj ze mną i dojeżdżaj do Chicago, jak będziesz prowadzić w sądzie jakąś sprawę - powiedział, obejmując ją.

- Biuro załóż koło mnie i tam przyjmuj zgłoszenia. W odpowiedzi wyszeptła jego imię. O tak, erekcja była czymś bardzo męskim, a Ben był w tym doskonały.

- Twój domek jest za mały - powiedziała. - Będzie za ciasny dla nas dwojga.

- Możemy go rozbudować. Garaż zamienić na pokój, albo coś przybudować.

- A co z biblioteką prawniczą? Mmmm... - Wszedł w nią, wypełniając ją całą. Głębiej, jeszcze głębiej... - Ach!

- Kup te cholerne książki. Nie potrzebujesz biblioteki. Położył ją na plecy i przykrył swoim ciałem.

- A sekretarka? Sprzątaczką? - Objęła nogami jego biodra. Wszedł jeszcze głębiej.

- Zatrudnij, kogo chcesz.

- A partnerzy? - zapytała i nagle świat zewnętrzny stał się zupełnie nieważny. Ciało jej płonęło. Ben wynosił ją na coraz wyższe poziomy rozkoszy. Krzyczała, zanim pozwolił jej odczuć ulgę.

- O Boże, jak ja za tobą tęskniłem - szepnął, kiedy już leżeli spokojnie obok siebie.

- Przecież nie wyjechałam na długo.

- Za długo. Za daleko.

- Ty wyjeżdżasz dalej i na dłużej. Te twoje zimowe plenery...

- Też za długo i za daleko. Chyba się starzeję. Odwrócił się na bok. Otarł pot z czoła. - Znajdź kogoś do współpracy. Nawet dwie albo trzy osoby. Kogoś, komu będziesz mogła zaufać.

- A co będzie, jeśli nie znajdę klientów?

- Z twoją sławą? Na pewno znajdziesz.

- Nie wiadomo. To się zmienia. Duża firma płaci również za przestoje.

- To ja będę ci płacił za przestoje. Możesz żyć jak artyści, ciągle niepewni dalszego bytu.

Delikatnym pocałunkiem zamknęła mu usta. Oboje wiedzieli, że nie chodzi tu o pieniądze. Karolina obawiała się porażki.

- Nikt nie lubi przegrywać - zauważył Ben. - Ale porażka zawsze zależy od tego, jaki cel sobie obierzesz. Czy na przykład chodzi ci o to, żeby być dobrym prawnikiem, czy może, żeby robić sobie z partnerami z firmy różne świństwa. Bo jeżeli chcesz być dobrym prawnikiem...

- Ben?

- Mmm?

- W jaki sposób zmieniliby się nasze życie, gdybyśmy wzięli ślub?

- W sumie prawie wcale nie musiałoby się zmieniać. Na pewno zostałabyś przy swoim nazwisku, oczywiście, ze względów zawodowych. Mogłabyś zostawić swoje mieszkanie i samochód. To może ci się przydać, jak będziesz pracować w śródmieściu. Zmiany byłyby raczej natury wewnętrznej. Wiedziałbym, że ktoś na mnie czeka. Chciałbym też i ja być tym, który może czekać.

Karolina pomyślała o tym, jak będzie przygotowywać się do obrony klienta i będzie musiała pracować nad tym całą noc. Znała wielu prawników, których małżeństwa rozpadły się właśnie z takich powodów. - Czy to cię nie będzie złościć? - zapytała.

- Nie.

- Dlaczego nie? Wzruszył ramionami. - Mam swoje życie, swoje sprawy.

Poza tym ty też nie zawsze tak dużo pracujesz. Myślę, że i tak znajdziesz dla mnie trochę czasu. Znajdę sobie jakieś zajęcie i będę czekał, aż skończysz robotę.

- Co z dziećmi? Nie miała zamiaru o to pytać. To wymknęło jej się mimo woli. Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad dziećmi. Ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że już niedługo może być za stara na dzieci.

- To zależy od ciebie - odparł spokojnie Ben.

- A ty chcesz mieć dzieci?

- Mogę żyć bez tego. Chociaż to mogłoby być miłe. Ale najważniejsza jesteś ty. Czy z dziećmi, czy bez dzieci, najbardziej zależy mi na tobie.

Aneta uporczywie szukała sobie jakiegoś zajęcia. Zadzwoiła do ostatnich już przyjaciół Virginii. Następnie do Portland zarezerwować hotel. Z firmą taksówkową z Downlee uzgodniła sprawy transportu. Potwierdziła umówionego wcześniej pastora. Upewniła się w przedsiębiorstwie pogrzebowym, czy niczego nie przeoczono.

Z kuchni dochodził zapach pieczonych bułeczek. Domyśliła się, że Lea wstawiła już ciasto do piekarnika. Potem pachniało pieczonymi jabłkami. Krzątanka na tarasie uzmysłowiła jej, że Lea przygotowała lunch.

Rozmawiali o Ginny. O kwiatach i o morzu. Chcieli, żeby pogrzeb był dokładnie taki, jak to sobie Ginny wymarzyła.

Karolina w obecności Bena wydawała się cichsza, spokojniejsza. Aneta patrzyła na nich z zazdrością. Delikatny dotyk rąk, gorące spojrzenia. Tęskniła do Jean - Paula.

Utrata Ginny wydała się jeszcze okropniejsza. Z Jean - - Paulem przy boku łatwiej byłoby to znieść. Choć oczywiście nie miało żadnego sensu, żeby on tu przyjeżdżał.

Jakaż szczęśliwa jest Karolina.

Aneta pomyślała, że Jesse powinien być teraz przy Lei. Ale jeżeli nawet Lea też tak myślała, to nic takiego nie mówiła. Raczej odwracała się plecami do ogrodu, gdzie mogłaby go zobaczyć. Była tak samo speszona, jak Aneta osamotniona.

Kiedy po lunchu Karolina wzięła Bena na spacer, żeby pokazać mu okolicę, a Lea wróciła do kuchni, Aneta udała się do siebie na górę. Mogła zadzwonić do Jean - Paula. Zastanawiała się, co robią jej dzieci. Czy tęsknią do niej.

Rano nie posłała łóżka. Teraz oparła głowę o poduszkę i zmęczona zapadła w sen. Obudziła się przed siedemnastą. Pociągnęła nosem. Wyglądało na to, że Lea przygotowywała kolejne potrawy. Rozpoznała zapach wina, pomidorów i curry. Skojarzyło jej się to z gulaszem. I jeszcze pachniały warzywa.

Mimo bogactwa zapachów odczuwała przeraźliwą pustkę. Sięgnęła po słuchawkę. Potem uświadomiła sobie różnicę czasu pomiędzy Maine a Missouri. O tej porze nie było sensu tam dzwonić.

Pomyślała o Ginny, dla której czas nie miał już żadnego znaczenia.

Aneta wstała. Wyszła z pokoju. Ostrożnie uchyliła drzwi prowadzące do sypialni Ginny. Możliwe, że Gwen już wróciła, gdyż łóżko Virginii zostało bardzo starannie zasłane. Poza tym jednak nic tutaj się nie zmieniło. Szafka nakryta płócienną serwetką. Na tym tacka ze złożonymi brzegami. Na tym małe wazoniki floksów, zdjęcie Anety, Karoliny i Lei w złożonej ramce i bardzo elegancka buteleczka perfum.

Przytknęła perfumy do nosa. Racja, pachniały dokładnie tak samo jak skalne róże. Próbowwała sobie wyobrazić, czym było dla Ginny wspomnienie tego zapachu. Przez tyle lat te same perfumy. Z pewnością przywodziły na myśl to wszystko, co utraciła.

Poczuła, że żal ścisnął jej serce. Otworzyła szufladę, potem szybko zamknęła. Zajrzała do szafy. Tam wisiały starannie

uprasowane sukienki Ginny. Wszystkie w szarych, bladych kolorach. I tylko jedna jasna i pogodna. Stylizowane kwiaty, czerwone i żółte. To wydało jej się znajome. Jak obrazek z bardzo wczesnego dzieciństwa. Nigdy potem nie widziała tej sukni u Ginny.

Aneta poczuła, że właśnie w tym ubraniu powinny pochować Ginny. To był straszny błąd, że dały przedsiębiorcy pogrzebowemu czarną sukienkę.

Odwróciła się w stronę drzwi i zamarła z wrażenia. Ujrzała Jean - Paula. Podszedł do niej z pewnym wahaniem. Nigdy nie był tak piękny jak teraz.

- Matka musiała w tym chodzić tego lata, kiedy tu była z Willem. Powinna być w tym pochowana - powiedziała. Chociaż nie miała pewności, czy ten Jean - Paul naprawdę istnieje, czy może jest zjawą, wytworem jej marzeń.

- Masz rację - odparł Jean - Paul swoim łagodnym, miękkim głosem.

Wyglądało na to, że nie jest zjawą.

- Jean - Paul? - szepnęła.

- Twoja niezależność to wspaniały pomysł, ale odłóżmy ją na kiedy indziej. Dobrze?

- Jean - Paul - uśmiechnęła się poprzez łyzy.

Rozdział 21

Termin pogrzebu ustalono na poniedziałek, ale już w niedzielę mieszkańcy miasteczka zaczęli przychodzić z kondolencjami. Pełni serdecznego współczucia, zachowywali się grzecznie i taktownie. Jeżeli nawet byli wśród nich łowcy sensacji, i tak nie pozwolono im na żadne ciekawskie pytania. Nikt nie rozglądał się po domu. Spokój, żadnego wścibstwa. Ci, którzy przychodzili, byli trochę zawstydzeni. Rzadko kiedy zatrzymywali się tu na dłużej.

- Chcieliśmy tylko wyrazić nasz żal...
- Pamiętam waszą matkę. Zawsze była taka miła i uśmiechnięta...
- Szkoda, że nie udało jej się spędzić tu z nami więcej czasu...

Prawie nikt nie przychodził z pustymi rękoma. Tak, że kiedy nadeszła pora obiadu, stół w jadalni aż się ugiął, zastawiony kamiennymi rondlami, glinianymi miseczkami, salaterkami. Tylu wyśmienitych potraw Lea nie zdołałaby przyrządzić w ciągu całego tygodnia.

Najmłodsza córka Ginny nadal spędzała w kuchni wiele godzin, wymyślając sobie najróżniejsze zajęcia. Gdyby tego nie robiła, miałyby za dużo czasu na myślenie, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Na szczęście Gwen to zrozumiała i nie wyganiała jej z kuchni. Ona także pracowała ile sił. Dopilnowała wszystkich drobiazgów, które przeoczyły Karolina i Aneta. Dyskretnie sprawdzała, czy Lea radzi sobie ze wszystkim w kuchni, po czym odchodziła zająć się swoimi sprawami.

Lea gotowała właśnie zupę z chili na następny dzień. Przygotowywała wędzonego łososa w sosie koperkowym, kompot i naleśniki...

- Cześć. Dźwięk jego głosu znów spowodował, że lekko zadrżała.

- Cześć - odparła bez podnoszenia głowy. Kroiła grzyby. Ta robota wymagała skupienia.

- Nie jesteś zmęczona?
- Nie, wszystko w porządku.
- Twoje siostry niepokoją się o ciebie.
- Czy to one cię tutaj przysłały?

- Nie musiały przysyłać, sam też się martwię. Mamy już całą górę jedzenia. Nie musisz się teraz tym zajmować.

- Zaprosiliśmy całe miasteczko. Jeżeli oni przyjdą tu zaraz po pogrzebie, będziemy potrzebować jeszcze więcej jedzenia.

- Oni też jeszcze coś przyniosą. Julia przygotowała całą ciężarówkę prowiantu.

- Matce spodobałaby się ta stupa... - Lea powiedziała to piskliwym głosem, bliskim hysterii. Coś pomiędzy śmiechem a płaczem. - Ulubioną rozrywką mamy było chodzenie na bale i wydawanie przyjęć.

Jesse podszedł bliżej. - Podobałoby jej się to wszystko, co zrobiliście - rzekł. - Ale mama też by chciała, żebyś wreszcie trochę odpoczęła.

- Muszę to zrobić teraz - upierała się. - Nie mam czasu. Potem jeszcze muszę się zająć kwiatami.

- Kwiaty to moja sprawa.

- Ale ja też chcę. Podniosła wzrok znad grzybów. Był ubrany porządnie.

Odpowiednio. Szare spodnie i sweter. Wszystko dobrej firmy, doskonałej jakości. Dokładnie w tym stylu, jaki pasował do Jean - Paula czy do Bena.

Chciała powiedzieć mu coś miłego, ale głos ugrzązł jej w gardle.

- Co mówisz?

Odchrząknęła. - Nie wyglądasz jak ogrodnik. Ostatnio również nie zachowywał się jak ogrodnik.

W ciągu ostatniej doby dyskutował z Benem o sztuce. Debatował z Jean - Paulem na temat ekosystemu. Zabrał dzieci Anety na wycieczkę na skały, żeby rodzice mogli trochę odetchnąć.

Okazał się mężczyzną, który potrafi przystosować się do nowej sytuacji. Zazdrościła mu tej elastyczności. Zawsze obawiała się zmiany warunków, konieczności podejmowania ryzyka.

Miłość do Jessego budziła w niej lęk. To jednak okazało się silniejsze od niej. Nie mogła na to nic poradzić. Jesse przyciągał ją jak magnes. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, a poszłaby za nim w ogień.

To ją przerażało. Chciała jak najdłużej zachować komfort niemyślenia o przyszłości. - Co sądzisz o mojej rodzinie?

- Mili ludzie.

- Czasem okropnie silni, potężni...

- Nie wydaje mi się.

- Myślę, że tak.
- Niepotrzebnie porównujesz się z nimi. Jesteś inna, Leo, delikatniejsza. Jakby stworzona do tych skał, do tego ogrodu.
- Moi przyjaciele w Waszyngtonie nie zgodziliby się z tobą. Jestem zapraszana na najlepsze elitarne imprezy.
- Nie dziwię się - rzekł z uśmiechem.
- Jesse, to nie przyjęcie, to pogrzeb. To się nie liczy.
- Mogłabyś raz w miesiącu organizować wielki bal dla całego miasteczka. Na jeden dzień otwierać Gwiazdny Zakątek dla wszystkich.
- Przecież na stałe mieszkam w Waszyngtonie.
- Nie musisz tam mieszkać.
- Chcę tego.
- Na pewno? - zapytał ciepło. Pocałował ją w czoło, po czym wyszedł z kuchni.

Nadszedł poniedziałek. Piękny czerwcowy dzień.

Lea wstała wcześniej. Nacięła kwiatów. Udekorowała mieszkanie. Miała dobry gust i sprawne ręce. Podobało jej się własne dzieło.

Odczuwała zmęczenie. W nocy prawie nie spała. Gotowała do późna, a potem siedziała u siebie w sypialni przy oknie. Z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ciemność. W końcu dała za wygraną i pobiegła przez trawnik do Jessego. Tam też nie spała. Nie mogła.

Przed jedenastą przybyli pierwsi goście z lotniska z Portland. Posadzono ich na werandzie. Lea przyniosła ciasteczka i kawę. Zaraz potem nadjechali miejscowi. Przed dwunastą pojawił się pastor. Przybył karawan. Trumnę przeniesiono na mały cmentarzyk, gdzie spoczywał Will. Postawiono w miejscu, gdzie obficie kwitły polne róże.

W południe, gdy słońce stanęło wysoko nad głowami, pastor wypowiedział kilka ciepłych słów. Pobłogosławił zgromadzonych.

Lea prawie nie słuchała pastora, pogrążona we własnych myślach. Zastanawiała się nad istotą miłości, nad tragedią rozłąki z najbliższymi. Łzy napłynęły jej do oczu, świat rozpląnął się gdzieś we mgle.

Przyłożyła chusteczkę do twarzy, delikatnie wspierając się o ramię Jessego. Był ciepły i cudownie żywy, jak nic innego na tym małym cmentarzyku. Z przyjemnością przytuliła się do niego, nie

przejmując się zupełnie, co powiedzą inni. Mogli gapić się na nią, robić jakieś plotki. To nie miało najmniejszego znaczenia.

Po pogrzebie znów była gospodynią. Miała już w tym tak wielką wprawę. Urządzała w życiu setki wystawnych przyjęć. Teraz też swobodnie witała gości. Z każdym zamieniła kilka uprzejmych słów. Patrzyła, czy nikomu nie brakuje jedzenia, czy kieliszki nie stoją puste. Później nie potrafiłaby sobie przypomnieć, z kim rozmawiała i co sama jadła. Pozostał jej w pamięci przeraźliwy żal, jaki odczuła w momencie, kiedy trumnę z matką opuszczono do ziemi. I nie mogła zapomnieć gorącego, serdecznego uścisku, jakim obdarzył ją wtedy Jesse.

Bardzo potrzebowała tego gestu.

Zmęczona po upiornej nocy, kiedy próbowała zasnąć, zwalczyć rozpacz, pragnęła jego ciała, poczucia bezpieczeństwa, jakie jej dawał. Pamiętała, jak smutek stał się w nocy zupełnie nie do wytrzymania. I chatkę Jessego, raj, w którym mogła się wtedy schronić. Gdy znajdowała się w jego ramionach, zło zdawało się tracić swoją moc. Zwyciężało dobro, miłość, bezpieczeństwo, ekscytacja.

Nawet tam jednak nie potrafiła zasnąć.

Poranek nadszedł nieproszony. Wróciła do domu wziąć prysznic. Włożyła czyste dzinsy i świeżą podkoszulkę. Nie miała siły na robienie makijażu. Nie chciało jej się czesać. Przeciągnęła włosy szczotką i mokrą ręką odgarnęła z czoła.

Potem poszła do kuchni. Jej siostry już tam urzędowały.

Pozwoliła, żeby Aneta zrobiła śniadanie, a Karolina zaparzyła herbatę. Wcisnęła się w kąt sofy, z obolałymi kośćmi, emocjonalnie wyczerpana. Wtuliła głowę w oparcie, podwinęła nogi i przymknęła oczy.

- Czy dobrze się czujesz, ciociu? - zapytała córka Anety. Otworzyła oczy. - Tak, oczywiście. - Posłała Devon słaby uśmiech.

- Wyglądasz, ciociu, na smutną i zmęczoną.

- Bo tak się właśnie czuję.

- A może chcesz herbaty?

- Wiesz co, to dobry pomysł. Niedługo potem dostała do ręki kubek z gorącą herbatą.

Devon wróciła do kuchni. Zapanowała cisza. Potem Lea usłyszała szum wody przelewającej się w zmywarce. Później jakieś kroki... Ktoś usiadł przy niej na sofie.

- Lea? Możemy porozmawiać? - To był głos Karoliny, ale Lea czuła, że w pokoju jest jeszcze ktoś. Otworzyła oczy. Ujrzała Anetę, siedzącą obok przy małym stoliku.

Powiodła wzrokiem po ich twarzach. - O co chodzi? Czy to coś poważnego?

- Bardzo poważne - potwierdziła Aneta. - Ty i Jesse... Lea znowu przymknęła oczy. Nie była przygotowana na poważną rozmowę. Szczególnie na tak osobisty temat. Nawet sama nie mogła o tym myśleć. Widziała go ostatnio nagiego w łóżku, tak wspaniale męskiego. Bała się zastanawiać się teraz nad przyszłością.

Karolina trąciła ją kolanem. - Nie obrażaj się. Jesteś naszą siostrą. Twoja przyszłość to także nasza sprawa.

- Nie martw się. Poradzę sobie.

- Jesteśmy twoimi siostrami. Twoją najbliższą rodziną. Kto inny miałby się troszczyć o ciebie?

- Ta sama osoba co zawsze. To znaczy ja.

- Tak, ale widać po tobie, że masz problem. Potrzebna ci pomoc.

- Sama nie dasz sobie z tym rady, Leo - wtrąciła Aneta.

- Może mogłybyśmy ci coś doradzić. Lea pomyślała, że może Ellen McKenna potrafiłaby pomóc. Zawsze mówiła, że do wszystkich spraw w życiu należy zachować właściwy dystans. Dopiero wtedy można wyrobić sobie obiektywne zdanie na dany temat. Ale Lea nie umiała być obiektywna, kiedy chodziło o Jessego. Wzruszał ją do głębi.

- Jestem zmęczona - powiedziała. Chciała, żeby już sobie poszły. Przynajmniej tak jej się wydawało. Ale nie można tak odpychać osób wyrażających troskę, oferujących miłość. Nawet jeżeli posunęły się za daleko, wkraczając w jej prywatność. Chciała jednak, żeby zostawiły ją samą. Przynajmniej na chwilę.

Kiedy nikt nic nie powiedział, pomyślała, że może sobie poszły. Jednak gdy otworzyła oczy, ujrzała, że patrzą na nią wyczekująco. Westchnęła. - Czego ode mnie chcecie?

- Chcemy, żebyś podjęła decyzję.

- Wydaje mi się, że chcecie, żebym podjęła taką decyzję, którą wy już podjęłyście. To jednak nie tak łatwo. Nie jesteście mną. Nie macie pojęcia, czego ja oczekuję od życia. Nie możecie decydować za mnie, czy Jesse jest dla mnie odpowiednim partnerem.

- Jest dla ciebie odpowiedni - upierała się Karolina.

- Skąd wiesz? - zapytała Lea. Rozpaczliwie pragnęła, żeby ktoś ją przekonał.

- Patrzy tylko na ciebie.

- Na Boga, Karolino, to jeszcze nie wystarczy do wydawania takich opinii.

- Na pewno wystarczy.

- Może to tylko sugestia. Naturalny odruch naśladowania ojca.

- Lea! - syknęła Aneta. - Sama wiesz, że to nie żaden odruch. Jesse jest zbyt normalny, racjonalny. Ma na to za dużo zdrowego rozsądku.

Lea wiedziała o tym już przedtem. Przymknęła oczy i wtuliła się głębiej w sofę.

- Nie unikniesz podjęcia tej decyzji - ostrzegła Karolina. Otworzyła gwałtownie oczy.

- Dlaczego nie? A ty możesz zwodzić Bena przez cały czas?

- Nie mogę - zgodziła się Karolina.

- Czy ty... zdecydowałaś? - zapytała Aneta z niebotycznym zdumieniem.

Karolina poprawiła włosy. Ułożone były doskonale, nie było co poprawiać. - Chyba tak. Wydaje mi się, że powinniśmy wreszcie to zrobić. Nic wielkiego... nie żadna huczna ceremonia. Po prostu rejestracja w urzędzie.

- I żadnej sukni do ziemi ani długiego welonu? - upewniła się Aneta. I tak była zadowolona. Lea także się ucieszyła. Ben to wspaniały człowiek. Od dawna darzył Karolinę wielką, prawdziwą miłością.

- A co z twoją firmą? - zapytała Lea, przypominając sobie aż za dobrze wszystkie wcześniejsze dyskusje. - Zawsze mówiłaś, że nie mogłabyś pogodzić małżeństwa z pracą w firmie.

- Nadal tak uważam.

- W takim razie co zamierzasz zrobić? Karolina zastanowiła się jeszcze przez chwilę. Potem wstała z sofy i podeszła do kuchennego telefonu.

Lea słyszała, jak wykręca numer. Sygnał. Następnie głos w słuchawce: - Kancelaria adwokacka Grahama Howarda.

- Tu Karolina St. Clair. Czy mogę prosić z szefem? Karolina przełożyła słuchawkę do drugiej ręki, po czym mrugnęła porozumiewawczo do Lei i Anety.

- Co robisz? - zapytała Lea. Najstarsza przygryzła wargę.

- Karolino! - ostrzegła Aneta. Najstarsza złożyła ręce na piersiach.

- Karolino! - krzyknął Graham. Mówił podniesionym głosem, słysząc go było zarówno w kuchni, jak i w jadalni.

- Nie przekazano ci wiadomości ode mnie? Od wczoraj usiłuję cię złapać. Chciałem, żebyś już dzisiaj była w biurze.

- Był zirytowany, nieprzyjemny.

- A czy ty nie dostałeś ode mnie wiadomości? - zapytała Karolina.

- Ach, tak, oczywiście. Przykro mi z powodu twojej mamy. Wiesz jednak... to sytuacja wyjątkowa. Mamy straszny problem ze sprawą FenCorp. Pete Davis, który od wielu miesięcy reprezentuje korporację, ma pewien kłopot natury osobistej...

- Jakiego rodzaju?

- W zasadzie nie jest to nic szczególnie ważnego. Tutaj jednak mogłoby to wprowadzić dodatkowe komplikacje...

- Jakiego rodzaju? - powtórzyła. Graham westchnął.

- Przyłapano go na gorącym uczynku. W łóżku z kobietą. To naprawdę nic...

- Z kobietą, która nie jest jego żoną?

- Tak. Fatalna pomyłka w doborze partnerki. Ta dziewczyna ma powiązania z rządem i sprawa wygląda nie najlepiej. Miejsce i czas tego wydarzenia również były wyjątkowo źle dobrane. Nie stanowiłoby to żadnego problemu, gdyby nie to że „Sun Times” podał nazwiska w kronice towarzyskiej. FenCorp może stracić wszystko z tego powodu i potrzebna jesteś do obrony. Peter wykonał już niemal całą robotę, powie ci dokładnie, co powinnaś robić.

Karolina podeszła parę kroków w stronę Lei i Anety. Zakryła słuchawkę dłonią. - To doskonały przykład, jak oni mnie traktują - mruknęła. - Tego mężczyzny nie obchodzi, że umarła moja matka. Nie ma żadnych skrupułów, że psuje mi wakacje. Nie przejął się ani trochę, gdy jeden z kolegów ukradł mi klienta. Ma moralność świni.

- Jesteś tam jeszcze, Karolino? - zapytał Graham.

- Tak, słucham.

- Musisz wziąć tę sprawę... Wiesz co, połączenie nie jest najlepsze, słyszę w słuchawce jeszcze jakieś głosy... Zrób tak: po prostu wsiadaj w samolot i zaraz tu przyjeżdżaj...

- Przykro mi, Graham, mam teraz urlop.
- Potem możesz wziąć sobie kilka dni wolnych.
- Zostało tu jeszcze wiele spraw związanych z pogrzebem.
- To zrozumiałe i ładnie, że o tym myślisz. Powinnaś jednak czuć się odpowiedzialna wobec swojej firmy.

- Dbam o wasze sprawy tak samo, jak wy o moje.
- Chyba nie możesz narzekać. Zawsze myślimy o tobie.
- Akurat w to uwierzę. Zarabiacie na mnie kupę szmalu. I to od samego początku. Przyszłam do was już z praktyką, nie żadna głupiotka stażystka. Nikt nie musiał przyuczać mnie do zawodu. A i tak kazałeś mi czekać na awans dłużej niż innym. Krytykowałeś mnie nieustannie... Nie zaprzeczaj teraz, Graham, dosyć się nasłuchałam.

- Może dla twojego dobra - burknął. - Rozumiem, że masz problem, ale nie wyraziłaś tego klarownie...

- Dobrze, wyrażę to tak jasno, jak tylko można... - Spojrzała znacząco na Leę i Anetę. - Zadzwoiłam, żeby cię poinformować, że rezygnuję ze współpracy.

Przez moment Graham nie umiał znaleźć odpowiedzi. Zapadła kłopotliwa cisza. Potem przybrał protekcyjny ton. - Jesteś zdenerwowana, ulegasz emocjom. To trudny dla ciebie okres, mogę to zrozumieć.

- W tej chwili - Karolina wygodnie oparła się o stół kuchenny - czuję się doskonale.

- Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli porozmawiamy o tym dziś po południu.

- Nie, Graham. Porozmawiamy w następny poniedziałek, kiedy wrócę do biura i jedynym tematem naszej rozmowy będzie ustalenie, którzy klienci zostają dla ciebie, a którzy przechodzą do mnie. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się szeroko.

- Teraz naprawdę czuję ulgę. Lea była zdumiona.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

- Czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? - zapytała Aneta.

Karolina uśmiechnęła się. Lekko kiwnęła głową. - Teraz będą robić wszystko, żebym u nich została.

- Żebyś została - powtórzyła Lea jak echo. - A ty i tak odejdziesz. I co potem?

Karolina podeszła do sofy. - Nie jestem pewna... Chyba moja własna firma... Tak, to brzmi dobrze. Moja firma, moje godziny, moi ludzie. Wreszcie będę mogła żyć zgodnie z własnymi zasadami. Tak, jak sama będę chciała.

Lea spojrzała pytająco na Anetę. Z tego, co wiedziała, Karolina zawsze kierowała się własnym zdaniem.

Karolina zrozumiała to spojrzenie. - Śmieszne, jak można narzucić ludziom własną wizję. Myślałam, że kieruję się swoimi zasadami. Tymczasem byłam kompletnie uzależniona od firmy. Wyobrażałam sobie, że jestem prawnikiem - kobietą, która podbija świat, a cena, jaką za to płaciłam, okazała się zbyt wysoka.

- Ben? - zapytała Aneta.

- Ben, matka... i nawet wy. Wy też.

Lea wydawała się oszołomiona. Czy to ta sama arogancka, despotyczna Karolina? - Ale... ty jesteś... zawsze byłaś zaganiana, zapracowana... Na nic nie miałaś czasu. Czy potrafisz zmienić to tak od razu?

Karolina spojrzała w okno. Potem wbiła wzrok w podłogę. Okrzyknęła sofę i wreszcie usiadła.

- To jakoś przestało mieć sens. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ambicje zawodowe zawsze wydawały mi się ważniejsze niż prawdziwe życie? - powiedziała cichym głosem.

- Ważne jest to wszystko, co masz wokół siebie - rzekła Aneta.

- Teraz, kiedy mama nie żyje, nie mam już ochoty na żadne ambicje zawodowe. Może to był tylko bunt, a teraz nie mam przeciwko komu się buntować? Tak irytował mnie jej styl życia.

Lea nie mogła w to uwierzyć. Czy to ta sama, wiecznie zajęta Karolina?

- Nie byłabyś w tym taka doskonała, gdyby tak było. Jesteś najstarsza. Najstarsi zawsze muszą najciężej pracować - pocieszyła ją.

- To tylko moja natura. Cokolwiek robię, muszę iść na całego i doprowadzić rzecz do perfekcji. Może i ma to jakieś plusy. Jeśli założę własną firmę, przyda mi się ten perfekcjonizm. Czuję jednak różnicę. Inaczej do tego podchodzę. Nie muszę już matce niczego udowadniać.

Oczy Karoliny zasnuła mgła. Lea pociągnęła nosem. Wyjęła chusteczkę.

- Matce pewnie o wiele bardziej podobałoby się to, co robię teraz. Chciała, żebym wyszła za mąż. Odkąd dowiedziałam się o Willu, mogę sobie wyobrazić, jak ucieszyłaby się z mojego ślubu z Benem.

Lea pomyślała o Jessem. Tak, matka byłaby zachwycona, gdyby związała się na stało z Jessem. Ale to życie Lei, nie jej matki. Sama o nim decyduje.

Karolina z filisterskim uśmiechem poklepała Leę po kolanie. - Teraz kolej na ciebie.

- Może jeszcze przez chwilę będziemy się pławić w twoim szczęściu - zaproponowała Lea.

- Teraz kolej na ciebie - powtórzyła Karolina. - My chcemy twojego szczęścia.

- Sama potrafię o to zadbać.

- Chcemy ci pomóc - przyłączyła się Aneta. - Mama nie żyje. Jesteśmy teraz twoją najbliższą rodziną.

- Matka nigdy w niczym mi nie pomagała - przypomniała jej Lea.

I już po chwili opuściła głowę pod ciężarem spojrzenia Karoliny.

- W takim razie bądźmy lepsze niż ona. W końcu łączy nas wspólna przeszłość.

- Och, tak. Ale co robić, żeby postępować lepiej niż ona? - Lea nadal nie wiedziała, czy lepiej by było, gdyby Ginny porzuciła wszystko i została z Willem. Nie miała pojęcia, czy w ten sposób Ginny byłaby szczęśliwsza. Żadna z nich nie mogła tego wiedzieć.

- Czego się boisz? - zapytała Karolina. Westchnęła. - Przegranej.

- Ale jeżeli go kochasz... - zaczęła Aneta. Lea posłała jej błagalne spojrzenie. - Miłość jest dobra dla ciebie. Mnie nigdy się z tym nie udawało.

- Może tym razem się uda. Przynajmniej spróbuj.

- Jeśli przegram, to mnie zniszczy.

- Bo kochasz go tak bardzo?

- Bo kocham go tak nieziemsko, dziwnie. To jest inne od wszystkiego, co kiedykolwiek czułam. Śmiertelnie się tego boję.

- Czy dlatego, że on żąda ciebie całej?

- Czy dlatego, że jest tak nierealne?

- Bo ten głód wzmacnia się. Chcę więcej i więcej, i to wydaje się nie mieć końca. I co ja mam z tym wszystkim zrobić? Nie mogę tak po prostu porzucić swojego życia

- płakała Lea.
- Matka mówiła to samo - jęknęła Aneta.
- To jest chorobliwe - zauważyła Karolina. - Dlaczego miałyby być zawsze wszystko albo nic? Mnie się wydawało, że jeśli chcę być prawnikiem, nie mogę mieć nic poza tym. Aneta myśli, że jeśli jest matką i żoną, to już nie ma prawa do własnego życia. Przecież zawsze można być trochę tym, a trochę tamtym. Dlaczego, Leo, sądzisz, że musisz wybierać, czy Waszyngton, czy Maine? Dlaczego nie może to być jedno i drugie?
- Bo trochę mi nie wystarcza! - krzyknęła Lea.
- Zgoda. Możesz mieć dużo tego i dużo tamtego.
- Nie mogę. Nie mam na to siły.
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem.
- Czy byłaś kiedyś zmęczona?
- Nie wiem. Na pewno nie. Przecież nigdy przedtem nie spotkałam kogoś takiego.
- On jest twoim przeznaczeniem - powiedziała Aneta.
- Nie broń się przed tym. Lea zaśmiała się nerwowo. - Nie wiem, jak bym to zniosła.
- Bo boisz się przegranej!
- Przecież sama wam mówiłam, że się boję! - krzyknęła. Energicznie podniosła się z sofy.
- Lea!
- Nie wychodź!
- Potrzebuję powietrza. Słyszała ich kroki. Siostry szły za nią.
- Lea, musimy o tym porozmawiać.
- Chcemy ci pomóc. Odwróciła się. Lekko uniosła dłoń. Zatrzymały się.
- Muszę to przemyśleć. Proszę, dajcie mi trochę czasu. Z pewnymi oporami, ale wreszcie dały jej spokój.
Przebiegła przez taras. Nie miała jeszcze żadnych planów, gdzie iść. Instynkt prowadził ją przez nierealny, zamglony świat. Bose stopy rytmicznie uderzały o trawę.
Kocham go, pomyślała.
Ale moje życie jest w Waszyngtonie.
Mogłabym tutaj gotować, zajmować się ogrodem. Kocham kwiaty. Mogłabym dziergać Jessemu sweterki.

Nie umiem robić na drutach.

Mogłabym się nauczyć, ale gdyby się okazało, że nie mam do tego zdolności, Jesse byłby niezadowolony.

Nie chciałabym go rozczarować. Kocham go.

Zacząła biec. Zwolniła na kamiennej drodze, potem znowu wybiegła na trawę. Czowała się wolna. Pozostawiła dom daleko za sobą. Minęła zagajnik, rabaty, słoneczniki, róże... Zeszła na dół po skałach i zatrzymała się na polanie.

Potem znowu skierowała się w stronę lasu. Świat wyłaniał się z mgły nierealny, bajeczny. Odnalazła ścieżkę i szła, czując pod bosymi stopami sosnowe igły i korzenie drzew.

Resztkami sił dotarła do łąki. Słaniała się na nogach. Myślała już tylko o tym, jak piękne są polne kwiaty we mgle. Z wysiłkiem zrobiła jeszcze parę kroków. Usiadła w barwnym morzu łąki.

Wreszcie czuła spokój. Serce zwolniło rytm.

Położyła się na boku, nie patrząc na to, że wszystko wokół jest wilgotne. Leżała wśród kwiatów.

Zamknęła oczy. Wciągnęła głęboko do płuc powietrze, przesycone zapachem ziół.

Zmorzył ją sen.

Waszyngton był gorący i wilgotny. Musiała czekać na taksówkę prawie dwadzieścia minut. Stała, dusząc się ciężkim powietrzem, w niewygodnych miejskich ciuchach, spódnicy cisnącej w pasie i twardych pantoflach. W taksówce nie było klimatyzacji i z powodu prezydenckiej kawalkady nie mogli przejechać przez most Arlington.

W mieszkaniu panował zaduch. Okazało się, że podczas jej nieobecności nawaliła klimatyzacja. Natychmiast zadzwoniła do firmy usługowej, ale wszyscy robotnicy byli już w terenie. Obiecali naprawić następnego dnia.

Zrezygnowana wzięła prysznic. To przyniosło ulgę. Potem jednak poczuła, że świeżo zrobiony makijaż topi się z gorąca. Włosy nadal nie chciały jej słuchać, skręcały się w loki. Odgarnęła je do tyłu, spięła klamrą, ale pojedyncze kosmyki wymykały się z uwięzi. Zmoczyła je, przygładziła. Wyszły i zrobiło się jeszcze gorzej. Spróbowała żelem. Pomogło najwyżej na pięć minut. Zerknęła do lusterka. Członek zarządu Towarzystwa Walki z Rakiem w żaden sposób nie może tak wyglądać.

Włożyła ciemne okulary, miękki słomkowy kapelusz i zamówiła taksówkę. Fryzjerka przygładziła włosy na mokro, a potem... nie pytając, bez słowa ostrzeżenia, wzięła nożyczki i je podcięła. Lea zamarła ze zgrozy.

Odwracając twarz od lustra, próbowała pocieszyć się makijażem. Ale kosmetyczka zrobiła jej rumiane policzki i marchewkowe usta. Lea była przerażona. Nigdy nie kładła różu na policzki. Tak samo nie używała marchewkowej szminki.

Nie mogła zrobić awantury. Nawet gdyby potrafiła. O czymś takim od razu dowiedziałoby się całe miasto i plotkom nie byłoby końca. Osoba na stanowisku musi dbać o reputację. Po czymś takim usunięto by ją z listy A na długo.

Pomyślała z goryczą, że to nie była żadna lista A. Może też nie A minus, ani nawet B plus. Przecież nigdy nie zapraszano jej do Białego Domu.

Czuła się okropnie. W straszliwym nastroju dotarła do budki telefonicznej. Wykręciła numer Susie MacMillan.

- Tu rezydencja Susie MacMillan.
- Czy mogę mówić z panią MacMillan?
- Przykro mi, ale pani MacMillan nie ma w domu.
- Tu mówi Lea St. Clair. Susie miała wczoraj wrócić z wakacji.
- Wróciła, ale niemal od razu skorzystali z zaproszenia państwa Dunkirk. Wróci dopiero w poniedziałek.

Lea wyjęła następną monetę i zadzwoniła do Jill Prince. - Jill, tu Lea. Właśnie wróciłam do miasta i topię się z gorąca. Mam nadzieję, że na obiedzie w Occidental będzie trochę chłodniej. Nie chciałybyś się lam ze mną spotkać?

- Przykro mi, Leo, ale nie mogę. Zaraz zwali się do nas tłum gości. Przepraszam, nie zapraszałam cię. Nie myślałam, że przyjedziesz tak szybko. A teraz... Wiesz, jak to jest. Stół już jest nakryty, rozmieściłam wizytówki i liczba gości jest parzysta... Rozumiesz?

- Oczywiście, rozumiem. Zdzwonimy się innym razem.

Czuła się obrzydliwie. Jak osoba drugiej kategorii. Wrzuciła następną monetę. Tym razem zadzwoniła do Moniki Savins. Monika była rozwiedziona. Przynajmniej nie będzie problemów w parzystą liczbą gości.

- Hej, Monika! Jak się masz?

- Lea? O Boże, Leo, jak dobrze, że dzwonisz. Musimy porozmawiać. Nie mogę uwierzyć, że wróciłaś do miasta. Pomożesz mi, prawda? Z nieba mi spadasz. Narobiłam sobie na wieczór niezłego bigosu... Miałam randkę z Davidem. Znasz Davida, prawda? Pracuje w sądzie. I potem miałam telefon od Michaela... Nie znasz Michaela. On jest z Administracji i zaprosił mnie do Białego Domu. To będzie spotkanie w małym gronie. Prezydent, jego żona, David, ja i jeszcze parę osób. Tylko że David czeka na mnie w ambasadzie Boliwii. Mamy pójść na kolację i zupełnie nie wiem, co z nim zrobić. Będzie wściekły, jak go wystawię. Znasz go, Leo. Może chciałabyś pójść z nim na obiad?

Lea знаła go aż za dobrze. Miał nadwagę i nie mówił o niczym innym, tylko o prawie. Pocił się straszliwie i palił papierosy.

- Przepraszam, Moniko, nie mogę. Mam inne plany. Może Donna Hauntington mogłaby ci pomóc.

Wrzuciła następną monetę i wykręciła jeszcze jeden numer.

- Cześć Ellen, potrzebuję twojej pomocy.

- Wydaje mi się, Leo, że tym razem sama wiesz, co masz zrobić.

- Nie potrafię spojrzeć na to obiektywnie. Nigdy nie myślałam, że spotkam kogoś takiego jak Jesse.

- O co chodzi, Leo? Czy zaszłaś w ciążę?

- Nie, broń Boże.

- To po co dzwonisz?

- Nie potrafię podjąć decyzji.

- Na pewno potrafisz. Przedtem nie udawało się, bo za bardzo chciałaś być zakochana. Słuchałaś tylko głosu serca. Nie chciałaś czekać. Niecierpliwiłaś się. Teraz słuchasz i serca, i rozumu. Sama możesz podjąć decyzję. Umiesz już sama pokierować swoim życiem.

- Jestem złym kierowcą. Ellen westchnęła. - Nie mam teraz na to czasu, Leo.

Czekają na mnie pacjenci. Oni mnie potrzebują. Zresztą tobie nie jestem już potrzebna...

Lea usłyszała sygnał. Rozmowa została przerwana. Poczowała się porzucona, odtrącona. Odłożyła słuchawkę. Przewiesiła torbę przez plecy i ruszyła pieszo ulicą. Włosy znowu zaczęły się skręcać, makijaż topił się z gorąca. Nie mogła znaleźć taksówki. Na Connecticut Ave nie było ani jednego wozu. Doszła pieszo aż do

Dupont Circle. Tam dopiero wsiadła do taksówki. Cała opływała potem. Poszła prosto do domu wziąć prysznic.

Otulona w ręcznik siedziała w swoim pokoju bardziej samotna i opuszczona niż kiedykolwiek przedtem. Ktoś zadzwonił do drzwi. Pełna nadziei pobiegła i zajrzała przez wizjer. Dolatujący przez drzwi zapach wystarczył za wszystko. Nie zdziwiła się, gdy ujrzała tłustą twarz błyszczącą od potu.

Usiadła przy drzwiach, przyciskając kolana do piersi. Drżała mimo panującego upału.

Nie za ciepło, nie za zimno. Akurat! Coś tu nie pasowało. Czyżby naprawili wreszcie klimatyzację? Bose stopy, gołe ramiona...

Leżała na boku. Otworzyła oczy i ujrzała dzikie kwiaty, wysokie trawy. Łąka.

Poczuła ulgę. Nic Waszyngton, ale Downlee. To był tylko koszmarny sen. Nie upał, lecz mgła. Ścieżka wiodąca wśród sosen, nie zaś asfaltowe, zatłoczone ulice. Nie parki miejskie, w których zawsze roi się od zbrojców, ale wielka łąka pełna kwiatów. Nic David, lecz Jesse.

Jesse.

Usiadła. Odgarnęła włosy. Znowu miała loki.

To było naturalne, pasowało i do niej, i do tego miejsca. Nie rozumiała, dlaczego walczyła z tym tak długo. Nie miała żadnego powodu.

Pachniało ziołami. Kochała ten zapach. Podniosła głowę i ujrzała Jessego. Siedział parę metrów od niej i przyglądał jej się z uwagą.

Wstała i ruszyła ku niemu, nie spuszczając z niego wzroku. Potem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie chcę być tam - szepnęła. - Chcę być tutaj.

- Przecież twoje życie jest w Waszyngtonie - uśmiechnął się. Tyle razy mu to powtarzała.

- Tam była tylko bezstresowa vegetacja. Prawdziwe życie jest tutaj. - Przypominała sobie wszystkie szczegóły swojego snu.

- Downlee jest tylko małym, prowincjonalnym miasteczkiem - ostrzegął ją Jesse.

- Nie jest prowincjonalne. Jest po prostu małe. Ale mnie się podoba.

Tak, każdy tutaj wiedział wszystko o każdym. Wyczuwało się w tym jednak jakąś troskę o innych, jakby stanowili wielką rodzinę. Nie ten rodzaj plotek co w Waszyngtonie.

- Będziesz się nudzić.

- Jak mogłabym się nudzić w miejscu, gdzie sprzedają ekspresy do parzenia cappuccino? To raczej w Waszyngtonie nie miałabym co robić. Tutaj jest tyle ciekawych rzeczy. Powiedziała prawdę. Z zachwytem spojrzała na przystojnego mężczyznę, który był przy niej. W jego oczach błyszczało słońce. Wiedziała, że ma rację. Nudzić się? Nigdy! Nie tutaj!

Delikatnie położyła palec na jego ustach. Uśmiechnęła się.

Rozdział 22

Wendell Coombs usadowił się z naburmuszoną miną na lewym końcu ławeczki. Bolały go kości. Na pewno nie był to dla niego dobry dzień. Cały ostatni tydzień, a nawet ostatni miesiąc nie czuł się dobrze. To wszystko, co działo się w Downlee, nie mogło mu się podobać.

Podniósł do ust swój stary, wysłużony kubek. Skrzywił się. Nie pociągnął ani łyka. Odstawił kubek.

Miał tam sok warzywny. Wendell nie znosił soku z warzyw. Przez całe życie pił kawę, którą parzyła mu Mavis. Prawdziwą, czarną kawę bez żadnych dodatków.

Zerknął na prawą stronę ławki. - Witaj, Clarence.

- Witaj, Wendell. Świat się zmienił. Dziś nikt już nie parzy tak dobrej kawy jak Mavis. Wszędzie dodają do tego jakieś świństwa. Ale Mavis zamknęła gospodę i poszła do Bangor do domu starców.

Wendell zastanawiał się, czy kiedyś jego będą chcieli wysłać do domu starców. Ta myśl napawała go obrzydzeniem. Choć, z drugiej strony, życie w Downlee również nie było wesołe. Miasteczko schodziło na psy.

- Słyszałeś wieści? - zwrócił się do Clarence'a.

- Zależy które.

- One nie będą sprzedawać Gwiazdnego Zakątka - burknął.

- Tak, wiem. Spojrzał na Clarence'a ze zdziwieniem. - Skąd wiesz?

- Łatwo się było domyślić.

- Głupio robią, gdyby mnie ktoś o to pytał. To złe miejsce.

- Było zaniedbane, to prawda. Ale pani St. Clair doprowadziła je do dawnej świetności. Możliwe nawet, że dom urządzony jest jeszcze lepiej niż kiedyś.

Nie tylko Clarence tak uważał. Cal, Gus i Eddie mieli na ten temat podobne zdanie.

- Wszystko w białym drewnie i ze szkła - mrucał Wendell. - Cudaczne dywaniki, idiotyczne jedzenie.

- Przecież nie musiałeś tego oglądać.

- Owszem, musiałem złożyć kondolencje. To był mój obowiązek. Clarence oczyścił fajkę. Wyjął woreczek z tytoniem.

- Mój brat Barney mówił, że pogrzeb kosztował ponad dziesięć tysięcy dolarów - powiedział Wendell.

- Niemożliwe.

- Możliwe. Większość z tego dostał pastor za to, że dobrze o niej gadał.

- Przecież nie zażądał tyle. Po prostu ludzie dużo mu dali na tacę.

- Im więcej mu dali na tacę, tym lepiej o niej mówił. Może zapłacili mu całą dychę. Nie wszystko, co gadał, miało sens. I nie podoba mi się to, co ona zrobiła z Gwiazdowego Zakątka. Nie podoba mi się, gdyby mnie ktoś o to pytał.

Clarence napełnił fajkę tytoniem.

- To nie wygląda tak źle.

- Porozmawiamy o tym za pięć lat. Ciekaw jestem, czy nadal będziesz uważał, że Gwiazdny Zakątek nie wygląda źle.

Clarence włożył fajkę do ust. Woreczek z tytoniem schował do kieszeni.

- Jej śmierć to znak od Boga - ostrzegł Wendell. - Ledwie postawiła nogę w tym domu i już trup. Powinny to sprzedać.

Clarence wyjął zapalniczki. Zapalił, poczekał aż tytoń się zajmie. - Ludzie w Downlee tak nie myślą.

- Co za ludzie? - oburzył się Wendell. - Przecież w porównaniu z nami to dzieciaki. I artyści. I komputery.

Clarence był zmęczony wysłuchiwaniami ciągłych utyskiwań Wendella. Już kilka razy zastanawiał się, czy nie lepiej zostać w domu z June. Owszem, pozwalała mu tutaj przychodzić. A on za to wieszał jej pranie i pomagał w obowiązkach domowych.

Pyknął z fajki i obserwował jasny strumień dymu.

- I co nic nie gadasz? - skrzywił się Wendell.

- W Gwiazdowym Zakątku nie mają komputerów.

- Jeszcze nie mają.

- Czy kiedyś używałeś komputera? - zapytał Clarence. Wendell spojrzał na niego z przerażeniem. - Howard mi pokazywał, co to może robić. Też możesz zobaczyć. Lepiej nie podchodzić do tego. Diabelskie sztuczki - splunął.

Clarence wydmuchał szeroką wstęgę dymu. Patrzył na nią z zadowoleniem. Uchylił czapki, kiedy do sklepu wchodziła Callie Dalton. - Witaj, Callie.

- Witaj, Clarence. Callie zniknęła wewnątrz sklepu.

- Wstrętne babsko - mruknął Wendell. Clarence nie mógł zgodzić się z tą opinią. Callie i George czasami wpadali w gości do niego i do June. Grali w scrabble. Callie była porządną kobietą.

Wendell patrzył na niego podejrzliwie. - Może jeszcze mi powiesz, że lubisz panie St. Clair?

Clarence powiódł spojrzeniem po głównej ulicy. Było spokojnie. Spokojny poranek w Downlee. - Lubię. Nie tylko ja. Wendell, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. One są miłe.

- Musimy walczyć z czymś takim.

- Nie widzę tu żadnych wrogów.

- Czy słyszałeś, jak ubrały matkę do trumny? Clarence skrzyżował nogi.

- Pott gada, że miała kieckę żółtą i czerwoną. Biedny Will. Pott pracował w przedsiębiorstwie pogrzebowym, a zarazem był sąsiadem Wendella.

- Will nie żyje. Jego to już ani grzeje, ani ziębi.

- Nie powinna być pochowana tutaj.

- Miała do tego prawo.

- Jesse powinien temu zapobiec... - Wendell machnął ręką. - On zeni się z najmłodszą.

- Aha.

- Słyszałeś już o tym?

- Tak.

- Skąd?

- Wendell, o tym mówi całe miasteczko.

- Po co on to robi? Pott gada, że dla pieniędzy, szef myśli, że może ona jest w ciąży. Elmira gada, że to miłość, ale co tam ona może wiedzieć. Ja myślę, że on to robi po to, żeby dostać Gwiazdny Zakątek. Gdybym ja był na jego miejscu...

- Dzięki Bogu, nie jesteś - mruknął zniecierpliwiony Clarence.

- Ona nie powinna tu mieszkać. Wiesz, co ona będzie tu robić? Orgie. Pijackie i seksualne.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Clarence.

- Mój kuzyn Haskell tak gada. On jest z Waszyngtonu. Tam ciągle robią orgie pijackie i seksualne.

Clarence patrzył na jakieś auto, które jechało w stronę portu. Pomyślał, że ma już dość wysłuchiwania tych głupot. Może lepiej by zrobił, gdyby teraz poszedł na spacer do portu.

Podniósł się z ławki.

- Gdzie leziesz?

- Do portu.

- Po co?

- Odpocząć od twojego gadania, stary cepie.

- Nie podobało ci się to, co powiedziałem? Dobrze, idź sobie do portu. Zobacz, co tam się wyprawia. Buck przebudowuje doki. Szuka pieniędzy na komputery. Chce łowić ryby na komputer. Gdyby mnie ktoś pytał o zdanie...

- Na szczęście nikt cię nie pyta o zdanie, stary cepie - przerwał mu Clarence i zadowolony poszedł przed siebie.

Epilog

Rozprostowałam ramiona, przymknęłam oczy i wciągnęłam głęboko do płuc rześkie powietrze, przesycone solą i zapachem morza. Był pogodny, wrześnieowy poranek.

Czułam, jak powietrze przenika do płuc. I potem znowu dreszcz rozkoszy, przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Niewiarygodne, po czterech latach powinnam się już przyzwyczaić do cudownego uroku Gwiezdnego Zakątka.

Przez ten czas tak wiele nowego wydarzyło się w moim życiu. I to wszystko przychodziło bezboleśnie i najzupełniej naturalnie. Pobraliśmy się z Jessem już w sierpniu. Skromna ceremonia pod gołym niebem. Towarzyszyła nam tylko najbliższa rodzina. Karolina i Ben, którzy wzięli ślub ciut wcześniej, Aneta z mężem i dziećmi i kilkoro dobrych przyjaciół Jessego. Nie zapomnieliśmy o Julii.

Moja teściowa nie przyjęła naszego zaproszenia. Potrafię to zrozumieć. Oglądanie tego, jak własny syn żeni się z córką rywalki, mogło być dla niej bolesne. Zależało mi jednak na tym, żeby matka Jessego mnie polubiła. Odwiedziliśmy ją w trakcie naszej pierwszej zimowej podróży. Umiała przełamać uprzedzenia. Okazała mi wtedy wiele ciepła i serdeczności. Od tej pory jesteśmy w stałym kontakcie i na pewno, gdyby nasz ślub miał się odbyć teraz, z przyjemnością przyjęłaby zaproszenie.

Ale wówczas nie było jej z nami. Po ceremonii otworzyliśmy dom dla całego miasteczka. Była to wspaniała impreza. Tańczono w salonie, na tarasie i na trawniku. Przygotowaliśmy tyle jedzenia i napojów, że na pewno nikt nie wyszedł od nas głodny. To była jedna z pierwszych tego rodzaju imprez. Od tego czasu mniej więcej raz w miesiącu organizujemy bale, na które zapraszamy wszystkich mieszkańców Downlee. Lubię wydawać przyjęcia, ale nie chodzi tu tylko o to. Próbujemy w jakiś sposób okazać wdzięczność ludziom z miasteczka za to, że są dla nas tak mili...

- Mamo! Spójrz, mamo!

Słodki głosik Joshiego przerwał moje rozmyślenia. Trzyletni chłopczyk przybiegł do mnie, ściskając w małej piątce bukiet dzikich astrów.

- Spójrz, mamo, znalazłem fioletowe. Przyklęłam, by wziąć od niego prezent. Objęłam synka i przytuliłam go serdecznie.

- Cudownie fioletowe - potwierdziłam. - A te są różowe, a tamte koloru lawendy - dodałam.

- Ten lubię najbardziej - zdecydował, wyciągając ze zmiętoszonego bukietu kwiatek o najintensywniejszym odcieniu fioletu.

Podsunał mi pod nos - Powąchaj, jak pachnie. .

- Wspaniale pachnie. Patrzyłam na niego. Kilka razy energicznie pociągnął nosem, delektując się intensywnym zapachem. Potem odsunął roślinę trochę od twarzy i przyglądał jej się z taką uwagą, jakby to była niezwykła część jakiegoś ważnego urządzenia. Ciekawa jestem, jakie to myśli kłębią się w małej główce, fascynuje mnie wyobraźnia mojego chłopca.

Macierzyństwo okazało się dla mnie wielką niespodzianką. Dosłownie i w przenośni. Oboje z Jessem uważaliśmy, że spokojnie jakiś czas możemy z tym jeszcze poczekać. Tymczasem zaszłam w ciążę niedługo po ślubie. I nigdy tego żałowałam.

Mówiłam wprawdzie moim siostram, jak bardzo boję się macierzyństwa, ale te obawy rozwiały się nadzwyczaj szybko. Sprawiało mi przyjemność, że jestem w ciąży. Kocham dawać życie. Nawet poród wydał mi się czymś pięknym.

Cudownie być matką tak wspaniałego chłopca jak Joshie. Odziedziczył urok Jessego i chyba też jego zainteresowania.

Nagle Joshie wydał wojowniczy okrzyk i cisnął bukietem wysoko w powietrze. Kwiaty nie poleciały w górę i szybko zaczęły na niego spadać jak kolorowy deszcz. Joshie odskoczył parę kroków. Potem przycupnął i podniósł z ziemi śliską, różową dżdżownicę. Trzymając ją w rączce, znów zbliżył się do mnie.

Nienawidzę dżdżownic. Brzydzę się pełzającego robactwa. To jest właśnie powodem, że zawsze do pielenia grządek wkładam rękawiczki. Moje siostry myślą, że to dlatego, iż dbam o ręce.

- Zobacz, mamó.

- Widzę, kochanie.

Widzę, że cienkie paluszki trzymają coś niedużego i różowego. Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

- Bądź ostrożny, nie zrób dżdżownicy krzywdy - mówię.

- Dobrze... Zobacz, ona się rusza.

- Dżdżownice lubią się ruszać. Zdecydowanie jednak wolą ruszać się po ziemi. Tak dla nich zdrowiej. Tata zawsze tak mówi, pamiętaj.

Joshie skinął głową.

- Czy chcesz położyć dżdżownicę na ziemię? Potrząsnął głową, ale ten ruch sprawił, że Joshie

sposzregł trochę niżej na skałach malutką polankę porośniętą mleczem. Upuścił dżdżownicę i szybko zsunął się na dół. Wstałam, by nie stracić go z oczu. Pomyślałam, że nie ma piękniejszego widoku: mój syn w dżinsach i kolorowym podkoszulku, będącym miniaturką mojego, klęczący na trawie i zrywający mlecze, rosnące w szczelinie granitowych skał. Tak blisko oceanu, pod pogodnym niebem - na horyzoncie pojedyncze kumulusy. Czułam, że wszystko wewnątrz mnie wypełnione jest szczęściem. To miało też coś wspólnego z dzieckiem, które dorastało w moim brzuchu. Chodziło jednak o coś więcej. O radość całego mojego życia w Gwiezdnym Zakątku.

Jeszcze raz z przyjemnością wciągnęłam do płuc powietrze i ruszyłam w stronę Joshiego. Zanim dotarłam do niego, porzucił już mlecze i gramolił się na krawędź skalną. Potem wyszedł na wąską ścieżkę, prowadzącą w głąb łądu. Znał dobrze drogę. Podążałam za nim.

A kiedy doszliśmy do trawnika, podbiegł, fiknął koziołka, poturlał się po trawie. Później zerwał się na nogi, podskoczył i odwrócił się do mnie roześmiany.

Ginny, kochana mamó, czy możesz go teraz zobaczyć...

Starałam się nadać myślom taką moc, by dotarły do nieba, gdzieś tam, gdzie ona jest teraz.

...Joshie jest przepięknym, słodkim dzieckiem. Tak uroczym, że wzruszyłby cię z pewnością... Jesse mówi, że jest podobny do Willa... Nie wiem, nie znałam Willa. Widzę za to, jak bardzo Joshie podobny jest do swego ojca...

Łapię Joshiego pod ręce i przyciągam do siebie. Sadzam go na trawie, otaczam nogami. Patrzymy na morze, na białe grzywy fal.

- Zobacz, tam płynie łódka. Czyż nie piękna?

- Podobna do tej, którą miał wujek Ben. Ben i Karolina spędzili u nas cały miesiąc wakacji. To było zabawne i miłe, szczególnie kiedy jeszcze dołączyła do nas Aneta z rodziną. Kolejne wspólne wakacje.

Od śmierci Ginny staramy się wszystkie wolne chwile spędzać razem. Na Święto Dziękczynienia jeździmy do St. Louis do Anety, na Gwiazdkę do Karoliny. Zatrzymujemy się w hotelu, na północ od

Chicago, niedaleko małego domku Bena. A wakacje razem w Gwiezdnym Zakątku.

To jest fascynujące, choć czasem niełatwe do zrealizowania. Troje starszych Anety jest już w college'u, Jean - Paul nie zawsze może sobie pozwolić na urlop, a Aneta podjęła pracę na pół etatu w dziale socjalnym w szpitalu. Jak na ironię, Karolina ma teraz najwięcej czasu. Prowadzi własną firmę. Ma troje partnerów i dwie bardzo porządne i odpowiedzialne asystentki. Jeżeli tylko potrzebuje wolnego, może na nich liczyć.

Przyjemna wiadomość - ona i Ben spodziewają się dziecka. Prawdopodobnie urodzi się akurat wtedy, kiedy przyjedziemy do nich na święta. Przynajmniej obie z Anetą mamy taką nadzieję. Karolina skończyła już czterdzieści cztery lata. To trochę za późno na pierwsze dziecko i jeżeli będą jakieś kłopoty, chcemy być przy niej.

Chociaż... Karolina jest bardzo zaradna. Jeśli jakaś kobieta może sobie pozwolić na pierwsze dziecko w tym wieku, to na pewno właśnie ona.

- Gdzie jest wujek Ben? - pyta Joshie, tym razem smutnym głosem. On i wujek Ben bardzo zaprzyjaźnili się tego lata.

- Wujek jest w Chicago z ciocią Karoliną.

- Chciałem się z nim pobawić.

- Wiem o tym, kochanie... - przytulam go mocniej. - Tylko troszeczkę będziesz musiał poczekać, ale nie aż tak bardzo długo. Zobaczysz się z wujkiem na święta. A potem znowu będą wakacje.

- Chcę, żeby wujek przyjechał do nas z łódką.

- Przyjedzie - uśmiecham się do niego. - Nazrywasz jeszcze trochę kwiatków?

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Wysunął się z moich objęć i podskoczył w stronę żółto - pomarańczowej kępki nagietków. Dogoniłam go i w ten sposób znaleźliśmy się blisko małego cmentarzyka.

Pomyślałam, że to już ostatnie kolory tego lata i potem trzeba będzie czekać aż do wiosny. Nie czułam pesymizmu. Zima w Gwiezdnym Zakątku też ma swój urok. Więcej czasu spędzamy wtedy w domu, przy ogniu, rozkoszując się przytulnością pięknie urządzonych pokoi.

Zrywaliśmy kwiatki, aż małe rączki Joshiego nie mogły więcej pomieścić. I potem Joshie zaczął obdarowywać umarłych. Często tak robił.

- Te kwiatki będą dla dziadka Willa - oznajmił śpiewnym głosem. - Podzielił kwiaty na kilka bukietów i jeden z nich uroczyście złożył na grobie dziadka. - A to dla babci Ginny.

- A to będzie dla nas - wskazał na resztę kwiatów. Z przejęciem wyjął z bukietu jeden nagietek, podszedł do mnie i gestem, którego u niego przedtem nie widziałam, a który musiał podpatrzeć u ojca, wpiął mi kwiatek we włosy.

Chwyciłam kwiatek szybko, zanim zdążył wypaść, i mocniej wsunęłam pod loki. - To dla mnie? - spytałam z uśmiechem.

Skinął głową i objął mnie swoimi małymi rączkami.

Jesse powinien niedługo wrócić. Pojechał do miasta odwieźć do Julii pieczywo i ciasteczka. Miał później kupić w sklepie ogrodniczym cebulki liliowców. Najczęściej jeździmy razem do miasta. Dziś jednak perspektywa spaceru po skałach wydała mi się zbyt kusząca.

Następnie, kiedy Jesse będzie sadił cebulki, dam Joshiemu obiad, położę go spać i wpadnę do Julii na kawę. Planujemy potem wyskoczyć do Berkshires i zwiedzić tamtejsze restauracje. To może być wspaniała nocna wyprawa.

Za parę dni pojedziemy z Jessem do Waszyngtonu załatwiać ostatnie formalności w związku ze sprzedażą mojego mieszkania. Musimy posprzątać i zabrać wszystko, co jeszcze tam zostało.

Mało korzystaliśmy z tego mieszkania. Nie ma sensu dłużej go trzymać. W pobliżu znajduje się wiele bardzo dobrych hoteli i jeżeli będziemy chcieli tu przyjechać, zawsze możemy w którymś się zatrzymać. Nadal kocham to miasto, ale moje więzy z nim bardzo się rozluźniły. Na dobre zapuściłam korzenie w Downlee i nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieszkać gdzie indziej.

Jesse oczywiście nie wyprowadziłby się stad za żadne skarby. Nadal pracuje jako ogrodnik, choć teraz zatrudnia kilka osób do pomocy. Gwiezdny Zakątek jest dla niego źródłem uzasadnionej dumy. To miejsce wygląda jak marzenie, coraz doskonalsze, coraz piękniejsze.

Patrząc teraz na moje życie i muszę przyznać, że z lękiem, odwracam się w przeszłość. Byłam wtedy tak strasznie głupia. Pusta, próżna, otoczona milionem ozdób i fatalaszków.

Teraz, kiedy mogę przyglądać się, jak Joshie gramoli się na skały, jak wpina mi kwiaty we włosy... Kiedy widzę tęczę po deszczu... To wzrusza tak bardzo, że aż dech mi zapiera.

Jak mogłam być kiedyś taka głupia?

Choć może aż tak bardzo. W końcu przecież dokonałam właściwego wyboru.

Mama mówiła ostatniego dnia, kiedy byliśmy razem, że nie żałuje swojej życiowej decyzji. Ja podjęłam inną decyzję i nie ma jednego dnia, żebym nie dziękowała Bogu, że moje życie jest inne. Mam miłość, rodzinę. Teraz wszystko nabiera intensywnej, pogodnej barwy.

Przede mną Joshie zaczyna skakać. Mało się nie przewróci, tak bardzo jest podekscytowany. Nic dziwnego, zobaczył Jessego, wracającego z miasta. Już pędzi w jego stronę.

Przystaję, żeby na nich popatrzeć. Joshie ląduje tuż koło Jessego, który łapie go i obejmuje. Potem obaj idą w moją stronę. Coś do siebie mówią. Jesse zatrzymuje się i pochyla. Joshie wskakuje mu na plecy. I znowu idą do mnie.

To taki uroczy widok - ojciec i syn. Nie mogę się na nich napatrzeć. Zresztą na samego ojca też nie mogę się napatrzeć. Na jego widok wciąż coś się we mnie budzi. Niewiarygodne.

- Cześć - mówi, podchodząc do mnie, a mnie zapiera dech. Te intensywnie brązowe oczy, opalona skóra, smukła sylwetka, płynny chód. I nawet to, że Joshie niemiłosiernie rozczochrał mi włosy, nie umniejsza w niczym jego uroku. Czy kiedykolwiek zdołam się do tego przyzwyczaić? On wie o tym i uśmiecha się. - Udał wam się spacer?

Kiwam głową. - Jak cebulki?

- Kupiłem. Julia dziękuje za ciastka. Mówi, że koniecznie trzeba wymyślić dla nich jakieś opakowania. Jak się czujesz? - Obejmuje mnie. - Masz mdłości?

- Już nie. Śniadanie mi pomogło.

- Myślisz że to będzie dziewczynka? Patrzę na niego z uśmiechem i wzruszam ramionami.

- Może, ale gdyby był chłopiec...

Przytulamy się do siebie i idziemy objęci. Czuję smak wiatru znad oceanu, słyszę huk fal, widzę symfonię barw i mam przy sobie

najdroższego mężczyznę. Gdzieś przed nami Joshie biega po łące, a we mnie rośnie nowe życie. Idziemy do naszego domu.

Koniec